



**CAMILLA**

**GREBE**

**DZIENNIK**

**MOJEGO**

**ZNIKNIECIA**



**NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU 2017**  
**WEDŁUG SZWEDZKIEJ AKADEMII KRYMINAŁU!**

**CAMILLA GREBE**

**DZIENNIK  
MOJEGO  
ZNIKNIĘCIA**

Z języka szwedzkiego przełożyła  
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



WYDAWNICTWO  
SOMA DRAGA

Tytuł oryginału:

*Husdjuret*

Copyright © Camilla Grebe 2017

Published by agreement with Ahlander Agency

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska under exclusive license to  
Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autorki na okładce: © Viktor Fremling

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8110-717-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło.

A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E - wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Ormberg, październik 2009

Malin

Ormberg. Osiem lat później – 2017

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Malin

Jake

Hanne

Jake

Malin

Hanne

Jake

Hanne

Malin

Hanne

Malin

Jake

Malin

Malin. Tydzień później

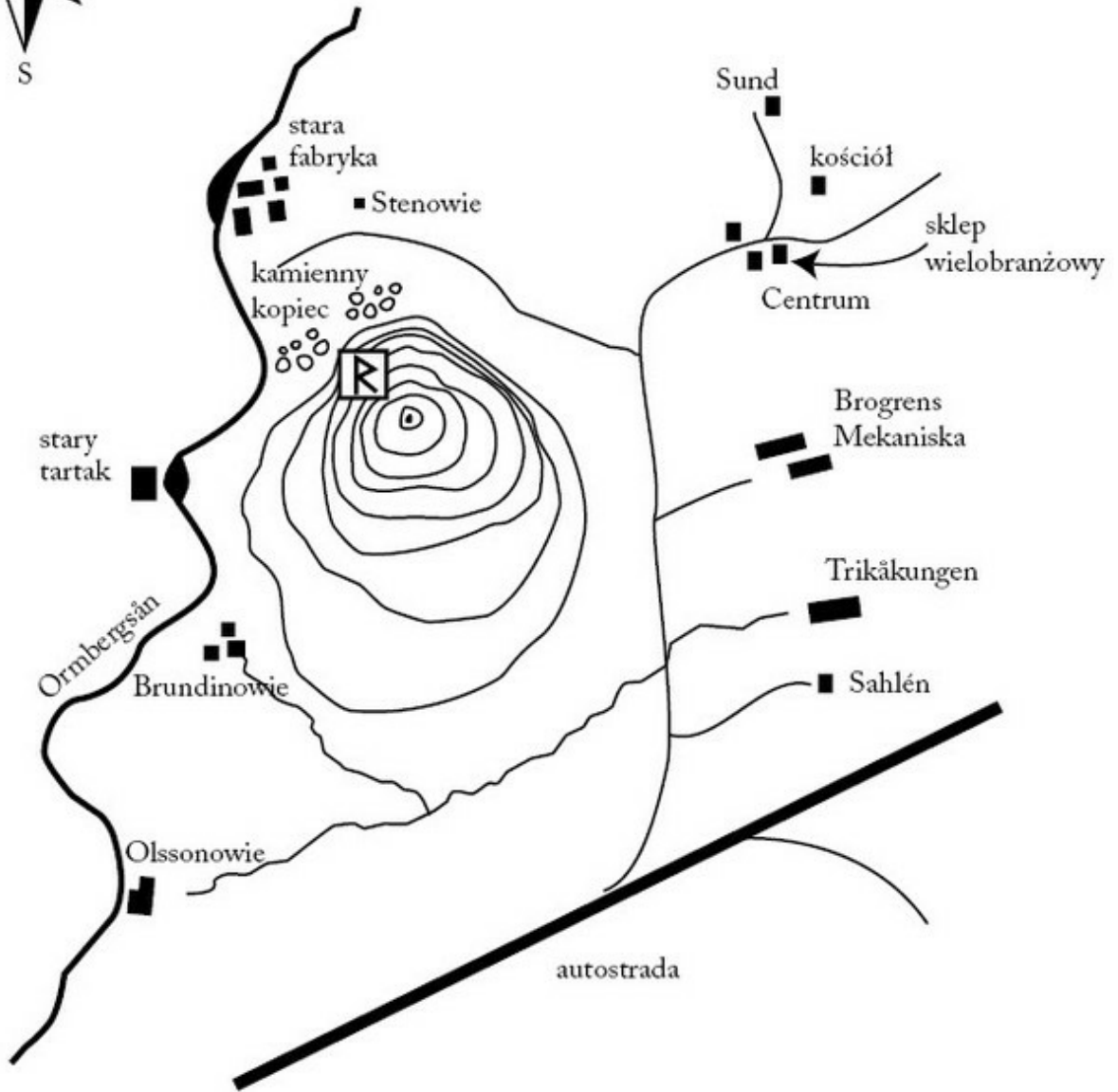
Jake. Cztery miesiące później

O książce

Podziękowania

*Dla Āsy i Matsa za udowodnienie, że istnieje wyjście  
nawet z najczarniejszych ciemności*

# ORMBERG





*Kto sieje wiatr, zbiera burzę*

**Ormberg**  
**październik 2009**

# Malin

Idąc przez ciemny las, mocno trzymałam Kenny'ego za rękę. Oczywiście nie dlatego, że bałam się duchów. W coś takiego wierzą tylko idioci. Tacy jak mama Kenny'ego, która godzinami przesiaduje przed telewizorem i ogląda żalosne programy, gdzie tak zwane medium przeczesuje stare domy w poszukiwaniu nieistniejących duchów.

Mimo to.

Faktem jest, że niemal każdy, kogo znam, słyszał przy kopcu z kamieni płaczące niemowlę – to jego przeciągłe, smutne zawodzenie. Nazywano je upiorkiem i chociaż nie dawałam wiary tego rodzaju bzdurom, wolałam nie ryzykować i nigdy nie chodziłam tamtędy po ciemku sama.

Spojrzałam w górę na spiczaste wierzchołki choinek. Drzewa były tak wysokie, że niemal przesłaniały niebo i okrągły mlecznobiały księżyc.

Kenny pociągnął mnie za rękę. Butelki z piwem brzęknęły w foliowej reklamówce, a dym z jego papierosa zmieszał się z zapachem wilgotnej ziemi i butwiejących liści. Kilka metrów za nami Anders człapał przez krzaki borówek, gwizdząc pod nosem piosenkę, którą znałam z listy przebojów.

– Malin, do diabła!

Kenny potrząsnął moją dłońią.

– Co?

– Idziesz wolniej od mojej mamy. Upiłaś się już czy co?

To niesprawiedliwe porównanie – matka Kenny'ego ważyła ze dwieście kilogramów i nigdy nie widziałam, żeby przeszła dłuższy odcinek niż kilka kroków dzielących kanapę przed telewizorem od toalety. I nawet wtedy dostawała zadyszki.

– Zamknij się! – rzuciłam, licząc na to, że Kenny pozna po moim tonie, iż żartuję. Zrozumie, że w tej ordynarnej odzywce kryje się swego rodzaju szacunek pełen miłości.

Byliśmy ze sobą zaledwie od dwóch tygodni. Poza obowiązkowym nieporadnym obściskiwaniem się w jego łóżku, które cuchnęło psem, poświęcaliśmy czas na próbne wejście w role. On: dominujący, dowcipny (czasami moim kosztem) i chwilami ulegający przedwczesnej, skupionej na sobie melancholii. Ja: podziwiająca, kompromisowa (najczęściej własnym kosztem) i wielkodusznie wspierająca, kiedy dostawał doła.

Moja miłość do Kenny'ego była tak intensywna i bezwarunkowa, że niekiedy wyczerpywała mnie całkowicie także fizycznie. Mimo to nie chciałam być z dala od niego nawet przez sekundę, jakbym się bała, że okaże się snem, słodkim wytworem wyobraźni

stworzonym przez mój ospały mózg nastolatki.

Świerki wokół nas wyglądały na bardzo stare. Między korzeniami rozciągały się miękkie poduchy mchu, a grube pnie porastały przy samej ziemi szare brody porostów.

Gdzieś z niedaleka dobiegł odgłos pękającej gałęzi.

– Co to było? – spytałam, być może trochę za głośno.

– To upiórek – powiedział Anders teatralnym tonem tuż za mną. – Idę po ciebieeee – zawył.

– Kurczę, nie strasz jej! – syknął Kenny, jakby nagle uległ niespodziewanemu instynktowi opiekuńczemu.

Prychnęłam i potknąwszy się o jakiś wystający korzeń, omal nie straciłam równowagi, na szczęście nie zabrakło mocnej dłoni Kenny’ego w ciemności. Butelki w torbie zadzwoniły głucho, gdy ratując mnie, przeniósł ciężar własnego ciała z jednej nogi na drugą.

Jego serdeczny gest przepełnił mnie ciepłem.

Las się przeredził, jakby świerki rozsunęły się na boki, by zrobić miejsce dla niewielkiej polany. Kopiec z kamieni wyglądał w blasku słońca niczym wyrzucony na brzeg gigantyczny wieloryb, porośnięty gęstym mchem i niskimi paprociami, które kołysały się w słabym wietrze.

Za polaną rysowała się na tle nocnego nieba ciemna sylwetka góry Ormberget.

– Kurczę, nie moglibyśmy pojechać do kogoś do domu i napić się piwa? Naprawdę musimy siedzieć w tym lesie? Jest kurewsko zimno.

– Ogrzeję cię – powiedział Kenny i zachichotał.

Przyciągnął mnie do siebie tak blisko, że aż poczułam odór piwa i snusu w jego oddechu. Z jednej strony miałam ochotę odwrócić twarz, zmusiłam się jednak i stałam spokojnie, patrząc mu w oczy, ponieważ właśnie tego ode mnie oczekiwano.

Anders zagwizdał, po czym osunął się ciężko na jeden z dużych okrągłych kamieni i sięgnął po piwo. Po chwili zapalił papierosa i powiedział:

– Myślałem, że chcesz usłyszeć upiorka.

– Nie ma żadnych upiorków ani żadnych duchów – odparłam, siadając na mniejszym kamieniu. – Tylko idioci wierzą w takie rzeczy.

– Pół Ormbergu wierzy w upiorka – zaprotestował Anders, następnie otworzył piwo i pociągnął łyk.

– No właśnie – dodałam.

Anders roześmiał się z mojego komentarza, Kenny zaś sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał. Często wyglądał tak, jakby nie słuchał, co mówię. Usiadł przy mnie, położył dłoń na moim pośladku i wsunął lodowato zimny palec za pasek spodni. Potem przytknął mi do ust swojego papierosa. Posłusznie zaciągnęłam się głęboko, odchyliłam głowę i wydychając dym, spojrzałam na księżyc w pełni.

W panującej ciszy wszystkie odgłosy lasu wydawały się szczególnie wyraźne: szum

słabego wiatru kołyszącego paprociami, przytłumione trzeszczenie i pstrykanie tysiąca niewidzialnych palców pełzających po ziemi, upiorne pohukiwanie jakiegoś ptaka gdzieś daleko.

Kenny podał mi piwo.

Pociągnęłam łyk gorzkiego zimnego napoju i wpatrzyłam się w ciemność między drzewami. Jeśli ktoś ukrywał się gdzieś w głębi, przyciskał do pnia, nie mieliśmy najmniejszej szansy go dojrzeć. Niewyobrażalnie łatwo było podkraść się do nas, równie łatwo jak zastrzelić dzikie zwierzę w zagrodzie albo wyłowić złote rybki z akwarium.

Tylko dlaczego ktoś miałby robić coś takiego tu, w Ormbergu?

Tutaj nigdy nic się nie działo. Pewnie z tego powodu ludzie musieli wymyślać historie o duchach – żeby nie umrzeć z nudów.

Kenny zdławił beknięcie i otworzył kolejne piwo. Potem odwrócił się w moją stronę i mnie pocałował. Jego język był zimny i smakował piwem.

– *Get a room!* – powiedział Anders i także beknął. Głośno, jakby beknięcie było pytaniem, na które spodziewał się naszej odpowiedzi.

Wyglądało na to, że komentarz pobudził Kenny'ego, bo ten nagle włożył dłoń za poję mojej kurtki, wsunął ją pod sweter i mocno ścisnął mi pierś.

Usiadłam tak, aby było mu wygodniej, i powiodłam językiem po jego ostrych górnych zębach.

Anders znienacka wstał. Delikatnie odepchnęłam Kenny'ego od siebie i spytałam:

– Co?

– Słyszałam coś. To brzmiało jak... jakby ktoś płakał albo zawodził.

Anders wydał z siebie przeciągły dźwięk skargi.

– Pogięło cię? – powiedziałam. – Idę się wysikać. A wy możecie tu sobie siedzieć i wypatrywać duchów.

Podniosłam się, okrążyłam kopiec i oddaliłam się o kilka metrów. Odwróciłam się i stwierdziwszy, że Kenny i Anders mnie nie widzą, rozpięłam dzinsy i przykucnęłam.

Mech albo jakaś inna roślina łaskotała mnie po tyłku, kiedy sikałam. Zimno wpełzło mi wokół nóg aż pod kurtkę.

Wzdrygnęłam się.

To faktycznie genialny pomysł, żeby przyjechać aż tutaj napić się piwa. Po prostu super! Ale dlaczego nie odmówiłam, kiedy Kenny rzucił taką propozycję?

Dlaczego nigdy nie odmawiałam, kiedy Kenny coś proponował?

Ciemność była nieprzenikniona, wyjęłam więc z kieszeni kurtki zapalniczkę. Nacisnęłam kciukiem małe kółko i słabym płomieniem powiodłam po ziemi: po brązowych jesiennych liściach, aksamitnym mchu i dużych szarych kamieniach. W szczelinie między dwoma kamieniami tuż obok nagle zajaśniało coś białego i płaskiego, wyglądającego jak kapelusz dużej pieczarki.

Kenny i Anders mówili dalej o duchach, rozbawieni i lekko podchmieleni. Słowa padały szybko, potykały się jedno o drugie, raz po raz przerywane śmiechem.

Może to przez ciekawość, a może nieszczerze miałam ochotę od razu do nich wrócić, w każdym razie coś kazało mi przyjrzeć się tej pieczarce dokładniej.

Swoją drogą, czy o tej porze roku w środku lasu rosną pieczarki? Jedyne grzyby, jakie kiedykolwiek tutaj zbierałam, to kurki.

Przysunęłam zapalniczkę do szczeliny między kamieniami, aby lepiej oświetlić ten przedmiot. Odsunęłam parę liści i wyrwałam niewielką paproć z korzeniami.

Nie ulegało wątpliwości, że coś tam było. Coś, co...

Wciąż siedząc w kucki, z opuszczonymi spodniami, wyciągnęłam rękę i nieśmiało dotknęłam palcem białej gładkiej powierzchni. Wydała się twarda, jak kamień albo porcelana. Może to jakieś stare naczynie? W każdym razie to na pewno nie była pieczarka.

Wyprostowałam się odrobinę i odepchnęłam kamień leżący na wierzchu. Był mniejszy od innych i niezbyt ciężki, mimo to wylądował w mchu obok mnie z głośnym odgłosem.

Teraz ta biała rzecz, miska albo coś w tym rodzaju, leżała cała odsłonięta. Była wielkości grejpfruta, z jednej strony pęknięta i lekko porośnięta czymś w rodzaju włókien brązowego mchu.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam cienkich ciemnych nitek. Roztarłam je między kciukiem a palcem wskazującym, zanim mózg zdążył złożyć wszystkie puzzle w całość i zanim zdałam sobie sprawę, na co patrzę.

Upuściłam zapalniczkę, wstałam i zrobiwszy kilka chwiejnych kroków po omacku w ciemność, zaczęłam krzyczeć. Krzyk dobywał mi się z samych trzewi i zdawał się nie mieć końca. Jakby prerażenie wyciskało przez płuca każdy atom tlenu znajdujący się w moim ciele.

Kiedy Kenny i Anders przybiegli mi na ratunek, wciąż miałam spodnie opuszczone do kostek, a płuca wzmacniały krzyk kolejnymi zasobami tlenu.

Miska nie była miską. Mech nie był mchem.

To była czaszka z długimi ciemnymi włosami.

**Ormberg**  
**Osiem lat później – 2017**

# Jake

**M**am na imię Jake. Należy wymawiać je z angielska – Dżej-k, ponieważ moi rodzice nadali mi je po Jake’u Gyllenhaalu, jednym z najlepszych aktorów na świecie. W szkole prawie wszyscy z premedytacją mówią błędnie: Ja-ke, żeby od biedy rymowało się z paka albo z draka, albo jeszcze gorzej: sraka. Jasne, że wolałbym nazywać się inaczej, ale nic już nie da się zrobić. Jestem, jaki jestem. I nazywam się, jak się nazywam. Mama strasznie chciała, żebym miał na imię Jake, a tata zawsze robił to, co podobało się mamie, może dlatego, że kochał ją najbardziej na świecie.

Nawet teraz, kiedy mama nie żyje, wydaje się, że w pewien sposób nadal jest z nami. Czasami się zdarza, że tata nakrywa dla niej do stołu, a kiedy go o coś spytam, często długo zwleka z odpowiedzią, jakby się zastanawiał, co pomyślałaby mama. A potem pada odpowiedź: „Jasne, pożycz stówkę” lub „Okej, jedź do Sagi i obejrzyj film, ale bądź w domu na siódmą”.

Tata prawie nigdy nie mówi „nie” i niczego mi nie zabrania, mimo że ostatnio, od kiedy TrikåKungen, stara fabryka tekstylna, znowu stała się siedzibą azylantów, zrobił się trochę surowszy.

Wolę wierzyć, że wynika to z jego życzliwości, lecz Melinda, moja starsza siostra, uważa, że jest zbyt tępy i leniwy, żeby zdobyć się na protest. Kiedy tak mówi, zwykle zerka znacząco na stojące na podłodze w kuchni puste puszki po piwie, uśmiecha się krzywo i wydmuchuje idealnie okrągłe kółka dymu, które powoli unoszą się pod sufit.

Moim zdaniem Melinda jest niewdzięczna. No bo przecież wolno jej nawet palić w domu, na co mama nigdy by jej nie pozwoliła, i zamiast się z tego cieszyć, mówi takie rzeczy. To niewdzięczne, niesprawiedliwe i przede wszystkim ani trochę miłe.

Kiedy jeszcze żyła babcia, mawiała czasami, że tata może nie jest „najostrzejszym nożem w szufladzie”, ale że ostatecznie mieszkam w najładniejszym domu w Ormbergu, a to już nie byle co. Pewnie myślała, że nie rozumiem, co to jest „najostrzejszy nóż”, ale ja rozumiałem. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że jeśli ma się ładny dom, bycie tępym nożem jest w porządku.

Najśliczniejszy dom w Ormbergu leży pięćset metrów od autostrady, pośrodku iglastego lasu, nad rzeką, która płynie do samego Vingåker. Są dwa powody, dla których nasz dom jest taki ładny: po pierwsze, tata jest cieślą, a po drugie, rzadko miewa jakąkolwiek pracę. Na szczęście, bo dzięki temu może dłubać przy nim prawie bez przerwy.

Tata wyciął wkoło domu zarośla i zbudował ogromny taras. Jest tak wielki, że można na



nim grać w koszykówkę albo jeździć na rowerze. Gdyby wziąć porządny rozbieg i gdyby nie było żadnej balustrady, od krótszej strony tarasu dałoby się wskoczyć prosto do rzeki. Nie żeby ktoś dorosły chciał coś takiego zrobić – woda jest lodowato zimna, nawet w środku lata, a dno pełne mułu, wodorostów i obrzydliwych obślizgłych robaków. Czasami w wakacje Melinda i ja nadmuchujemy stare gumowe materace i płyniemy z prądem aż do starego tartaku. Korony drzew tworzą zielone sklepienie, które przypomina koronkowe obrusy w dziurkowane wzory robione przez mamę szydełkiem. Słychać wtedy jedynie ptaki, gumowaty chrzęst materaców, kiedy się na nich ruszamy, i szum niedużego strumienia, który wpada do zbiornika przy starym tartaku.

Po dotarciu do strumienia musimy wstać, wziąć materace w ręce i przejść przez płytką, bystrą wodę aż do tamy pełnej lilii wodnych i wodorostów.

Kiedy dziadek, którego nigdy nie poznałem, był młody, pracował w tartaku, ale zamknięto go na długo przed narodzinami mojego ojca. Skinheadzi z Katrineholmu podpalili zrujnowany budynek, gdy tata miał tyle lat co ja – czyli czternaście – ale jego zwęglone pozostałości stoją do dzisiaj. Z odległości wyglądają jak kły sterczące wśród zarośli.

Tata mówi, że dawniej wszyscy w Ormbergu mieli pracę: albo uprawiali ziemię, albo pracowali w tartaku, w Brogrens Mekaniska lub w fabryce Triåkungen.

Teraz tylko chłopci mają zajęcie, bo cały przemysł zlikwidowano i robota przeniosła się do Chin. Brogrens Mekaniska stoi martwa i opuszczona, szkielet z zardzewiałej blachy na równinie, a przypominający zamek ceglany budynek Triåkungen został przekształcony w schronisko dla azylantów.

Nie wolno tam chodzić ani mnie, ani Melindzie, mimo że tata pozwala nam prawie na wszystko. W tym przypadku najwyraźniej nie musi się zastanawiać, co by powiedziała mama, bo kiedy go o to pytamy, odpowiada błyskawicznie. Mówi, że chodzi o nasze „bezpieczeństwo”. Czego dokładnie się boi, nie wiadomo, ale Melinda zawsze, kiedy to słyszy, wywraca oczami, a on wtedy robi się zły i zaczyna mówić o kalifacie, burkach i gwałtach.

Wiem, co to burka i gwałt, ale nie kalifat. Zapisalem sobie to słowo, żeby je wygooglować – często tak robię ze słowami, których nie znam, bo lubię słowa, a zwłaszcza te trudne.

Można powiedzieć, że je zbieram.

I jeszcze jedna tajemnica, o której nikomu nie mogę powiedzieć. W Ormbergu obrywa się za znacznie drobniejsze rzeczy niż słuchanie niewłaściwej muzyki czy czytanie książek. A niektórzy – na przykład ja – obrywają bardziej niż inni.

Wychodzę na taras, opieram się o barierkę i spoglądam na rzekę. Ciężkie chmury na niepokogę trochę się rozpląnęły i odsłoniły wąską smugę niebieskiego nieba, a także

intensywnie pomarańczowe słońce tuż nad horyzontem. Szron, przez który deski tarasu wyglądają na chropowate, skrzy się w ostatnich promieniach słońca, a ciemna woda w rzece płynie ospale przed siebie.

Rzeka nigdy nie zamarza – ponieważ jest wciąż w ruchu. Można by się w niej kąpać przez całą zimę, ale rzecz jasna nikt tego nie robi.

Podłoga jest pełna gałęzi naniesionych w czasie nocnej wichury. Może powinienem je pozierać i rzucić na kompostownik, ale jestem jak zahipnotyzowany słońcem, które wystaje jak pomarańcza spod krawędzi chmur.

– Jake, wracaj do środka, do cholery – woła tata z pokoju. – Zamarzniesz ci tyłek.

Puszczam barierkę, patrzę na idealnie odcisnięte w szronie wilgotne ślady po moich dłoniach i idę do domu.

– Zamknij drzwi – mówi tata ze swojego fotela masującego, który stoi przed dużym telewizorem z płaskim ekranem.

Pilotem przycisza głos i patrzy na mnie. Między jego gęstymi brwiami pojawia się pionowa zmarszczka. Głaszcze łysą czaszkę piegowatą dłonią, a potem odruchowo przenosi ją na przyciski regulacyjne fotela, które już dawno przestały działać.

– Co tam robiłeś na dworze?

– Patrzyłem na rzekę.

– Patrzyłeś na rzekę?

Zmarszczka między brwiami robi się głębsza, jakbym powiedział jedno z trudnych słów, których nie zna, ale po chwili chyba postanawia nie zawracać sobie tym głowy.

– Zaraz wybieram się do Ollego – mówi, rozpinając guzik w dzinsach, żeby brzuch miał więcej miejsca. – Melinda zrobiła coś do jedzenia. Stoi w lodówce. Nie czekajcie na mnie.

– Okej.

– Obiecała, że wróci na dziesiątą.

Kiwam głową i ruszam do kuchni, biorę sobie colę, a potem idę na górę do swojego pokoju. Czuję mrowienie w żołądku.

Będę miał co najmniej dwie godziny dla siebie.

Jest już ciemno, kiedy tata wychodzi. Drzwi trzasnęły tak mocno, że aż zadrżała szyba w moim oknie. Po krótkiej chwili rozlega się odgłos silnika i samochód odjeżdża. Odczekuję kilka minut, żeby się upewnić, że tata nie wróci, i wchodzę do pokoju rodziców.

Podwójne łóżko nie jest zaścielone po stronie taty. Na połowie mamy narzuta jest starannie naciągnięta i wygładzona, a nastroszone poduszki opierają się o ścianę. Na szafce nocnej leży książka, mama czytała ją, zanim umarła; opowiada o młodej dziewczynie, która jest z jakimś bogatym gościem o imieniu Grey. On jest sadystą i nie potrafi się zakochać, ale dziewczyna mimo wszystko go kocha, bo dziewczyny lubią, kiedy je boli. W każdym razie tak mówi Vincent. Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby tak było, no bo kto lubi obrywać? Ja na

pewno nie. Powiedziałbym raczej, że ta dziewczyna lubi pieniądze Greya, bo wszyscy kochają pieniądze i prawie każdy zrobiłby, co tylko możliwe, byle być bogatym.

Na przykład zgodziłby się dostać baty albo zrobić loda ohydnemu sadyście.

Idę do garderoby mamy i odsuwam na bok lustrzane drzwi. Trochę się zacinają, więc muszę je lekko popchnąć. Potem przeciągam dłonią po ubraniach: gładki jedwab, sukienki wyszywane cekinami, miękki aksamit, surowy i szorstki dzins, pognieciona bawełna.

Zamykam oczy i przełykam ślinę.

Jakie to piękne, jakie doskonałe. Gdybym był bogaty, równie bogaty jak Grey, sprawiłbym sobie *walking closet* czy jak to się tam nazywa. Miałbym torebki na różne okazje i na różne pory roku, wisiałyby na specjalnych wieszakach w garderobie, a buty stałyby w oddzielnej szafie z oświetleniem.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe. Nie tylko z powodu masy pieniędzy, których na to by trzeba, ale przede wszystkim dlatego, że jestem chłopcem. Sprawienie sobie dziewczęcych ciuchów byłoby kompletnym kretynizmem. Gdybym zrobił coś takiego, udowodniłbym, że rzeczywiście jestem dziwołagiem i odmieńcem. Że jestem o wiele bardziej posrany niż ten cały Grey – bo bicie i pętanie kobiet jest okej, ale przebieranie się za nie już nie.

W każdym razie nie w Ormbergu.

Wyjmuję złotą cekinową sukienkę, tę z wąskimi ramiączkami i z błyszczącą, trochę śliską podszewką. Mama ubierała się w nią na sylwestra i wzięła ją, kiedy popłynęła z koleżankami na wycieczkę do Finlandii.

Przykładam ją do siebie i cofam się kilka kroków, żeby móc obejrzeć się w lustrze. Jestem chudy, a brązowe włosy sterczą mi wokół bladej twarzy jak pióropusz. Potem ostrożnie kładę sukienkę na łóżku i podchodzę do komody. Wysuwam najwyższą szufladę i wybieram czarny stanik z koronkowymi wstawkami. Następnie ściągam dzinsy i bluzę i wkładam biustonosz.

Oczywiście wygląda to trochę cudacznie, bo w miejscu, gdzie powinny znajdować się piersi, jest tylko płaska mlecznobiała klatka piersiowa ze śmiesznie małymi brodawkami. Miseczki sterczą zabawnie, wpycham więc w każdą zwiniętą skarpetę, po czym wciągam sukienkę przez głowę. Zawsze kiedy się w nią ubieram, nie mogę się nadziwić, jaka jest ciężka – ciężka i zimna w zetknięciu ze skórą.

Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze i nagle czuję się nieswojo – wolałbym korzystać z ubrań kogoś innego niż mamy, ale przecież nie mam żadnych dziewczęcych fatałaszków, bo Melinda najbardziej lubi nosić dzinsy i topy. Ona nigdy nie włożyłaby na siebie czegoś tak ładnego.

Zastanawiam się, które buty będą najlepiej pasować do tej sukienki. Może czarne z różowymi kamykami na wierzchu? Albo sandały z niebieskich i czerwonych pasków? Decyduję się na czarne – prawie zawsze wybieram właśnie je – ponieważ uwielbiam te

lśniące różowe kamyki. Kojarzą mi się z drogimi ozdobami, takimi, jakie mają dziewczyny z filmików na YouTubie oglądanych przez Melinę.

Cofam się znowu o kilka kroków i przypatruję się sobie uważnie. Gdyby nie krótkie włosy, wyglądałbym na sto procent jak prawdziwa dziewczyna. Może powinienem je trochę zapuścić, przynajmniej na tyle, żeby dały się upiąć.

Myśl jest kusząca.

Kiedy idę do pokoju Melindy, na grubej wykładzinie dywanowej zostają ślady. Wszędzie oprócz kuchni tata położył wykładzinę, ponieważ tak miło się po niej chodzi. Lubię tę miękkość pod butami na wysokich obcasach, bo czuję się wtedy, jakbym szedł po trawie, jakbym był na dworze.

Kosmetyczka Melindy jest duża i nie ma w niej żadnego porządku. Zerkam na zegarek – muszę się pospieszyć. Robię sobie grube kreski wokół oczu, identyczne jak ma ta piosenkarka Adele, maluję sobie usta czerwoną szminką. Kiedy widzę siebie w lustrze, po moim wnętrzu rozchodzi się ciepło.

Naprawdę ładnie wyglądam.

Jestem sobą, ale jednak nie, bo wyglądam atrakcyjniej i perfekcyjniej i jestem jakby bliższy sobie niż wcześniej.

W przedpokoju wkładam jeden ze swetrów Melindy – na dworze jest około zera i nawet gdybym chciał, nie mogę wyjść w samej sukience. Od czarnego wełnianego swetra poodpadały guziki, więc nie da się go zapiąć. Zimne powietrze szczypie mnie w łydki, kiedy zamknąwszy drzwi wejściowe, wsuwam klucz pod pustą pękniętą doniczkę i ruszam w stronę drogi. Żwir trzeszczy pod moim ciężarem, idę w skupieniu, aby zachować równowagę na wysokich obcasach.

Noc jest ciemna, bezbarwna i pachnie wilgotną ziemią.

Zaczął padać rzadki deszcz ze śniegiem. Kiedy idę, sukienka trochę jakby szeleści. Świerki stoją w ciszy wzdłuż drogi, zastanawiam się, czy mnie widzą, a jeśli tak – to co myślą. Nie sądzę jednak, żeby miały coś przeciwko mojemu strojowi. To tylko drzewa.

Skrećam w wąską ścieżkę.

Mniej więcej sto metrów ode mnie biegnie szosa. Mogę pójść jeszcze kawałek, ale nie dalej, bo mógłby mnie ktoś zobaczyć, a to byłoby najgorsze, co mogłoby się zdarzyć. Gorsze niż śmierć.

Uwielbiam chodzić sam po lesie. Zwłaszcza w ubraniach mamy. Udaję, że jestem w mieście, w Katrineholmie, i idę sobie do baru albo do restauracji.

To oczywiście nigdy się nie zdarzy.

Kilka metrów przed szosą przystaję. Zamykam oczy i staram się sycić tą chwilą najmocniej, jak to tylko możliwe, ponieważ wiem, że zaraz będę musiał wrócić. Do najładniejszego domu w Ormbergu, do dużego telewizora z płaskim ekranem i fotela masującego, i do mojego pokoju z plakatami filmowymi. Do lodówki wypełnionej

gotowymi półproduktami i z automatem do lodu, który działa tylko wtedy, gdy kilkakrotnie mocno uderzy się w niego pięścią.

Z powrotem do Jake'a bez sukienki, stanika i butów na szpilkach.

Zimne krople deszczu spadają mi na głowę, spływają po karku i toczą się między łopatkami.

Wstrząsam się, chociaż pogoda właściwie nie jest taka zła. Przynajmniej w porównaniu z wczoraj, kiedy wiało tak potężnie, że bałem się, żeby nie odfrunął nam dach.

Słysząc jakiś chrupot, może to sarna – w okolicy nie brakuje dzikich zwierząt. Kiedyś tata przyniósł do domu całą sarnę, którą ustrzelił Olle. Wisiała w garażu głową do dołu przez wiele dni, zanim tata ją oprawił i poćwiartował.

Kolejne odgłosy.

Słysząc trzask łamanych gałęzi i coś jeszcze, zdławione pojękiwanie, jakby rannego zwierzaka. Zamieram i wpatruję się w ciemność.

Coś porusza się między świerkami, zbliża się do mnie.

Wilk?

Nie wiem, skąd przychodzi mi to do głowy, bo przecież zdaję sobie sprawę, że u nas nie ma wilków. Tylko łosie, sarny, lisy i zające. Najniebezpieczniejszym zwierzęciem w Ormbergu jest człowiek, tak mówi nawet tata.

Obracam się, żeby puścić się biegiem do domu, ale ponieważ jedna szpilka utknęła mi w ziemi, padam jak długi do tyłu. Ostry kamień wrzyna mi się w dłoń i czuję przenikliwy ból w okolicy kości ogonowej.

Kilka sekund później z lasu wyłania się jakaś kobieta.

Jest stara. Włosy w wilgotnych kosmykach oblepiają jej twarz, a cienka bluzka i dzinsy są przemoczone i porwane. Nie ma kurtki ani butów, a na przedramionach widoczne są smugi brudu i krwi.

– Pomóż mi – odzywa się głosem tak słabym, że ledwie mogę rozróżnić poszczególne słowa.

Cofam się po ziemi jak najdalej od niej, nagle ogarnięty śmiertelnym strachem, ponieważ do złudzenia przypomina czarownicę albo opętane obłądem morderczynię w horrorach, które oglądaliśmy razem z Sagą.

Deszcz przybrał na sile i wokół mnie utworzyła się duża kałuża. Podnoszę się z ziemi i przykucam, zsuwam buty z nóg i biorę je do ręki.

– Pomóż mi – mamrocze znowu, zbliżając się do mnie.

Rzecz jasna widzę, że nie jest żadną czarownicą, ale może jest obłąkana. I niebezpieczna. Kilka lat temu policja złapała w Ormbergu chorego psychicznie kolesia. Uciekł ze szpitala w Katrineholmie i ukrywał się prawie przez miesiąc w pustych letnich domkach.

– Kim jesteś? – pytam i jeszcze bardziej odsuwam się do tyłu, a stopy zapadają mi się w mokrym mchu.

Kobieta przystaje. Wygląda na zdziwioną, jakby nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć na to pytanie. Potem patrzy na swoje ręce, odsuwa na bok gałąź i wtedy widzę, że w jednej dłoni coś trzyma, książkę albo może notes.

– Mam na imię Hanne – mówi po kilku sekundach.

Jej głos brzmi teraz mocniej, a kiedy spotyka moje spojrzenie, stara się nawet zmusić do uśmiechu.

– Nie musisz się mnie bać – odzywa się znowu. – Nic ci nie zrobię.

Deszcz zacina mi w policzki, kiedy patrzę na nią.

Teraz wygląda inaczej, już nie jak czarownica, tylko bardziej jak stara ciotka. Niegroźna stara ciotka, która porwała sobie ubranie i przewróciła się w lesie. Może zabłądziła i nie umie trafić do domu.

– Coś się stało? – pytam.

Kobieta o imieniu Hanne przygląda się swoim porwanym rzeczom, a potem podnosi wzrok na mnie. Dostrzegam w jej oczach przerażenie.

– Nie pamiętam – bąka.

W tej samej sekundzie dobiega nas odgłos nadjeżdżającego samochodu. Kobieta chyba też go słyszy, bo robi kilka kroków w stronę szosy i zaczyna wymachiwać rękami. Idę za nią aż do pobocza i wpatruję się w ciemność w kierunku zbliżającego się pojazdu. W blasku reflektorów widzę, że bosa stopy Hanne są pokryte krwią, jakby poraniła je sobie o ostre gałęzie i kamienie.

Ale widzę też coś jeszcze, widzę, jak cekiny na mojej sukience iskrzą się i błyszczą w świetle niczym gwiazdy na niebie w jasną noc.

W nadjeżdżającym samochodzie może być ktokolwiek – sąsiad albo kolega czy obłąkaniec z za kościoła – jednak prawdopodobieństwo, że to ktoś, kogo znam, jest duże.

Ogarnia mnie strach, wypełnia mi wnętrze, oplata wnętrzności i ściska za serce.

Tylko jedna rzecz może być gorsza od czarownic, chorych z psychiatryka i obłąkanych morderczyń – to, że mógłbym zostać zdemaskowany. Że ktoś mógłby zobaczyć mnie w cekinowej sukience ze zwiniętymi w kłębek skarpetkami wciśniętymi w stary biustonosz mamy. Gdyby to rozeszło się po Ormbergu, równie dobrze mógłbym się od razu zastrzelić.

Cofam się w las i przykucam za krzakami.

Kierowca raczej mnie zobaczył, ale być może nie rozpoznał. Jest ciemno, pada, a ja jestem przebrany za kogo innego.

Auto się zatrzymuje i szyba opuszcza się z pomrukiem. Z okna wylewa się muzyka. Słyszę, że kobieta coś mówi do kierowcy, ale nie rozpoznaję ani jego, ani samochodu. Po chwili otwiera tylne drzwi i wsiada do środka. Auto znika w ciemności.

Wstaję i podchodzę do szosy, która biegnie przez las jak czarny lśniący wąż. Słyszę jedynie szum deszczu.

Kobieta o imieniu Hanne odjechała, ale na ziemi coś leży – brązowa książka.

# Malin

**K**uląc się na parkingu przed wiatrem, patrzę na błyszczący czarny asfalt i myślę o pytaniu, które mama zadała mi tuż przed rozmową.

„Dlaczego właściwie zostałam policjantką, Malin?”

Kiedy je słyszę, zwykle wybucham śmiechem i wznoszę oczy do nieba. A potem prawdopodobnie mówię coś w rodzaju, że w żadnym razie nie z powodu pensji, służbowego samochodu czy fantastycznych godzin pracy. Tak czy inaczej, bagatelizuję to pytanie. Nie chcę traktować go poważnie, medytować nad sobą i swoimi motywami. Gdybym mimo wszystko podjęła jednak taką próbę, powiedziałabym, że jedną z przyczyn takiego wyboru była chęć pomocy ludziom, część mnie naprawdę wierzy w to, że mogę przyczynić się do udoskonalenia społeczeństwa. Może mam poza tym swego rodzaju skłonność do zaprowadzania porządku i naprawiania wszystkiego, podobnie jak sprząta się w domu czy usuwa chwasty z ogródka.

Studia w wyższej szkole policyjnej w Sörentorp, na północ od Sztokholmu, były dla mnie także wygodnym sposobem, żeby wyjechać. Darmowym biletem z Ormbergu i świetnym pretekstem, by nie musieć wracać tam nawet w weekendy czy święta.

Czy szkielet, który ja, Kenny i Anders znaleźliśmy w lesie osiem lat wcześniej, przyczynił się do mojego wyboru zawodu?

Tak naprawdę nie wiem.

Oczywiście wtedy wydawało mi się ogromnie ekscytujące, że znalazłam się w centrum śledztwa skupiającego uwagę wszystkich. Mimo że nie dało się ani zidentyfikować ofiary, którą była mała dziewczynka, ani ująć sprawcy.

Chyba nigdy nie sądziłam, że pewnego dnia przyjdzie mi zająć się właśnie tym przypadkiem.

Zimny wiatr porwał pustą foliową torbę oraz garść liści i cisnął nimi o niski brązowy budynek szpitalny. Z recepcji wyszedł samotny mężczyzna i stanąwszy tyłem do wiatru, zapalił papierosa.

Manfred Olsson, mój przypadkowy kolega, zadzwonił niecałą godzinę temu.

Myślę o zdziwionej minie mamy, kiedy odezwał się telefon. O jej spojrzeniu, gorączkowo wędrującym między mną a zegarem, kiedy zrozumiała, że stało się coś poważnego i że muszę jechać, chociaż jest pierwsza niedziela adwentu i niedzielna pieczeń stoi w piecyku.

Kiedy odebrałam, Manfred brzmiał na zasapanego, jakby właśnie przebiegł trzykilometrowy tor przy kościele. Ale jednocześnie dyszał całkiem równomiernie, czyli

pewnie ciążyło mu po prostu dobre pięćdziesiąt kilogramów nadwagi. Tak czy inaczej, byłam zupełnie nieprzygotowana na to, co usłyszałam: Hanne Lagerlind-Schön została wczoraj znaleziona w lesie, sama, wyziebiona i zupełnie zdezorientowana. Czy mogłabym przyjechać do szpitala i się z nią zobaczyć?

Lokalnej policji najwyraźniej zajęło całą dobę ustalenie jej stałego miejsca pobytu i skontaktowanie się z Manfredem. Trudno się dziwić – ostatecznie w Ormbergu nie ma posterunku policji. Najbliższy jest w Vingåker, a z nim nie mamy wiele wspólnego. Hanne nie pamiętała, co robiła w lesie, nawet nie zdawała sobie sprawy, że była w Ormbergu.

Ze wszystkich osób, z którymi pracowałam, akurat po Hanne najmniej bym się spodziewała, że przytrafi jej się coś podobnego. Sympatyczna, cicha i chorobliwie dokładna behawiorystka po sześćdziesiątce, ze Sztokholmu, nigdy nie spóźniała się na spotkania i starannie zapisywała sobie wszystko w brązowym notesiku.

Jak może dojść do czegoś takiego? Jak można zapomnieć, gdzie się jest i jak nazywają się koledzy z pracy?

I gdzie, do cholery, podziewa się Peter Lindgren? Przecież nie ruszy się nawet metr bez Hanne.

Hanne i Peter wchodzi w skład pięcioosobowej grupy badającej na nowo morderstwo dziewczynki z kamiennego kopca. Od chwili nastania nowego szefa policji wprowadzono całą masę inicjatyw: działania wobec marginesu społecznego mają być bezwzględniejsze, odsetek wyjaśnionych do końca ciężkich przestępstw z użyciem przemocy powinien wzrosnąć. Specjalne zespoły mają skupić się na zwalczaniu przestępczości zorganizowanej w wyznaczonych rejonach podmiejskich. Specjalną uwagę i dedykowane działania poświęcono także tak zwanym *cold cases* dotyczącym przemocy ze skutkiem śmiertelnym, ponieważ od kiedy w 2010 roku uchylono okres przedawnienia w odniesieniu do zabójstw, w całym kraju wyrosły stopy nierozwiązanych spraw.

Zabójstwo dziewczynki w Ormbergu jest właśnie jednym z takich niewyjaśnionych przypadków, które wygrzebano z zakamarków archiwów, aby przeanalizować je od początku. Przez dobry tydzień pracowaliśmy nad nim razem z dochodzeniówką. Hanne i Peter są z NOA, narodowego wydziału operacyjnego policji. O ile dobrze się orientuję, są parą także prywatnie – dosyć nietypową, ponieważ Hanne jest co najmniej dziesięć lat starsza od niego. Manfred też jest z NOA i wcześniej długo pracował z Peterem. Oprócz nich do grupy należy także Andreas Borg, policjant po trzydziestce, na co dzień pracujący w Örebro.

No i ja, Malin.

To, że będę zajmować się sprawą zabójstwa dziewczynki z kamiennego kopca, było dla mnie – mówiąc najłagodniej – zaskakujące. Nie tylko dlatego, że to ja znalazłam ją w tamten jesienny wieczór osiem lat temu, ale także z tego powodu, że po skończeniu wyższej szkoły policyjnej pracowałam w policji porządkowej w Katrineholmie. Lecz w tym wszystkim jest



jakaś logika: zostałam wysłana do Ormbergu, ponieważ tam dorastałam i spodziewano się, że moja znajomość okolicy może okazać się przydatna. Przypuszczam, że chyba rzeczywiście jestem jedyną osobą w policji w całym Sörmlandzie, która pochodzi akurat z Ormbergu.

To, że znalazłam zwłoki, nie miało raczej nic do rzeczy, kiedy moi przełożeni podejmowali decyzję. Chodziło im jedynie o to, aby mieć na miejscu kogoś, kto orientuje się w wielkich lasach otaczających wioskę i potrafi dogadać się z ludźmi mieszkającymi w rozszaniach po okolicy domach.

Był w tym jakiś sens.

Ormberg nie jest bowiem specjalnie przychylny wobec obcych, a ja znam na pamięć wszystkich jego mieszkańców. To znaczy tych, którzy tam jeszcze są. Bo kiedy zamknięto TrikåKungen i Brogrens Mekaniska, większość się wyniosła. Zostali jedynie cholerni wczasowicze, starcy i bezrobotni, którym nie chce się nigdzie stąd ruszyć.

No i uchodźcy oczywiście.

Swoją drogą jestem ciekawa, kto wpadł na taki wspaniały pomysł, żeby setki starających się o azyl ludzi umieścić w wyludnionej miejscowości pośrodku Sörmlandu. I to bynajmniej nie pierwszy raz; kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych przyjechali uchodźcy z Bałkanów, wtedy też TrikåKungen funkcjonowała jako obóz dla uchodźców.

Gdy widzę, że na parking wjeżdża duży niemiecki SUV Manfreda, wychodzę mu naprzeciw.

Auto zatrzymuje się i po chwili pochylona potężna postać człapie ciężko w moją stronę. Wiatr podnosi jego rudawe włosy i rozwiewa je do tyłu – wyglądają wokół jego głowy jak aureola.

Jest jak zawsze elegancko ubrany, ma na sobie drogi płaszcz i czerwony szal z cienkiej, trochę pomarszczonej wełny, który z zamierzoną nonszalancją owinął sobie kilka razy wokół szyi. Trzymając pod lewym ramieniem teczkę z rdzawej skóry, przyspiesza kroku.

– Cześć – mówię i dołączam do niego, starając się nadążyć.

Ledwie zauważalnie kiwa mi głową; kierujemy się do wejścia.

– Andreas też będzie? – pytam.

– Nie – odpowiada i odgarnia dłonią rudawe włosy, usiłując zmusić je do pozostania na miejscu. – Wygląda na to, że jest u swojej matki w Örebro. Będziemy musieli jutro go zbriefować.

– A Peter? Odzywał się?

Manfred odpowiada dopiero po chwili.

– Nie. Chyba ma wyłączoną komórkę. A Hanne nic nie pamięta. Zarządziłem poszukiwania. Policja i wojsko jutro z samego rana zaczną przeczesywać las.

Nie wiem, czy Peter i Manfred się przyjaźnią, ale przez wiele lat pracowali razem. W każdym razie zwykle myśleli podobnie i raczej nie musieli dużo mówić, żeby się

porozumieć. Wystarczyło im jedno spojrzenie lub krótkie skiniecie głową, nie potrzebowali nic więcej.

Manfred na pewno się denerwował.

Od przedwczoraj Peter nie dawał znaku życia. Od kiedy razem z Hanne opuścił o wpół do piątej nasze prowizoryczne biuro w Ormbergu.

Jestem chyba ostatnią osobą, która ich widziała.

Kiedy wychodzili, wydawali się wręcz na swój sposób radośni, jakby wybierali się na coś fajnego. Spytałam, co zamierzają robić, a oni odpowiedzieli, że zastanawiają się, czy nie pojechać do Katrineholmu na porządną kolację, bo są już zmęczeni fastfoodowym jedzeniem smakującym jak papier. Albo coś w tym stylu.

Potem nie było już żadnego sygnału ani od Hanne, ani od Petera – ale nikt z nas się go też nie spodziewał, ponieważ nastał weekend i postanowiliśmy odpocząć przez dwa dni.

Po wejściu do holu podchodzimy do recepcji, gdzie poinformowano nas, jak trafić na oddział. Ostre światło szpitalnych jarzeniówek odbija się w lśniąącym linoleum na korytarzu. Manfred wygląda na zmęczonego, ma zaczerwienione oczy i spierzchnięte blade wargi. Ale on często tak wygląda. Przypuszczam, że życie pracującego na pełny etat pięćdziesięcioletniego ojca małych dzieci ma swoją cenę.

Hanne siedzi na brzegu łóżka. Jest w szpitalnym stroju, a na ramionach ma narzucony jak peleryna pomarańczowy koc. Włosy opadają jej na barki w mokrych kosmykach, jakby niedawno wzięła prysznic. Dłonie ma pokryte drobnymi ranami, a stopy obandażowane. Na podłodze stoi stelaż z kroplówką, a od niej biegnie przewód do ręki Hanne. Jej spojrzenie jest szklane i pozbawione wyrazu.

Manfred podchodzi bliżej i obejmuje ją nieporadnie.

– Manfred – bąka Hanne z wyraźną chrypą w głosie.

Potem podnosi na mnie wzrok, nieco przekrzywia głowę i patrzy pytająco.

Dopiero po kilku sekundach uzmysławiam sobie, że mnie nie poznaje, mimo że ponad tydzień pracowałyśmy razem.

Świadomość tego niemal ścina mnie z nóg.

– Cześć, Hanne – zwracam się do niej, delikatnie dotykając jej ramienia, jakbym się bała, że pod wpływem dotyku może rozsypać się na kawałki niczym papierowa lalka, wygląda bowiem na przeraźliwie kruchą i bezbronną. – To ja, Malin, koleżanka z pracy – wyjaśniam, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Poznajesz?

Hanne mruga powiekami i wpatruje się we mnie. Jej oczy są wodniste i zaczerwienione.

– Tak, oczywiście – odpowiada, jestem jednak pewna, że kłamie, ponieważ ma tak skupioną i napiętą twarz, jakby usiłowała rozwiązać skomplikowane równanie.

Przysuwam sobie taboret i siadam naprzeciw niej. Manfred przysiada na łóżku i otacza ją ramieniem.

Hanne wygląda przy nim na osobliwie małą i drobną, niemal jak dziecko.

Manfred odchrząka głośno.

– Pamiętasz, co stało się w lesie? – pyta.

Na jej czole pojawiają się zmarszczki.

– Nie pamiętam – odpowiada, kręcąc głową. Po chwili chowa twarz w dłoniach.

Przez chwilę mam wrażenie, że się wstydzi, jakby chciała odepchnąć od siebie całą tę sytuację.

Manfred spotyka moje spojrzenie.

– Nic nie szkodzi – mówi, ściska jej ramię, a potem kontynuuje spokojnym tonem: – Byłaś w lesie, na południe od Ormbergu, wczoraj wieczorem.

Hanne prostuje plecy i kładzie dłonie na kolanach.

– Przypominasz sobie? – wtrącam.

Kręci przecząco głową i mechanicznie skubie plaster, którym przymocowany jest wenflon. Pod połamanymi paznokciami widać czarny brud.

– Znalazła cię kobieta przejeżdżająca samochodem – mówi Manfred. – Podobno była z tobą jakaś dziewczyna. Ubrana w sweter i błyszczącą sukienkę. Pamiętasz?

– Nie, przepraszam. Bardzo mi przykro, ale...

Głos jej się załamuje, a po policzkach zaczynają płynąć łzy.

– Nic nie szkodzi – uspokaja ją Manfred. – Nic nie szkodzi, Hanne. Ustalimy, co się stało. A pamiętasz, czy Peter był z tobą w lesie?

Hanne znowu chowa twarz w dłoniach.

– Nie. Przepraszam!

Manfred wygląda na zmartwionego. Rzuca w moją stronę błagalne spojrzenie.

– A co pamiętasz jako ostatnie? – próbuję się dowiedzieć.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że nie odpowie. Jej ramiona unoszą się gwałtownie i zaraz opadają, oddech ma krótki i urywany.

– Ilulissat – mówi po chwili, wciąż z twarzą ukrytą w dłoniach.

Manfred spogląda na mnie i mówi bezgłośnie: „Grenlandia”.

Hanne i Peter przyjechali bezpośrednio z Grenlandii, aby wziąć udział w dochodzeniu. Przebywali tam dwa miesiące – była to ich podróż marzeń, którą udało im się zrealizować po intensywnej pracy nad bardzo skomplikowanym przypadkiem morderstwa.

– Okej – mówię. – A potem przyjechaliście do Ormbergu, żeby wyjaśnić sprawę szkieletu znalezionej przy kamiennym kopcu. Pamiętasz?

Hanne zdecydowanie kręci głową i szlocha.

– Nic nie pamiętasz z Ormbergu? – pyta cicho Manfred.

– Nic – odpowiada Hanne. – Zupełnie nic.

Manfred ujmuje jej chudą rękę i zaczyna się nad czymś zastanawiać. Nagle nieruchomieje, obraca dłoń Hanne grzbietem do dołu i przygląda się jej z dużym

zaciekawieniem.

W pierwszej chwili nie rozumiem, o co mu chodzi, ale potem je zauważam: na bladej skórze widnieją wypisane tuszem koślawe cyfry, tu i ówdzie przerywane drobnymi rankami. Odczytuję „363”, ale dalszy ciąg jest niewyraźny, jakby został zeszkrobany razem z brudem z lasu.

– Co to jest? – pyta Manfred. – Co znaczą te cyfry?

Hanne patrzy zdezorientowana na swoją dłoń, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała. Jakby to było jakieś dziwne zwierzę, które zakradło się do szpitalnej sali i ułożyło wygodnie na jej kolanach.

– Nie wiem – odpowiada. – Nie mam pojęcia.

Siedzimy w kuchni z lekarką. Ma na imię Maja i chyba jest w moim wieku. Jej długie jasne włosy opadają miękkimi falami na biały fartuch. Przypomina mi trochę jedną z tych dziewczyn, do których w młodości bardzo chciałam być podobna: nieduża, kształtna i przesłodka, innymi słowy: moje całkowite przeciwieństwo. Jest ubrana w dżinsy i różowy T-shirt wystający spod kitla. Na piersi ma niebieską plakietkę z napisem „Lekarz”, a z kieszonki wystaje kilka długopisów.

Kuchnia jest nieduża, wyposażona w dwie lodówki, zmywarę, okrągły stolik i cztery taborety z brzozonego drewna. Na środku stołu stoi gwiazda betlejemaska w plastikowej doniczce. Między liśćmi tkwi karteczka z napisanymi drżącą ręką podziękowaniami.

Dwie pielęgniarki wchodzą do środka, wyjmują coś z lodówki i znowu znikają bezgłośnie na korytarzu.

– Kiedy ją tu przywieziono, była mocno wychłodzona i odwodniona – zaczyna lekarka, wlewając sobie do kawy trochę mleka. – Nic dziwnego: miała na sobie tylko cienką bluzkę i spodnie, mimo że temperatura wynosiła około zera.

– I żadnej kurtki? – spytał Manfred.

Maja kręci głową.

– Ani kurtki, ani butów.

– Wspomniała może, co się stało? – próbuję się dowiedzieć.

Lekarka zbiera długie jasne włosy i wiąże je w węzeł na karku. Lekko wydyma idealnie uformowane usta, po czym wzdycha i znowu kręci głową.

– Nie pamiętała prawie nic. To jest tak zwana *anterograde amnesia*: człowiek nie przypomina sobie niczego od pewnego momentu. Początkowo sądziliśmy, że być może doznała jakiegoś urazu czaszki. Nic jednak na to nie wskazuje. Na głowie nie stwierdziliśmy żadnych obrażeń, a zdjęcie rentgenowskie też nie wykazało krwiaków wewnętrznych czy obrzęków. Ale oczywiście to jeszcze o niczym nie świadczy, ponieważ w pełni wiarygodne są tylko zdjęcia wykonane w ciągu sześciu godzin bezpośrednio po ewentualnym urazie, a przecież nie wiemy, jak długo pacjentka przebywała w lesie.

– A czy to możliwe, że przeżyła coś tak przerażającego, że to wyparła? – pytam.

Maja wzrusza ramionami i upija łyk kawy. Potem wykrzywia usta w grymasie i z rozmachem odstawia kubek.

– *Sorry!* Co za gówniana kawa. Ma pani na myśli traumę psychiczną, której konsekwencją jest utrata pamięci? Niewykluczone. Ale to nie jest moja dziedzina. Zaczynamy skłaniać się ku przypuszczeniu, że w tym przypadku mamy do czynienia z pewną formą demencji. Być może stan Hanne uległ nagłemu pogorszeniu wskutek wydarzeń, w których uczestniczyła. Jej pamięć krótkotrwała jest znacząco ograniczona, ale wszystko, co wydarzyło się przed miesiącem, pacjentka dokładnie pamięta.

– Czy nie można tego sprawdzić w jej dokumentacji medycznej? – pytam.

– Chodzi pani o wcześniejszą dokumentację medyczną? Nie możemy jej sprowadzić bez zgody pacjentki, tak mówi prawo. Co prawda Hanne wyraziła na to zgodę, ale aby wszcząć całą procedurę, musimy wiedzieć, gdzie była leczona, a tego nie pamięta.

Manfred odchrząkuje, przeciąga dłonią po brodzie i po chwili wahania mówi zniżonym głosem:

– Hanne miała problemy z pamięcią.

– Co? – pytam. – Nigdy nic nie mówiłeś.

Manfred wygląda na zakłopotanego.

– Nie sądziłem, że to coś poważnego. Peter wspomniał o tym kiedyś, ale uważałem, że była co najwyżej trochę roztargniona i chaotyczna i że to nic z tych rzeczy... Że to nie ma nic wspólnego z demencją w sensie klinicznym.

Milknie i zaczyna manipulować przy swoim drogim szwajcarskim zegarku.

Jego wyznanie wprawia mnie w zdumienie. Czy on naprawdę uważa, że Hanne wolno było brać udział w dochodzeniu w sprawie zabójstwa mimo choroby? Że osobie mającej objawy otępienia można powierzyć kwestie dotyczące życia i śmierci?

– Wciąż nie wiemy, dlaczego jej pamięć krótkotrwała jest tak zła – wtrąca dyplomatycznie Maja. – Powodem może być demencja, ale nie da się też wykluczyć, że pacjentka przeżyła jakiś rodzaj traumy, fizycznej lub psychicznej.

– Co z nią teraz będzie? – pyta Manfred.

– Nie wiem – odpowiada lekarka. – Prawdopodobnie opieka społeczna spróbuje gdzieś ją na razie umieścić, bo nasz oddział geriatryczny jest przepełniony. Zresztą nie jest na tyle chora, aby musiała przebywać w szpitalu. W każdym razie według mnie. Ma kłopoty z pamięcią krótkotrwałą, ale poza tym funkcjonuje całkiem dobrze.

– Czy może odzyskać pamięć? – pytam. – Czy to problem przejściowy?

Maja uśmiecha się smutno i lekko przekrzywiwszy głowę, kładzie obie drobne dłonie na stole i je zaciska.

– Kto wie. Zdarzały się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

# Jake

**W**drodze do domu siadam w szkolnym autobusie obok Sagi. Nikt inny nie chce z nią siedzieć, ale ja robię to chętnie.

Lubię Sagę.

Wygląda inaczej i rzeczywiście jest inna, to znaczy w środku. Jakby była z całkiem innego materiału niż wszyscy. Z twardszego i miększego jednocześnie.

– Hej – mówi do mnie i odgarnia z twarzy kosmyk różowych włosów. Kółko w jej nosie błyszczy w słabym świetle zmroku.

Za oknem widać same pola. Kilometr za kilometrem zaorane czarne pola, wciskające się w ziemię w oczekiwaniu na zimę. Tu i ówdzie jakiś zagajnik. Niedługo miniemy stację benzynową przy zjeździe na autostradę, a potem zacznie się las i im bliżej Ormbergu, tym stanie się gęstszy.

Ormberg to las. I góra Ormberget z pozostałościami po epoce kamiennej. Zwiedzaliśmy je razem ze szkołą, ale właściwie niewiele było do oglądania, parę dużych kamieni ułożonych w okręgu na jakimś występie na samym czubku. Pamiętam, że czułem się zawiedziony, bo spodziewałem się, że zobaczę kamienie runiczne albo ozdoby z brązu czy coś w tym rodzaju.

Saga chwyta mnie za nadgarstek. Jej dotyk przeszywa moje ciało prądem, palą mnie policzki.

– Pokaż – mówi i odwraca mi rękę, odsłaniając wypisane po wewnętrznej stronie dłoni słowa: „Dezyderat”, „Baza do sosu”, „Interpunkcja”.

Uzbierałem je dzisiaj na lekcji wiedzy o społeczeństwie, na zajęciach praktycznych i na szwedzkim.

– Potem sprawdzę je w Google – wyjaśniam.

– Sweet – mówi Saga i zamyka oczy, jakby o czymś marzyła.

Wtedy zauważam, że na powiekach ma błyszczące różowe cienie. Wyglądają jak ostrożnie rozprowadzone pędzelkiem po jej powiekach drobnutko pokruszone kamienie szlachetne. Mam ochotę coś powiedzieć, skomentować te cienie. Albo przeciągnąć po nich palcem.

Ale rzecz jasna tego nie robię.

Zamiast tego wstrzymuję oddech, kiedy Vincent Hahn rzuca mi się na kolana. Pomieszany zapach dymu papierosowego i miętowej gumy do żucia uderza mnie w nozdrza. Jego twarz jest tuż-tuż; widzę rzadkie kłaki jego zarostu i nastroszone wąsy. Jabłko Adama sterczy

pośrodku szyi, wygląda, jakby przed chwilą połknął całe jajko. Spojrzenie ma pełne nienawiści – nienawiści, która bierze się nie wiadomo skąd.

Nigdy nic mu nie zrobiłem, ale uwielbia mnie nienawidzić. Myślę, że to jedna z rzeczy, które kocha najbardziej na świecie.

Jestem jego ulubionym znienawidzonym człowiekiem.

– No, do kurwy nędzy, zaraz zobaczymy, co ta ciota tutaj sobie napisała! – krzyczy. – Inter... Interpunkcja. Co to, do cholery, znaczy? Tak się nazywa dymanie w tyłek?

Vincent udaje posuwanie i rechocze. Z tyłu w autobusie gdzieś rozlega się pojedynczy śmiech. Nie odzywam się, bo to najlepsza strategia. Wcześniej czy później przestanie.

Vincent puszcza mój nadgarstek i staje tuż obok; chwyta mnie za kark i powoli wali moją głową o siedzenie z przodu.

Łup. Łup. Łup.

Boli mnie czoło, a na karku skóra szczypie od jego uścisku.

Są dwa wyjścia: albo mu się sprzykrzy i wróci do swoich kumpli na tył autobusu, albo będzie jeszcze gorzej. Dużo gorzej.

– Zostaw go w spokoju, ty świrze – odzywa się Saga.

Vincent sztywnieje.

– Coś mówiłaś, dziwko?

Jego głos jest ostry i agresywny, ale uścisk na moim karku słabnie i walenie głową o siedzenie ustaje.

– Powiedziałam, żebyś zostawił go w spokoju. Masz coś ze słuchem? To potwornie kiepskie, żeby wyżywać się na kimś słabszym.

Vincent cofa rękę z mojego karku, a ja, z pochyloną głową, zerkam na Sagę. Oboje dobrze wiemy, że świadomie mnie dyskredytuje, byle tylko się odczepił.

Nie mam z tym problemu.

Przywykłem do tego, że sam się dyskredytuję. Robię się tak mały, nieciekawym i uległym, że wyśmiewanie się, bicie czy wyżywanie się na mnie przestaje być fajne.

Jestem w tym chorobliwie dobry.

Po kilku sekundach Vincent traci zainteresowanie i wraca na swoje miejsce. Skóra na karku piecze mnie, jakby ktoś przypalił ją ogniem.

– Olej go – mówi Saga. – Jest totalnie pojebany. Wszystko okej?

Pocieram dłonią skórę na karku, próbuję rozmasować ból.

Saga otwiera szeroko oczy i pochyla się w moją stronę.

– Następnym razem, kiedy zrobi coś takiego, wyobraź go sobie, jak siedzi w klopie i wali kupę.

– Co?

Saga chichocze i wygląda na zadowoloną z siebie.

– Moja mama zawsze tak mówi. Że jak ktoś jest upierdliwy w pracy albo ma się za cholernego waźniaka, wtedy trzeba wyobrazić sobie kogoś takiego, jak sra. Bo wtedy człowiek od razu przestaje się bać.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Masz rację – mówię potem. – To faktycznie działa.

Saga uśmiecha się i ściskanie w żołądku powraca.

– Widzimy się wieczorem? – rzuca. – Ściągnęłam parę nowych horrorów.

– Może – odpowiadam. – Najpierw muszę coś zrobić.

Kiedy idę do domu, naokoło panuje cisza. Słyszeć jedynie odgłosy lasu: słaby szum drzew, drobne trzaski i poskrzypywanie konarów oraz pohukiwanie zwierząt czyhających w ciemności. Powietrze jest ciężkie od zapachów: świerków, gnijących liści i wilgotnego węgla na grillu przed domem.

Stare granatowe volvo taty stoi zaparkowane krzywo na podjeździe, jakby bardzo się spieszył, kiedy przyjechał.

Otwieram drzwi do domu i wchodzę do środka. Ciskam szkolny plecak pod wieszak i zaczynam się rozbierać.

Z dużego pokoju pada migoczące światło: telewizor jest włączony, ale bez dźwięku. Tata leży na kanapie i śpi. Głośno chrapie, a jego jedna noga opiera się na podłodze, jakby zasnął dokładnie w momencie, kiedy już miał wstać. Na ławie stoi kilka pustych puszek po piwie.

Ostrożnie unoszę mu nogę i kładę ją na kanapie, a potem nakrywam go starym kocem w kratkę. Mamrocze coś pod nosem i zmienia pozycję – przekręca się na bok, twarzą do oparcia.

Wyłączam telewizor i wychodzę do przedpokoju. Idę na palcach po schodach na górę i delikatnie zamykam za sobą drzwi swojego pokoju. Potem unoszę materac na łóżku i wyjmuję brązową książkę. Siadam na podłodze, opierając się plecami o łóżko.

Wiem, kim ona jest – ta kobieta, którą spotkałem w lesie, o imieniu Hanne. Przeczytałem o niej w internetowym wydaniu lokalnej gazety. Pisano, że kiedy została znaleziona przez przypadkowego kierowcę samochodu, „nic nie pamiętała” i że towarzyszyła jej „młoda kobieta”. Policja poszukuje kontaktu z tą młodą kobietą, dodano. Zamieszczono nawet numer telefonu, pod który można zadzwonić. „Każda informacja może okazać się bezcenna”, stwierdzono na koniec, poinformowano też, że kolega znalezionej kobiety, policjant ze Sztokholmu o imieniu Peter, nadal jest zaginiony. Podano rysopis Petera i uzupełniono, że „przed zniknięciem był ubrany we flanelową koszulę w czerwono-białą kratę i niebieską pikowaną kurtkę marki Sail Racing”.

Kiedy to przeczytałem, zastanawiałem się nawet, czy nie zadzwonić pod ten numer. Ale gdybym to zrobił, od razu by zrozumieli, że to ja tam stałem, ubrany w stanik, sukienkę i szpilki. Czyli to wykluczone. Niemożliwe, po prostu, kurczę, niemożliwe. Przeszło mi też



przez głowę, żeby zanieść na policję ten dziennik, ale posterunek policji jest w Vingåker i jest otwarty tylko jeden dzień w tygodniu.

Poza tym: jak miałbym wyjaśnić, skąd go mam?

Mnóstwo o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli przejrzę te koślawe notatki i sprawdzę, czy nie ma w nich czegoś ważnego, czegoś, co mogłoby pomóc temu zaginionemu policjantowi.

I właśnie dokładnie to robię. Otwieram zeszyt, którego kartki pofałdowały się od wilgoci. Na pierwszej stronie jest tytuł *Dziennik*, napisany staroświeckimi, pochylonymi literami. A tuż pod nim: „Czytać rano + wieczorem”.

Dziwne.

Po co pisać, żeby czytać dziennik rano i wieczorem, jakby to było jakieś lekarstwo na receptę? Oprócz tego: jedyną osobą, która czyta dziennik, jest chyba prawie zawsze ten, kto go pisze.

Czyli Hanne adresowała to do siebie?

„Czytać rano + wieczorem”.

To jakieś porąbane.

Przewracam kilka pustych kartek i dochodzę do czegoś w rodzaju długiej alfabetycznej listy. Zajmuje dwie całe strony. Po każdym wyrazie albo nazwisku następują cyfry.

Przesuwam palcem po tekście, zatrzymuję się przy literze M i czytam:

M

Malin Brundin, policjantka: 5, 6, 8, 12, 20

Modus: 12, 23, 25

Metalowa płytką, w szkielecie: 12, 23

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to coś w rodzaju spisu treści z numerami stron.

Przechodzę do kolejnej części, i do jeszcze jednej. W prawym dolnym rogu każdej strony Hanne umieściła jej numer.

Tylko po co?

Przecież to dziennik, pamiętnik, a nie żadna pieprzona książka kucharska.

Nie przychodzi mi do głowy żadne sensowne wyjaśnienie, daruję więc sobie resztę spisu treści i zaczynam czytać.

Ilulissat, 19 listopada

Jestem dokładnie w tym miejscu, w którym zawsze chciałam być. I jestem tutaj z mężczyzną, którego kocham.

Dziś rano dostałam śniadanie do łóżka od P. Poszedł do wsi i kupił tutejszy chleb z ziarnami na wierzchu, który bardzo lubię. To niby żadna wielka rzecz, iść do sklepu

i kupić chleb. Ale sam wyraz troski przepelił mnie ciepłem.

Długo leżeliśmy w łóżku. Kochaliśmy się. Czytaliśmy gazety. Zamówiliśmy więcej kawy do pokoju.

Potem: długi spacer i lunch w słońcu, zanim około drugiej zaczęło zmierzchać.

Pogoda wciąż jest ładna, ale zrobiło się już znacznie zimniej niż jeszcze parę tygodni temu. Dni są krótkie, trwają ze trzy godziny.

Za dziesięć dni będzie ciemno przez całą okrągłą dobę. Dopiero w styczniu znowu wróci słońce.

P uważa, że to *creepy*, ale ja bardzo chciałabym tutaj zostać.

Niczego mi tu nie brakuje! Po raz pierwszy w życiu wszystko wydaje mi się idealne. Chociaż z pamięcią u mnie coraz gorzej i gorzej, nic nie jest w stanie przebić mojej grenlandzkiej bańki szczęścia.

No cóż, czyli jednak można być tutaj szczęśliwym.

Ale tylko na krótką chwilę, podejrzewam.

Ilulissat, 20 listopada

Ostatni dzień na Grenlandii.

Promienna pogoda, kiedy słońce zdołało się już wzbić wyżej. Woda jak lustro. Góry lodowe podskakują w zatoce, niektóre gigantyczne, te bliższe – długie na kilometr. Inne małe, jak waciki kosmetyczne na powierzchni. Kolory: od najbielszej bieli do umiarkowanego turkus.

Będzie mi brakować gór lodowych. Ich i starej osady, Sermermiut. Dziś znowu ją zwiedziliśmy.

Położyłam dłonie na skałach, których w ciągu milionów lat nie zdołał wygładzić lodowiec, i próbowałam sobie wyobrazić dawne życie w dolinie: jak niezliczone pokolenia Inuitów żyły tutaj, nie pozostawiający po sobie śladu – w przeciwieństwie do nas, nowoczesnych ludzi, którzy gdziekolwiek się pojawimy, pozostawiamy spustoszenie na ziemi.

Jutro wracamy do Szwecji.

Kocham to miejsce i gdybym mogła wybierać, zostałabym tutaj. Przetrwałabym długą, ciemną zimę w blasku otwartego kominka.

Ale nie mogę wybierać.

Musimy do domu. Wakacje się skończyły, dwa tygodnie wcześniej, niż planowaliśmy. Mamy pracować nad jakimś *cold case* w małej sörmlandzkiej wiosce o nazwie Ormberg. Osiem lat temu znaleziono w niej szkielet pięcioletniej dziewczynki. Śledztwo zostało wznowione. Jedziemy tam zaraz po powrocie.

Życie: zawsze jest jakieś miejsce, do którego trzeba jechać, zawsze jest ktoś, kto

potrzebuje drugiego.

W tym przypadku: martwa dziewczynka na kamiennym kopcu.

Podnoszę wzrok znad koślawych notatek i zaczynam się zastanawiać. Hanne pisze o dziewczynce znalezionej na kopcu przed ośmioma laty. Miałem wtedy dopiero sześć lat, dlatego nie pamiętam dobrze, co się stało, ale tata opowiadał, jak Malin i jej kumple wybrali się na kopiec, żeby pochillować i wypatrzeć upiorka, ale akurat nasikali na trupią główkę.

Próbuję sobie wyobrazić, jakie to mogło być uczucie – stać tam w samym środku nocy, w blasku księżyca i nagle odkryć umarlaka – ale mi się nie udaje. To zbyt porąbane. Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach albo gdzieś indziej, na przykład w Sztokholmie.

Ale nie w Ormbergu.

Czytam dalej.

Nie miałam ochoty wyjeżdżać z Grenlandii wcześniej, niż planowaliśmy.

Kłóciliśmy się o to. Właściwie to ja się kłóciłam, a P się dąsał.

Spytałam, czy tamta martwa dziewczynka potrzebuje go bardziej niż ja.

Powiedział, że jestem okropnie dziecinna jak na swoje sześćdziesiąt lat. Że spodziewał się po mnie większego zrozumienia.

Wiek, no tak.

P mówi, że jestem piękna. Ale ja nie widzę nic ładnego w zmarszczkach i w obwisłym ciele. Z drugiej strony: są gorsze rzeczy niż degradacja ciała.

Na przykład pamięć.

Z każdym dniem jest gorzej i gorzej. Może powinnam zadzwonić do lekarza ze specjalistycznej przychodni, ale nie chcę. Przecież i tak nic nie da się zrobić. Biorę wszystkie możliwe lekarstwa hamujące proces. Nie ma innej pomocy.

Wczoraj wieczorem siedziałam na łóżku i usiłowałam sobie przypomnieć, co robiliśmy w ciągu dnia. Nic z tego! Zupełnie jakby wszystkie minione godziny zostały wytarte z pamięci, usunięte jakimś silnym rozpuszczalnikiem.

Ale lekarze mówią, że mam „zadziwiająco dobrze zachowane zdolności poznawcze”.

Mała pociecha, ale zawsze coś.

Jestem POZNAWCZO SPRAWNA, mimo zmarszczek, siwych włosów i demencji.

Nie jest to raczej coś, co można by napisać w ogłoszeniu na portalu randkowym: „Poznawczo sprawna sześćdziesięciolatka pozna wysportowanego pana do towarzystwa podczas miłych wieczorów przy kominku i długich spacerów po lesie”.

Wczoraj: P oczywiście zauważył, że coś jest nie tak, ale nie powiedziałam mu, kiedy o to spytał. Jest ostatnią osobą, której przyznam się do tego z własnej woli – z całkiem egoistycznej przyczyny. Nie chcę z niego zrezygnować, z mężczyzny, którego kocham, z ciała, którego pożądam.

Chociaż wiem, jak to się skończy. Ze mną będzie coraz gorzej. P nie będzie umiał albo nie będzie chciał być ze mną.

Wtedy będę musiała zrezygnować.

Nie, P nie może się dowiedzieć.

Keflavík, Islandia, 21 listopada

Na lotnisku. Czekamy na samolot do Sztokholmu. Wcześniej rano wylecieliśmy z Ilulissat do Nuuk, a stamtąd na Islandię.

P jest zadowolony, pełen oczekiwań. Zawsze tak z nim jest, kiedy pojawia się nowe, ekscytujące śledztwo w sprawie morderstwa. Swoją drogą to osobliwe, że czyjaś śmierć, śmierć współbliźniego może wywoływać takie podniecenie!

Jeśli mam być szczerą, podejrzewam, że kiedy przyszło zapytanie o śledztwo, według P byliśmy na Grenlandii już wystarczająco długo. Bo sama sprawa nie jest przecież jakaś specjalnie podniecająca. Jest nie tylko zimna, ale wręcz lodowato zimna, jak pokryte śniegiem grenlandzkie lodowce.

Ale to był dobry pretekst, żeby uniknąć dwóch ostatnich tygodni naszego zaplanowanego pobytu.

W gruncie rzeczy nie mam z tym większego problemu. Może zobaczenie Ormbergu okaże się interesującym urozmaicheniem.

P przegląda w laptopie protokół dochodzenia wstępnego. Ja jem czekoladę. Patrzę na podróźnych. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek będę siedziała przy wyjściu do samolotu po nadaniu bagażu i odprawieniu się w jakieś odległe miejsce.

Muszę kończyć. Zaczynają wpuszczać na pokład.

Noc.

Lot z Islandii był burzliwy. Stewardesa rozlała P kawę na kolana. Strasznie go przeproszała i próbowała wytrzeć mu spodnie. P tylko się uśmiechał, zapewniając, że nic się nie stało.

W tym momencie...

Zobaczyłam, jak na nią łąpał. Jego spojrzenie wędrowało po jej ciele, jakby to była jakaś obca ziemia. Nowy, fascynujący kontynent, na który zamierzał wyemigrować.

Miałam ochotę krzyknąć do niego: „Przecież siedzę obok – popatrz na mnie! Może nie jestem taka młoda i ładna, ale wciąż POZNAWCZO SPRAWNA!”.

Oczywiście nic nie powiedziałam. Niech sobie myśli, że jestem nie tylko otepiała, ale i głupia.

Jutro jedziemy do Ormbergu.

P i Manfred powiedzieli, że mogę wesprzeć ich w dochodzeniu. Nie sądzę, żeby

rzeczywiście potrzebowali pomocy. Przypuszczam, że to tylko uprzejmość z ich strony. (Ale rzeczywiście chętnie spotkam się z Manfredem).

Tak czy inaczej, myślę, że P chce mieć na mnie oko i dlatego woli, żebym była w pobliżu.

Niewątpliwie mnie kocha, ale chyba mi nie ufa.

Nie mogę mieć mu tego za złe.

Bo sama już sobie nie ufam.

Ormberg, 22 listopada

Ormberg jest bardzo mały. Trudno go nazwać nawet osadą. Dwie żwirowe drogi przecinające się pośrodku niczego. Kilka zrujnowanych domów. Największy – piętrowy, otynkowany na żółtobrazowo – był kiedyś sklepem.

Manfred urządził w nim prowizoryczne biuro. Nazwał go Chateau Ormberg. Dobry żart, bo „zamek” to ostatnie określenie, jakie mogłoby się skojarzyć z tym budynkiem. Obok: dawny urząd pocztowy. Oczywiście dzisiaj poczty już nie ma, jej miejsce zajęła najpierw internetowa firma handlowa sprzedająca w sieci ubrania i legowiska dla psów, a w końcu zamienił się w budynek mieszkalny. Drzwi i okna zabite deskami, fasada wysmarowana graffiti.

Dookoła budynków: pola porośnięte wysoką trawą i chaszczami.

Kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie zarośniętego pola: kościół. Już nieużywany. Ewidentnie wymagający remontu. Odpada z niego tynk.

Za kościołem: las, las i jeszcze raz las. Tu i ówdzie nieduże urokliwe czerwone domki letnie – większość położona nad rzeką i niedaleko kościoła.

W Ormbergu i okolicy jest około stu stałych mieszkańców. Jest to więc mała wieś, nawet w porównaniu z wieloma innymi wyludnionymi miejscowościami.

Manfred przedstawił nas Malin Brundin – świeżo upieczonej policjantce, na co dzień pracującej w Katrineholmie. Malin pochodzi z Ormbergu. Zna tu każdą „dziurę” i orientuje się w okolicznych lasach.

Ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, długie ciemnobrązowe włosy. Jest chuda, wysportowana i ładna na trochę oczywisty sposób, właściwy młodym dziewczynom, które nawet się o to nie starają i nie zdają sobie z sprawy z własnej urody.

Dopóki nie dopadną ich życie i upływ czasu.

Malin zbriefowała nas szybko. Wyjęła mapę, pokazała miejsce, gdzie 20 października 2009 roku znaleziono ciało.

Malin, wówczas piętnastolatka, była jedną z trojga nastolatków, którzy dokonali tego odkrycia.

Osobliwy zbieg okoliczności, ale jak powiedziała Malin: Ormberg jest tak mały, że

takie nieprawdopodobne zbiegi okoliczności z naturalnej przyczyny są tu prawdopodobne.

Spojrzelismy na zdjęcie szkieletu. Na czaszce wciąż były widoczne długie pasma włosów.

Śmierć nastąpiła prawdopodobnie wskutek brutalnej przemocy.

Malin pokazała więcej zdjęć: zbliżenia pękniętej czaszki, odpryski kości potylicznej ułożone obok linijki. Kilka zębów znalezionych obok. Połamane małe żebra przypominające wyblakłe patyczki wyrzucone na pustą plażę.

Śmierć rzadko jest ładna, ale na widok martwych dzieci dostaję zawrotów głowy i robi mi się niedobrze. Musiałam chwycić się stołu, żeby się nie zachwiać.

Dzieci nie powinny padać ofiarami czegoś takiego. Dzieci powinny się bawić, bić się ze sobą i być utrapieniem. I wyrosnąć na całkiem normalnych ludzi, mających potem własne dzieci, które się bawią, biją się ze sobą i są utrapieniem.

W żadnym razie nie powinny umierać.

Zdaje się, że P też był poruszony, ale nie aż tak wstrząśnięty jak ja. Przywykł – przez ponad dwadzieścia lat pracy jako śledczy widział już niejedno. Oprócz tego jest mężczyzną. (Może jestem heteronormatywna, lecz uważam, że mężczyźni są inni).

Dziewczynki nigdy nie zidentyfikowano, mimo ustalenia DNA na podstawie materiału z kości udowej i mimo że trąbiły o tym wszystkie gazety i kanały telewizyjne. Media szybko ochrzciły ją „dziewczynką z Ormbergu”.

To czyni tę historię jeszcze smutniejszą: dziecko umiera i nikt go nie oplakuje ani nie szuka.

Potem dołączył do nas jeszcze jeden kolega – Andreas Borg, całkiem szykowny trzydziestolatek. Reprezentuje w zespole dochodzeniowym lokalną policję, na co dzień pracuje w Örebro.

Zauważyłam reakcję Malin. Znieruchomiła na widok Andreasa. Nie potrafiłam stwierdzić, czy się jej spodobał, czy wręcz przeciwnie, czy po prostu tak zareagowała na jego spóźnienie, ale w pomieszczeniu, w którym byliśmy, energia uległa zakłóceniu.

Nie sądzę, aby P to dostrzegł. (Tak, moim zdaniem to dlatego, że jest mężczyzną).

Musieliśmy skończyć. Pora na lunch.

Zamykam oczy i myślę o kopcu, wyobrażam sobie jego kontury w świetle księżyca i świerki stojące wokół niego. Niemal czuję wysokie paprocie łaskoczące mnie w łydki i miękki mech pod podeszwami.

„Dziewczynka z Ormbergu”.

Ludzie w okolicy wciąż mówią o niej, w taki sam sposób, jak mówią o wszystkim innym, co już nie istnieje, jak młyn, Triåkungen i Brogrens Mekaniska.

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale wiele rozmów prowadzonych

w Ormbergu dotyczy przeszłości.

Dzwonek telefonu przerywa mi rozmyślenia.

To Saga.

Spoglądam na wnętrze dłoni.

„Poznawczo sprawna”.

„Inuita”.

„Heteronormatywna”.

Muszę sprawdzić to później w Google.

# Malin

Jest poniedziałek czwarty grudnia i nikt nie widział Petera od poprzedniego piątku. Przypominam sobie zmieszana minę Hanne, kiedy razem z Manfredem odwiedziliśmy ją wczoraj; drobne rany pokrywające jej dłonie i stopy.

Co też mogło zdarzyć się w lesie?

Zaczął padać śnieg. Duże płatki śniegu, wirując, sypały się z ciemniejącego nieba i cicho układały na krzewach jagód i mchu.

Jestem przy leżącym nad rzeką starym młynie, zaledwie kilkaset metrów na północ od kopca, kawałek od tego miejsca, gdzie Hanne pojawiła się w poprzednią sobotę; ponieważ jednak Petera ciągle nie znaleziono, poszerzono krąg poszukiwań. Policja, straż obywatelska i ochotnicy metodycznie przeczesują okoliczne lasy.

To trudne zadanie: teren jest rozległy i trudno dostępny, usiany powyrywaniem przez piątkową wichurę drzewami i połamanymi gałęziami.

Dochodzenie w sprawie zaginionego prowadzi lokalna policja, ale jesteśmy w bliskim kontakcie. Częściowo dlatego, że Peter to nasz kolega i jako ostatni widzieliśmy jego i Hanne przed zniknięciem, lecz również z tego powodu, że może ono mieć związek z naszym śledztwem. Nie da się tego wykluczyć.

Kierujący zespołem dochodzeniowym Svante jest po pięćdziesiątce i pochodzi z Örebro. Zdaje się, że normalnie pracuje razem z Andreasem.

Svante przypomina wypisz wymaluj Świętego Mikołaja – ma siwe włosy i długą, potężną brodę. Nosi robioną na drutach wełnianą czapkę i o kilka rozmiarów za dużą puchową kurtkę, która przypomina mi tatę.

– No więc – odzywam się. – Nic?

– Nic – odpowiada Svante i naciąga kolorową czapkę głębiej na uszy. – Przeszukaliśmy las i niepozamykane domy. Ale coraz trudniej natrafić na cokolwiek, nawet psom. Minęły trzy doby i całe tabuny ludzi zdeptały teren.

Od przyjazdu Hanne i Petera do Ormbergu upłynęły już prawie dwa tygodnie. Mimo że pracowaliśmy ze sobą tylko tydzień, bo potem oboje zniknęli w lesie, mam wrażenie, jakbym znała ich znacznie dłużej. A chociaż Petera nie ma już od trzech dni, wydaje mi się, że przepadł wczoraj.

Zupełnie jakby sama czasoprzestrzeń uległa zagięciu w proteście przeciwko temu, co się stało.

Oprowadzam Svantego po zrujnowanej fabryce, pokazuję budynek za budynkiem: wielki



piec, piec do kalcynacji, kuźnię.

Ceglane budynki są w zadziwiająco dobrym stanie, mimo że większość okien ziele czarną pustką i zdradza, że fabryka stoi od dawna opuszczona. Z drewnianego magazynu na węgiel pozostała natomiast tylko kupa desek.

Omijamy kilka przewróconych dużych świerków i podchodzimy do starego pieca do kalcynacji, który znajduje się w ładnym ośmiobocznym domu z wysokim murowanym kominem.

Tuż obok płynie cicho rzeka. Blask latarek przemyka po powierzchni wody niosącej powoli pojedyncze liście.

– Dlaczego przerwaliście poszukiwania z helikoptera? – pytam, ścierając sobie z nosa płatek śniegu.

– Wczoraj sprawdziliśmy cały teren kamerą termowizyjną – odpowiada Svante i spogląda w niebo. – Gówno to dało. Na zalesionym obszarze z góry nie widać za dużo. Najlepiej przeczesać go na piechotę.

Nie bez ociągania zadaję wreszcie pytanie, które nie daje mi spokoju, odkąd tu przyjechałam poprzedniego popołudnia.

– Czy można przeżyć trzy noce na takim zimnie?

Svante przystaje, patrzy mi w oczy i wzrusza ramionami.

– Pod gołym niebem, bez śpiwora i namiotu? Raczej wątpliwe. Ale przecież nie wiadomo, czy jest w lesie. – Powiedziawszy to, robi duży krok i omija kilka kamieni na brzegu. – Trzeba uważać, łatwo tu wpaść do wody – dodaje, wskazując głową na rzekę.

Mogłabym tu chodzić z zawiązanymi oczami. Kiedy byłam nastolatką, latem bez przerwy się tutaj kręciliśmy. Kapaliśmy się w rzece, popijaliśmy piwo i grillowaliśmy. Migdaliliśmy się i palili papierosy. Testowaliśmy naszą świeżo zdobytą wolność i rozsmakowywaliśmy się w dorosłym życiu, jakby to był stół, który miał sięgać nieskończenie daleko w przyszłość.

Teraz wszyscy znaleźli sobie pracę gdzie indziej i się stąd wyprowadzili.

Wszyscy oprócz Kenny'ego.

Zatrzymujemy się obok muru z czarnych kamieni. Przesuwam po nim dłonią, zgarniam z niego trochę śniegu.

– Mój pradziadek pracował tutaj od szesnastego roku życia aż do zamknięcia fabryki w latach trzydziestych – mówię. – To on zbudował ten mur.

Próbuję sobie wyobrazić, jak tutaj wyglądało na początku wieku, kiedy wszystko działało jeszcze pełną parą. To miejsce musiało wtedy tętnić życiem i być wspaniałe – teraz jest kompletnie martwe, podupadłe i zarośnięte zielskiem i mchem.

– Dziwne kamienie.

– To cegła żuźlowa – wyjaśniam, wskazując na mur. – Produkt uboczny procesu wytwarzania żelaza.

– A skąd pochodziła ruda? – pyta Svante.

Patrząc wciąż na mur i nie odrywając dłoni od czarnych kamieni, odpowiadam:

– W większości z okolicy. Ale także z Utö ze sztokholmskich szkierów.

– To dlaczego zamknięto zakład?

– Przypuszczam, że z powodu koniunktury. Widocznie produkcja żelaza przestała się opłacać. Podobnie jak stało się z przemysłem tekstylnym i z Brogrens Mekaniska. Miejsca pracy zniknęły, a my zostaliśmy.

– I wszyscy, którzy tam pracowali?

– Z tego co wiem, było ciężko. Moi dziadkowie byli w czasie kryzysu dziećmi, opowiadane przez nich historie... Aż trudno w nie uwierzyć. Przez długie lata żywili się skórkami od chleba i rybami z rzeki. Ormberg nigdy nie był okolicą rolniczą, dlatego po zamknięciu zakładu i tartaku brakowało pracy. Nic dziwnego, że większość się stąd wyniosła. Ale rodziny moich dziadków nie chciały opuścić swojej ziemi. To jedyne, co mieli na świecie.

– No tak, tak – bąka Svante, wyraźnie chcąc już iść dalej.

– Wszyscy wyjeżdżają z Ormbergu, a nikt się tu nie sprowadza.

Svante odwraca się i patrzy na mnie. Ociera sobie nos palcem rękawiczki.

– A uchoǳcy? – wtrąca. – Nowo przybyli. Może ǳięki nim Ormberg znowu rozkwitnie?

– Chyba żartujesz? Masa Arabów w środku lasu. Niech to diabli wezmą! Przecież oni nic nie wiedzą o życiu tutaj.

– Ale przecież dostają pomoc? – nie ustępuje Svante. – Pomaga im się w nauce języka, znalezieniu pracy i tak dalej.

Nie odpowiadam mu, bo ma rację. Ci ludzie dostają wielkie wsparcie. Wsparcie, jakiego nigdy nie doczekali się mieszkańcy Ormbergu, mimo że zamykano zakłady produkcyjne i wieś powoli umierała.

Mimo że urodziliśmy się tutaj, nie udzielono nam żadnej pomocy, kiedy jej naprawdę potrzebowaliśmy.

Nie należy jednak mówić takich rzeczy głośno. Zwłaszcza kiedy jest się policjantem i reprezentuje się to dobre, sprawiedliwe społeczeństwo.

Po rozstaniu z szefem grupy dochodzeniowej idę kawałek przez las do samochodu. Zrobiło się już ciemno. Czuję, jak narasta we mnie niepokój. Chociaż zdawałam sobie sprawę, że akcja poszukiwawcza będzie skomplikowana, spodziewałam się jednak, że na coś natrafimy. Na cokolwiek – rękawiczkę, stary paragon czy pojemnik po snusie – co by potwierdziło, że Peter i Hanne tutaj byli.

Tymczasem widzieliśmy jedynie las, nic, tylko las. Ciemne, śliskie zbocza i rzekę, która cicho wiała się między drzewami.

Tuż przed dotarciem do samochodu słyszę za sobą jakiś odgłos. Jakby pękającej gałęzi.

Odwracam się, wyjmuję latarkę i włączam ją. Świecę między drzewa. Widzę jedynie

potężne świerki i cienie igrające w poszyciu w miejscach, gdzie pada stożek światła.

Przyspieszam kroku i idę dalej w kierunku szosy.

Śnieg pada coraz mocniej.

Ogromne płatki wirują między gałęziami, tańczą w blasku przede mną. Przebiega mi przez myśl, że poczucie bezpieczeństwa, jakie daje latarka, jest zwodnicze, ponieważ poza ściśle odgraniczonym snopem jasności zalega nieprzenikniona ciemność, a jednocześnie mnie widać z daleka jak latarnię morską.

Las się przerzedza, aby ustąpić miejsca drodze, i wtedy znowu coś słyszę. Coś w rodzaju szurania, jakby ktoś włókł jakiś ciężki przedmiot po kamieniach.

Odwracam się gwałtownie, kierując latarkę w tamtą stronę, nic jednak nie widzę, ponieważ padający śnieg odbija światło. Wyłączam latarkę, mrugam nerwowo, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

Powoli zaczynają się z niej wyłaniać zarysy drzew.

Dziwne: nie widać żadnego zwierzęcia, nikogo, kto by mnie śledził, żadnego z moich kolegów, który by zabłądził między fabryką a szosą.

Mimo to jestem pewna, że ktoś tam jest.

Ktoś albo coś.

– Halo! – wołam. – Jest tam kto?

Nikt nie odpowiada. Słyszę jedynie własny oddech.

Gdy zamierzam ruszyć dalej, za moimi plecami słychać kroki. Kroki i coś jeszcze – to brzmi prawie jak śmiech. Kroki są coraz bliżej i w następnej chwili dobiega do moich uszu głośnie sapanie.

Ogromna czarna postać wyłania się jakieś dziesięć metrów ode mnie.

Mężczyzna. Przedziera się niezdarnie i powoli przez las.

Tuż za nim biegną trzy mniejsze postacie, chyba dzieci. Pierwsze z nich ma czerwoną czapkę na głowie i trzyma w ręce coś, co wygląda na długi kij.

Mężczyzna potyka się i pada w śnieg. Uderzywszy ciałem o ziemię, pojękuje.

Chłopiec z patykiem wrzeszczy:

– Mamy go!

Pozostali dwaj chłopcy doganiają ich i stają nad mężczyzną leżącym w śniegu. Po chwili ten w czerwonej czapce uderza kijem wielkie ciało na ziemi. Wali i wali, aż w końcu bezkształtny tłumok w śniegu zaczyna pojękiwać.

Gdy poznaję, kim jest mężczyzna na ziemi, czuję wzbierającą we mnie falę zimna.

To Magnus.

Magnus Moszna.

Tak jest nazywany. Kiedy był dzieckiem, ktoś musiał kopnąć go w krocze i jego worek mosznowy nabrzmiał do wielkości piłki futbolowej. Konieczna była operacja i ściągnięcie masy krwi. Wtedy wszyscy zaczęli mówić na niego Magnus Moszna. I tak już zostało. Bo

jeśli we wsi przyłgnie do kogoś jakieś przezwisko, niełatwo się go potem pozbyć.

Magnus to mój kuzyn, ponadto także tak zwany wioskowy idiota.

Chociaż według mnie wcale nie jest opóźniony w rozwoju, ma raczej problemy natury społecznej. Niewątpliwie jest nietypowy, nigdy jednak nie potrafiłam precyzyjnie określić, na czym polega jego odmienność. Przez całe życie wzbudzał we mnie silny instynkt opiekuńczy, a nawet swego rodzaju nieporadną czułość, mimo że jest ode mnie o dwadzieścia lat starszy.

Może trudno się temu dziwić, bo dokuczanie mu i terroryzowanie go stało się sportem dla gówniarzy z Ormbergu. Rzucali w niego kamieniami, wkładali petardy do jego skrzynki pocztowej i rozwijali drut na schodach do jego domku.

Czasami Margareta – moja ciotka, a mama Magnusa – łapała niektórych z tych wyrostków i dawała im porządną nauczkę albo dzwoniła do ich rodziców, grożąc, wymyślając i złorzecząc im, jak to miała w zwyczaju. Co nawet działało. Przynajmniej przez chwilę. Chłopcy wracali i przepraszały z zawstydzonym spojrzeniem i zaczerwienionymi policzkami.

Ale po kilku tygodniach wszystko zaczynało się od nowa.

I to jest właśnie jedna z rzeczy, które odpychają mnie od Ormbergu – świadomość, że tutaj nie ma dokąd uciec przed takimi draniami, nie ma się gdzie ukryć.

W małej miejscowości zawsze jest się nagim przed innymi.

I przed sobą.

Podbiegam do Magnusa i jego prześladowców.

– Co wy wyprawiacie? – krzyczę.

– Co, kurwa! – ciska chłopak w czerwonej czapce, po czym rzuca gałąź w śnieg i zaczyna biec w kierunku drogi.

W sekundę później puszczają się za nim pędem także dwaj pozostali.

– ...my tylko żartowaliśmy – słyszę od jednego z nich, gdy znikają między drzewami.

Waham się, ale w końcu postanawiam zostać przy Magnusie. Przykucam i ostrożnie dotykam jego ramion.

– Magnus, to ja, Malin. Wszystko w porządku?

Magnus szlocha głośno. Ciężkie ciało unosi się i opada, ale z jego ust nie padają żadne słowa.

– W porządku? – pytam znowu i głaszczę go po plecach.

– Neeee – kwili. A po chwili: – Nie mów nic mamie. Proszę!

Obiecuję, że nie powiem, i pomagam mu wstać. Otrzeputuję mu kurtkę ze śniegu i go przytulam.

Magnus opuszcza głowę i łąka mi w ramię – sto kilo żywej wagi, czterdziestopięcioletni mężczyzna został dopadnięty i pobity przez garstkę szczeniaków z szóstej klasy.

Zostawiam Magnusa przy jego samochodzie i od razu się uspokajam. Wściekłość opada,

ustępując opanowaniu, a ono dopuszcza do głosu racjonalną część umysłu, tę, która rozważa i analizuje. I mówi, że nie powinno się spuszczać łomotu wyrostkom w lesie, zwłaszcza jeśli jest się policjantem.

Pewnie przez przypadek natknęli się na Magnusa przy fabryce – pół wsi zeszło się tam za ekipą poszukiwawczą – a potem zaczęli go ścigać przez las.

Magnus doskonale wiedział, kim byli, ale nie chciał podać mi ich nazwisk.

Prawdopodobnie czuł się zbyt zawstydzony.

W połowie drogi między fabryką a centrum wsi przystaję, zawsze to robię w tym miejscu. Czasami też zatrzymuję się tutaj, jadąc samochodem i wysiadam z niego, aby przycupnąć na chwilę obok rowu.

Ale nie dzisiaj – spieszę się z powrotem do biura, poza tym jest mi dziwnie nieswojo.

Patrzę przez szybę na ciemny las i robię głęboki wdech.

To tutaj wydarzyła się historia z Kennym.

Opuszczam powieki i przez chwilę siedzę nieruchomo; nie wyłączam silnika. W końcu prostuję się i ruszam dalej.

Akurat skręcam do wsi, kiedy dzwoni mama. Ma parę pytań w związku ze ślubem. Albo raczej propozycji rozwiązań, które nie obciążąby zanadto jej budżetu.

Mama zawsze się boi zbyt dużych kosztów i chociaż powtarzałam jej ze sto razy, że nie musi wydawać na mój ślub ani korony, i tak słyszę niepokój w jej głosie.

– Nie martw się o pieniądze – przerywam jej. – To moja sprawa. Najważniejsze, żeby wszystko się udało.

W słuchawce zapada cisza, a ja widzę oczami wyobraźni, jak siada na kanapie i chowa głowę w dłoniach. Mama nie potrafi zrozumieć, dlaczego mój ślub jest taki ważny. Pewnie kiedyś wyglądało to inaczej. Wyjście za mąż nie było taką wielką sprawą. Po prostu się wychodziło, bo tak się robiło, i już albo ponieważ spodziewało się dziecka.

Gdyby to zależało ode mnie, nie brałabym ślubu w Ormbergu, poświęciłabym bowiem niemal pół życia na to, żeby spróbować się stamtąd wyrwać. Ale złamałabym mamie serce, a tego oczywiście nie chciałam. Oprócz tego latem jest tu oszałamiająco pięknie, ceremonia będzie zatem na pewno bardzo ładna.

Zatrzymuję samochód przed starym sklepem spożywczym, nadal przyciskając komórkę do ucha.

– Malin – mówi mama swoim cienkim głosem. Wyczuwam w nim niewypowiedziany wyrzut. – Posłuchaj, kochanie, przy takim nastawieniu z twojej strony istnieje spore ryzyko, że przeżyjesz rozczarowanie. Postaraj się trochę zdystansować. Wszystko będzie dobrze. Porozmawiamy, jak wrócisz wieczorem do domu, okej?

Odpowiadam, że oczywiście, i się rozłączam. Następnie otwieram zamek w drzwiach i wchodzę do naszego wysoce prowizorycznego biura w starym spożywczaku.

W Ormbergu nie ma już ani jednego sklepu spożywczego, brak bazy klientów. Za czasów dzieciństwa mamy był tu sklep wielobranżowy, a w latach osiemdziesiątych rodzina Karlmanów sprzedała lokal sieci Favör, która później zmieniła nazwę na Vivo. Dziesięć lat temu i ona się wyniosła i od tamtej pory budynek stoi pusty. Czasami służył nastolatkom na potajemne balangi. Ja też tu bywałam i w migotliwym blasku świec piłam jakieś diabelskie mieszanki. Była to i logiczna, i nieuchronna konsekwencja tego, że urodziłam się i dorastałam w tej dziurze.

Zdejmuję kurtkę i siadam przed komputerem. Rzucam okiem na zdjęcia szkieletu przypięte do ściany jako przypomnienie toczącego się śledztwa, o którym w ciągu ostatnich dwóch dni prawie nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać. Następnie wyjmuję notes i przewracam kartki aż do ostatniej strony.

Sygnal esemesa w komórce. Otwieram go i czytam wiadomość od Maxa: „Szara czy beżowa narzuta na kanapę?”.

Max to mój chłopak, właściwie narzeczony, formalnie rzecz biorąc, ponieważ jesteśmy zaręczeni i w najbliższe lato mamy się pobrać. Jest prawnikiem, pracuje w towarzystwie ubezpieczeniowym i mieszka w Sztokholmie. Po ślubie też się tam przeniosę. Wtedy już nie będę musiała mieć nic wspólnego z Ormbergiem. Wszystkie te wątle nici wiążące mnie z tym grajdołem, tysiące cienkich pępowin łączących mnie ze wsią zostanie przeciętych.

A Max to nożyczki, które to umożliwią.

Brzmi to bardzo dobrze. Oczywiście będę utrzymywać kontakt z mamą. Wpadnę do niej ze dwa razy w roku albo chyba lepiej zaproszę ją do Sztokholmu.

Otwierają się drzwi i do środka wpada fala zimnego powietrza, przynosząc kilka liści i zapach wilgotnej ziemi. W wejściu pojawia się duża sylwetka Manfreda.

– Cześć – mówi. – Jak poszło?

– Właśnie wracam z fabryki – odpowiadam. – Niczego nie znaleźli.

Zamyka za sobą drzwi i zdejmuje płaszcz. Opada na krzesło naprzeciw mnie. Wygląda na zrezygnowanego – zrezygnowanego i jednocześnie potwornie wkurzonego. Całe to napięcie i presja zdają się budzić w nim agresję i swego rodzaju bezwzględność, jakiej wcześniej u niego nie widziałam.

– Cholera jasna.

W milczeniu kiwam głową i patrzę na niego. Jest ubrany w tweedowy garnitur, a rudawe włosy kleją mu się do czaszki.

Wygląda jak z innej planety.

Nikt, absolutnie nikt w Ormbergu nigdy nie ubrałby się w ten sposób. Nawet sztokholmczycy, którzy zamieszkali w starym gospodarstwie po drugiej stronie rzeki i hodują dziwne koniki, na których nie da się jeździć, ani Niemcy, którzy kupili stare rozwalające się chałupy w lesie, chcąc mieć bliski kontakt z naturą.

Kiedy Manfred pojawił się tutaj ze swoimi kolegami ze Sztokholmu, zastanawiałam się,

czy nie poradzić mu, żeby zmienił styl ubierania. Żeby oszczędzić mu kłopotów. Miejscowi nie mają poważania dla kogoś, kto ubiera się jak angielski lord wybierający się na polowanie. Nic jednak nie powiedziałam. A potem zniknął Peter i Manfred zrobił się tak strasznie nerwowy, że nie miałam odwagi podejmować tematu.

Swoją drogą, wciąż jest nerwowy.

Ja też.

Niepokoimy się o Petera, poza tym zaczęło pojawiać się coraz więcej dziennikarzy zadających pytania, na które nie chcemy ani nie możemy odpowiedzieć. Ciekawe, gdzie mieszkają – w Ormbergu nie ma hotelu, jest jedynie camping nad Långsjön, o tej porze roku pusty i zamknięty.

– Opowiadaj – prosi Manfred, stawiając termos na stole i wskazując głową na leżącą przed nim mapę.

Pośrodku żyznej rolniczej krainy, jaką jest Sörmland, leży Ormberg: kilka tysięcy hektarów kamienistej lesistej ziemi, w odróżnieniu od sąsiednich gmin nienadającej się pod uprawę. Kiedyś był niedużą, ale kwitnącą osadą przemysłową, a teraz świeci pustkami. Mapa ukazuje las, las i jeszcze raz las. I kilka gospodarstw rozrzuconych tu i ówdzie, jakby na chybił trafił, większość nad rzeką płynącą aż do Vingåker.

Całą mapę pokryliśmy siatką, zaznaczając na niej kilka ważnych punktów: kamienny kopiec, przy którym znalazłam szkielet, starą fabrykę i miejsce, gdzie znaleziono Hanne.

– Missing People i straż obywatelska szukały dzisiaj tutaj – mówię, wskazując długopisem na dwa kwadraty na mapie. – Rozmawiałam ze Svantem, kierującym akcją.

– I?

– Nic. To trudny teren, łatwo przeoczyć...

Mam już na końcu języka „zwłoki”, ale na szczęście w porę się powstrzymuję. Nikt z nas nie chce myśleć o Peterze w ten sposób – tym sympatycznym i całkiem atrakcyjnym policjancie ze Sztokholmu. To znaczy, atrakcyjnym jak na starszego mężczyznę. Od kiedy rozpoczęliśmy poszukiwania, wiem, że skończył pięćdziesiąt lat. Wiem także, że ma sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, waży osiemdziesiąt kilogramów i rzeczywiście pozostaje w związku z Hanne. Jest ojcem nastoletniego syna o imieniu Albin, z którym prawie nigdy się nie spotyka, oraz byłym mężem kobiety, z którą po prostu nie wytrzymał.

Gdy ktoś staje się obiektem policyjnego dochodzenia, traci prywatność. Nieważne, czy jesteś ofiarą, czy sprawcą. Wyciągniemy wszystkie brudy, które każdy najchętniej by ukrył w najgłębszych zakamarkach szafy, i wywiesimy je na widok publiczny.

Ciekawe, co Peter powiedziałby na to, że siedzimy tu w jakimś starym spożywczaku i gadamy o jego wzroście, ciężarze i o tym, z kim sypia.

O ile, rzecz jasna, kiedykolwiek się o tym dowie.

Zaginał w ostatni piątek, a od kilku dni temperatura w nocy utrzymuje się sporo poniżej zera.

Poza tym w nocy z piątku na sobotę była straszna wichura, która powaliła wiele drzew i podobno zerwała dach ze stodoły dziesięć kilometrów na północ od Ormbergu. Nie można wykluczyć, że Peter miał wypadek, jeśli na przykład znajdował się w tamtej okolicy.

Manfred odkręca nakrętkę termosu i sięga po kartonowe kubki. Potem odgarnia sobie wilgotne włosy z czoła.

– Kawy?

– Chętnie.

Nalewa parujący napój i podaje mi kubek.

– Rozmawiałem z Berit Sund, to kobieta, która pomaga opiece socjalnej zająć się Hanne.

– Hanne jest u Berit Sund?

Berit mieszka w starej chacie tuż za kościołem i starą fabryką i była stara, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Trudno mi sobie wyobrazić, aby dzisiaj mogła się kimkolwiek zająć, zwłaszcza osobą znajdującą się w traumie i zdezorientowaną. Pamiętam, że kiedyś rzeczywiście pracowała z niepełnosprawnymi.

– Tak. Hanne została u niej umieszczona przejściowo, dopóki nie znajdzie się inne rozwiązanie. Uważam, że to dobrze się składa, bo w razie czego możemy tam podjechać i z nią porozmawiać. Kiedy już zaczniesz sobie coś przypominać.

– Na razie nic nie pamięta? – pytam.

– Nic a nic.

Manfred wpatruje się w kawę w swoim kubku. Wygląda na przygnębionego, cała jego potężna sylwetka emanuje rezygnacją.

Bardzo bym chciała go pocieszyć, ale nie wiem jak.

– Nie mogę pojąć, jak jej się udało to przed nami ukryć – odzywam się. – No bo jeśli człowiek nie pamięta nawet, gdzie się znajduje, to znaczy, że jest naprawdę chory. Jak można zatuszować coś takiego?

Manfred kręci głową z takim zapamiętaniem, że aż kołysze mu się podwójny podbródek.

– To rzeczywiście dziwne. Przypuszczam, że miała cały arsenał trików, jak mimo wszystko radzić sobie na co dzień. Pamiętasz ten notes, z którym nigdy się nie rozstawała?

Kiwam głową.

Oczywiście, że pamiętam brązowy notes. Albo trzymała go pod pachą, albo coś w nim pisała. Ewentualnie coś z niego czytała.

– Myślisz, że wszystko sobie notowała?

– Tak – potwierdza Manfred, siorbiąc kawę. – Jestem tego pewien. Inaczej nie byłaby w stanie ogarnąć swoich obowiązków.

– Ale to znaczy, że musiałyby wszystko dokumentować. Dosłownie każdy szczegół: jak ktoś wyglądał, co powiedział...

Manfred milczy i patrzy przez brudną szybę niedużego okna na zewnątrz. Dzień powoli



ustępuje nadchodzącej nocy, w środku jest już prawie ciemno. Naga żarówka zwisająca na prowizorycznym kablu z sufitu i słaba poświata ekranu laptopa to jedyne źródła światła.

Siedzimy w dawnym ciasnym kantorku na zapleczu sklepu spożywczego. Obok znajduje się pomieszczenie, w którym nadal stoją rzędy półek i lada kasowa. Ściany są pomazane graffiti, a zanim się tu zainstalowaliśmy, najpierw musieliśmy uprzątnąć stopy starych pustych butelek, petów i zużytych kondomów. Potem nawet całkiem nam się tutaj spodobało. Manfred nazwał to miejsce Chateau Ormberg, siedliskiem grzechu w najciemniejszym zakątku Sörmlandu. A Hanne... Ona, jak zawsze, wyjęła notes, pewnie, żeby zapisać to, co powiedział.

Manfred przyciska gruby palec do mapy. Kiedy go cofa, na papierze zostaje plama po kawie.

– Hanne została znaleziona tutaj, przy drodze prowadzącej na południe od Ormbergu. Przeszukaliśmy las w promieniu jednego kilometra i wypytaliśmy wszystkich mieszkających w pobliżu ludzi. Brundinowie, twoi krewni, w piątek wieczorem byli w Katrineholmie. W sobotę siedzieli w domu, ale nie zauważyli nic szczególnego. Olssonowie też chyba nic nie widzieli, tak?

Kręcę przecząco głową.

– Rozmawiałam z ojcem, Stefanem Olssonem. I z jego szesnastoletnią córką Melindą. Oboje nie mają nic do powiedzenia. W sobotni wieczór, kiedy znaleziono Hanne, dziewczyna była u chłopaka, a ojciec u swojego kolegi i grał w jakąś grę komputerową.

– W grę komputerową?

– Tak. Jest jeszcze syn. Jake. W sobotę wieczorem siedział w domu.

– Jake. Jake Olsson, tak?

Potakuję ruchem głowy.

– Klasyczne imię, jak na Ormberg.

Manfred uśmiecha się nieśmiało, jakby obawiał się, że mnie obrazi, jeśli się roześmieje.

Niewątpliwie trochę się poznaliśmy w ciągu tych dwóch tygodni wspólnej pracy, jednak nie na tyle, aby wiedzieć, gdzie przebiega delikatna granica między żartem a uchybieniem. Zwłaszcza w kwestii tak drażliwej jak moja rodzinna wieś.

Uśmiecham się nieznacznie. Nie jest to uśmiech rozbawienia, tylko raczej kryje się w nim przekaz, że według mnie pora już zmienić temat.

Manfred chwyta sugestię i się wycofuje.

– A co z tą kobietą, która znalazła Hanne? – pytam. – Czy ktoś rozmawiał z nią ponownie?

– Tak. Mieszka w Vingåker. Zadzwoiłem do niej wczoraj przed południem. Potwierdziła wszystko, co mówiła wcześniej, i nie miała nic więcej do dodania. Około ósmej wieczorem jechała do znajomej mieszkającej w Ormbergu i właśnie zawróciła, ponieważ się zorientowała, że jedzie w złym kierunku. Wtedy zauważyła Hanne, zatrzymała samochód

i zabrała ją, bo domyśliła się, że musiało się stać coś poważnego.

– A tamta dziewczyna, którą widziała?

– Kobieta twierdzi uparcie, że Hanne nie była sama, tylko z jakąś dziewczyną. Może dwudziestoletnią, ubraną w złotą sukienkę czy spódnicę i w coś ciemnego u góry, według niej sweter. Nie dostrzegła płaszcza ani innego wierzchniego nakrycia.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Kto chodzi po lesie ubrany w taki sposób, i to jeszcze o tej porze roku? I przy takiej pieprzonej pogodzie?

Na chwilę zapada cisza, oboje zastanawiamy się w milczeniu.

– Może by znowu porozmawiać z Hanne – proponuje w końcu Manfred nieco łagodniejszym tonem.

Myślę o niej: partnerka Petera, behawiorystka specjalizująca się w psychoanalizie. Manfred trochę nam o niej opowiedział w ciągu trzech dni, zanim ona i Peter dołączyli do nas w Ormbergu. Mówił, że nigdy dotąd nie spotkał kogoś równie bystrego. Jej prognozy były wręcz nieprzyzwoicie trafne i dokładne – podobno niektórzy koledzy w Sztokholmie nazywali ją czarownicą.

Wykołowała nas koncertowo: nikt z nas nie zauważył jej choroby ani nie domyślał się stopnia jej upośledzenia.

Sama nie wiem, co mam sądzić o Hanne.

Często odnosiłam wrażenie, że patrzy na mnie jakoś dziwnie, zwłaszcza kiedy rozmawiałam z Andreasem. Te jej spojrzenia, które kleiły się do mnie jak guma do żucia, powodowały, że czułam się niepewnie i dziwnie.

– Tak czy inaczej, musimy postarać się znaleźć jej notes – wtrąca Manfred. – Jeśli zapisała wszystko, co się stało, być może pomogłoby to nam w odnalezieniu Petera. Zadzwoń do niej i spytałem, gdzie jest notes, ale nie pamięta. Berit też nie ma o nim pojęcia.

– Nie ma go tutaj i nie ma go też w hotelu – mówię. – Byliśmy w nim ze Svantem, żeby sprawdzić.

– Może miała go ze sobą, kiedy zniknęli – sugeruje Manfred. – I zgubiła go w lesie.

– Pewnie znajdzie się na wiosnę, jak stopnieje śnieg.

Manfred wzdycha.

– A samochód Petera?

Zerkam do swoich notatek.

– Jego też nie znaleziono, wciąż trwają poszukiwania. Podobnie jak komórek ich obojga. Sprawdzane jest też użycie kart płatniczych i kredytowych Petera.

Manfred milknie na chwilę. Przymyka oczy i wzdycha ciężko.

– Wciąż zastanawiam się nad tymi bazgrołami na jej dłoni – mówię.

– Masz na myśli te cyfry?

– Tak. Czy to ona je napisała? Cyfry trzy, sześć, trzy, a za nimi coś trudnego do

odczytania. Co to mogło być? Musimy spróbować to ustalić.

Nagle otwierają się drzwi i do środka wchodzi Andreas. Jest ubrany w dżinsy, sportową bluzę i puchową kamizelkę. Ciemne kręcone włosy są całe wilgotne, mokre ma też ramiona.

– Widzę, że nasz kaganek pilności nieustająco się pali – rzuca i staje w szerokim rozkroku, trochę zbyt blisko mnie, abym mogła czuć się komfortowo.

Andreas należy do gatunku mężczyzn uważających siebie za istny dar Boży dla nas, kobiet, tylko dlatego, że ma siusiaka między nogami. Chyba sądzi, że jest dla mnie rozbijająco atrakcyjny seksualnie i nie będę potrafiła mu się oprzeć.

Bardzo się myli.

Andreas nie pociąga mnie ani trochę. Jest jak mały chłopiec, który wręcz całym sobą domaga się potwierdzenia własnej męskości, ale nie zamierzam dać mu tej satysfakcji.

Spoglądam znowu na mapę. Na prostokąty oznaczające domy i krętą linię rzeki. Na linie wysokości ilustrujące topografię terenu i zagęszczające się wokół Ormberget.

Andreas odchrząkuje i jeszcze bardziej przysuwa się do mnie, jego udo niemal dotyka mojego ramienia.

– Właśnie spotkałem się z ludźmi z Missing People. Znaleźli coś w lesie, bardzo blisko miejsca, w którym pojawiła się Hanne. Nie mam pojęcia, czy to ma coś wspólnego z nią i z Peterem, ale...

Urywa zdanie i sięga ręką do kieszeni kamizelki. Wyciąga z niej małą foliową torebkę, która wygląda na pustą, i kładzie ją na stole tuż przy mnie.

Z jego ramienia na moją dłoń skapuje kropla.

Wszyscy troje pochylamy się nad blatem, chcąc sprawdzić, czy rzeczywiście nic nie ma w środku.

– Na wszelki wypadek posłałem tam techników. Gość z Missing People mówi, że były tam też odciski butów. Przykryli je kocem, żeby nie napadał na nie śnieg.

Mrużę oczy i przyglądam się badawczo małej torebce. Coś w niej błyszczy.

To drobny złoty cekin.

# Jake

Wieża Eiffla ma wysokość trzystu dwudziestu czterech metrów, waży około dziesięciu tysięcy ton i składa się z dwunastu tysięcy żelaznych belek połączonych ponad dwoma milionami nitów z värmlandzkiej stali. Jej budowa trwała dwa lata i w tym czasie zginął tylko jeden robotnik, jednak nie podczas wykonywania pracy. Kilka dni przed otwarciem w 1889 roku chciał pokazać budowlę swojej dziewczynie i jej zaimponować, ale niestety spadł z pierwszej kondygnacji i poniósł śmierć na miejscu.

Musiał się bardzo zdziwić. I jego dziewczyna także.

Wszystko to wyczytałem w internecie.

Takie szczegóły są ważne, jeśli mam zrobić naprawdę dobrą kopię wieży Eiffla.

Spoglądam na wykonaną przez siebie miniaturkę – nie jestem z niej zadowolony. Coś jest nie tak z najwyższą częścią. Wygląda na trochę krzywą, a kiedy próbuję poprawić ją kombinerkami, przekrzywia się w drugą stronę.

To naprawdę cholernie trudne, mimo że ściągnąłem sobie z sieci i zdjęcia, i rysunki i wiele godzin spędziłem na jej konstruowaniu.

Nagle otwierają się drzwi i do środka wchodzi Melinda. Ma na sobie obcisłą czarną sukienkę kończącą się w połowie ud. Jest ładna, naprawdę ładna jak na ciuchy mojej siostry. Do tego stopnia, że na jej widok w głowie od razu pojawia mi się myśl, żeby ją koniecznie przymierzyć. I potem nie mogę się już od niej wyzwolić.

Tak jest z tą paranoją.

Ona też nie chce mi dać spokoju. Jak uparty mały piesek, który drepcze za mną nieustannie i podszczypuje mnie w łydki. A im bardziej się od niego opędzam, robi się tym bardziej zajadły, jakby myślał, że chcę się z nim bawić.

A wcale nie chcę.

Chcę jedynie, żeby ta paranoja minęła. Zostawiła mnie w spokoju i zniknęła z lasu, tak samo jak zniknęła z niego policja.

Melinda zasłania dłońią usta i zatrzymuje się w pół kroku. Pachnie perfumami i lakierem do włosów.

– Wow! *Fuck!* Fantastycznie! Sam to zrobiłeś?

Podchodzi bliżej i potyka się o górę zmasakrowanych puszek po piwie leżących na podłodze. Rozlega się głośny brzęk, a ona chwytą się brzegu biurka, aby się nie przewrócić.

– To praca szkolna – wyjaśniam. – Mieliśmy zbudować coś znanego z odzyskanego materiału.

Oczy błyszczą jej z podniecenia, kiedy pochyla się nad moją wieżę Eiffla własnej roboty i ostrożnie przesuwa palcem po jej czubku.

– Wygląda super. Jak to zrobiłeś?

Pokazuję na pogniecione puszki po piwie.

– Sprytnie – mówi Melinda i uśmiecha się krzywo. – Cholernie sprytnie. Puszek po piwie u nas faktycznie nie brakuje. A jak to wszystko połączyłeś?

– Najpierw zbudowałem coś w rodzaju ramy z tych elementów.

Pokazuję na spoiwo biegnące dookoła górnej krawędzi jednej z puszek i wyjaśniam dalej:

– Bo ono jest mocniejsze i stabilniejsze niż blacha samych puszek. Złożyłem te elementy razem i skręciłem je stalowym drutem. Potem przyciąłem fragmenty cienkiej blachy i przekleiłem je do ramy.

– Obłędne. Powinieneś zostać... Jak nazywa się ktoś taki, kto projektuje domy?

– Architekt?

– No właśnie. Powinieneś zostać architektem.

Do tej pory nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedy dorosnę, rzeczywiście mógłbym kimś zostać. A że miałyby to być na przykład zawód architekta, to dla mnie prawie niewyobrażalne.

– W Ormbergu nie ma architektów – mówię.

To prawda.

W Ormbergu są prawie wyłącznie emeryci i bezrobotni. I Stillmanowie, którzy sprzedają psie ubranka przez internet, i hodujący śmieszne koniki Skogowie. Co prawda latem przyjeżdżają Niemcy i sztokholmczyki. Włóczą się po lesie w specjalnych strojach, w których wyglądają jak wojskowi, i pływają kanadyjkami po rzece.

I grillują.

W bezwietrzne letnie wieczory zapach grillowanego mięsa unosi się nad całym Ormbergiem, gigantyczna chmura cuchnącego dymu.

Zajeżdża padliną, mawia wtedy tata i kręci nosem.

– Pomożesz mi wyprostować włosy? – pyta Melinda.

– Jasne – odpowiadam, mając nadzieję, że nie zauważyła, jak bardzo ucieszyła mnie jej propozycja.

Chłopaki nie biorą do ręki czegoś takiego jak prostownica.

Takimi rzeczami zajmują się jedynie pedalscy fryzjerzy w Sztokholmie albo może artyści, dla których liczy się to, żeby podobać się siusiumajtkom i mieć jak najwięcej lajków na Instagramie.

Idę za Melindą do jej pokoju. Podłoga jest zavalona jej rzeczami: stringami w różnych kolorach i koronkowymi biustonoszami. Na krześle leżą wywrócone na lewą stronę dzinsy. Siostra podnosi je i ciska przez pokój – lądują w nogach łóżka.

Tutaj zapach perfum jest jeszcze intensywniejszy, a blatu biurka nie widać spod

kosmetyków.

Tyle wspaniałości: brokatowy róż, kredki do oczu, cienie do powiek we wszelkich możliwych odcieniach i małe tubki o niewiadomej zawartości, wciśnięte do dużej różowej kosmetyczki z diamentowymi literami na wierzchu.

*Bitch*, można na niej przeczytać.

Bardzo bym chciał taką mieć.

Choć jednocześnie to byłoby kurewsko porąbane.

Przełykam nerwowo i sięgam po prostownicę, która leży na podłodze; czuję słaby zapach spalonych włosów i ciepło promieniujące od rączki.

– No dobra – mówi Melinda. – *Let's do it!*

Na czubku głowy spina sobie klamrą część włosów, a ja przystępuję do prostowania. To już stało się zwyczajem, że pomagam Melindzie ułożyć fryzurę, kiedy gdzieś wychodzi.

– Tylko się spisz – bąka pod nosem i sięga po lakier do paznokci.

– Dokąd się wybierasz? – pytam.

– Spotykam się z Markusem – odpowiada machinalnie, otwierając buteleczkę z lakierem i zaczynając malować sobie długie, spiczaste paznokcie.

Markus to jej chłopak. Ma osiemnaście lat i jeździ starym fordem, którego sam wyremontował. Kupił go przed rokiem na złomowisku. Melinda mówi, że wtedy to był zwykły wrak, a on zrobił z niego wypasioną brykę.

Nie bardzo wiem, co myśleć o Markusie. Kiedy przychodzi do nas, nigdy nic nie mówi, tylko siedzi cicho z włosami opadającymi mu na twarz. Ledwie go widać spod tej zasłony. Tata w każdym razie go nie lubi, bo mnóstwo razy słyszałem, jak kłócił się o niego z Melindą. Wydaje mi się, że najbardziej boi się tego, żeby nie zaszła w ciążę. Tak przynajmniej wynika z jego krzyków: „...nie zamierzam utrzymywać twojego cholernego bękarta”.

– A ty co będziesz robić dziś wieczorem?

– Nie wiem – odpowiadam. – Chyba posiedzę w domu.

– Nie spotkasz się z Sagą?

Myśl o niej wywołuje u mnie łaskotanie w żołądku. Jakby jakiś strasznie mały robak kręcił się w nim dookoła.

– Idzie na zabawę do szkoły.

Melinda odstawia lakier z rozmachem.

– Dlaczego macie zabawę w środku tygodnia? – rzuca. A po chwili, już łagodniej, dodaje:

– A ty się nie wybierasz?

– Nie chce mi się.

Nie mam siły jej wyjaśniać. Nie mam siły opowiadać, co Vincent i jego kumple by zrobili, gdybym się tam pojawił. Ale ona i tak jak zwykle rozumie. Na tym polega jej supersiła. Zna moje myśli, zanim nawet powstaną mi w głowie. Jakby były falami radiowymi, które

odbiera.

A moją supersiłą jest chyba robienie różnych rzeczy ze starych puszek po piwie.

– Chodzi o Vincenta? – pyta.

Nie odpowiadam. Za każdym razem, kiedy ściskam wilgotne pasmo włosów między płytkami prostownicy, rozlega się syczenie.

– Zabiję tego sukinsyna, jeżeli się nie ogarnie – warczy Melinda.

– Daj spokój, proszę cię!

– Ukatrupię go, jak się od ciebie nie odczepi.

Po wyjściu Melindy idę do kuchni po colę. Tata zasnął znowu na kanapie, nakrywam go więc kocem i wyłączam telewizor. Biorę dwie z opróżnionych puszek i zanoszę je na górę do siebie do pokoju.

Zostaną przetworzone.

Ale najpierw zamierzam poczytać dalej dziennik.

Zaszywam się razem z nim w łóżku. Przeciagam dłonią po brązowej okładce.

To rzeczywiście trochę dziwne. Kiedy czytam, mam wrażenie, jakbym znajdował się w głowie Hanne. Jakbym niemal był nią, chociaż przecież ma dużo, dużo więcej lat ode mnie i jest kobietą. Zupełnie jakby udzieliło mi się trochę supersiły Melindy i jakbym umiał czytać w myślach.

Nie wiem, czy lubię Hanne, ale żal mi jej. To musi być straszne, kiedy człowiek traci pamięć i musi zapisywać wszystko, co się dzieje. Ale jest bystra – zajęło mi to trochę, w końcu jednak zrozumiałem, po co zrobiła spis treści. Przecież nie może czytać całego dziennika za każdym razem, kiedy tylko zapomni jakiś drobiazg.

Tak, Hanne jest bystra. Bystra i samotna, bo nie może nikomu opowiedzieć, co myśli.

Zwłaszcza temu P.

To tak samo jak z moją paranoją, przemyka mi przez głowę.

Masz swoją tajemnicę, Hanne, i ja też mam swoją.

Byliśmy dokładnie tam, gdzie znaleziono szkielet.

Droga na miejsce: wąska, pełna dołów, obramowana wielkimi świerkami. Żadnych zabudowań. Ani żywej duszy.

Sam kopiec miał dwa–trzy metry szerokości i może ze dwadzieścia metrów długości. Składał się ze stosu różnej wielkości kamieni porośniętych mchem.

Za nim: pochyłość przechodząca w stromo opadające wzgórze – Ormberget.

Po drugiej stronie: ciemna woda rzeki.

Przykucnęliśmy w mchu. Usiłowaliśmy pojąć niepojęte. Że pod kamieniami znaleziono szkielet pięcioletniej dziewczynki z dłońmi splecionymi na piersi.

Doszłam do wniosku, że sprawca musiał być silny, ponieważ kamienie były duże

i ciężkie. Prawdopodobnie znał też tę okolicę i wiedział o istnieniu kopca, zanim ukrył w nim dziewczynkę. I na koniec: to, że została pochowana ze złożonymi dłońmi, mówi sporo o stosunku do niej sprawcy. To dosyć wzruszające, można odnieść wrażenie, że ją lubił.

Przez jakiś czas milczeliśmy, a potem Andreas powiedział, że powinniśmy wracać. Po raz kolejny zauważyłam, że Malin wydawała się rozdrażniona.

Ale może się myliłam.

Nie, chyba jednak go nie lubi.

Ormberg, 23 listopada

Pięć po trzeciej nad ranem.

Siedzę na niedużym krześle, wyglądam przez okno. Kałuże rozlewają się po wyboistym asfalcie. Nieduże brudnobrązowe jeziora wylane z chmur. Lśnią w blasku parkingowych latarni. Na zewnątrz nie stoi żaden inny samochód poza naszym.

Nie wiem, czy są tu jeszcze jacyś inni goście.

Za parkingiem: ciemność. Żadnych zwierząt, żadnych ludzi, nie przejeżdżają żadne samochody.

Manfred mieszka w hotelu w Vingåker i chyba ma rację. Nasz hotel leży pośrodku niczego, w połowie drogi między Ormbergiem a Vingåker.

Obudziło mnie dziwne kołatanie serca. Próbowałam ustalić, co mnie przestraszyło. Potem zdałam sobie sprawę, że nie wiem, gdzie jestem.

Pierwszy impuls: obudzić Petera. Potrząsnąć nim, żeby oprzytomniał, i spytać, gdzie jesteśmy. Dlaczego leżymy w tym obcym łóżku?

Opanowałam się jednak, uznałam, że to ostatnia rzecz, jaką powinnam zrobić.

P absolutnie nie może wiedzieć!

Skoncentrowałam się i próbowałam sama sobie przypomnieć. Ale pamiętałam tylko Ilulissat: góry lodowe, zimne, jasne powietrze. Kojące poczucie, że wszystko jest doskonałe.

Nie powinnam była nigdy wyjeżdżać z Grenlandii. Tam byłam silna.

Wyślizgnęłam się z łóżka razem z dziennikiem i usiadłam na krześle. Zaczęłam czytać. Czekałam, aż tekst coś uruchomi, obudzi strumień obrazów i wspomnień.

Nie tym razem.

Zupełnie jakbym czytała nieznaną mi książkę, jakbym na jej stronach to nie była ja, tylko ktoś inny.

Czy zacznym zamieniać się w kogoś innego? Czy tak to właśnie wygląda? A może to odizolowany epizod, anomalia będąca następstwem przemęczenia?

Nie mogłam spać. Wzięłam się do lektury protokołu dochodzenia.



Policja początkowo zakładała, że dziewczynka z Ormbergu poniosła śmierć w wypadku, może drogowym, który ktoś próbował ukryć, grzebiąc ciało w takim miejscu. Ale skoro nie udało się jej zidentyfikować, to zmieniało stan rzeczy.

Gdyby ktoś zginął w wypadku, a zwłoki ukryto by przy kopcu kamieni, poszukiwano by tej osoby – tymczasem tu nikt nie stracił dziecka. Ani w najbliższej okolicy, ani w sąsiednich gminach.

Czyli dziewczynka nie pochodziła z Ormbergu.

I nie chodzi o wypadek.

Odkładam dziennik i spoglądam na wieżę Eiffla. Błyszczą w świetle rzucanym przez lampę na biurku.

Fala zimna rozlewa mi się wewnątrz klatki piersiowej. To, co pisze Hanne, nie jest niczym nowym, mimo to robi mi się niedobrze na myśl o dziewczynce ukrytej w kopcu kamieni.

Aż trudno pojąć, że Hanne zanotowała to niecałe dwa tygodnie temu. Że siedziała w starym sklepie i rozmawiała o dziewczynce z Ormbergu ze swoimi kolegami. Nawiasem mówiąc, wiem, kim jest ta Malin, nie znam jej osobiście, bo jest dla mnie za stara, ale pamiętam, jak wygląda, i gdzie mieszka jej mama.

Historia Hanne zrobiła ze mną coś dziwnego. Nie umiem powiedzieć, co dokładnie, ale moje życie nie wydaje mi się już tak beznadziejne. Vincent i jego kumple są teraz co najwyżej żalonymi kretynami, a paranoja jest co prawda chora, ale nie tak straszna jak to, co przytrafiło się dziewczynce z Ormbergu.

Albo mamie.

Paranoja nie jest rakiem ani demencją, ale mimo wszystko chciałbym, aby zniknęła.

Sięgam po komórkę, żeby wygooglować słowo „anomalia”.

# Malin

**N**aprawdę nie wiem, co myślałam, kiedy zgodziłam się pracować przy tym dochodzeniu. Jakoś w ogóle nie przyszło mi do głowy, że w praktyce będzie to oznaczać konieczność powrotu do domu i zamieszkania znowu z mamą, przynajmniej na jakiś czas.

Ale czy miałam inną opcję? Zatrzymać się w hotelu w Vingåker?

Nie.

Mamie byłoby potwornie przykro. A ja nie chciałam jej sprawiać przykrości. W żadnym wypadku. Kocham mamę i w pewien dziwny sposób kocham też Ormberg, chociaż nigdy nie chciałam tutaj mieszkać. Przyroda jest wspaniała, a letnie miesiące wprost magiczne – idylliczny krajobraz z czerwonymi drewnianymi chatami, nieprzebranymi lasami i ze lśniącą spokojną wodą jeziora Långsjön.

Mimo to chcę stąd zniknąć.

Nie wytrzymuję tych wszystkich pytań mamy, nie chcę widzieć niepokoju w jej oczach za każdym razem, kiedy rozmawiamy o mojej pracy.

I smutno mi też patrzeć, jak podupada nasze obejście.

Od śmierci taty trzy lata temu chyba nic nie zrobiono przy domu. Farba odłazi całymimi płatami z fasady, deski szczytowe i ramy wokół okien się obluzowały, a ogród zamienił się w dżunglę. Jedna z rynien się oderwała, runęła na ziemię i leży do dzisiaj w wysokiej trawie, czyha jak wąż w zaroślach, gotowa zaatakować, kiedy tylko ktoś będzie przechodził obok.

I jest jeszcze stodoła.

Stodoła jest pełna rupieci taty. Nigdy nie umiał się niczego pozbyć. Zbierał wszystko, co możliwe: od starych urządzeń domowych po tranzystory, zjedzone przez mole ubrania, opony samochodowe, popsute instrumenty, stare drewniane biegówki, puszek z farbą i wszystkie wydania kalendarza Szwedzkiego Towarzystwa Turystycznego, począwszy od 1969 roku. Nawet umarł ze starą pralką w objęciach – serce mu nie wytrzymało, gdy dźwigał ją do stodoły. Kiedy mama znalazła go w trawie, wciąż ścisnął kurczowo pocziwą cylindę, jakby on był rozbitkiem, a ona jego boją ratunkową.

Stosy przeróżnych gratów, których mama nie była w stanie się pozbyć, wciąż zawalają stodołę. Widząc te śmieci nagromadzone przez całe życie, mam wrażenie, jakbym patrzyła na jakiś stary film. Nagle zalewają mnie wspomnienia: na widok mojego dawnego roweru, którym wjechałam w rów, czuję ból w nadgarstku, a kiedy do nozdrzy dociera zapach namiotowego brezentu, przypominam sobie, jak pierwszy raz kochałam się z chłopakiem

w śpiworze. Czuję ciepło emanujące od Kenny'ego i jednocześnie chłód ciągnący od ziemi przez cienką karimatę.

Pralka Cylinda.

Mama nigdy jej nie wyrzuciła. Postawiła ją obok pozostałych rupieci w czerwonej stodole.

Mój pierwszy raz z chłopakiem obok śmierci taty.

Kiedy pierwszy raz zabrałam Maxa do Ormbergu, było mi wstyd. Na dodatek wstydziałam się tego, że jest mi wstyd. Bo chociaż mama potrafi być irytująca, kocham ją przecież, i tak naprawdę ani w Ormbergu, ani w mojej młodości tutaj nie ma nic takiego, czego należałoby się wstydzić. A jednocześnie Ormberg to uosobienie wszystkiego, co mnie odpycha: pustki, braku pracy i starości. Tutejsze domy popadają w ruinę, obejścia wokół nich zastawione są wrakami samochodów i porzeczonymi wannami, z których dawniej pojono krowy, a ludzie wciąż żyją mrzonkami o tym, jak było tu kiedyś.

Ja chcę znacznie więcej.

Swoją drogą Max i mama znaleźli ze sobą wspólny język, co właściwie mnie nie dziwi, bo jeśli tylko chce, potrafi być dosyć towarzyski. Ma umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi, umie sprawić, żeby poczuli się zauważeni i rozluźnieni, i zaczynają przy nim paplać, chociaż tak naprawdę nie mają za wiele do powiedzenia.

Mógłby być cholernie dobrym policjantem.

Ale to też jest coś, czego bym na pewno nie chciała – mieć za partnera życiowego policjanta. Max uważa, że po przeniesieniu się z Katrineholmu do Sztokholmu powinnam zacząć studiować prawo; wydaje mi się, że być może tak się stanie.

Nie sądzę bowiem, żeby jemu też odpowiadało życie z policjantką.

Parkuję przed starym sklepem spożywczym. Ziemię przykrywa cienka warstwa śniegu. Naokoło jest biało i ostre słońce zmusza mnie do zmrużenia powiek. Mróz chwyta za policzki. Strzępy obłoków ścigają się po błękitnym niebie, a wiatr wzbija świeży biały puch znad ziemi.

Jest wtorek, od zniknięcia Petera minęły już niemal cztery doby.

Mam przed oczami tego uprzejmego, wysportowanego policjanta we flanelowej koszuli w kratkę, o jasnych włosach przetykanych siwizną. Niezależnie od tego, z kim rozmawiał, nigdy nie uciekał spojrzeniem ani o milimetr w bok.

Z powodu jego zniknięcia dochodzenie w sprawie dziewczynki z Ormbergu zawiesiliśmy na kołku, bo niezależnie od wszystkiego nic się nie stanie, jeśli sprawa zabójstwa sprzed ponad dwudziestu lat poczeka jeszcze przez kilka dni.

Chociaż za poszukiwania Petera odpowiada lokalna policja, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby ją wesprzeć. Współpracowaliśmy ze zwiadowcami, spotkaliśmy się kilkakrotnie z szefem ekipy i przetrząsnęliśmy papiery Petera i Hanne w nadziei, że natrafimy na jakiś trop, który zdradzi nam, dokąd mieli się udać w piątek wieczorem.

Na nic nie wpadliśmy.

A może to właśnie jest trop – może Hanne i Peter zajmowali się czymś, co z jakiegoś powodu postanowili trzymać przed nami w tajemnicy.

Andreas macha do mnie ręką na powitanie. Resztki jego szafranowej bułki leżą na stole. Siedzi mocno odchyłony na krześle i trzyma nogi na blacie. Co prawda zdjął buty, ale mimo wszystko. W końcu to biuro, nawet jeśli w najwyższym stopniu prowizoryczne, miejsce pracy, a nie jego pieprzony prywatny salon. Jedna ręka zwisa bezwładnie z oparcia drugiego krzesła stojącego obok, a w drugiej trzyma w palcach szczyptę snusu.

Nie cierpię facetów zażywających snus.

– Cześć – mówi i uśmiecha się tak szeroko, że spod górnej wargi ukazuje się ciemna prymka tytoniu.

– Cześć – odpowiadam, zdejmując puchową kurtkę.

Niemal w tej samej chwili rozlega się pukanie do drzwi i do środka wkracza około siedemdziesięcioletnia szczupła kobieta. Bujne kręcone siwe włosy wymykają się spod ciepłej baranicy na głowie, a jej wielkie okulary po znalezieniu się w ciepłe natychmiast zachodzą mgłą.

Ragnhild Sahlén.

Ragnhild mieszka po tej samej stronie, gdzie znajduje się stara fabryka Triåkungen, gdzie teraz jest ośrodek dla uchodźców. Po sąsiedzku z zielonym domem, w którym kiedyś mieszkał Kenny.

Jak zawsze kiedy przypominam sobie swojego dawnego chłopaka, czuję nieprzyjemne ssanie w żołądku. Chodziliśmy ze sobą od mojego piętnastego roku życia aż do tamtej deszczowej nocy w październiku 2011 roku. Miałam wtedy siedemnaście lat i nie byłam jeszcze dojrzała na tyle, aby poradzić sobie z takim wydarzeniem.

Czy to w ogóle kiedykolwiek będzie możliwe?

– Witaj, Ragnhild – mówię do niej.

Ragnhild zdejmuje okulary i pociera je o rękaw swetra wystającego spod kurtki.

Zanim przeszła na emeryturę, pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej w Vingåker. Już w podeszłym wieku zaczęła działać w miejscowym stowarzyszeniu, do którego należy trójka seniorów z Ormbergu. Nie wiem, co dokładnie robią, ale słyszałam, że bardzo się angażują na rzecz starej fabryki. Podobno chcą ją odnowić i otworzyć w niej muzeum i dlatego prowadzą ciągłą walkę z gminą, żeby wyciągnąć od niej pieniądze na projekt.

– Malin, wielkie nieba. Trochę cię tu nie było.

– Dwa lata – wyjaśniam.

– Powinnaś przyjeżdżać częściej – bąka i wkłada z powrotem okulary na nos. – Coś mi się zdaje, że... przydałoby się trochę odnowić obejście.

Mam ochotę ją spytać, czy wyglądam na pieprzonego cieślę, ale oczywiście tego nie

robię, bo tak naprawdę nie mówi o domu, tylko o mojej mamie. Ragnhild próbuje powiedzieć mi w ten sposób, że m a m a chyba mnie potrzebuje. Możliwe, że tak jest, ale ja potrzebuję zupełnie czego innego, niż gnić w Ormbergu.

– Możemy pani w czymś pomóc? – pyta Andreas, zdjawszy nogi ze stołu.

– Chcę zgłosić kradzież – mówi Ragnhild i prostuje się trochę.

– Przykro mi, ale zajmujemy się śledztwem w sprawie dziewczynki z Ormbergu. Żeby zgłosić kradzież, musi pani jechać do Vingåker. Mają tam otwarte w godzinach...

– Do czego to podobne – przerywa mi Ragnhild. – Po jakie licha grzebać w tej starej historii? Przecież to do niczego nie doprowadzi. A ja, chociaż naprawdę potrzebuję pomocy, mam jechać do Vingåker! Jaki to ma sens?

– Niestety nic na to nie poradzę – odpowiadam, starając się brzmieć empatycznie, choć tak naprawdę wolałabym, żeby już sobie poszła.

Zapada cisza. Ragnhild robi zamyśloną i trochę podstępna minę, jakby się zastanawiała, jak ma rozbroić moje argumenty.

– A co się stało? – pyta Andreas, na co mam ochotę porządnie kopnąć go w łydkę, lecz stoję zbyt daleko od niego.

– Chodzi o jednego z imigrantów z ośrodka. Młodego muzułmanina. Widziałam go z kradzionym rowerem. Takim wyścigowym, jakimi jeżdżą w Tour de France.

Myśl, że Ragnhild miałyby oglądać Tour de France, jest tak absurdalna, że nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Widziała pani, jak ten chłopak ukradł rower? – dopytuje Andreas, który najwyraźniej jeszcze nie zrozumiał, że Ragnhild nigdy nie da nam spokoju, jeśli pozwolimy jej dalej paplać. Że ktoś taki jak ona jest znacznie bardziej wytrzymały niż superklej. I skończy się tym, że całe dni będziemy poświęcać na ganieńnię za zaginionymi kotami i za grafficiarzami.

Ragnhild znowu zdejmuje gigantyczne okulary, przeciera sobie oczy i nerwowo przenosi ciężar ciała z jednej chudej nogi na drugą. Pod jej ciężkimi butami na grubych podszwach tworzą się nieduże kałuże roztopionego śniegu.

– Nie, przecież mówiłam, że widziałam go z e skradzionym rowerem – odpowiada.

– A czyj to rower? – pyta Andreas, sięgając po notes.

– A skąd mam wiedzieć?

Na szyi Ragnhild rozlewają się coraz większe czerwone plamy.

Andreas zamiera; wygląda na zdezorientowanego.

– To skąd pani wie, że on w ogóle był kradziony? – rzuca wreszcie. – Skoro pani ani nie wie, do kogo on należy, ani nie widziała pani, jak ten człowiek go kradł?

Ragnhild mocno ściska okulary w dłoni i odchrząkuje.

– Przecież to zrozumiałe samo przez się. Tych ludzi nie stać na rowery wyścigowe. Czyli chłopak musiał go ukraść. A jeśli to gmina zafundowała taki rower, to ją pozwę, bo ukradła m o j e pieniądze. Przez całe swoje życie uczciwie płaciłam podatki. Czy wiecie, ile

kosztuje taki rower? J a wiem, bo identyczny ma córka Siva. On zapłacił za niego dwadzieścia tysięcy.

Andreas patrzy na mnie porozumiewawczo.

– Jak już wspomniałam – zwracam się do Ragnhild – ogromnie mi przykro, ale jesteśmy bardzo zajęci. Musi pani porozmawiać z policją w Vingåker, jeśli chce pani to zgłosić.

Mija jeszcze dziesięć minut, zanim udaje nam się jej pozbyć. Obrażona trzaska drzwiami z takim rozmachem, że w dawnym lokalu sklepowym spada coś na podłogę.

Żadne z nas nie rusza się, aby sprawdzić, co się stało.

– Co to za babsko! – rzuca Andreas, podkreślając każde słowo.

– Ragnhild to... Ragnhild – mówię, kiwając głową.

– Chociaż oczywiście nie można wykluczyć, że ma rację – ciągnie Andreas, bębniąc długopisem w stół.

– Oczywiście. Nawet Ragnhild może mieć rację. Czasami.

– W jednym z ośrodków dla uchodźców pod Örebro mamy sporo problemów – mówi Andreas. – Głównie chodzi o bójkę i wewnętrzne porachunki. Ci ludzie nie umieją żyć ze sobą w zgodzie.

– Można by oczekiwać, że powinni bardziej się starać, skoro już ich przyjęliśmy. Mimo że mają za sobą trudne doświadczenia i tak dalej. Bo przecież mają. I ja to rozumiem.

Przypominają mi się doniesienia z programów informacyjnych. Obrazy bomb spadających na Aleppo i martwych dzieci na brzegu Morza Śródziemnego. Kiedy w telewizji pokazują coś takiego, od razu wyłączam telewizor. Nikt nie powinien porzucać swojego domu z powodu wojny i głodu, a już na pewno nie dzieci. Z drugiej strony jednak nie możemy przyjąć wszystkich. W końcu jesteśmy niewielkim krajem, leżącym cholernie daleko od tych wszystkich ognisk zapalnych.

Poza tym wydaje mi się, że oni lepiej by się czuli w kulturze bliższej ich własnej. Szwecja jest dosyć rozwinięta i postępową, kobiety mają w niej takie same prawa jak mężczyźni. Już na samą myśl, że ktoś miałby zmusić mnie do noszenia burki, ogarnia mnie wściekłość.

Ale skoro już mimo wszystko musieliśmy ich przyjąć: dlaczego akurat padło na Ormberg, małą osadę, położoną na uboczu i mającą wiele swoich problemów? Dlaczego nie wybrano większej miejscowości, ze sprawną infrastrukturą i możliwościami pracy?

I n n e j miejscowości.

– O czym myślisz? – pyta mnie Andreas.

– O niczym. Coś nowego w sprawie Petera?

Andreas kręci ze smutkiem głową.

– Nic. Zupełnie jakby rozpułnął się w powietrzu. Właśnie rozmawiałem ze Svantem. Dwa dni intensywnych poszukiwań i jedyne, co udało się znaleźć, to jakiś... pieprzony cekin.

Milknijemy oboje, a przed oczami znowu staje mi twarz Petera.

On i Hanne. Dziwna z nich para. Nie tylko dlatego, że ona jest starsza od niego, ale to ona

wydaje się nadawać ton i decydować, mimo że nie mówi szczególnie dużo. Peter najczęściej chodzi za nią jak wierny pies.

Wygląda na bardzo do niej przywiązanego. Nie wyraża tego słowami, ale widać to po tym, jak zachowuje się wobec niej: jak nakrywa jej ramiona kurtką, kiedy w biurze robi się chłodno, jak jeździ aż do Vingåker, żeby kupić herbatę, którą ona lubi, jak wodzi za nią wzrokiem, kiedy ona chodzi po pokoju.

Tak, myślę, że naprawdę ją kocha.

– Co myślisz o tym, co było na jej dłoni? – pyta Andreas.

Wzruszam ramionami i przypominam sobie cyfry napisane tuszem na spękanej skórze dłoni Hanne.

– Może to początek numeru telefonu. Albo jakiś swego rodzaju kod. Coś, co chciała zapamiętać, a nie mogła albo nie chciała zapisać w dzienniku.

– Współrzędne GPS? – podsuwa Andreas.

– Nie, nie zgadzają się. W każdym razie nie w odniesieniu do Sörmlandu. Sprawdziłam.

Andreas przewraca kilka kartek w notesie.

– Svante zebrał informacje od operatora komórkowego – zaczyna. – Ani Peter, ani Hanne nie pojechali w piątkowy wieczór do Katrineholmu, chociaż mówili ci, że się tam wybierają. W każdym razie ich komórki zostały tu, w Ormbergu. Telefon Hanne zalogował się w stacji bazowej przy autostradzie w piątek wieczorem, około siódmej, potem nie był już aktywny. A komórka Petera zalogowała się w tej samej stacji mniej więcej o ósmej. Nie jestem do końca przekonany, jak to interpretować, nie sądzę jednak, aby we dwoje opuścili Ormberg. Oprócz tego przejrzałem wykaz ich rozmów i esemesów z ostatnich dni. Jeśli chcesz, możesz też go sprawdzić, ale nie znalazłem w nim nic szczególnego. A karta bankowa Petera nie była używana od ostatniego piątku.

– Wobec tego co robili w lesie? – pytam.

– Otóż to, co oni, do cholery, robili w lesie? Gadałem też z technikami. Obok miejsca, gdzie znaleziono Hanne, rzeczywiście widoczne były swego rodzaju odciski. Ktoś chodził po błocie w szpilkach. I dokładnie tam wypatrzone ten cekin.

– Czyli ta kobieta z samochodu, która natrafiła na Hanne, miała rację, kiedy mówiła, że widziała dziewczynę w cekinowej sukience i w butach na szpilkach.

– Na to wygląda. Ale to i tak nic nam nie daje. Za dużo pytań pozostaje bez odpowiedzi. Dokąd Hanne i Peter się wybrali? Gdzie on teraz jest? Kim była ta wystrojona dziewczyna i co robiła w lesie? I gdzie, do kurwy nędzy, jest samochód Petera?

Na chwilę zapada milczenie. Nasza frustracja jest wyczuwalna niemal fizycznie.

W końcu Andreas podnosi na mnie wzrok i kołysząc się nieznacznie na krześle, uśmiecha się.

– Posłuchaj – mówi z ożywieniem, jakby nagle przyszło mu do głowy coś ważnego.

– Tak?

– Co ty na to, żeby wieczorem wybrać się razem do Vingåker na piwo?

Czuję wzbierającą na nowo irytację. A już prawie zaczynałam go lubić...

– Dziś wieczorem nie mogę. – Po chwili wahania dodaję: – Poza tym jestem zaręczona i za pięć miesięcy przenoszę się do Sztokholmu.

– I?

Uśmiech na twarzy Andreasa robi się jeszcze szerszy. Upuszcza długopis na stół i przesadnie powoli gładzi dłonią swój zarost, a następnie za pomocą kciuka i palca wskazującego wyjmuję prymkę spod górnej wargi i wkłada ją do puszki.

Wzbudza we mnie obrzydzenie.

Wszystko w nim budzi moją odrazę: pełen samozadowolenia uśmiech i wyniosłe zignorowanie odmowy. Jakby nasza konwersacja była tylko zabawą, wystudiowaną i teatralną grą wstępną.

– Pewnie uważasz, że nikt nie może ci się oprzeć, co?

Andreas, nie spuszczając ze mnie wzroku, odpowiada:

– Nie, ale uważam, że tobie trudno się oprzeć.

Zbaraniałam.

Nim udaje mi się sformułować zabójczą odpowiedź, taką, która poszłaby mu w pięty, słyszę, że otwierają się drzwi i czyjeś ciężkie kroki zbliżają się od strony sąsiedniego pomieszczenia.

Andreas nie reaguje na nie, tylko wciąż się uśmiechając, gapi się na mnie, jakbym była jakimś cholernym zwierzakiem na wystawie. Kotem o pięciu nogach albo cielęciem o dwóch głowach.

Kipię z wściekłości.

Do środka wchodzi Manfred, więc chcąc nie chcąc, muszę się opanować. Gdy kiedyś wcześniej ścięłam się z Andreasem, zauważyłam jego przeszywająco ostre spojrzenie. W ten sposób dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie akceptuje kłótni.

Manfred staje pośrodku kantorka, powoli rozpina płaszcz i nic nie mówiąc, mierzy nas wzrokiem. Z nogawek spodni skapują mu krople wilgoci. Potem siada na jednym z wolnych krzeseł, pochyla się i spogląda najpierw na Andreasa, a sekundę później na mnie.

– Znalaziono ciało przy kopcu – oznajmia.

– Petera? – mówię szeptem, czując, jak ściska mi się żołądek.

Manfred kręci głową. Jego oczy są puste i mroczne.

– Nie, to kobieta.

– Ale...? – Urywam, gdy dociera do mnie znaczenie tego, co przed chwilą powiedział. – Ale? – powtarzam.

– Pojedziemy tam teraz – oświadcza Manfred.



# Jake

**A**utobus szkolny wyrzuca nas w centrum.

Saga i ja zostajemy przy dawnym sklepie spożywczym, podczas gdy pozostali ruszają w różnych kierunkach.

Tata mówi, że najlepsza w Ormbergu jest przyroda, w całej Szwecji nie ma ładniejszej. Atrakcją są też polowania – nie brakuje tu saren, łosi ani dzików. Nie zgadzam się z nim – według mnie najfajniejsze są wszystkie puste domy, w których można przesiadywać. Jeszcze kilka miesięcy temu zawsze po szkole chodziliśmy z Sagą do starego spożywczaka, ale potem ktoś zawiesił na drzwiach piekielnie dużą kłódkę.

A teraz roi się tam od glin.

Saga grzebie czubkiem buta w śniegu i odgarnąwszy sobie różową grzywkę z oczu, zagląda do środka przez dużą i brudną szybę wystawową.

Na zapleczu pali się światło – ciepły blask pada na podłogę, dostrzegam na niej dmuchawę. Widzę, że ktoś musiał zrobić porządek: po puszkach po piwie i starych gazetach nie ma nawet śladu.

– Myślisz, że go znajdą? – pyta Saga.

Spoglądam na auta zaparkowane przed sklepem i myślę o P, mężu Hanne, który przepadł gdzieś w lesie. Myślę też o wszystkich ludziach, którzy go szukają: ze straży obywatelskiej i z tego dziwnego stowarzyszenia stworzonego do poszukiwania zaginionych.

Tata mówi, że to tylko kwestia czasu, jak natrafią na niego zamarzniętego na kość. Twierdzi, że o tej porze roku nikt nie jest w stanie przeżyć w lesie kilku nocy z rzędu, a już na pewno nie sztokholmczyk bez wyposażenia i doświadczenia.

– A jeśli ktoś go zabił? – rzuca Saga i przysunąwszy twarz do szyby, osłania ją dłońmi i zapuszcza żurawia do środka.

Po chwili jednak traci zainteresowanie i wsunąwszy ręce do kieszeni kurtki, odwraca się do mnie.

– A jeśli u nas mieszka jakiś morderca? – kontynuuje przytłumionym głosem, jakby się bała, że ktoś mógłby ją usłyszeć. – Może to ten sam koleś, który zabił tamtą małą?

– Morderca? W Ormbergu? Chyba żartujesz. Poza tym tamta historia zdarzyła się cholernie dawno temu.

Saga wygląda na zakłopotaną i lekko wzrusza ramionami.

– A dlaczego nie? Mama mówi, że Gunnar byłby w stanie zabić każdego bez mrugnięcia okiem.

– Gunnar Sten? Czy on nie ma przypadkiem ze stu lat?

– No właśnie o to chodzi. Jest na tyle stary, że mógłby zabić tamtą małą te dwadzieścia lat temu. To kawał drania. Podobno w młodości pobił prawie na śmierć jakiegoś gościa nad jeziorem. Walił go kamieniem w głowę, dopóki facet nie stracił przytomności.

– Poważnie?

Saga kiwa głową i patrzy na mnie z powagą. W świetle zmierzchu jej jasne oczy wyglądają prawie na zielone.

– No dobra – mówi znowu. – Kto twoim zdaniem mógłby to być?

Zastanawiam się przez chwilę. Według mnie w Ormbergu na pewno nie ma nikogo takiego, kto potrafiłby kogoś zabić. Wszyscy, którzy tu mieszkają, są mili i potwornie nudni. Pewnie, że jest paru stukniętych dziadków i pokręconych bab. Większość jednak jest całkiem normalna. Z wyjątkiem uchodźców oczywiście. Ale ich nie znam, oni mieszkają w starej fabryce Triåkungen, a my nigdy się tam nie kręcimy.

– Ktoś ze Skogów? – sugeruje Saga.

Z ociąganiem kiwam głową.

Rodzina Skogów mieszka w gospodarstwie nad jeziorem. Pochodzą ze Sztokholmu, hodują konie i w ogóle nie zadają się z ludźmi ze wsi. Tata mówi, że są na to z a w y t w o r n i. Nie wiem, co tak naprawdę ma na myśli, bo nie umiem sobie wyobrazić, co może być wytwornego w uprzątnięciu całymi dniami końskiego łąjna ze stajni.

Dla mnie są szurnięci.

Ale żeby od razu mordercy?

Kręcę głową.

– Nie, już wiem! – mówi Saga. – Ragnhild Sahlén!

– No co ty. Ta starucha!

Saga jednak łapie mnie gorączkowo za rękaw i kontynuuje:

– Przecież zabiła brata.

– A czy przypadkiem sam nie uciął sobie nogi piłą mechaniczną?

Uchwyt na moim ramieniu twardnieje. Saga przyciąga mnie bliżej siebie i zniża głos:

– Bo Ragnhild stała przy nim i ciosała mu kołki na głowie, tak. I podobno potem użyła popiołu po nim jako nawozu pod krzaki malin. Później zrobiła z malin galaretkę i dała ją jego dziewczynie.

– Serio?

– Słowo honoru – zapewnia. – Albo to René Stillman – dodaje po chwili z konspiracyjnym uśmiechem.

– A dlaczego miałyby zabić policjanta?

– Słyszałam, że zarobiła potworną kasę na tych swoich psich ubrankach. Podobno miliony. I chce budować basen na wiosnę.

– Okej, ale to przecież nie znaczy, że jest morderczynią.

Saga wzrusza ramionami. Wygląda na urażoną. Owija się szczelniej kurtką i staje tyłem do lodowato zimnego wiatru.

– To ja już nie wiem. Masz jakiś lepszy pomysł?

Nie mam.

Ormberg jest po prostu chorobliwie nieciekawym. Nie umiem sobie wyobrazić, żeby w jednym z tych czerwonych domów rozrzuconych po lesie mógł się kryć morderca. Żeby ktoś z tych wszystkich ludzi, których znam od małego, umiał odebrać życie innemu człowiekowi.

– To może jakiś uchodźca? – podpowiadam.

Saga kręci przecząco głową.

– Przecież są tu od niedawna. A ta mała zginęła już cholernie dawno temu.

Faktycznie. Czyli to nie mógł być żaden z uchodźców.

Nagle drzwi starego spożywczaka otwierają się z przeciągłym skrzypnięciem i ukazują się w nich mężczyzna w wieku mojego taty. Jest wysoki, gruby i ubrany jak maklerzy giełdowi w serialu telewizyjnym, który wczoraj zacząłem oglądać. Brązowy płaszcz napina się na jego brzuchu, kiedy odwraca się w naszą stronę.

Za nim wychodzi ciemnowłosa mężczyzna wyglądający na młodszego, a potem Malin, która została policjantką i udaje potwornie ważną tylko dlatego, że pracuje w Katrineholmie.

Tak przynajmniej mówi tata.

Wszyscy troje biegną do dużego czarnego SUV-a zaparkowanego przed sklepem.

– Kurde, ale im się spieszy – rzuca Saga.

– Może coś się stało?

My też ruszamy z miejsca. Saga zarzuca szkolny plecak na ramię.

– Mogę na trochę iść do ciebie – mówi. – Mamy nie ma w domu, pojechała spotkać się z Björnem.

Björn Falk to nowy facet jej mamy. Dureń, który przez okrągły rok chodzi w czapce i rozbija się po okolicy zdecydowanie za drogim samochodem. Kupił go sobie za spadek, ale niedługo mu się skończy.

– To co? – dopytuje Saga. – Iść do ciebie?

Myślę o tacie, o stosach puszek po piwie i gorze brudnych naczyń w kuchni. O kanapie w dużym pokoju zamienionej przez niego w łóżko i o kocu w kratkę, którym zawsze ma nakryte ramiona.

– Może. Ale muszę najpierw pogadać z tatą. Wyślę ci esemesa.

Saga kiwa głową, kuląc się przed wiatrem.

– To na razie! Odezwij się.

– Jasne.

Oddała się w kierunku kościoła. Kiedy przyspiesza kroku, plecak podskakuje na jej ramieniu.

Tak jak przypuszczałem, tata rzeczywiście śpi na kanapie. Jego chrapanie słyhać już w przedpokoju. Wchodzę do pokoju – teraz chrapanie przechodzi w przytłumione mruczenie dużego kota. W powietrzu unosi się mdły zapach potu i ciepłego piwa. Koc w kratę zsunął się na podłogę i leży skłębiony w nogach kanapy.

Schylam się, żeby go podnieść, i wtedy zauważam, że coś wystaje spod sofy. Przykucam, wsuwam pod nią dłoń i po omacku wyczuwam palcami zimny cylindryczny metalowy przedmiot.

Dopiero po kilku sekundach uzmysławiam sobie, że to lufa strzelby myśliwskiej.

Tylko dlaczego leży tutaj, pod kanapą?

Tata nie ma pozwolenia na broń, zdarza się jednak, że pożyczą ją sobie od Ollego i poluje. Ale ostatnio nie byli chyba na żadnym polowaniu?

Ostrożnie wsuwam strzelbę głębiej, aby nie było jej widać. Szuranie po podłodze sprawia, że tata lekko się wzdryga i mamrocze coś przez sen.

Melinda wchodzi do pokoju z podniesionymi rękami, jakby chciała mi w ten sposób powiedzieć, że powinienem zachowywać się ciszej.

– Nie budź go – szepcze. – Ojciec był w cholernie gównianym humorze, na szczęście zorganizowałam mu coś do jedzenia i potem usnął.

Kiedy jej słucham, zaczynam myśleć, że oboje rozmawiamy o tacie tak, jakby był małym dzieckiem, a Melinda i ja bylibyśmy jego rodzicami.

Wychodzimy do przedpokoju.

– Stało się coś? – pytam.

– Niby dlaczego? – dziwi się Melinda.

– No bo był zły.

– A, to masz na myśli. Nie wiem. Nie chciał mi nic powiedzieć. Ale zachowywał się tak jak zawsze, kiedy go coś gryzie. Chodził po pokoju tam i z powrotem.

Czuję chłód w piersi. Nie chcę, żeby tatę coś gryzło, zwłaszcza kiedy pod kanapą leży broń. Wmawiam sobie, że musi istnieć jakieś naturalne wyjaśnienie, dlaczego strzelba jest tutaj. Może zamierza wybrać się do Ollego i ustrzelić sarnę.

– Zjadł wszystko, co było do jedzenia – mówi Melinda, ruszając po schodach na górę. – Ale sprawdź jeszcze w lodówce. Powinno być kilka czekoladowych kulek.

Idę do kuchni i otwieram lodówkę. Znajduję opakowanie tych smakołyków, wydaję trzy sztuki i nalewam sobie colę do szklanki. Potem walę mocno w dystrybutor lodu wbudowany w lodówkę, żeby uwolnić parę kawałków.

Za każdym razem wygląda to jak walka z jednorękim bandytą.

Wreszcie idę do swojego pokoju – przez cały dzień myślałem, co dalej z Hanne. Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do domu, żeby móc dalej czytać jej historię.

Wyjmuję dziennik i siadam na łóżku. Otwieram go na stronie z zagiętym rogiem

i wpycham sobie do ust czekoladową kulkę.

Ranek.

Stała się rzecz najgorsza z możliwych!

Byłam tak strasznie zmęczona, kiedy zadzwonił budzik, że się nie obudziłam. Gdy w końcu otworzyłam oczy, P siedział nagi na małym fotelu przy oknie.

Czytał mój dziennik!

Krzyknęłam, zerwałam się z łóżka, podskoczyłam do niego i wyrwałam mu dziennik z rąk.

P nie próbował mnie powstrzymać, tylko patrzył na mnie z mieszaniną zdziwienia i lęku. Dopiero po chwili zrozumiałam, że jest chyba przerażony. Śmiertelnie wystraszony. Właściwie trudno się dziwić – z nas dwojga to ja byłam zawsze emocjonalnie silniejsza. Opanowana i niezawodna.

Co będzie, jeśli przestanę być silna? Jak P sobie poradzi?

Kto będzie jego opoką, kiedy mnie zabraknie?

Jedliśmy śniadanie. P ścisnął mi mocno dłoń. Powiedział, że mnie kocha i że nic tego nie zmieni.

Ucieszyłam się oczywiście, ale jednocześnie czułam się przyłapaną i strasznie upokorzona. Jakbym ukradła mu pieniądze z portfela, chociaż to przecież on po kryjomu czytał mój dziennik.

To niesamowite, że choroba może wiązać się z takim wstydem!

W biurze.

Właśnie mieliśmy spotkanie. Po raz kolejny analizowaliśmy materiały dochodzeniowe: raport lekarza medycyny sądowej, raport techników, protokoły przesłuchań.

Manfred rozmawiał z emerytowanym prokuratorem, który kierował przed laty dochodzeniem wstępnym. Ten człowiek powiedział, że „nigdy nie kupił teorii o wypadku drogowym”. Uważał, że to sprawka pedofila.

Mam wątpliwości co do tej hipotezy. Ale teraz najważniejsze to zidentyfikować tamtą małą.

Chcemy spotkać się z lekarzem sądowym, żeby dowiedzieć się więcej o dziewczynce z Ormbergu. Manfreda interesuje zwłaszcza stare uszkodzenie jej nadgarstka. Uważa, że to może nam pomóc w ustaleniu jej tożsamości. Najwyraźniej w poprzednim dochodzeniu nie zwrócono na to należytej uwagi. Manfred był tym oburzony. Nazwał całą grupę dochodzeniową sprzed lat „zbieraniną niekompetentnych obiboków”.

Być może ma rację.

Mam NADZIEJĘ, że ma rację. Bo jeśli nie, to nic tu po nas.

# Malin

Zatrzymujemy się za innymi samochodami zaparkowanymi wzdłuż szosy.

Jest już prawie całkiem ciemno. Zrobiło się też chyba jeszcze zimniej, bo kiedy zmierzamy w stronę skraju lasu, mróz szczybie w policzki, a śnieg skrzypi pod stopami.

Manfred kieruje dużą latarkę na drzewa i robi krok nad niewielkim rowem oddzielającym drogę od lasu.

Kamienny kopiec.

Przypominam sobie wszystkie moje wypadki tutaj, kiedy byłam nastolatką. Nie tylko w tamten nieszczęsny wieczór, gdy znaleźliśmy dziewczynkę z Ormbergu. W mgliste dni powszednie, kiedy mróz wciąż jeszcze trzymał ziemię w swoim lodowatym uścisku. W rozgwieżdżone sierpniowe noce, gdy razem z kumplami próbowaliśmy wywoływać duchy, które w naszym przekonaniu mieszkały w tym miejscu. Pamiętam, jak filiżanka z duraleksu przesuwiała się w blasku świecy po pomiętym arkuszu papieru między literami popychana naszymi palcami, podczas gdy komary jadły nas żywcem.

Swoją drogą, jak powstała legenda o upiorku? I kiedy? Czy to było przed znalezieniem szkieletu czy później?

Muszę zapytać mamę.

– Co wiemy o martwej kobiecie? – pyta Andreas. – Czy to może być tamta dziewczyna w cekinowej sukience?

– Nie wiemy nic a nic – odpowiada Manfred, brodząc w lśniących półbutach przez dziesięciocentymetrową warstwę śniegu.

On tu rzeczywiście nie pasuje, przecież nie można łązić po śniegu we włoskich butach szytych na miarę, nie narażając się na opinię kompletnego krety. Na dodatek można odmrozić sobie palce.

Tyle powinien zrozumieć nawet sztokholmczyk.

Gałęzie świerków uginają się pod ciężarem śniegu, który spadł w ciągu ostatnich dni. Jest pięknie jak na widokówce i kompletnie cicho, jakby spał cały las.

Manfred porusza się zadziwiająco szybko. Jego długie nogi zręcznie omijają przysypane śniegiem wykroty i kamienie.

Andreas odwraca się do mnie.

Spotykam jego spojrzenie. Moja noga zapada się w śniegu wypełniającym jakiś dołek.

Andreas przystaje i podaje mi rękę.

Gdy dziękuję mu skinieniem głowy, gałąź uderza mnie w twarz i świeży biały puch wpada

mi za kołnierz. Wciskam głęboko dłonie do kieszeni kurtki, żeby je ogrzać. Rękawiczki zostawiłam oczywiście w samochodzie.

Las się przerzedza i między drzewami pokazuje się słabe światło. Chwilę później wychodzimy na polanę skąpaną w jasności. Przed nami wyłania się sylwetka Ormberget wznosząca się ku niebu. Wierzchołek zlewa się z ciemnością. Nie sposób dostrzec, gdzie kończy się góra, a gdzie rozciąga się czarny bezkres.

Jakby Ormberget była bezpośrednio połączona z niebem.

Kamienny kopiec leży przykryty śniegiem. Duże przenośne reflektory są rozstawione obok wysokiego świerku na skraju lasu i trzy postacie w białych kombinezonach i maseczkach na twarzach tkwią przycupnięte przy drzewie. Jedna z nich trzyma w rękach kamerę, kilka metrów dalej widać w śniegu duże torby i kufry.

Technicy.

Koledzy z miejscowej policji są już na miejscu, niebiesko-biała taśma odgradzająca łopocze w słabym wietrze. W równych odstępach czasu miga światło lampy błyskowej.

Manfred odwraca się do mnie i Andreasa. Jego twarz nic nie zdradza, zauważam jednak, że bez przerwy zamyka i otwiera pięść, jakby ścisnął w niej niewidzialną piłeczkę.

Oczywiście jesteśmy niesamowicie wdzięczni, że to nie Petera znaleziono martwego w śniegu. Ale jednocześnie sytuacja jest trochę absurda: przez ostatnie dwa dni setki ludzi przeczesywały lasy w poszukiwaniu właśnie jego i gdy w końcu na kogoś natrafiają, okazuje się, że to ktoś inny.

Podchodzimy do Svantego, policjanta z Örebro kierującego dochodzeniem w sprawie zaginięcia Petera.

Gdy nas zauważa, unosi rękę.

Ma na głowie wciąż tę samą kolorową czapkę z pomponem. Z brodą pokrytą szronem przypomina mi po raz kolejny Świętego Mikołaja. Prawdziwego, starodawnego Mikołaja, który przynosi worek prezentów i bierze wszystkie dzieci po kolei na kolana.

Widzę kątem oka, jak Svante zezuje na drogi płaszcz Manfreda. Jedwabna poszetka wystająca z kieszonki marynarki trochę oklapła, jak spragniona wody egzotyczna roślina w doniczce.

– Co to, do cholery, ma być? – rzuca Manfred, wskazując głową na ciało pod lasem i przeciągając dłonią po szorstkim zaroście. – Szukamy kolegi, po którym zaginął wszelki ślad, a natrafiamy na zastrzeloną kobietę.

– Zgadza się – potakuje Svante. – Mogę tylko potwierdzić. To kurewsko dziwne. Zaraz zbriefuję was, co wiemy. Ale niedługo po tym, jak do was zadzwoniłem, znaleźliśmy coś jeszcze.

Manfred marszczy czoło i pręży się do tyłu. Jego duży brzuch rysuje się wyraźnie pod płaszczem.

– Co takiego?



Svante daje nam znak, aby iść za nim, i sam rusza w stronę czegoś w rodzaju dużej walizki z czarnego tworzywa sztucznego, stojącej w śniegu obok jednego z reflektorów.

Pochyla się i podnosi przezroczystą foliową torbę. Następnie podaje ją Manfredowi i kieruje na nią światło latarki.

Manfred przygląda się zawartości. W torbie znajduje się niebieski but sportowy, pokryty dużymi brązowymi plamami oraz grudami na wpół stopionego śniegu.

Nabieram głęboko powietrza.

– To but Hanne – mówię.

Manfred kiwa głową.

– Hanne? – pyta Svante. – Tej, co straciła pamięć?

– Tak – potwierdza Manfred. – Gdzie go znaleźliście?

– Około dwudziestu metrów od ciała. W lesie. Nigdy byśmy nie wypatrzyli go pod śniegiem, gdyby nie Rocky. Nasz pies.

Manfred spogląda na mnie, a potem z niedowierzaniem kręci głową, jakby nie docierało do niego, że w foliowej torbie jest rzeczywiście but Hanne.

– Jak, u diabła, się tutaj znalazł? – pyta i oddaje pakunek Svantemu. Potem dodaje: – Gdy skończymy tutaj, pojedziemy porozmawiać z Hanne. Trzeba przynajmniej spróbować.

Milknie na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, i spogląda w stronę góry. Samotny płatek śniegu zatrzymuje się na jego brodzie.

– Mógłby nam pan zrekapitulować, co wiadomo? – zwraca się do Svantego.

– Pies z patrolu znalazł ją pięć po drugiej – odpowiada Svante, wskazując martwą kobietę leżącą w blasku reflektorów. – Nasz lekarz uważa, że nie żyje co najmniej od trzech dób, a może nawet czterech. Minusowe temperatury mamy dopiero od niedzieli, więc gdyby leżała tutaj dłużej, zwłoki byłyby w gorszym stanie. A gdyby leżała krócej, warstwa śniegu na stopie byłaby cieńsza. Jej jedna stopa wystawała mianowicie spod gałęzi i została przysypana śniegiem.

Manfred wygląda na zamyślnego.

– Czy tego terenu wczoraj nie przeszukiwano?

– Owszem – odpowiada Svante. – Ale widocznie ją przeoczono. Pewnie dlatego, że leżała ukryta.

Manfred w milczeniu wiezie wzrokiem po ziemi.

– Powiedział pan, że leży tu od trzech, czterech dni. Czyli umarła w ostatni piątek albo sobotę.

Andreas chrząka głośno.

– Przecież to w tym samym czasie, kiedy... – Nagle milknie i spogląda na ciemny tobołek w śniegu.

– Kiedy zniknął Peter – uzupełnia cicho Manfred. – To nie może być przypadek, że but Hanne leży tutaj. Co wiadomo o ofierze?

– Niewiele – mówi Svante. – Kobieta. Około pięćdziesiątki. Była boso, cienko ubrana. Postrzelona w klatkę piersiową, ze śladami uderzeń tępym narzędziem w głowę.

– Została i postrzelona, i pobita?

Manfred wygląda na zdziwionego.

– Tak – potwierdza Svante. – Może podejźmy bliżej, to wyjaśnię więcej.

Ciemność przeszywają błyski lampy, gdy technicy robią kolejne zdjęcie. Twarz Manfreda wygląda w nagłym blasku na nabrzmiałą i zmęczoną.

Andreas patrzy na przysypany śniegiem kopiec z kamieni, a potem podnosi wzrok ku niebu.

– Co to za pieprzone miejsce? – mówi w końcu, wskazując głową na kopiec.

Nikt mu nie odpowiada, bo co można na to powiedzieć? Trudno oprzeć się odczuciu, że kamienny kopiec to epicentrum zła w tej okolicy.

Myślę o dziewczynce z Ormbergu i wspomnienia powracają z nieoczekiwaną intensywnością. Kiedy przymykam oczy, niemal czuję ciepłą dłoń Kenny’ego w swojej dłoni i słyszę tępe pobrzękiwanie butelek z piwem w jego reklamówce. Pamiętam nieduże strzępiaste liście paproci łaskoczące mnie w uda, kiedy przykucnęłam, żeby się wysikać, pamiętam, jak moje palce dotknęły czegoś białego, gładkiego między kamieniami – co początkowo wzięłam za pieczarkę.

Wszystko wydaje się skupiać tutaj, na tym starym kamiennym kopcu na polanie w lesie.

To musi coś znaczyć, tylko co?

Svante zdejmuje rękawiczki i przyciska grzbiety dłoni do pałaco czerwonych policzków, aby je rozgrzać.

– No to chodźmy – mówi Manfred i rusza jako pierwszy ku skrajowi lasu.

Musimy podchodzić do ciała pojedynczo, ponieważ panele położone w śniegu przez techników są wąskie. Svante idzie jako pierwszy, staje przy zwłokach, po czym kiwa na mnie i na Manfreda.

Plastik ugina się pod naszym ciężarem.

Każdy z nas staje na oddzielnym panelu, a potem przykuca.

Technicy odpłowali najniższe gałęzie świerka, aby można było dostać się do ofiary. Leżą rzucone na stos kilka metrów dalej, a obok nich jest plandeka przysypana trocinami, którą pewnie osłonili ciało podczas odcinania gałęzi.

Kobieta spoczywa pod tym, co pozostało ze świerku, z twarzą odwróconą od nas. Dłonie ma splecione na klatce piersiowej.

Kryształki lodu pokrywają jej ubranie i osobliwie białą skórę na szyi, dłoniach i stopach, błyszczą i skrzac się w intensywnym świetle.

Ofiara ma na sobie czarne dresowe spodnie i niebieską koszulę dzinsową, która wygląda na za dużą. Na piersi rozlewa się spora ciemna plama. Stopy są rzeczywiście gołe, a długie cienkie siwe włosy musiały sięgać chyba aż do talii.

Kiedy spoglądam na krwawą, bezkształtną masę mięsa, która kiedyś była jej twarzą, niemal uginają się pode mną kolana.

*Identycznie jak wtedy z Kennym.*

Przy głowie leży kamień, także zakrwawiony.

Odwracam oczy, próbując zapanować nad mdłościami.

– Mówił pan, że widział ją lekarz? – rzuca Manfred, na pozór nieporuszony.

– Zgadza się – potwierdza Svante.

– I?

– Prawdopodobnie została najpierw śmiertelnie postrzelona, a potem uderzona w głowę.

– W tej kolejności? – upewnia się Manfred.

– Tak. W przeciwnym razie krwawienie z czaszki byłoby znacznie obfitsze. Ale zobaczymy, jakie będą wyniki obdukcji.

– Hm – mruknął Manfred. – I nie wiadomo, kto to jest?

– Nie mamy zielonego pojęcia.

Manfred zwraca się do mnie.

– Nie przypominasz sobie nikogo takiego z Ormbergu?

Zmuszam się i ponownie spoglądam na kobietę. Patrzę na włosy rozsypane po śniegu. Odpycham napierający obraz Kenny'ego.

Kobieta nie wygląda znajomo.

Chociaż twarz ma tak zmasakrowaną, że nie sposób dojrzeć rysów, jestem pewna, że nie pochodzi z Ormbergu. Poznałabym ją.

– Ona nie jest stąd – mówię, myśląc jednocześnie o tym, że to wprost niepojęty zbieg okoliczności: dwie ofiary morderstwa znalezione w tym samym miejscu w odstępie ośmiu lat.

– Jakież ustalenia balistyczne? – pyta Manfred, zwracając się znowu do Svantego.

– Rana postrzałowa w piersi pochodzi z broni automatycznej. Ale na razie nie znaleźliśmy ani nabojów, ani łusek.

– Czy postrzał mógł mieć związek z polowaniem? – próbuje ustalić Manfred.

– Raczej mało prawdopodobne, aby ktoś przez przypadek postrzelił kobietę spacerującą boso po lesie, nie uważa pan?

Svante śmieje się nieznacznie ze swojego komentarza, ale Manfred nie wydaje się rozbawiony.

– A dużo osób poluje tu w okolicy? Wielu ludzi ma broń?

Svante śmieje się jeszcze głośniejszym głosem, pytanie Manfreda zdradziło bowiem, jak rozpaczliwie mało wie on o Ormbergu.

– Gdybym dostał stówę za każdą sztukę broni ukrytej w tutejszych chatach...

Manfred kiwa w milczeniu głową. Potem przekrzywia ją nieco i pochyla się nad ciałem na ziemi.

– Strasznie zmalretowana twarz.

Chcąc nie chcąc, znowu na nią patrzę. W czerwonej bezkształtnej masie zmiądzonych tkanek tkwią oczy – studzienki skrzepniętej krwi.

Kręci mi się w głowie, niewiele brakuje, abym spadła z panelu. Las wiruje wokół, czuję suchość w ustach.

Manfred chwyta mnie za ramię.

– Jeśli masz zamiar zwymiotować, idź stąd – oznajmia sucho.

– Nie, nie, wszystko w porządku.

Wcale nie jest w porządku, ale nie zamierzam się do tego przyznać. Bo przecież sama tego chciałam: ścigać zło, rozpracowywać najbrutalniejsze zbrodnie.

No i się doczekałam. Mam dużo więcej, niż chciałam.

Ale oglądać trupy na zdjęciu czy nawet na stole prosekcyjnym, gdzie kliniczne otoczenie niejako wyklucza grozę – to jedna rzecz, a to tutaj to zupełnie co innego.

Kolejny raz zerkam na twarz kobiety. Na poszarpane, krwawe otwory w niej. Z jednego z nich wystaje mały kawałek kory.

Znowu pojawia się myśl o Kennym i mdłości wracają.

– Koszmarna śmierć – bąka Svante.

Nikt z nas nie odpowiada. Ale nie sposób nie przyznać mu racji.

To takie niesprawiedliwe. Wbrew naturze.

Kobieta pod świerkiem nie jest stara. Mogłaby żyć jeszcze przez wiele lat, gdyby ktoś brutalnie nie zgasił w niej życia.

Była czyjaś córką, może także czyjaś matką i siostrą.

Teraz nie jest już nikim, jedynie kupą zamrożonego mięsa pod okaleczonym drzewem.

Znowu zaczął padać śnieg. Duże płatki wirują wokół nas w porywach wiatru.

Kolejny błysk lampy przesywa mrok.

– Jaki był prawdopodobny przebieg zabójstwa? – pyta Manfred, podnosząc się z wysiłkiem i głośno dysząc.

Panel pod nim ugina się niebezpiecznie, przez sekundę mam wrażenie, że zaraz pęknie pod jego ciężarem.

Svante i ja też wstajemy z kucek.

– Przypuszczalnie najpierw została zastrzelona i potem przywleczona tutaj, pod świerk. Dopiero wtedy sprawca zmasakrował jej twarz. Według nas użył tego kamienia.

Spoglądamy na leżący przy głowie kobiety zakrwawiony kamień wielkości grejpfruta.

Jeszcze jeden błysk lampy.

– Ciekawe – mówi Manfred i znowu przekrzywiwszy głowę, patrzy na ciało w śniegu.

Zaciskam powieki, ale sylwetka martwej kobiety utrwaliła się już na siatkówce. Wgłębienia, które były kiedyś oczami, wpatrują się we mnie.

– A co ze śladami nóg? Da się ustalić, skąd przyszła ofiara albo sprawca?

Svante kręci głową tak mocno, że pompon jego czapki przeskakuje z boku na bok.

– W weekend nie było śniegu, więc...

Manfred kiwa głową.

– Jasne. Nie pomyślałem o tym.

Las znowu zaczyna wirować mi przed oczami, chwytam się ramienia Manfreda.

Następny błysk.

Opuszczam powieki i czuję wzbierającą falę mdłości. Odwracam się i najszybciej jak potrafię, drepczę po panelach w stronę Andreasa, który stoi przy reflektorach.

– Źle się czujesz? – pyta, kiedy przeciskam się obok niego.

– Nie – odpowiadam.

– Na pewno?

Robię jeszcze jeden krok. Dławię się.

Więcej błysków.

Chociaż mam zamknięte powieki, nie jestem w stanie usunąć ze świadomości otaczającej mnie scenarii.

– Przecież mówię, że wszystko w porządku.

– Posłuchaj, technicy chcą pobrać od nas wymazy.

– A to niby dlaczego?

– To rutynowe działanie. Mogliśmy zanieczyścić miejsce zbrodni. Zachowają nasze DNA w rejestrze eliminacyjnym.

– *Whatever* – odpowiadam i otwieram szeroko usta, kiedy podchodzi do nas młoda kobieta w białym stroju.

Wkłada mi wacik między wargi i pociera nim wewnętrzną stronę policzka.

Andreas podchodzi od tyłu. Śnieg chrzęści pod jego stopami.

– Skończyła pani? – pytam kobietę.

– Tak, dziękuję – mówi, wkładając wacik do małej torebki.

Odwracam się i wymiotuję w śnieg.

Przestaję dygotać dopiero pod puchową pierzyną naciągniętą pod samą brodę, leżąc w łóżku w swoim dawnym pokoju.

Dłoń mamy spoczywa ciężko na moim ramieniu, a jej oczy mierzą mnie niespokojnie.

– Na pewno nie napijesz się gorącej herbaty?

– Na pewno. Chcę tylko spać. Dzięki.

Mama pochyla się i całuje mnie lekko w policzek, a potem palcem wskazującym głaszcze mnie po nosie, tak jak robiła to, kiedy byłam małą.

Czuję ciepło promieniujące od jej dłoni i wciągam znajomy, typowy tylko dla niej miły zapach mydła i jedzenia. Część mnie chce wyciągnąć do niej ramiona i zatrzymać ją przy sobie, jakbym wciąż była małą dziewczynką, a ona moim jedynym bezpiecznym oparciem.

Tymczasem leżę nieruchomo i odprowadzam ją wzrokiem, kiedy wychodzi z pokoju i delikatnie zamyka za sobą drzwi.

Na zewnątrz ciemność napiera na okno niczym ogromne czarne zwierzę, przez sekundę ulegam lękowi, że szyba zaraz pęknie i do środka wleje się zimowa noc niczym zimna woda do tonącego statku.

Wiedziałam, że tak będzie – że to dochodzenie obudzi całą masę gówna, które przez lata starałam się wyprzeć z pamięci.

Zaciskam mocno powieki i chwilę później widzę go przed sobą.

Kenny.

Piaskowe, trochę łamiące się włosy. Ukośne zielone oczy i wystające kości policzkowe. Mocne dłonie i miękkie usta. Ramiona pocięte przez komary, a plecy śliskie od potu, kiedy się kochaliśmy.

Tamtego wieczoru, kiedy znaleźliśmy szkielet, właśnie to zrobiliśmy. Nie przypominam sobie, żebyśmy jeszcze potem uprawiali ze sobą seks.

Chodziliśmy ze sobą przez dwa lata – długi czas dla każdego, a dla nas, nastolatków, cała wieczność. Ani trochę nie pasowaliśmy do siebie, mimo to byłam w nim tak zakochana, że niemal robiłam w majtki na jego widok.

Chociaż nie chcę, chociaż staram się okiełznać obrazy, nie potrafię przestać myśleć o tamtym wieczorze jesienią, kiedy wszystko się zawaliło.

Imprezowaliśmy przy starej fabryce. Ja, Kenny, Anders i jeszcze dwie koleżanki. Kenny przyniósł dwie butelki bimbrowa podprowadzone ojcu i wszyscy upiliśmy się na sztywno.

To znaczy oprócz Andersa, który brał jakiś antybiotyk przeciwko anginie i w żadnym wypadku nie mógł łączyć go z alkoholem.

O ile pamiętam, było całkiem fajnie, w każdym razie dopóki jedna z dziewczyn nie puściła pawia Kenny'emu prosto na włosy, przez co musiał wykąpać się w lodowatej rzece, żeby spłukać z siebie rzygowiny.

Po tym impreza się skończyła.

Anders, który właśnie zrobił prawo jazdy, miał odprowadzić stare renault taty Kenny'ego do domu.

Pamiętam, że gdy tylko wsiedliśmy do samochodu, nastrój zaczął się poprawiać, jakby ciepło w ciasnej bryce na nowo obudziło w nas chęć zabawy.

Kenny, siedząc na fotelu pasażera z przodu, rozkręcił stereo na cały regulator, opuścił szyby, żeby wszędzie było słychać muzykę, i krzyknął, że chce piwo.

Wymacałam kilka puszek na podłodze, podniosłam jedną i wyciągnęłam do Kenny'ego rękę ze swojego miejsca tuż za nim, a wtedy...

Cholernie bezsensowna rzecz. Straszne i dziwne zdarzenie, które odcisnęło piętno na następnych latach mojego życia.

Z jakiegoś powodu Kenny się uparł, że wychyli się przez otwarte okno i że ja mam zrobić

to samo przez okno z tyłu i podać mu piwo tamtędy. Odpiął więc pas, stanął na miękkich nogach, chowając głowę między ramiona, żeby nie uderzyć nią w sufit. Potem wysunął ją wraz z górną częścią tułowia przez opuszczoną szybę na zewnątrz.

Otworzyłam puszkę z piwem i przez okno z tyłu podałam ją Kenny'emu, też wychyliwszy się niemal do połowy.

Pamiętam, że krzyczeliśmy głośno do siebie i się śmialiśmy – nasze włosy trzepotały na wietrze, a deszcz zaczął nam w twarze.

Byliśmy bandą pijanych nastolatków w jakiejś zabitej dechami dziurze w środkowej Szwecji, niezdarzących sobie sprawy, że nasza młodość skończy się za niecałą minutę.

Droga leżała rozmyta przed nami w ciemności tego deszczowego jesiennego wieczoru. Tułów Kenny'ego wciąż wystawał niemal w całości poza oknem, gdy nagle zauważyłam coś na skraju drogi, może ze sto metrów przed nami. Krzyknęłam do Kenny'ego, żeby uważał, i usiadłam na swoim siedzeniu. Ale on zamiast zrobić to samo, obrócił się tak, że patrzył przed siebie, w kierunku jazdy.

To wszystko.

Banda rozbrykanych dzieciaków. Idiotyczna zabawa.

Potem nastąpił huk.

Może to wina pogody, że Anders tego nie zauważył, a może rozpraszało go to, co działo się w aucie. Tak czy inaczej, nie dojrzał przyczepy z belami drewna, którą ktoś zostawił na poboczu w tym czasie, kiedy my imprezowaliśmy przy fabryce.

Nie zderzyliśmy się z przyczepą, tylko przejechaliśmy strasznie blisko niej. Na tyle blisko, że jeden z pni trafił go prosto w twarz.

Kenny wyglądał potem dokładnie tak samo jak kobieta przy kopcu.

Nie miał już twarzy.

# Jake

– Ale super!

Saga pochyla się nad wieżą Eiffla, przygląda się jej środkowej części i uśmiecha się szeroko. Jej różowe włosy niemal świecą w blasku biurkowej lampy. Na dworze jest ciemno, nie widać ani lasu, ani rzeki, czarna noc zamieniła okno w lustro.

Nie wysłałem Sadze esemesa – kiedy znalazłem pod kanapą broń taty, zupełnie zapomniałem, że obiecałem się do niej odezwać. Ale ona i tak przyszła, po prostu się pojawiła.

Bo Saga nie prosi o pozwolenie.

Ona robi, co chce, i trzeba to zaakceptować, jeśli chce się z nią kolegować.

– Dzięki – bąkam, spoglądając na swoją wieżę.

– Zrobiłeś ją z samych puszek?

– I użyłem trochę kleju i drutu.

– Ekstra. Jesteś genialny! Wiesz o tym?

Przytula mnie pospiesznie, a potem patrzy mi w oczy.

Czuję ściskanie w żołądku. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Często mi się tak zdarza przy Sadze: po prostu tracę przy niej głowę. Bo albo mówi coś zwariowanego, albo stoi tak blisko jak teraz i wgapia się we mnie. Nie jest to niemiłe, ale nogi robią mi się miękkie jak ugotowane spaghetti i nie mogę otworzyć ust, jakbym miał w nich pełno kamieni.

Saga przebiega przez pokój, wskakuje na łóżko i siada po turecku.

– Dostaniesz za nią szóstkę. *Sweet!*

Podchodzę do łóżka i siadam ostrożnie na drugim końcu, najdalej od niej, jak to możliwe.

– Myślisz, że powinienem ją pomalować?

– Po co? – rzuca, wykrzywiając usta.

– Bo prawdziwa wieża Eiffla jest pomalowana. Na początku była ciemnozielona, a teraz jest brązowa.

Saga przysuwa się bliżej i znowu ssie mnie w żołądku.

– Lepiej, żebyś jej nie malował. Powinno być widać, z czego jest zrobiona, bo to, że jest z puszek po piwie, to jej największa zaleta. Mieliśmy przecież wykorzystać surowce wtórne. Na tym polegało zadanie.

Moje ciało jest sztywne, chociaż próbuję zmusić je, by się odprężyło. Odchylam się, ale ponieważ siedzę ukosem, muszę oprzeć się ręką o ścianę. Ale również ta pozycja wydaje się dziwna: nienaturalna, niewygodna i przede wszystkim trochę niezręczna.



– A ty co zrobiłaś? – pytam.

– Jakoś jeszcze nie wpadłam na nic sensownego. Początkowo chciałam zrobić coś z tamponów. To jest najgorszy zabójca środowiska. Wiesz, ile sprzedaje się ich rocznie?

– Nie.

– No właśnie. Nikt się nad tym nie zastanawia. Tyle że używanych tamponów nikt nie ma ochoty wykorzystywać.

Saga robi minę pełną obrzydzenia i dłubie przy kółku w nosie.

– Dlatego później pomyślałam, że zrobię sukienkę z plastikowych płatków po różnych tabletkach. Moja mama choruje na fibromialgię i łyka strasznie dużo lekarstw. Nazbierałam całą torbę takich pustych płatków. Są nawet całkiem ładne. Srebrne, błyszczące.

– Fajny pomysł.

Podciągam się na łóżku i opieram się o ścianę. Saga wydaje się niebezpiecznie bliska, nie dają już jednak rady siedzieć zgięty jak serowy chrupek.

– Ale wyobraź sobie, że ich nie wystarczy! Nawet na spódnice. Cała torba, a mimo wszystko za mało. Kto by pomyślał!

– Może powinnaś zrobić z nich coś innego?

Saga wzdycha i opiera się o ścianę obok mnie. Jest tak blisko, że czuję ciepło jej ciała na policzku i słyszę jej oddech.

Mam wrażenie, jakby dwa głosy przekrzykiwały się w mojej głowie – jeden chce, abym się od niej odsunął, a drugi każe mi zostać tam, gdzie jestem: tuż obok oddechu, ciepła i słabego zapachu cytrynowych perfum.

– Nie zdążę – bąka.

– Pomogę ci.

Obraca twarz w moją stronę. Jesteśmy tak blisko siebie, że nasze nosy niemal się stykają. Patrząc prosto w jej jasne oczy, widzę piegi pod makijażem i zadarte jak skrzydła ptaka grube czarne kreski na powiekach.

I wtedy ona to robi.

Nachyla się powoli i mnie całuje. Kiedy jej usta muskają moje wargi, coś we mnie eksploduje. W tym momencie nie istnieje nic poza miękkimi ustami Sagi. Pocałunek jest tak delikatny, że niemal niewyczuwalny. Mógłby być złudzeniem, gdyby nie to, że wargi mi płoną, jakbym wypił coś gorącego.

Już nie chcę się przesunąć.

Głos w głowie, który uważał, że siedzę za blisko, ucichł i ustąpił czemu innemu. Teraz mam ochotę objąć ją, przyciągnąć do siebie i odwzajemnić pocałunek. Ale oczywiście nie zdobywam się na to, tylko siedzę nieruchomo i cicho, jakby od tego zależało moje życie.

– Jesteś najlepszy – mówi Saga i brzmi bardzo przekonująco.

Po wyjściu Sagi jeszcze dosyć długo siedzę na łóżku i obmacuję sobie usta. Niby są takie

same jak wcześniej, a jednak wszystko jest inne.

Zadaję sobie pytanie, czy jesteśmy teraz parą, czy też kiedy zobaczymy się następnym razem, wszystko będzie jak wcześniej.

Zastanawiam się, czy jestem zakochany.

Skąd się wie takie rzeczy? Mogę tylko powiedzieć, że czułem się dobrze ze sobą i że coś się jakby zmieniło. Jakbym stał się kimś innym. Jak gdyby komórki w moim ciele zamieniły się miejscami, mimo że na zewnątrz wyglądałam dokładnie tak samo.

Ale oczywiście najbardziej mnie ciekawi, czy Saga jest we mnie zakochana. Wydaje mi się, że tak, tylko czy dalej by mnie lubiła, gdyby wiedziała o p a r a n o i?

Raczej nie.

Wyjmuję dziennik Hanne. Mam niemal wyrzuty sumienia, że nie zdążyłem go doczytać do końca. Bo w jakiś mistyczny sposób wydaje mi się, że już ją dobrze znam. Jakby była moim prawdziwym przyjacielem tylko dlatego, że przeczytałem jej notatki.

A kiedy jest się dobrym przyjacielem, nie zostawia się tej drugiej osoby w potrzebie.

Tylko się ją wspiera, gdy dzieje się coś okropnego.

Ormberg, 24 listopada

Właśnie skończyliśmy naradę przez Skype'a z lekarką sądową (Samirą Khan) z Solny.

Lekarka podsumowała swoje ustalenia: znaleziona w 2009 w Ormbergu dziewczynka leżała w lesie mniej więcej piętnaście lat. Czyli została zamordowana około 1994.

W chwili śmierci miała w przybliżeniu pięć lat, powinna się więc urodzić w 1989 (plus minus kilka lat).

Przyczyną śmierci była prawdopodobnie brutalna przemoc. W tylnej części czaszki stwierdzono wgniecenie z licznymi odpryskami kości. Złamaniu uległo także wiele żeber.

Lekarka nie chciała spekulować, co się stało, ale nadmieniła, że obrażenia mogły powstać w wyniku wypadku albo pobicia.

Na prawej kości promieniowej, tuż nad przegubem, znajdowały się metalowe płytki. Zostały tam umieszczone operacyjnie po złamaniu kości nadgarstka (standardowa, profesjonalnie przeprowadzona operacja). Istniały też ślady na szkielecie obok płytek wskazujące na infekcję (co może nam ewentualnie pomóc w identyfikacji).

Według lekarki operacja nadgarstka została przeprowadzona mniej więcej na początku lat dziewięćdziesiątych; stwierdziła to między innymi na podstawie rodzaju śruby, którą zespolono tytanową płytkę. (Takich śrub używano w Szwecji przez bardzo krótki okres. Jak widać, w tej dziedzinie też bywają mody). Kość właśnie zaczynała się zrastać, gdy dziewczynka umarła. Prawdopodobnie została zamordowana trzy miesiące po operacji.

Andreas i Malin mają skontaktować się ze szpitalami, aby sprawdzić, czy historia któregoś z pacjentów nie odpowiada opisowi. (Podczas poprzedniego dochodzenia tego nie zrobiono).

Obejrzelismy też ubranie dziewczynki, a właściwie to, co z niego pozostało. Większość uległa rozkładowi, ale niebieski sweter ze sztucznej wełny zachował się w dosyć dobrym stanie, włącznie z naszywką na karku z napisem „H&M”.

Od razu nasunęły mi się obrazy, które uwierały.

Kto nie nosił rzeczy z H&M? Ten, kto kupił sweter, nie mógł przewidzieć, że będziemy tu siedzieć dzisiaj, wiele lat później, i patrzeć na zdjęcia szkieletu dziewczynki.

Nie znaleziono żadnych pozostałości butów, co było dosyć osobliwe. (W butach są często elementy plastikowe albo gumowe, które nie rozkładają się tak szybko w środowisku naturalnym).

Na koniec lekarka powiedziała, że dziewczynkę pochowano pod Katrineholmem.

Na kamieniu nagrobnym nie ma nazwiska, wygrawerowano tylko serce i małego ptaka.

Po zakończeniu rozmowy przez Skype'a Malin spytała, czy sprawca nie mógł wziąć sobie butów dziewczynki jako trofeum.

Odpowiedziałam, że to możliwe, choć mało prawdopodobne. Oczywiście zdarza się, że mordercy biorą sobie różne trofea, ale buty...? Nigdy nie słyszałam, aby jakikolwiek brutalny przestępca zatrzymywał buty ofiary. Zwykle zadowala się czymś mniejszym: biżuterią, puklem włosów albo – niekiedy – jakąś częścią ciała.

Tak czy inaczej, obiecałam przyjrzeć się temu bliżej.

Następnie przeanalizowaliśmy protokoły przesłuchań przeprowadzonych po znalezieniu ciała dziewczynki (głównie z osobami mieszkającymi w okolicy).

W pobliżu kopca znajdują się trzy domostwa. Mamy powtórnie porozmawiać z ich właścicielami.

Najbliżej leży nieduża chata należąca do starego małżeństwa – Rut i Gunnara Stenów. Andreas i Malin rozmawiają z nimi jutro.

Nieco dalej, po drugiej stronie Ormberget, mieszkają Margareta i Magnus Brundinowie. (Sprawa „delikatna”. Margareta jest ciotką naszej policjantki Malin, a Magnus jej dorosłym synem, to znaczy kuzynem Malin).

Z nimi spotkamy się ja i P.

I wreszcie: rodzina Olssonów, kilkaset metrów dalej na południe. Ojciec rodziny, Stefan, cieśla, jest według Malin alkoholikiem i nie ma pracy. Matka umarła rok temu (rak). Dwoje dzieci, Jake i Melinda, mieszka z ojcem.

Z nimi też mamy porozmawiać ja i P.

Odkładam dziennik na kolana, ponieważ nagle zrobił się ciężki i nieporęczny.

Rozmawiali o nas, o n a s z e j rodzinie. I nazwali tatę a l k o h o l i k i e m.

Coś zimnego rozlewa się po moim wnętrzu, jakby w żyłach zamiast krwi płynęła mi czarna woda z rzeki. Nie przeczę, że tata lubi wypić sobie piwo, ale żeby od razu był alkoholikiem? Wtedy człowiek jest strasznie chory i pijany chyba przez cały czas?

Zerkam na stojącą na biurku wieżę Eiffla. Ile puszek na nią zużyłem? Chociaż może ważniejsze jest inne pytanie: ile puszek piwa dziennie wypija tata?

Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale garaż faktycznie jest zavalony papierowymi torbami pełnymi opróżnionych puszek. Zasłaniają niemal całą ścianę.

Ktoś puka do drzwi.

Szybko kładę dziennik na łóżko i przykrywam go narzutą.

Drzwi się otwierają i do środka wchodzi Melinda. Ma na sobie krótką czerwoną spódnicę i obcisły czarny golf, który opina jej biust. Usta są malinowoczerwone, z daleka czuć lakierem do włosów.

Zatrzymuje się pośrodku pokoju, widzi moje spojrzenie, wybucha śmiechem i robi mały piruet.

– No jak? Dobrze wyglądam?

– Bombowo – mówię z przekonaniem.

Niestety nie mogę powiedzieć, że któregoś dnia też chciałbym mieć takie superciuchy.

Garderobę pełną błyszczących minispódniczek i obcisłych topów, długich powłóczystych sukienek i butów na wysokim obcasie nabijanych nitami. Uwielbiam czuć pod palcami różne materiały: mięciutki aksamit, chłodny jedwab i szeleszczący tiul. Ostre cekiny, surową wełnę i puszysty kaszmir.

Nic z tych rzeczy nie ma w Ormbergu.

To wszystko istnieje tylko w internecie i w pisemkach Melindy.

Chyba zauważyła moje spojrzenie. Wyczuła moją tęsknotę, paranoję, ponieważ nagle wygląda na zmieszaną. Jakbym zadał jakieś podchwytliwe pytanie, mimo że przecież w ogóle się nie odezwałem.

– No co? – rzuca.

– Nic.

Ociągam się przez sekundę, ale w końcu zbieram się na odwagę.

– Czy tata jest alkoholikiem?

Melinda nieruchomieje. Wygląda na zdziwioną, jakby to było ostatnie pytanie, jakiego spodziewałaby się po mnie. Wreszcie wzrusza ramionami.

– Dlaczego pytasz?

– Tak po prostu.

Podchodzi do mojego lustra, obciąga trochę top i poprawia sobie spódniczkę. Następnie przesuwa dłonią po bujnych brązowych włosach, wydyma usta i mruży oczy w sposób,

w jaki zawsze to robi, kiedy pstryka sobie selfie.

– Tak naprawdę to nie wiem – odpowiada. – W każdym razie piwo lubi. I to bardzo. – Rzuca okiem na zegarek i dodaje: – *Shit!* Muszę już lecieć. Za pięć minut przyjdzie po mnie Markus. Zrobiłam wam obu coś do jedzenia. Tata śpi. Nie budź go, okej?

– Okej – odpowiadam i odprowadzam ją wzrokiem, kiedy wychodzi z pokoju.

Zapach perfum utrzymuje się jeszcze przez chwilę jak niewidzialne wspomnienie po jej wizycie. Wydaje się, jakby ze mnie szydził, przypominał mi, kim w głębi duszy jestem, chociaż nigdy nie stanę się tym kimś naprawdę.

# Malin

**C**zerwony domek Berit Sund leży idyllicznie wciśnięty między las a pokryte śniegiem pole.

Ja i Manfred widzieliśmy ostatnio Hanne w niedzielę w szpitalu, potem Manfred rozmawiał z nią jeszcze przez telefon.

Berit, która musi mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, spotyka nas na schodkach. Jest niska i przysadzista. Dziewczęca spinka przytrzymuje rzadką siwą grzywkę za uchem. Stary brązowo-biały pies o kudłatej sierści obwąchuje nam stopy.

– Jezus Amalia! – wykrzykuje na mój widok i ściska mi ręce tak mocno, że aż mnie bołą. – Malin! Ale ty wyrosłaś! I zostałam policjantką, kto by pomyślał!

Uśmiecha się tak szeroko, że widzę wszystkie plomby w jej żółtych zębach, a potem po chwili wahania obejmuje mnie szybko.

– Wchodźcie, wchodźcie! Przecież nie będziemy tu stać i marznąć – mówi, wpychając nas do środka.

Nagle zamiera i poprawiając sweter, wskazuje głową na las.

– Czy to prawda? Znaleźliście wczoraj martwą kobietę przy kopcu?

Potakuję.

– Jezus Maria. Wiecie kto to?

– Nie – odpowiada Manfred lakonicznie, co okazuje się dobrą metodą, ponieważ Berit nie zadaje już żadnych pytań, tylko rzuca w moją stronę niespokojne spojrzenie.

Przedpokój jest mały i ciasny, wypełniony zapachem kawy i dymu. W oknie przeczekują zimę pożółkłe pelargonie, a na podłodze stoją w równym rzędzie buty.

Wchodzimy do kuchni, w której oczywiście jest piec na drewno. Pomarańczowe płomienie liżą szczelinę w żeliwnych drzwiczkach paleniska. Na niedużym stole są już przygotowana kawa i pierniczki.

– Pójdę po Hanne – mówi Berit. – Usiądźcie sobie i napijcie się kawy.

Siadamy na drewnianych taboretach i patrzymy w okno, za którym rozpościera się zaśnieżony wiejski krajobraz. Za szpalerem bezlistnych krzewów i drzew ciągnie się aż po skraj lasu rozległe pole.

Kot czmycha pod stół, ocierając się miękkim futrem o moją nogę, podczas gdy Berit kuśtyka ku drzwiom. Po kilku krokach zatrzymuje się, wzdycha i odwraca w naszą stronę.

– Biodro – wyjaśnia z grymasem i znika w sąsiednim pomieszczeniu.

Manfred spogląda na mnie, nic nie mówiąc. Następnie nalewa mi kawy do jednego

z wyszczerbionych kubków. Znad gorącego napoju unosi się para.

Po chwili do kuchni wchodzi Berit w towarzystwie Hanne, która wygląda na bardziej ożywioną niż wtedy, gdy widziałam ją w szpitalu. Ma wyraziste spojrzenie i świeżo wyszczotkowane włosy. Większość drobnych zadrapań jest już zagojona, tylko tu i ówdzie na rękach i na twarzy widać strupy.

Na nasz widok Hanne spowolnia kroku i zdaje się zastanawiać. Po chwili jej twarz rozjaśnia ostrożny uśmiech, a ja po raz kolejny uświadamiam sobie, jaka ładna z niej kobieta.

– Manfred! – wykrzykuje i szybko podchodzi do stołu.

Manfred wstaje i oboje długo obejmują się w milczeniu. Potem Hanne kieruje wzrok na mnie i przekrzywiwszy nieco głowę, mruga powiekami.

Tak samo było w szpitalu, przemyka mi przez myśl, ale ona już wyciąga do mnie rękę, żeby się przywitać.

Ujmuję ją ostrożnie i uśmiecham się nieśmiało.

– Witaj, Hanne. To ja, Malin, twoja koleżanka.

Hanne otwiera nieznacznie usta, jakby zamierzała coś powiedzieć i nie mogła się zdecydować.

– Malin? – powtarza za mną, nieco przeciągając sylaby.

Staram się nie pokazać po sobie zaskoczenia ani szoku. Nie chcę wytrącić jej z równowagi, zwłaszcza teraz, kiedy tak wiele zależy od tego, by przypomniała sobie, co wydarzyło się w ostatni piątek.

Siadamy wszyscy do stołu i Manfred nalewa Hanne kawy. Berit dokłada kilka szczap do pieca.

– A pani nie napije się z nami kawy? – pytam gospodynię.

Berit kuśtyka do stołu. Z bliska wygląda na bardzo starą. Pajęczyna głębokich zmarszczek oplata jej oczy, a skóra na grzbietach dłoni jest cienka i przezroczysta jak pergamin. Niebieskie żyły wiją się pod nią niczym węże usiłujące wydostać się z pułapki.

– Nie, dziękuję, kochani – odpowiada Berit. – Już piłam dziś kawę. Porozmawiajcie tu sobie w spokoju, a ja pójdę na spacer z Joppem.

Kiedy się odwraca, na jej lewym przedramieniu zauważam trzy podłużne zadraśnięcia. Wyglądają tak, jakby ktoś ją zadrapał.

Berit dostrzega moje spojrzenie. Czerwieni się i zasłania świeże rysy dłonią, po czym przekręca ramię w taki sposób, aby nie było ich widać, i kulejąc, wychodzi z kuchni razem z psem, który jak się okazuje, też utyka.

Zapada cisza.

Siedząc obok Manfreda, Hanne przebiera palcami po swoim kubku z kawą. Sprawia wrażenie trochę zakłopotanej.

– Przepraszam, że cię nie rozpoznałam – zwraca się do mnie.

– Nie szkodzi, naprawdę nic się nie stało – odpowiadam natychmiast.

Hanne kiwa głową i zerkając na Manfreda, uśmiecha się znowu.

– Do twarzy ci z tą brodą.

Manfred przeciąga dłonią po swoim obfitym zarostcie i wybucha śmiechem.

– Tak uważasz? Afsaneh się nie podoba. Mówi, że wyglądam jak oprych rozbijający się po mieście na motocyklu. I że Nadja się mnie boi.

– Oprych? – śmieje się Hanne. – No co ty! Z której strony?

– Afsaneh? – pytam.

Manfred odwraca się do mnie i wyjaśnia:

– To moja żona. A Nadja to nasza córka. Niedługo skończy dwa latka.

– Jak ona się czuje? – pyta Hanne. – Problemy z uszami minęły?

– Już jest dobrze. Wstawili jej jakąś rurkę i od tej pory, *fingers crossed*, ani razu nie miała zapalenia ucha. Po prostu cud, istny cud!

Hanne nachyla się nieco ku Manfredowi i poprawia mu jedwabną poszetkę w kieszonce. W jej geście kryją się troska i poufałość, które mnie zaskakują.

– Gdy pracowaliśmy nad sprawą tamtej kobiety z odrąbaną głową – zaczyna Hanne – byłeś zupełnym wrakiem. Serio. A Nadja bez przerwy miała chore uszy.

Manfred śmieje się krótko i wypija łyk kawy.

– Sam nie wiem, co bardziej mnie wtedy wykończyło: to ciągle zapalenie uszu Nadji czy tamta sprawa.

Czuję się dziwnie wykluczona.

Widać wyraźnie, że łączy ich wspólna przeszłość, do której nie mam dostępu. Że oni dwoje nie tylko razem pracowali, ale znają swoje rodziny i dzieci i przeszli razem przez infekcje uszu, przewijanie i Bóg wie co jeszcze.

Spojrząwszy na mnie, Manfred chyba domyślił się, jak się czuję, ponieważ natychmiast sięga po notes i chrząka znacząco. Zdaje się, że Hanne również się zorientowała, prostuje się bowiem i mówi:

– Wiem, po co przyszliście, postaram się zrobić wszystko, aby wam pomóc, ale nie jestem pewna, czy będę w stanie. Dużo pamiętam. Na przykład swoje dzieciństwo, drogę do szkoły; każde drzewo, każdy dom i każda ścieżka wryły mi się w pamięć na zawsze. Oczywiście pamiętam też prawie wszystko z pracy. Morderstwa, napady. Ale od kiedy wróciliśmy z Grenlandii, jakby nic w niej nie zostaje, o ile rozumiecie, co mam na myśli. W mojej głowie panuje jeden wielki chaos. A im więcej próbuję sobie przypomnieć, tym większy powstaje zamęt.

– Nie przejmuj się – pociesza ją Manfred, kładąc dużą dłoń na jej dłoni. – Poradzimy sobie.

– Berit mówiła, że wciąż nie natrafiliście na ślad Petera.

– To prawda – potwierdza Manfred. – Nadal szukamy. Znajdziemy go, obiecuję.



Hanne przenosi spojrzenie za okno, na zasypane śniegiem pole i świerki wznoszące się na jego krańcu.

– Jest tak strasznie zimno – mówi. – Potwornie zimno. Jeśli on jest gdzieś w lesie...

Manfred ściska jej dłoń.

– Wczoraj znaleźliśmy martwą kobietę – zaczyna Manfred, patrząc na Hanne. – Przy starym kamiennym kopcu. Została zamordowana. W pobliżu znaleziono twój but.

– Co takiego?

Hanne zaciska dłonie i mruga nerwowo.

– Przypuszczam, że byłaś w lesie, kiedy zabito tę kobietę.

Manfred robi krótką pauzę, jakby chciał dać jej czas na przyswojenie tej informacji. Po chwili kontynuuje:

– Wiem, że masz kłopoty z pamięcią, ale może nam pomóc cokolwiek, najmniejszy drobiazg. Odgłos, zapach, wyrwany z kontekstu epizod, który na pozór wydaje się nieistotny.

Hanne kiwa głową i zamyka oczy.

– Grenlandia – mówi. – To ostatnie, co pamiętam wyraźnie. Później jest już tylko zamęt. Chociaż pojawiają się obrazy albo raczej fragmenty obrazów, które mogą pochodzić z dnia, gdy zniknął Peter. Pamiętam, że byłam w lesie. Biegłam, jakbym przed czymś czy przed kimś uciekała. Przynajmniej takie mam wrażenie. Byłam wystraszona i chyba zadyszana. Bolało mnie całe ciało, mimo to biegłam dalej. I okropnie przemarzałam.

– Świetnie – mówi Manfred i znowu ściska jej dłoń. – Pamiętasz, jaka to mogła być pora dnia czy nocy?

Hanne przymyka oczy i wzdycha głęboko. Kącik jej jednego oka lekko drży.

– Było ciemno.

– Okej. A pogoda?

Hanne poprawia się na krześle i marszczy czoło.

– Pamiętam deszcz na twarzy. I... jakaś gałąź odłamała się i spadła z drzewa. Tak, mocno wiało. Była silna wichura.

Manfred odwraca się do mnie i bezgłośnie porusza ustami: piątek.

Hanne przebywała w lesie w piątkowy wieczór, kiedy rozpętała się nawałnica. A to oznacza, że zanim została znaleziona, błąkała się po nim przez całą dobę.

– Bardzo dobrze – odzywa się Manfred. – Wciąż mówisz tylko o sobie. Petera nie było z tobą w lesie?

Hanne unosi powieki i nagle nieruchomieje. Patrzy przez okno na białe pole skąpane w porannym słońcu.

– Nie pamiętam. Myślę, że... Nie. Nie wiem.

– Okej – rzuca Manfred. – Cofnijmy się trochę. Pamiętasz może, dlaczego ty albo wy znaleźliście się w lesie?

– My... Nie. Przepraszam!

Hanne powoli kręci głową i po chwili dodaje:

– Przepraszam, mam straszny mętlik, ale to m u s i a ł o mieć związek ze sprawą. Bo po co inaczej wybralibyśmy się do lasu? Żeby obserwować ptaki? Obściskiwać się pod drzewem?

Manfred uśmiecha się nieznacznie.

– A co pamiętasz z dochodzenia? – pytam.

Hanne nie odpowiada od razu, a kiedy już się odzywa, wygląda na udręczoną.

– Szczerze? – pyta z ociąganiem. – Nic.

Gdy Manfred spogląda na mnie, dostrzegam zawód w jego oczach.

– Okej – mówi. – Nie szkodzi. A co jeszcze możesz nam powiedzieć?

Hanne znowu zamyka oczy. Pojedynczy promień słońca wpada przez okno i sprawia, że miedziany kosmyk jej włosów rozbłyskuje złociście.

– Że byliśmy w ciemnym, ciasnym pokoju.

– Poczekaj, poczekaj! Co to za pokój?

Manfred wpatruje się w nią intensywnie.

– No pokój. Albo może jakieś inne pomieszczenie. Garaż albo nieduża chata. Nie pamiętam, czy to było przed czy za lasem. I przypominam sobie jeszcze...

Hanne unosi wzrok ku sufitowi i zaciska mocno dłoń.

– Deski. Przynajmniej w dotyku wydawało się, że to deski. Coś chropowatego.

– Jakiego rodzaju deski? – pytam.

– Nie mam pojęcia. Po prostu... deski. I...

– No, co?

Manfred niecierpliwi się trochę.

– Książki – mówi Hanne z naciskiem.

– Książki? Co za książki?

– Nie wiem. Zwyczajne. No...

Nagle urywa i zamyka oczy, a potem przyciska dłoń do skroni.

– Angielskie. Leżały w stosach na podłodze. Na ohydnej, brudnej podłodze.

Manfred zerka na mnie pospiesznie. Z pieca dobiega trzask ognia i Hanne unosi powieki.

– Gdzie? – pyta szeptem Manfred.

– Nie wiem.

Hanne zwiesza głowę. Przez moment mam wrażenie, że zaraz się rozplacze.

– À propos książek – wtrącam. – Nie pamiętasz, gdzie jest twój dziennik?

– Mój dziennik? – powtarza. – Nie wiem. Gdybym wiedziała, na pewno bym go zabrała, bo zapisywałam w nim wszystko co najważniejsze.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, ponieważ jednak Hanne nie jest w stanie wydobyć nic więcej z zakamarków pamięci, postanawiamy jechać z powrotem do biura.

Gdy wstaje, aby uścisnąć Manfreda na pożegnanie, pod rozpiętą pod szyją starą spraną męską koszulą dostrzegam błysk naszyjnika. Kiedy odwraca się do mnie, nie mogę się powstrzymać, by ją o niego nie zagadnąć.

– Jaki ładny naszyjnik. Nowy?

Po raz kolejny robi zdezorientowaną minę. Teraz już rozumiem, co ona oznacza. Że Hanne nie pamięta.

– Nie wiem – mówi z ociąganiem i uniósłszy dłoń ku szyi, wyciąga ozdobę spod koszuli, abym mogła ją w całości zobaczyć.

Na cienkim złotym łańcuszku wisi złoty medalion. Ma zieloną obwódkę, wykonaną chyba z emalii, a w środku umieszczone są małe kamyki, być może diamenty. Naokoło nich są wygrawerowane delikatne ornamenty.

– Wygląda na stary – zauważam, pochylając się nieco, aby przyjrzeć się bliżej.

Hanne kiwa głową i lekko się czerwieni.

– Może dostałaś go od Petera? – sugeruję.

– Może – mówi Hanne i pokrywa się jeszcze intensywniejszym rumieńcem, jakby wstydziła się tego, że nie potrafi nam pomóc.

# Jake

Znaleźli przy kopcu martwą kobietę.

Tata powiedział o tym dziś rano, zanim wyszedłem do szkoły. Powiedział też, że może się założyć o swoją miesięczną pensję, ale według niego i ofiara, i zabójca są na pewno z „kolonii arabskiej” w starej fabryce TriåkKungen.

W szkole też wszyscy o tym mówili, chociaż oczywiście nikt nie wiedział, co tak naprawdę się stało.

Saga i ja zastanawialiśmy się, czy nie pojechać na miejsce, żeby się rozejrzeć, ale po lekcjach musiała pilnować młodszej siostry, więc też wróciłem prosto do domu.

Siedzę przy biurku, przede mną dziennik Hanne.

Włożyłem go do podręcznika do historii, żeby móc ukryć go w każdej chwili, kiedy do pokoju niespodziewanie wejdzie tata czy Melinda. Obok stoi wieża Eiffla. Jest już gotowa albo na tyle gotowa, że już lepsza nie będzie.

W czwartek muszę zanieść ją do szkoły.

Coś się ze mną stało, chociaż nie wiem dokładnie co. Może to przez pocałunek Sagi albo opowiadanie Hanne, które wkradło się między moje myśli i zadomowiło się wśród nich na dobre. Tak czy inaczej, wszystko wydaje się jakieś inne – cola smakuje bardziej colą, a drzewa są o wiele piękniejsze, niż je pamiętam. Każdy świerk jest idealny, a oprószona na brzegach białym puchem rzeka wije się między pagórkami i kamieniami jak niemający końca błyszczący wąż.

Hanne jakby otrzymała głos i ze szczerze zapisanych stron dziennika zwraca się wprost do mnie. Każde słowo, każda sylaba są przeznaczone wyłącznie dla mnie.

To fascynujące, ale jednocześnie strasznie *scary*, bo im głębiej wchodzę w tę historię, tym bardziej zdaję sobie sprawę ze swojej odpowiedzialności za Hanne i tego P, chociaż do końca nie wiem, co o nim myśleć. Tak czy inaczej, jako jedyny wiem, co robili oboje przez ostatnie dni, zanim zniknęli w lesie.

Kiedy zaczynam o tym myśleć, od razu gniecie mnie w żołądku, jakby ktoś kazał mi połknąć wielki kawałek lodu. Z miejsca nachodzą mnie wyrzuty sumienia, że przez ostatnie dni budowałem wieżę Eiffla i zadawałem się z Sagą, zamiast przeczytać dziennik do końca.

Wyglądam dłonią stronę.

Papier jest trochę wybrzuszony i szorstki w dotyku. Na widok znajomego, trochę niezdarnego charakteru pisma serce robi mi salto w piersi.

– Hej, Hanne – mówię szeptem.

Sobota, wolne

Przed południem pracowałam trochę w hotelowym pokoju. Szukałam w sieci informacji o brutalnych przestępcach zabierających buty jako trofeum. Znalazłam seryjnego mordercę w USA, który kradł swoim ofiarom buty. Był fetyszystą i schizofrenikiem, wkładał je na nogi po zabójstwie i się onanizował. Jednej z ofiar odciął stopę, zabrał ją do domu i przymierzał na niej buty.

Ciekawe: mogę sięgnąć po swoje analityczne okulary i stwierdzić, że zaburzenia mordercy prawdopodobnie mają głęboko zakorzenione przyczyny psychologiczne. Mogę grzebać w jego przeszłości i znajdować okoliczności łagodzące.

Mimo to nie potrafię ZROZUMIEĆ.

I to mi trochę przeszkadza, ponieważ unaocznia niewidzialną, ale niekwestionowaną granicę odróżniającą poszczególnych ludzi. Nigdy nie da się w pełni zrozumieć drugiego człowieka. Albo na nim polegać.

Myślę automatycznie o P.

Po lunchu wybraliśmy się na długi spacer do lasu. Pojechaliśmy do kopca. Weszliśmy na Ormberget. Słońce świeciło, powietrze było rześkie i czyste.

P był w doskonałym humorze, mówił o dochodzeniu. W którymś momencie spytałam, kim jest Malin. Jakoś tak mi się wymysknęło. Powinnam była sprawdzić w dzienniku.

Blask w jego oczach nagle zgasł, a zamiast niego pojawiła się rzewna czułość. Puścił moją dłoń.

Próbowałam wyjaśnić swoją gafę, ale zignorował to i nie wdawał się w dalszą rozmowę na ten temat.

P bywa nierzetelny, czasami nieczuły, ale nie jest głupi. Po trzydziestu latach jako policjant umie rozpoznać kłamstwo.

Musiałam mu obiecać, że w poniedziałek zadzwonię do lekarza.

(Skłamałam oczywiście. Nigdy więcej nie zamierzam spotkać się z lekarką z Centrum Zaburzeń Pamięci. Z tą, która wciąż się rozwodzi o tych wszystkich FANTASTYCZNYCH domach opieki dla ludzi z demencją – jakby mówiła o podróżach rekreacyjnych, a nie o ośrodkach, w których wszyscy tkwią w fotelach przed telewizorem i sikają w pieluchy).

Jeszcze nie jestem w takim stanie, choć pewnie na tym się skończy...

Chyba że...

Snuję dalej tę myśl: nie muszę do tego dopuścić. Mogę zdecydować, jak rozstać się z życiem, zanim zamienię się w pakunek.

Problem polega tylko na tym, żeby wiedzieć kiedy. Na razie jakoś daję sobie radę. I wcale nie pragnę umrzeć. Ale jednocześnie to musiałyby nastąpić, zanim całkiem

siebie stracę. Istnieje *point of no return*: moment, kiedy czegoś takiego nie da się już przeprowadzić. Wtedy usiądę posłusznie przed telewizorem w domu opieki i będę jeść swoje papki.

Zamykam dziennik i spoglądam przez okno. Jest ciemno, ale pomiędzy bezlistnymi gałęziami przebłyskuje czarna tafla rzeki.

Czuję, jak w gardle rośnie mi gęsia.

Nie chcę, żeby Hanne umarła.

Nie chcę, żeby umarł ktokolwiek, a zwłaszcza Hanne. Przypominam sobie jej szczupłą postać w mokrej bluzce. Bose stopy, włosy opadające w mokrych strąkach na ramiona.

A ja myślałem, że jest niebezpieczna, że to morderczyni.

Sięgam po komórkę i szukam w Google słów „fetyszysta” i „schizofrenik”, żeby przestać myśleć o Hanne, wciąż jednak nie mogę się od niej wyzwolić. Czuję, jakby szeptała do mnie ze swojego dziennika, jakby prosiła mnie o pomoc.

Co ona właściwie teraz robi?

Tata wspomniał, że mieszka u Berit za kościołem. To niepojęte, powiedział, że pozwolili tej „starej babie” zająć się Hanne. Chociaż później dodał, że ostatnio tyle rzeczy jest niepojętych, że właściwie to całkiem logiczne.

Wtedy zacząłem się zastanawiać, czy wcześniej było inaczej. Czy wszystko było lepsze, mniej pokręcone. Ale nie zdążyłem spytać, bo później weszła Melinda w strasznie krótkiej spódniczce i tata zaczął się z nią kłócić.

Z nimi tak już jest – kłócą się o rzeczy, które właściwie nie są ważne, a unikają rozmów o wszystkim, co rzeczywiście odgrywa jakąś rolę.

Jak na przykład mama.

Nigdy o niej nie mówimy, chociaż od jej śmierci nie minął jeszcze rok, chociaż wszystkie jej ubrania wiszą w szafie i jej połowa łóżka jest wciąż nietknięta.

Spoglądam na zegarek, a potem znowu patrzę w ciemność.

Wpół do piątej.

Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pojechać do Berit i sprawdzić, co z Hanne. To znaczy, nie przywitać się z nią, tylko przynajmniej na chwilę ją zobaczyć i upewnić się, że wszystko z nią w porządku.

Im więcej myślę, tym bardziej nabieram pewności, że to jedyne rozwiązanie. Że nie tylko mogę, ale wręcz muszę do niej zajrzeć.

Odkładam dziennik do szuflady biurka, wyłączam lampę i wstaję.

Chatka Berit świeci w ciemności jak świąteczna choinka. Ciepłe światło rozlewa się przez okno i maluje na złoto śnieg przed domem.

Zostawiłem motorower w lesie i przeszedłem ostatni odcinek. Mimo że nie robię nic

zakazanego, nie chciałbym być tutaj przyłapany, bo jak miałbym wyjaśnić, dlaczego jestem tutaj i dlaczego to dla mnie takie ważne, żeby zobaczyć Hanne?

Jest piekielnie zimno.

Mój oddech zamienia się w gęstą parę, a policzki drętwieją mi od mrozu. Mimo grubych rękawiczek mam sztywne palce.

Idę powoli w stronę domku, próbując ustalić, przez które okno najlepiej będzie zajrzeć. To po prawej od drzwi wejściowych jest nisko, tak nisko, że stojąc na ziemi, mógłbym zapuścić żurawia do środka.

Dookoła jest spokojnie. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Jestem tylko ja, chata i bezwonna cisza zimowego wieczoru.

Krzaki pod oknem zaczepiają się o nogawki spodni. Robię krok w kierunku okna i za późno zauważam, że to róże. Kolce drapią mnie i kłują w łydki.

Ale da się zajrzeć.

Pokój jest pusty.

Po prawej stoją pod ścianą dwie rozkładane sofy, a po lewej mały stolik z taboretami dookoła. W głębi widać drzwi. Są uchylone, dostrzegam jakiś ruch, jakby ktoś właśnie przeszedł za nimi.

Wycofuję się z krzaków róż, zastanawiam się sekundę i idę za róg, do następnego okna.

Jest za wysokie, nie da się przez nie zajrzeć bez jakiegoś podwyższenia.

Na twarzy ląduje mi płatek śniegu, a zaraz potem następny.

Rozglądam się dookoła, ale nie widzę niczego, na co mógłbym się wdrapać, żadnej skrzynki, żadnego wiadra, żadnej drabiny. Chwytam się więc za panel i wspinam na podmurówkę, wpychając stopy w wąską szczelinę, a dłońmi trzymam się parapetu. Zaglądam ostrożnie przez dolną część szyby, za którą na szczęście stoi doniczka.

Widzę je przy stole w kuchni.

Berit jest odwrócona do mnie plecami. Jej krótki, gruby kark wylewa się znad swetra jak wyrośnięte ciasto. Hanne siedzi naprzeciw niej i patrzy prosto na mnie. Na podłodze przed piecem leży wyciągnięty na boku stary pies Berit.

W pierwszym odruchu chcę zeskoczyć na ziemię, ale po chwili uświadamiam sobie, że nie mogą mnie dostrzec. Na dworze jest ciemno i zasłania mnie doniczka.

Niemal nie rozpoznaję Hanne.

Jej włosy są długie, kręcone i puszyste. Trzyma w ręce kubek z herbatą i z czegoś się śmieje. Na ramiona ma narzucony szal, a na dekolcie widać duży naszyjnik.

Wygląda na bardzo silną, wesołą i pełną energii. Na zupełnie inną niż ta, która pisała, że może będzie chciała umrzeć. Ale przecież tak to jest: czarnych myśli nie widać na zewnątrz, one są tylko w środku, w tym ciemnym składziku, który ma strasznie grube drzwi. A za nimi może się mieścić i pragnienie śmierci, i paranoja.

Myślę, że to właśnie tam tata wepchnął pamięć o mamie.

Berit wstaje, podchodzi do kuchenki i bierze czajnik z herbatą. Trochę utyka, jakby bolały ją nogi. Hanne wyciąga swój kubek i pozwala dolać sobie gorącego napoju.

Stół kuchenny znajduje się pod oknem wychodzącym na drugą stronę, na kościół. Słomiana gwiazda bożonarodzeniowa wisi zaczepiona na gwoździu wbitym w okienną ramę. Na parapecie stoi jakaś nędzna roślina w doniczce. Pożółkłe liście wiszą na zwiędłej łodydze. Kilka samotnych różowych kwiatków wygląda przez szybę w ciemność.

Ręce ścierpły mi z wysiłku, wciąż jednak trzymam się parapetu, zaczarowany sceną w małej kuchni. Wprost trudno uwierzyć, że to Hanne tam siedzi. W pewien sposób znam ją lepiej niż jakiegokolwiek innego dorosłego, choć to mimo wszystko obca osoba.

Przez noc niesie się echem jakiś dźwięk, nie wiem, czy dobiega ze środka czy z zewnątrz.

Berit siada znowu. Przez szybę docierają ich przytłumione głosy, ale nie słyszę, co mówią.

Znowu ten dźwięk, coś w rodzaju szurania, jakby ktoś powoli przeciągał paznokciami po kawałku blachy. Nieruchomieję, ponieważ teraz jestem pewny, że dochodzi z zewnątrz. Ktoś albo coś poruszyło się na podwórzu.

Hanne i Berit chyba nic nie zauważyły, ponieważ dalej rozmawiają, śmieją się i popijają herbatę.

Potem to widzę.

Pod słomianą gwiazdą w drugim oknie rysuje się blada, pozbawiona wyrazu twarz. Oczy są dziurami ciemności, a usta cienką kreską.

Puszczam parapet i upadam do tyłu w śnieg. W tej samej sekundzie, gdy moje plecy uderzają o ziemię, dociera do mnie, że osoba, która stoi za drugim oknem, znajduje się za rogami domu, niecałe dziesięć metrów ode mnie.

Czuję ból w plecach i łapczywie łapię powietrze, gdy zerwawszy się na równe nogi, biegnę w padającym śniegu do motoroweru.

W piersi pali mnie od wysiłku, kapie mi z nosa, mimo to nie zwalniam tempa i nie odwracam się za siebie. Za bardzo się boję, żeby ten ktoś z okna mnie nie złapał. Nie pociągnął mnie na ziemię i nie zacisnął białych palców wokół mojej szyi.

Nikt jednak nie nadbiega.

Nikt nie kładzie kościstej ręki na moim ramieniu. Nikt nie dyszy mi w kark, kiedy zatrzymuję się przy motorowerze. Nikt nie ściąga mnie z niego, gdy już chcę odjechać.

Jestem tylko ja, ciemność i śnieg, który wciąż pada bezszelestnie na małą chatę Berit.



# Malin

**W**patruję się usilnie przed siebie przez przednią szybę. Już zapomniałam, jak nieprzenikniona, czarna jak smoła jest tutaj noc.

Tak chyba musi być w grobie.

Oprócz tego pada śnieg, co jeszcze pogarsza widoczność i zmusza mnie na ostatnim odcinku do żółwiego tempa.

Po zajechaniu przed dom widzę, że nie działa zewnętrzne oświetlenie. Powtarzam sobie, że jutro muszę kupić nowe żarówki. Ragnhild wcale się nie myliła, mówiąc, że gospodarstwo mamy wymaga małego remontu. A powkręcać kilka żarówek mogę nawet ja, mimo że mam do takich rzeczy dwie lewe ręce.

Kiedy mieszka się na wsi, trzeba być odpornym i zręcznym.

To nie jest miejsce dla ludzi nieporadnych. Tu przewracają się drzewa, drogi zasypuje śnieg, samochody psują się w środku lasu, a w czasie jesiennych zawieruch po jednej awarii prądu zaraz następuje druga.

To wymaga od ludzi siły.

Tutaj nie wolno być wymoczkim, nie wolno narzekać na Ormberg i uważać, że lepiej by było mieszkać gdzie indziej, na przykład w Sztokholmie – z w ł a s z c z a nie w Sztokholmie. A jeśli ktoś rzeczywiście tak myśli, to powinien trzymać buzię na kłódkę. W przeciwnym razie zostanie wyłączony ze wspólnoty równie szybko i nieuchronnie, jak szybko znikają w sierpniu wczasowicze.

Mama stoi przy kuchence. Jej niska i przysadzista postać zupełnie mnie nie przypomina. Kiedy byłam mała, żartowałyśmy, że pewnie znalazła mnie u trolla w lesie, ponieważ wyglądam inaczej niż ona.

Po kuchni rozchodzi się aromat jałowca, głównej przyprawy gulaszu z łosia, który pyрка w garnku. Mama trzyma w jednej ręce kieliszek z winem.

– Witaj! – mówi i odstawia kieliszek, ściska mnie tak mocno, że niemal tracę oddech.

O tak, mama jest stworzona do życia tutaj.

Silna, wytrzymała i na ogół zadowolona z życia. W każdym razie ze s w o j e g o, bo o moje denerwuje się śmiertelnie. Głównie dlatego, że jestem policjantką. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że moja praca w Katrineholmie w większości polega na przemawianiu do rozsądku pijakom, przesłuchiowaniu drobnych złodziejasków i pisaniu raportów. Może to dlatego tak bardzo się ucieszyłam, kiedy zaproponowano mi udział w tym śledztwie.

Wreszcie jakieś prawdziwe napięcie – brutalne przestępstwo, śledztwo w sprawie

zabójstwa, szansa na zaistnienie.

Na dodatek w najbardziej niewyobrażalnym z wszelkich miejsc – w Ormbergu.

Chyba nie zdarzyło się tutaj żadne poważne naruszenie prawa od czasu, kiedy trzy lata temu na kempingu nad jeziorem dźgnięto nożem podczas kłótni niemieckiego turystę. Ale wystarczyły zaledwie trzy szwy założone w ośrodku w Vingåker, żeby mógł znowu żłopać piwo pod daszkiem przed swoim kamperem.

Poza tym nie dzieje się tu wiele: od czasu do czasu drobne kradzieże, akty wandalizmu i bazgranie po murach w budynku dawnej fabryki Brogrens Mekaniska, który dzisiaj ma wręcz hipnotyczną siłę przyciągania miejscowych nastolatków. Zdarzają się też pobicia pod wpływem alkoholu i zatrzymania za posiadanie narkotyków – ćpanie jest na wsi zjawiskiem częstszym, niż większość ludzi sądzi.

I to wszystko.

Przynajmniej jeszcze kilka dni temu.

– Pomóc ci? – pytam, siadając przy kuchennym stole.

Mama kręci głową, po czym wyciera sobie pot z czoła grzbietem dłoni i pociąga łyk wina.

– Nie, nie. Posiedź sobie po całym dniu pracy.

Wtedy przemyka mi przez myśl, że przecież przez cały dzień nic innego nie robiłam, tylko właśnie siedziałam: w biurze, u Berit i potem znowu w biurze.

– Straszna historia – mówi mama z ociąganiem. – Z tą martwą kobietą przy kopcu.

– Owszem.

– Czy to ktoś stąd?

– Nie. Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

Mama nabiera trochę sosu na warząchew i posmakowawszy go, sięga po moździerz, bierze szczyptę czegoś między palce i wsypuje do garnka.

– A tego policjanta ze Sztokholmu już znaleźliście?

Po raz pierwszy od jego zniknięcia przyznaję sama przed sobą, że prawdopodobieństwo, iż przytrafiło mu się coś poważnego, jest znacznie większe niż to, że zaszył się w jednym z letnich domków ze złamaną nogą.

– Nie, nie znaleźliśmy.

– Jak długo już go nie ma?

– Pięć dni.

Mama lekko przekrzywia głowę, jakby próbowała ocenić, czy jest możliwe, aby ktoś przetrwał pięć nocy w lesie.

Chyba też dochodzi do wniosku, że szanse są minimalne, nie mówi bowiem więcej na ten temat, tylko energicznie miesza w garnku.

Spoglądam na rozstawione na stole cztery wysłużone talerze w kwiatki. I na odświętne srebrne sztuce, które normalnie są przechowywane w górnej szufladzie kredensu w bordowym futerale wyściełanym aksamitem.

– Cztery nakrycia? – pytam. – Myślałam, że będziemy tylko ty, ja i Margareta.

Margareta to moja ciotka, ostatnio nie widuję jej często. Tak samo jak mama całe swoje dorosłe życie spędziła w Ormbergu i również jak ona jest prawdziwą wieśniaczką – kobietą silną fizycznie i nierozczulającą się nad sobą. Poza tym nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek słyszała od niej, że chciałyby znajdować się w jakimś innym miejscu na ziemi niż tutaj.

W samym środku albo na samym końcu świata, w zależności od punktu widzenia.

– Przyjdzie też Magnus.

Kiwam głową. Nie wspominałam mamie, że w poniedziałek uratowałam go przed pobiciem przez jakichś gówniarzy w lesie. Nie tylko dlatego, że obiecałam mu milczeć, ale także z tego powodu, że sama myśl o tym zdarzeniu wzbudza we mnie niesmak.

– Rozmawiałaś z księdzem o ślubie? – pytam.

Mama zastyga w połowie ruchu, po czym podchodzi do stołu, wyciera ręce o fartuch i siada naprzeciw mnie.

– Malin, kochanie, czy naprawdę dobrze się zastanowiliście?

– Co masz na myśli?

Pociera jedną dłoń o drugą i wbija wzrok w blat stołu.

– Chodzi o to, że... Czasami mam wrażenie... to znaczy... zastanawiam się... Czy ty rzeczywiście go k o c h a s z?

– Zwariowałaś? Jasne, że go Kocham.

Mama wzdycha.

– Wyjście za mąż to poważny krok. Czy musicie się tak spieszyć? Może lepiej by było najpierw pomieszkać trochę razem?

To prawda, że nie mieszkaliśmy ze sobą długo. Poznaliśmy się przed moimi końcowymi egzaminami w szkole policyjnej i zdążyliśmy być razem tylko przez miesiąc, bo potem dostałam pracę w Katrineholmie i się wyniosłam. Teraz jeździmy tam i z powrotem, co oczywiście nie jest idealnym rozwiązaniem. Mimo to nie rozumiem, dlaczego mama tak mówi. Dlaczego nie respektuje moich wyborów, skoro ja respektuję jej.

Na przykład to, że zdecydowała się spędzić życie w takiej dziurze.

– Czasami się zastanawiam, czy ty... – odzywa się znowu. – Czy to, co stało się z Kennym...

– Proszę cię! Przestań!

– Już dobrze, dobrze – bąka mama.

– Dlaczego tak mówisz? Przecież lubisz Maxa.

Mama wzdycha głęboko i patrzy na mnie. Jej wyblakłe niebieskie oczy są zaczerwienione. Zmarszczki wokół ust i nabrzmiałe powieki sprawiają, że wygląda na zmęczoną i smutną.

– Tak, lubię. Ale to nie ja mam zostać jego żoną. Powiedz mi, dlaczego go Kochasz, c o w nim Kochasz?

– Co to ma być? Egzamin? Test? Kocham go, bo... Jest nam dobrze. Po prostu. To porządny chłopak. Jest fajny, mądry i dobrze zarabia. Będziemy mieć udane życie.

– W S z t o k h o l m i e?

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie ma najmniejszego znaczenia, gdzie będziecie mieszkać, ale czasami odnoszę wrażenie, że chcesz po prostu stąd uciec. A to nie jest sensowny powód do małżeństwa. Jeśli przed czymś uciekasz, zastanów się, czy przypadkiem nie uciekasz przed samą sobą.

Mama ma oczywiście rację, że chcę się stąd wyrwać. Każdy zdrowo myślący człowiek od razu wzięłby nogi za pas, gdyby tu wyładował. Bo w Ormbergu można zapuścić korzenie tylko wtedy, gdy jest się szalonym albo się tutaj urodziło. Ewentualnie jedno i drugie.

Ale sprawa z Maxem nie ma nic wspólnego z moją tęsknotą za światem.

Max jest po prostu doskonały. Nie potrafię wytłumaczyć tego w inny sposób. Uosabia wszystko, czego zawsze szukałam: ambicje, wielkie miasto, finansowe bezpieczeństwo.

Poza tym: czym tak naprawdę jest miłość? Niczym innym jak przyjaźnią doprawioną odrobiną seksu. Bzykam się ze swoim najlepszym kumplem, dobrze mi z tym, i już.

I jeszcze coś, czego nie mogę powiedzieć mamie.

Dlaczego ludzie bez przerwy gadają o miłości, jakby to była jakaś magiczna, nadziemską siłą? Rodzaj religii. Nie wierzę w miłość i nie wierzę w Boga.

Wierzę w ciężką pracę, zdecydowanie i upór oraz we wszystko, co daje realne rezultaty.

Wierzę w fakty i naukę, a nie w zabobony i uczucia.

Zwłaszcza nie w uczucia. Przed nimi trzeba szczególnie mieć się na baczności. Bo przez nie może ułożyć się bardzo różnie. Nietrudno na przykład zaliczyć wpadkę z ciążą i utknąć w takim miejscu jak Ormberg na dobre. Zostać tu na całą wieczność z zasmarkanymi dziećmi i facetem, który wydał się nam interesujący w pewien letni wieczór nad jeziorem tylko dlatego, że byliśmy młode, głupie i wypiliśmy pięć, sześć piw.

Za oknem pojawia się błysk światła, samochodowe reflektory zbliżają się w ciemności. Wysłuzony saab z przerzedziewiałym przodem zajeżdża przed dom.

Magnus i Margareta.

Mama spogląda na zegarek.

– Są punktualni. Mówiłam Margarecie, żeby byli o siódmej.

Gdy tylko otwierają się drzwi wejściowe, do środka wpada Zorro, wielkich rozmiarów owczarek niemiecki. Szczeka, skacze wokół nóg jak piłka i liże mnie po rękach. Potem biegnie do kuchni, żeby sprawdzić, czy na podłodze nie ma czegoś do jedzenia.

Wbrew pozorom stare psisko ciotki jest potulne i łagodne jak baranek. Jest u niej, odkąd sięgam pamięcią.

Magnus otupuje śnieg na schodkach, a potem wchodzi i zdejmuje kurtkę. Za nim idzie Margareta, ubrana w stary brudny płaszcz i opatulona dużym różowym szalem. Kiedy zdejmuje z głowy robioną na drutach czapkę z serduszkami po boku, jej krótko obcięte

brązowe włosy sterczą naelektryzowane.

Mama rozwiązuje fartuch, poprawia sweter i podchodzi do gości.

– Dzień dobry – mówi. – Jak się macie?

Magnus ściąga z nóg ciężkie buty, pochylając się nad podłogą. Zauważam, że włosy z tyłu głowy zaczęły mu się już porządnie przeredać. W ciepłym świetle lampy pod sufitem błyszczą puste placki. Jego potężne ciało jest bardziej przygarbione, niż to pamiętałam, a twarz mocniej pomarszczona. Widać po nim, że skończył czterdzieści pięć lat.

– Całkiem dobrze – odpowiada niespiesznie.

Obejmuję go mocno, a on, o dziwo, odwzajemnia uścisk. Może jest mi wciąż wdzięczny, że uratowałam go przed tamtymi szczeniakami w lesie.

– Świetnie – mówi Margareta swoim przepalonym głosem, a gdy wita się ze mną, przytulając mnie serdecznie, czuję od niej zapach dymu papierosowego pomieszany z odorem starego psa.

– Jezu drogi, Malin, już zapomniałam, jaka jesteś wysoka! Powinnaś grać w koszykówkę, zamiast być policjantką.

Margareta śmieje się z własnego komentarza. W szerokim uśmiechu ukazują się jej krzywe zęby pełne brzydkich plomb. Dłonie spoczywające na moich ramionach są mocne i żylaste.

Magnus jest ubrany w ciasno opinającą jego wydatny brzuch spraną bluzę polarową i w tanie dzinsy, które można kupić w centrum handlowym przy autostradzie, w połowie drogi do Katrineholmu.

– Przejdźcie dalej – zaprasza mama. – Jedzenie już czeka.

Wchodzimy do kuchni i siadamy przy stole. Mama i ciotka narzekają na brak odśnieżania, Margareta stwierdza, że chyba i w tym roku będzie musiała zadzwonić do gminy i zrobić awanturę, bo inaczej nic się nie poprawi.

Margareta jest skuteczna w takich sprawach. Niemal nic we wsi nie dzieje się bez jej udziału. Jest chyba najbardziej wpływową osobą w Ormbergu, co może budzić podziw, biorąc pod uwagę, że to tylko samotna, emerytowana położna mająca wioskowego głupka za syna.

Przed śmiercią Kenny’ego robiłam wszystko, aby unikać z nią kontaktu. Mama często zwracała mi wtedy uwagę, że ciotce jest ciężko i że nas potrzebuje. Jej mąż, którego imienia absolutnie nie wolno wymieniać w jej obecności, zostawił ją dla fryzjerki z Flen, kiedy była w ciąży z Magnusem.

Przypuszczam, że właśnie dlatego oni dwoje są tak bardzo przywiązani do siebie.

– Magnus dostał pracę – szczebiocze Margareta.

– Gratulacje! – mówi mama. – Co będziesz robił?

Siostrzeniec spuszcza wzrok na kolana.

– Pomoże Ragnhild Sahlén oczyścić zarośla nad rzeką – odpowiada za niego ciotka. –

Oczywiście dopiero na wiosnę.

– To bardzo dobra praca – stwierdza mama i uśmiecha się krzepiąco do Magnusa.

– Gratuluję – wtrącam, myśląc jednocześnie, że mieszkanie w tak małej miejscowości jak Ormberg może mieć jednak zalety. Bo cokolwiek by mówić, tutejsi mieszkańcy wspierają się nawzajem. Takiej wspólnoty, jaka istnieje na wsi, nie spotkałam ani w Katrineholmie, ani w Sztokholmie. I chociaż dzieciaki rzucają w Magnusa kamieniami, to jednak jest tu dla niego miejsce. Jemu też wolno należeć do społeczności.

On także jest w niej potrzebny.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę o odsnieżaniu, po czym Margareta zwraca się do mnie i kładzie mi na dłoni swoją kościstą rękę.

– To naprawdę straszne, Malin. Przerażające. Słyszałam, że znowu natknęliście się na zwłoki. I to akurat przy kopcu. Czy to nie dziwne?

Tylko kiwam głową.

– Co się stało? – pyta.

– Nie mogę mówić na ten temat.

– Oczywiście.

Margareta poklepuje moją dłoń i ciągnie jednak dalej, jakby mnie nie słyszała:

– A ten policjant ze Sztokholmu? Znalazł się wreszcie?

– Nie.

Kręci powoli głową, a jej usta ściągają się w wyblakłą rodzynekę.

– Niesamowite! – rzuca. – Pewnie leży gdzieś w środku lasu. Zamarznięty na kość jak filet rybny.

– Margareta! – obrusza się moja mama, z rozmachem odstawiając kieliszek.

– Przepraszam! Ale przecież pewnie właśnie tego się obawiacie? – pyta, patrząc na mnie.

– Tak – przyznaję, starając się nie myśleć o Peterze jako filecie rybnym.

– Z całym szacunkiem dla sztokholmczyków – kontynuuje Margareta, chrząknąwszy – w naszych lasach łatwo się zgubić, jeśli nie ma się orientacji. I łatwo zlekceważyć niebezpieczeństwo. I jeszcze ten kopiec. Nie wierzę w nic, czego nie można dotknąć i zobaczyć, ale jestem gotowa założyć się o wszystko, że tam straszy. Pamiętam tę niemiecką rodzinę, która...

– Margareta, błagam cię – wtrąca mama.

Ciotka nieznacznie wzrusza ramionami i robi urażoną minę. Magnus mechanicznie wpycha sobie do ust gulasz z łosia.

– Myślicie, że zniknięcie policjanta ma coś wspólnego z tą kobietą przy kopcu? – pyta mama.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Być może. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego Peter i Hanne wybrali się do lasu w taką nie pogodę. Ale na razie go nie znamy. Chociaż...

– Co? – przerywa mi Margareta z roziskrzonymi oczami.

Cała ona, ze swoją niepokromioną ciekawością i bezwstydnym grzebaniem w sprawach innych.

– Znajdziemy go – mówię zdecydowanie, starając się zamknąć temat. – Byleby tylko Hanne zaczęła sobie przypominać, co się wydarzyło.

– Oby tak się stało – wtrąca ciotka. – Przecież on nie może leżeć tam w śniegu przez całą zimę.

Mama rzuca w jej stronę ostrzegawcze spojrzenie, ale się nie odzywa.

– Chodzi mi tylko o to, że byłoby fatalnie, gdyby natrafiło na niego jakieś dziecko – wyjaśnia przepraszając Margaretę.

Magnus zamiera z widelcem przy ustach.

– Kto umarł? – pyta, nagle wystraszony.

– Nikt znajomy – odpowiadam i pochyliwszy się, poklepuję go po dłoni. Cofa ją natychmiast.

– A co mówi ta kobieta, która straciła pamięć? – pyta mama, sięgając po wino.

– Hanne? Nie mogę powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica śledztwa.

Unosząc paczkę papierosów, Margaretę zwraca się do mamy.

– Mogę?

– Jasne – zgadza się mama i podsuwa siostrze starą popielniczkę z napisem „Cinzano”, która jest w naszym domu, odkąd tylko sięgam pamięcią.

Ciotka zapala papierosa i zaciąga się z wyraźną przyjemnością. Potem pokasłuje.

– Kto, u diabła, wpadł na pomysł, żeby tę biedną ogłupioną kobietę umieścić u Berit?

– To ona jest u Berit Sund? – pyta mama ze zdumieniem.

– Idiotyzm – mówi Margaretę z naciskiem. – Przecież ona ledwie potrafi zadbać o siebie i swojego kulawego psa.

Zaciąga się znowu papierosem, który trzeszczy, rozpalając się żarem na końcu.

– Słyszałam, że kiepsko u niej z pieniędzmi – wtrąca mama. – Może potrzebowała trochę zarobić.

– U Berit z a w s z e jest kiepsko z pieniędzmi – rzuca Margaretę. – Pamiętam zimę osiemdziesiątego piątego. Jechałam do porodu w Berga. Sytuacja była poważna, ułożenie pośladkowe, a do szpitala nie dało się dojechać, bo rozpętała się zamieć i...

Najchętniej wyszłabym stamtąd, bo nie znoszę słuchać tego wiecznego obgadywania, w którym lubowały się i mama, i ciotka.

Magnus siedział ze wzrokiem utkwionym w stole. Podczas całej kolacji ani razu na mnie nie spojrzał. Patrzył na wszystko inne: na mamę, na Zorra, na gulasz i na sufit, tylko nie na mnie.

Akurat w momencie gdy Margaretę zaczyna opowiadać ze szczegółami, jak to Berit pożyczyła od niej pieniądze, żeby naprawić samochód, który spaliła, dzwoni moja komórka. Normalnie raczej bym nie odebrała w środku posiłku, tym razem jednak sygnał telefonu jest

pożądanym wybawieniem. Historię o starym aucie Berit słyszałam już co najmniej sto razy.

– Przepraszam – rzucam i wstaję, aby wyjść do przedpokoju. – Muszę odebrać, to z pracy.

Po drugiej stronie odzywa się Manfred.

W tle słyszę szum dmuchawy, co znaczy, że nadal jest w biurze, chociaż minęła już dziewiąta.

Ale z drugiej strony, skoro jego żona i córka są w domu, w Sztokholmie, co ma tutaj innego do roboty, niż pracować?

W Ormbergu mnóstwo rzeczy nie jest możliwych.

Nie można pójść na siłownię, wybrać się do pubu na piwo czy kupić sobie na wynos capricciosy w pizzerii. Nie można wstąpić do kawiarni na latte czy żeby przejrzeć wieczorną gazetę. Nie można też iść na pocztę, kupić litra mleka czy kartonu jajek na ciasto na naleśniki, jeśli miało się zaćmienie pamięci i zapomniało wpisać te dwie rzeczy na listę zakupów.

Mimo to w ciągu dwóch tygodni, odkąd tu jesteśmy, Manfred pojechał do domu tylko raz, chociaż jazda do Sztokholmu nie zajmuje więcej niż dwie godziny.

Ciekawe, co na to Afsaneh.

Manfred nie przeprosza za późny telefon. Nie należy do osób, które przeproszają za cokolwiek. Zaczyna bez żadnych wstępów:

– Dzwonili technicy.

– Tak?

– Krew na sportowych butach Hanne...

– Tak?

– Pochodzi od kogoś innego. Nie ma jeszcze wyników testu DNA, ale dla szybkiej identyfikacji sprawdzono grupę krwi. Krew na butach Hanne wykazuje grupę O+, a Hanne ma grupę B+.

– Czy to mogła być krew Petera?

– Nie. On ma AB–, bardzo rzadką grupę. Jedynie jeden procent ludności Szwecji ma taką.

– Chcesz powiedzieć, że...

Głos więźnie mi w gardle na wspomnienie chudej kobiety w śniegu. Twarzy, która nie była już twarzą, i długich, rzadkich siwych włosów.

– Jakby przez przypadek, zamordowana kobieta przy kopcu miała grupę O+, prawdopodobnie jak trzydzieści dwa procent mieszkańców Szwecji, mimo to śmiem twierdzić, że krew na butach Hanne to krew ofiary. Nie widzę innego logicznego wyjaśnienia. To znaczy, że Hanne musiała tam być w chwili jej śmierci. Nie jestem w stanie tego udowodnić, ale wiem, że tak było.



# Jake

**M**amy dzisiaj dzień sportu. Cała klasa pojechała na basen w Vingåker, ale ja postanowiłem wagarować. Nienawidzę sportu, może dlatego, że jestem taki mały i w każdym zawodach zajmuję ostatnie miejsce. Melinda mówi, że jeszcze wszystko nadrobię i będę biegać i pływać szybciej niż inni, tylko muszę trochę podrosnąć. Ale nie dalej jak wczoraj się zmierzyłem i nadal sięgam do małej niebieskiej kreski zaznaczonej flamastrem w ostatnie lato na drzwiach do kuchni.

A kiedy przebieramy się na gimnastykę, wciąż jestem najniższy. Nawet jak stanę na palcach, sięgam Vincentowi zaledwie do ramienia.

Oczywiście nigdy nie staję tuż przy nim – a zwłaszcza nie w przebieralni – to byłoby jak proszenie się o zanurzenie głowy w kiblu.

Tak czy inaczej. Pływanie: jeśli mam być szczery, nie tylko z tego powodu wybrałem dzisiaj wagar. W nocy prawie nie spałem, bo wciąż myślałem o tej bladej twarzy z pustymi, czarnymi oczodołami za oknem Berit.

Powinienem był sprawdzić, kto to taki, ale za bardzo się bałem. Uciekłem ile sił w nogach do motoroweru i pchałem go aż do samej szosy, żeby nie było mnie słyszać. Dopiero kiedy nabrałem pewności, że nikt mnie nie goni, odważyłem się uruchomić silnik.

Gdy zaczęło się rozwidniać, próbowałem sobie wmówić, że to musiało być jakieś przywidzenie. No bo kto miałby tam stać i szpiegować Berit i Hanne w ciemności?

I po co?

Tak czy inaczej, dużo myślałem o Hanne.

Jest strasznie stara, ale silna i mądra.

Poza tym wydaje się, że robi same ciekawe rzeczy, na przykład podróżuje na Grenlandię i ściga morderców. Nigdy nie leży na kanapie z piwem w ręce i nie gapi się na telewizję ani nie jeździ do pośredniaka.

Chciałbym, żeby moje życie było równie ciekawe, lecz w Ormbergu nic się nie dzieje. Nie ma tu nawet morderców. Oprócz tego, który zabił tamtą kobietę przy kopcu, ale on na pewno nie był stąd.

Słyszałem, jak tata rozmawiał o tym z Melindą. Powiedział, że musiał to zrobić jakiś imigrant, muzułmanin. Bo oni inaczej rozumieją w a r t o ś ć c z ł o w i e k a i inaczej patrzą na kobiety.

Są gotowi zabić, jeśli nie dostają tego, czego chcą.

Zastanawiałem się potem, co znaczy to „nie dostają tego, czego chcą”, chociaż

podejrzewam, że chodzi o pieprzenie się. Zapisałem sobie to na ręce, żeby potem spytać Melinę, ale w końcu zapomniałem.

Zdaje się, że mężczyznom i kobietom zależy na różnych rzeczach.

Faceci zawsze czegoś chcą od kobiet. Na przykład ich ciała. Jakby popychała ich jakaś niebezpieczna siła, której one musiały być świadome i przed którą musiały mieć się na baczności.

Czuję się z tego powodu zdezorientowany.

Po pierwsze: czy kobiety nigdy nie chcą niczego od mężczyzn, czy tylko oni muszą „dostać to, czego chcą”?

Po drugie: czy to znaczy, że też wyrosnę na takiego człowieka, który będzie gotowy na wszystko, byle „dostać”? Kogoś takiego, kogo dziewczyny będą musiały się bać? Czy stracę kontrolę nad sobą, kiedy będę starszy, bo to oznacza bycie mężczyzną?

W takim razie nie chcę być mężczyzną.

Myślę o Sadze, o jej miękkich ustach, które dotykały moich warg. O zapachu jej różowych włosów i ciepłe bijącym od jej ciała. O eksplozji w piersi, kiedy mnie pocałowała, o poczuciu, że tamta chwila była ważniejsza od wszystkiego, co do tej pory zdarzyło mi się w życiu. Że w pewien sposób podzieliła je wyraźnie na przed pocałunkiem i po pocałunku i że teraz nic już nie będzie takie samo.

Tak jak wtedy, kiedy umarła mama.

Wygląda na to, że Saga się mnie nie boi. Ona chyba rzeczywiście chciała mnie pocałować.

Jakoś nie mogę tego poskładać do kupy.

Może to tylko muzułmanie są niebezpieczni dla dziewczyn. Może ma to związek z książką, którą czytają, z Koranem, gdzie jest napisane, że muszą walczyć z niewiernymi. Widziałem w telewizji mężczyzn z zakrytymi twarzami i z czarnymi flagami z arabskim pismem. Jak wysadzają się w powietrze, wjeżdżają ciężarówkami w tłum ludzi, podcinają gardła więźniom i chcą stworzyć obejmujący cały świat kalifat. Czasami ogarnia mnie strach, że przyjdą tu, do Ormbergu, chociaż w duchu myślę, że nie chcieliby mieć tutaj swojego kalifatu.

Pieprzony Ormberg jest za nudny, nawet dla porąbanych bojowników ISIS.

Biblia mówi, że trzeba kochać bliźniego swego jak siebie samego. To znaczy, że nie wolno krzywdzić ani zabijać innego człowieka, tak wyjaśnił nam nauczyciel. Ale Saga mówi, że chrześcijanie zabili w imię Boga więcej ludzi niż muzułmanie. Uważa, że to religia jako taka jest niebezpieczna, że nie wolno nigdy podporządkowywać się wierze, bo wtedy zostaje się niewolnikiem.

Sam nie wiem, w co mam wierzyć.

W każdym razie nie w Boga, bo jeśli On istnieje, dopuścił do tego, że mama umarła na raka. A z kimś takim nie chcę mieć nic wspólnego.

Zapakowałem wieżę Eiffla w karton i umocowałem go z tyłu na motorowerze Melindy. Mamy oddać swoje prace po południu. Z dziennikiem w plecaku jadę do Brogrens Mekaniska.

Właściwie nie powinienem jeszcze prowadzić motoroweru, ponieważ nie skończyłem piętnastu lat. Ale wszyscy tak robią w Ormbergu, to tutaj jedyny sposób, by się przemieszczać. Tata się nie zgadza, żebyśmy jeździli, kiedy jest śnieg, ale jeszcze śpi, poza tym jestem ostrożny.

Koła buksują w śniegu, kiedy przed budynkiem wjeżdżam na czerwoną zardzewiałą blachę. Szare niebo ze smugami fioletu wygląda dziwnie złowieszczo. Stado czarnych ptaków wzbija się w powietrze i krąży nad dachem.

Odwiązuję karton z wieżą Eiffla i wchodzę przez zniszczone drzwi z żółtą tabliczką „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Wielka hala maszyn jest pogrążona w ciszy.

Betonowe filary w różnych kolorach podtrzymują wysoki sufit, blade światło sączy się do środka przez brudne okna w stropie. Pod ścianami stoją ogromne maszyny z kołami zębatymi i różnymi pokrętłami. To walcarki, tokarki i inne urządzenia do obróbki blachy, których nazw nie znam. Z belek zwisają łańcuchy zakończone hakami, a wzdłuż całej hali biegnie dźwigar podtrzymywany potężną konstrukcją nośną. Duże pozwijane gumowe węże dyndają ze stropu nad maszynami jak gigantyczne odkurzacze. Pod ścianami stoją też półki z całą masą ziejących pustką przegródek. W pomieszczeniu unosi się słaby zapach oleju.

Tata opowiadał mi o tych maszynach.

Pracował tutaj, zanim produkcję przeniesiono do Azji i fabryka została zamknięta. Kiedyś miało tu zatrudnienie pół Ormbergu, a reszta pracowała w TriåkKungen.

To dlatego dzisiaj jest u nas tylu bezrobotnych.

Mijam monstrualnie wielkie maszyny, które sprasowywały gigantyczne blachy w małe kostki, i próbuję sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać praca w tym miejscu. Tata mówi, że nie wyglądało to wcale tak źle, że było czysto i jasno, pensja przyzwoita, a koledzy mili. Mówi też, że politycy zawiedli Ormberg i że jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby produkcja nie została przeniesiona za granicę.

Zastanawiam się, co dokładnie byłoby inaczej? Mama chyba i tak dostałaby raka? Ale może tata nie piłby tyle piwa i nie musiałby jeździć do pośredniaka.

Kiedy tata mówi o fabryce, zawsze robi się smutny, a ja wtedy za wszelką cenę staram się poprawić mu humor. Próbuję mu wytłumaczyć, że to, że już tam nie pracuje, ma dobre strony, na przykład zyskał dużo czasu na rozbudowywanie domu. Nigdy nie mielibyśmy naszego dużego tarasu, gdyby wciąż chodził do pracy.

Wtedy tata się śmieje, ściska mnie jak zapaśnik i mówi, że mam cholerną rację. Do diabła z idiotami z pośredniaka i z fabryką też.

Lubię, kiedy się tak zachowuje.

W głębi hali stoi biurko brygadzysty. Rzecz jasna jest puste, ale na podłodze obok leżą stare książki telefoniczne. Kiedyś dzwonienie musiało być chyba bardzo skomplikowane, bo trzeba było szukać numeru w takiej cegle.

Czasami przeglądam sobie te stare książki telefoniczne. Są w nich nazwiska i numery osób prywatnych i różnych firm. Kartki są cienkie, pomarszczone od wilgoci i łatwo się drą, jeśli chwyci się je zbyt mocno.

Przy biurku leży też stary brudny materac, a przy nim stoi kilka świeczek. Puszki po piwie i pety pokrywają podłogę – nie tylko ja tutaj przychodzę.

Ostrożnie stawiam karton z wieżą Eiffla na betonowej posadzce, siadam na wilgotnym materacu i otwieram plecak. Wyjmuję z niego dziennik i puszkę coli, którą wziąłem z domu, odnajduję stronę z zagiętym rogiem i zaczynam czytać.

Ostatnio wydarzyła się dziwna rzecz: P poszedł do łazienki. Chwilę później weszłam do niej po krem do rąk.

P stał w rogu ze spodniami opuszczonymi do kolan i pisał esemesa.

Spytałam go, dlaczego pisze esemesa w toalecie. Zdenerwował się i powiedział, żebym przestała go szpiegować.

Dlaczego pisać esemesy w toalecie?

Dlaczego?

Ormberg, 27 listopada

Właśnie skończyło się spotkanie.

Duży postęp!

Andreas dotarł do archiwum szpitala Kullbergska w Katrineholmie. W listopadzie 1993 roku zoperowano w nim złamany nadgarstek pięcioletniej dziewczynce. Z powodu poważnej infekcji otrzymywała dożylnie antybiotyki i dopiero po trzech dniach została wypisana do domu. Lekarz medycyny sądowej porównał zdjęcia rentgenowskie i dokumentację medyczną z protokołem z obdukcji i ma dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że to ona!

Dziewczynka nazywała się Nermina Malkoc. Urodziła się w Sarajewie w sylwestra 1988 roku. Przyjechała z falą uchodźców latem 1993 roku razem ze swoją mamą Azrą Malkoc, urodzoną w 1967 roku też w Sarajewie.

Bingo! – powiedziała Malin. Wydawała się bardzo zadowolona i bardzo pewna. Pewna zwycięstwa.

Patrzyłam na zdjęcia małego szkieletu. Na czaszkę z długimi kosmykami włosów. To wydawało się zupełnie nierzeczywiste, niegodne. Siedzieliśmy sobie i jedliśmy

drożdżówki, jak gdyby nigdy nic, ciesząc się, że udało się ją zidentyfikować.

Jej śmierć. Nasze szczęście. Bułeczki cynamonowe.

Wszystko razem w naszym zafajdanym kantorku na zapleczu dawnego sklepu.

Nermina i jej mama. Azra mieszkała w ośrodku dla uchodźców w Ormbergu – w starej fabryce TrikaKungen, która także na początku lat dziewięćdziesiątych służyła jako azyl dla wielu uciekinierów z byłej Jugosławii.

Azra i Nermina uciekły stamtąd na początku grudnia 1993 roku. Później nie ma już żadnych informacji na ich temat.

Ale starsza siostra Azry, Esma Hadzic, również przebywała w ośrodku i nadal mieszka w Szwecji.

W Gnesta.

To zaledwie godzina drogi stąd. Akurat teraz kobieta jest na wakacjach na Gran Canarii, ale Manfred rozmawiał z nią przez telefon. Powiedziała, że nie słyszała ani o Azrze, ani o Nerminie, odkąd obie zniknęły z ośrodka. Wspomniała też, że Azra była wtedy w ciąży.

Andreas i Malin mają przesłuchać Esmę i pobrać od niej próbki DNA, gdy tylko wróci z urlopu.

Wykorzystując nowe informacje, od razu przystąpiliśmy do pracy.

Manfred skontaktował się z Biurem Imigracyjnym. Malin i Andreas zaczęli sprawdzać w ośrodku. Kto był w nim zatrudniony na początku lat dziewięćdziesiątych? Czy zdarzyło się tam coś szczególnego, co mogło mieć związek z Azrą i Nerminą?

P zweryfikował listę skazanych brutalnych przestępców z regionu i skontaktował się z prokuratorem.

Rozważaliśmy też możliwość, że to Azra zabiła swoją córkę. W przypadku zabójstwa dziecka sprawcą najczęściej jest jedno z biologicznych lub przybranych rodziców. Zniknięcie Azry po śmierci Nerminy mogło na to wskazywać.

Będziemy grzebać w przeszłości Azry, próbując ustalić, czy miała problemy psychiczne lub skłonność do przemocy.

Jakiś hałas przerywa mi lekturę. Trzaśnięcie po drugiej stronie hali, jakby ktoś zamykał drzwi.

Szybko chowam dziennik do plecaka i zaczynam nasłuchiwać.

W ciszy rozlega się echo kroków.

Wyglądam zza biurka i dostrzegam postać zbliżającą się w ciemności. Dopiero po kilku sekundach rozpoznaję, że to Saga. Robi mi się gorąco w środku.

Jest ubrana w pasiaste legginsy, buty trekkingowe i puchową kurtkę. Idąc, wymachuje plecakiem trzymanym w prawej ręce. Różowe włosy ma upięte w kulkę na czubku głowy.

Kiedy unoszę rękę w pozdrowieniu, podbiega do mnie.

– Cześć – mówi zdyszana. – Wiedziałam, że tutaj będziesz.  
– Cześć – odpowiadam. – Nie pojechałaś na basen?  
– Nie. Nienawidzę pływalni. Wiesz, ile tam pakują pieprzonych chemikaliów? Żeby zabić bakterie w wodzie.

- Nie mam pojęcia.
- No właśnie. Nikt o tym nie myśli.
- A po co trzeba zabijać bakterie?

Saga kładzie plecak przy materacu i siada obok mnie. Na ramionach jej kurtki tworzą się wilgotne plamy. Widocznie znowu zaczęło padać.

- Ludzie sikają do wody. Ohyda!
- I dlatego trzeba wlewać do niej chemikalia?
- Tak, właśnie. Chociaż te wszystkie świństwa są chyba jeszcze gorsze niż trochę sików.

Sara podnosi wzrok na sufit i chyba się zastanawia. Po chwili mówi:

– Tak czy siak, lepiej nie zachłysnąć się taką wodą, bo może być bardziej trująca niż na przykład promieniowanie radioaktywne. I dużo bardziej obrzydliwa.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

Saga milknie na moment, wyciąga piórko z małej dziurki w kurtce, a potem jeszcze jedno. I kolejne. Opadają na posadzkę jak płatki śniegu.

- Słuchaj... – odzywa się z ociąganiem.
- Tak?
- Czy my jesteśmy teraz parą?
- Tak – odpowiadam.

Siedzimy na starym zasyfionym materacu. I wcale nie wydaje się to dziwne, jakby to, że jesteśmy razem, było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Jakby to nic nie zmieniało, chociaż wszystko jest inaczej.

Potem Saga sięga po plecak i wyjmuję jakąś torebkę, a z niej jakiś przedmiot, mniej więcej wielkości połowy stożkowego kartonu mleka.

- Co to jest? – pytam.
- Moja praca. Piramida ze zużytych zapalek.
- Bardzo ładna.

Saga uśmiecha się pobłaźliwie.

– Niespecjalnie. Jest, jaka jest. To piramida Cheopsa.

Delikatnie przeciąga palcem po zapalczkach. Poobłupywany czarny lakier na jej paznokciach błyszczy w słabym świetle padającym z okna w dachu. Gdzieś kapie woda na betonową posadzkę.

- Nie są posklejane? Jak je połączyć?
- Używana nitką dentystyczną. Chciałam, żeby wszystko było z odzysku.

– Wow!

– Chyba nigdy w życiu nie zużyłam tyle nici dentystycznej co w ostatnim tygodniu. I teraz ledwie dotknę dziąseł, od razu mi krwawią. Ale gdybym wzięła nową nić, to byłaby ściema. No nie?

Potakuję ruchem głowy.

Jakieś przytłumione uderzenie przerywa nam rozmowę; słychać podnoszące się i opadające głosy. Śmiech, a potem dzikie piski i zbliżające się kroki.

Kulimy się instynktownie za starym biurkiem, lecz jest już za późno. Zobaczyli nas.

Vincent, Muhammed i Albin ruszają szybko w naszą stronę, jakby byli psami tropiącymi, które zwietrzyły krew. Vincent idzie jako pierwszy, zawsze idzie na czele, bo jest niekwestionowanym przywódcą.

Król dupków w Ormbergu.

Podchodząc, z zadziwiającą siłą wypluwa spomiędzy zębów snus jak brązowy pocisk i krzyżuje ramiona na piersi. Odchrząkuje, odchyła głowę i patrzy na nas z góry.

– Ja pierdołę, J a-k e, przygruchałeś sobie laskę?

Muhammed i Albin śmieją się głośno, Albin zapala papierosa. Wciąga dym, zatrzymuje go w ustach przez kilka sekund, a potem wydmuchuje pod sufit.

Gdy podchodzą jeszcze bliżej, Saga przyciska się do mnie. Nagle czuję wszystko ze zdwojoną siłą: przenikliwie zimno wdzierające się pod kurtkę, zapach wilgoci, oddech Sagi i skwierczenie papierosa Albina, kiedy się nim zaciąga.

– Jesteś z tą imbecylką? – pyta Vincent, pokazując na Sagę. – W takim razie muszę ci podziękować. Bo żaden z nas nie chciałby się z nią pieprzyć, nawet gdyby się o to prosiła. Robisz nam przysługę.

Vincent uśmiecha się od ucha do ucha, a potem dodaje:

– Kurde. Cholernie ładna z was para. Imbecylka i ciota.

Głośne rechotanie. Muhammed szczerzy się ubawiony. Albin zaciąga się znowu, ale ma niepewną minę.

– Musimy już iść – mówi Saga i zaczyna zbierać swoje rzeczy.

Wstaje z materaca. Na policzkach ma różowe plamy, a ręce jej drżą.

– Dlaczego? – rzuca Vincent. – Przecież dopiero przyszliśmy.

Sięga po piramidę z zapalek, która stoi na biurku, podnosi ją i marszczy czoło, jakby próbował rozwiązać piekielnie trudne zadanie matematyczne.

Na przykład, ile jest dwa dodać dwa.

– Co to, kurwa, jest?

Obraca konstrukcję zapalczaną na wszystkie strony. Podnosi ją pod światło i mruży oczy. Potem potrząsa nią, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma czegoś w środku.

– Oddawaj! – mówi Saga i wyciąga rękę.

– Jak powiesz, co to jest.

W tym momencie Vincent zauważa pudło z wieżą Eiffla na podłodze obok zasyfionego materaca i upuszcza na posadzkę piramidę, która ląduje na niej z trzaskiem, a zapalki rozsypują się po wilgotnym betonie.

Muhammed i Albin mają niewyraźne miny, spoglądają na Vincenta, jakby czekali na rozkazy, on tymczasem robi krok do przodu i podnosi swoją wieżę Eiffla.

Konstrukcja z puszek pobłyskuje w bladym świetle i trochę trzeszczy, kiedy Vincent trzyma ją za czubek i kołysze nią tam i z powrotem.

– Tylko mi nie mów, że siedziałeś w domu i sam skleciłeś to gównno? Nie masz nic lepszego do roboty? Brak ci matki? Nie możesz iść gdzieś razem ze swoją napaloną siostrą?

– To jest wieża Eiffla – mówię cicho.

Vincent upuszcza ją na posadzkę. Rozlega się metaliczny stukot, konstrukcja leży na boku, trochę przekrzywiona, ale jeszcze cała.

Vincent obraca się i kiwa głową na Albina. Ten podchodzi i staje z niepewną miną obok niego, następnie ciska papierosa w stronę jakiejś starej maszyny i odkasłuje.

Szkoda tego Albina.

Wszystkim żal Albina. Nie tylko dlatego, że jest osłem, który ma jedyne ze wszystkich przedmiotów, ale głównie dlatego, że jego tata jest kaleką. Kiedy babcia była w ciąży, brała jakieś niebezpieczne lekarstwo i przez to tata Albina urodził się potem bez nóg.

Vincentowi też trzeba współczuć.

Tak przynajmniej mówi Melinda. Jego ojciec pracuje na platformie wiertniczej na Morzu Północnym i prawie nigdy nie ma go w domu.

Próbuję myśleć o tym wszystkim, kiedy Albin stoi przy mojej wieży Eiffla i patrzy na mnie bez wyrazu. Staram się sobie wyobrazić kikuty jego taty i jak wózek inwalidzki zaczyna się na wysokim progu i nie może przejechać dalej.

Ale nie udaje mi się.

Choć bardzo się wysilam, nie potrafię współczuć mu w tej chwili. Nie umiem pozbyć się strachu; trudno mi oddychać, zupełnie jakby ktoś mocno, bardzo mocno obwiązał mi ciało sznurem, a moje płuca wypełniał zielony śluz.

Albin spogląda pytająco na Vincenta.

Ten kiwa głową i mówi:

– Zgnieć to gównno!

– Nie! – krzyczę i zrywam się z miejsca. – Nieee!

Albin obrzuca mnie znudzonym spojrzeniem. Potem wzrusza ramionami, jakby to była tylko jedna z wielu dziwnych rzeczy, które Vincent każe mu robić każdego dnia. Jeszcze jedno polecenie, którego nie umie albo nie chce zakwestionować.

Unosi więc stopę i miażdży wieżę Eiffla wilgotnymi butami sportowymi, jakby to był pająk na podłodze w piwnicy.



# Malin

**L**ekarz medycyny sądowej Samira Khan jest tak niska, że sięga mi zaledwie do piersi. Długie ciemne włosy ma splecione w gruby warkocz opadający na plecy. Na zielonym uniformie nosi gumowy fartuch, który szeleści przy każdym ruchu. Rękawiczki i okulary leżą na ławce obok.

Od naszej wspólnej narady przez Skype'a w sprawie szkieletu z kopca minęły już niemal dwa tygodnie.

Nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że spotkamy się z Samirą w związku z kolejnym morderstwem. Albo że Peter zniknie bez śladu.

Ja, Manfred i Svante przejechaliśmy sto osiemdziesiąt kilometrów do Solny, żeby porozmawiać z nią osobiście. Andreas został w Ormbergu, aby omówić z kolegami Svantego najskuteczniejsze sposoby koordynacji naszych czynności dochodzeniowych.

Chociaż nie mamy jeszcze stuprocentowych dowodów na to, że krew na butach Hanne pochodzi od ofiary znalezionej przy kopcu, na razie przyjmujemy jednak takie założenie. Oznacza to, że Hanne, a może także Peter, byli świadkami morderstwa albo przynajmniej znajdowali się w pobliżu, gdy go dokonano.

Rzuca to pewne światło na zniknięcie Petera: po pierwsze, można przyjąć, że on i Hanne zniknęli w piątek, czyli tego samego dnia, kiedy doszło do zabójstwa, i że te zdarzenia mogą się ze sobą wiązać.

Po drugie, chyba prawdopodobna jest hipoteza, że on też mógł paść ofiarą przestępstwa. Skoro nie natrafiliśmy na jego ślad przez sześć dni, nie może chodzić o wypadek. Gdyby leżał gdzieś w lesie ze złamaną nogą albo poślizgnął się i wpadł do rzeki, do tej pory już byśmy go znaleźli.

Samira wciąga rękawiczki.

– A co z waszym kolegą? – pyta, jakby czytała mi w myślach. – Namierzyliście go już?

– Jeszcze nie – odpowiada Manfred.

– Sądzicie, że jego zniknięcie może mieć coś wspólnego z zabójstwem kobiety? – pyta, wskazując głową na zwłoki leżące na aluminiowym stole sekcyjnym w głębi pomieszczenia.

– Mamy podstawy, aby powiązać naszą koleżankę Hanne z miejscem przestępstwa – wtrąca Svante.

– Hanne? Tę, która straciła pamięć?

– Tak – potwierdza Svante.

Samira poprawia sobie fartuch i prostuje plecy.

– To co? Zaczynamy?

Podchodzimy do stołu. Ciało kobiety jest blade i drobne. Z głowy zwisają długimi pasmami siwe włosy.

Zwłoki są starannie pozszywane po przeprowadzonej sekcji.

Samira przystępuje do przedstawienia swoich ustaleń. Mówi niskim głosem, zachowując rzeczowy i ożywiony, ale pozbawiony emocji ton. Robiła to z pewnością setki razy.

– Kobieta o niezidentyfikowanej tożsamości, około pięćdziesięciu lat. Wzrost: metr i siedemdziesiąt pięć centymetrów, waga: pięćdziesiąt osiem kilogramów...

– Czyli chyba miała niedowagę? – przerywa jej Svante.

– Nie, to daje wskaźnik BMI poniżej dziewiętnastu. Taka wartość uznawana jest jeszcze za normalną, chociaż jest już na granicy normy.

Svante kiwa głową i chowa palce jednej dłoni w swojej obfitej brodzie, jakby czegoś w niej szukał.

Zerkam na kobietę na stole sekcyjnym, starając się nie patrzeć na zmasakrowaną twarz.

– Była zdrowa i w dobrej kondycji fizycznej – kontynuuje Samira. – Wszystkie organy wewnętrzne są w całkiem niezłym stanie. Ale jest pewna rzecz... – Spogląda do swoich papierów i dodaje: – Da się zauważyć pewne osłabienie mięśni, co może wskazywać na jakiś rodzaj choroby, której nie jestem w stanie teraz odkryć, albo na to, że była bardzo mało aktywna fizycznie. Jej niska waga nie jest na pewno efektem intensywnego treningu. I jeszcze jeden szczegół.

Samira robi kilka kroków i zatrzymuje się na wysokości głowy kobiety, po czym rozchyła jej usta.

Słysząc coś w rodzaju kłębienia. Zaciskam mocno powieki.

– Zęby są w bardzo złym stanie. Miała zaawansowaną paradontozę i próchnicę, straciła wiele zębów. Jest kilka starych plomb w dolnych zębach przedtrzonowych. Wygląda na to, że do wypełnień użyto jakiegoś stopu złota. Nasz odontolog jeszcze ich nie widział, ale według mnie nie zostały wykonane w Szwecji. Spójrzcie tutaj!

Samira mówi spokojnym głosem, starannie dobiera słowa i widać, że ma doskonałe pedagogiczne podejście, mimo to słuchanie przekazywanych przez nią informacji sprawia mi trudności.

– Ciekawe – mówi Manfred z przekonaniem, a Svante bąka coś potakująco pod nosem. – Czy to normalne, żeby mieć takie problemy z zębami? – docieka Manfred.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Najczęstszą przyczyną jest zaniedbanie, które wynika ze strachu przed chodzeniem do dentysty. Oprócz tego takie zjawisko obserwowane jest nierzadko wśród osób uzależnionych i psychicznie chorych.

Manfred i Svante pomrukuje coś, wciąż pochylając się nad stołem.

– W jej przypadku jednak nic nie wskazuje na to, żeby była narkomanką – kontynuuje Samira. – Na jej ciele nie ma żadnych widocznych blizn ani śladów po igle. Dostałam już

część wyników analizy chemicznej. W krwi i moczu nie wykazano... Chwileczkę... – Samira zerka znowu do papierów leżących na szafce obok stołu i uzupełnia: – ...śladów neuroleptyków, zolpidemu, benzodiazepin czy kwasu gamma-hydroksymasłowego, czyli tak zwanej pigułki gwałtu GHB. Ale czekam jeszcze na inne ekspertyzy.

Samira milknie i odsunąwszy się nieco od stołu, spogląda na mnie.

– Dobrze się pani czuje? – pyta, marszcząc czoło. – Może chce pani usiąść?

Manfred i Svante obracają się w moją stronę i nic nie mówiąc, mierzą mnie spojrzeniem.

– Wszystko w porządku – kłamię z wymuszonym uśmiechem.

Samira pochyła się więc znowu nad zwłokami i mówi dalej:

– Urodziła co najmniej jedno dziecko, widać to po miednicy.

– Nie więcej? – pyta Svante.

Samira uśmiecha się chłodno.

– Tego nie da się zobaczyć. Jestem w stanie stwierdzić tylko tyle, że urodziła c o n a j m n i e j jedno dziecko.

Wpadam na pewien pomysł i przesuwam się o kilka kroków do przodu, stając obok Manfreda, na wysokości głowy kobiety.

– Wspomniała pani, że plomby mogły zostać wykonane za granicą – mówię, wpatrując się w ciemne oczy lekarki. – Może jej problemy z zębami wynikały z tego, że nie miała dostępu do nowoczesnej stomatologii. Mogła być na przykład uchodźczynią. Nie sądzę, żeby opieka dentystyczna na przykład w Syrii działała szczególnie dobrze.

Samira uśmiecha się smutno i przekrzywiwszy nieco głowę, głaszcze palcem ramię kobiety. W jej geście jest czułość, która mnie zaskakuje.

– Ale ona wygląda na Europejkę – mówi z ociąganiem. – A w Europie nie ma obecnie rejonów objętych konfliktami zbrojnymi.

W pomieszczeniu zapada cisza. Po chwili Manfred odchrząkuje i pyta, wskazując na otwór po kuli w piersi:

– Czy moglibyśmy przyjrzeć się bliżej jej obrażeniom?

Wracam do Ormbergu razem z Manfredem. Svante pojechał swoim samochodem do Örebro.

– Myślisz, że była imigrantką? – zwraca się do mnie Manfred, zjeżdżając z E4.

Patrzę przez okno i myślę głośno:

– Dziewczynka z kopca, Nermina Malkoc, mieszkała w ośrodku dla uchodźców w Ormbergu. Obie zostały znalezione w tym samym miejscu. Obie zostały zastrzelone. Obie były bez butów. I tak samo jak na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy zabito Nerminę, również dzisiaj TrikåKungen służy jako centrum dla azylantów. Zastanawiam się po prostu, czy to tylko przypadek.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś krąży po okolicy i zabija uchodźców? Że mamy może do czynienia z jakimś rasistą?

Wzruszam ramionami i patrzę na wieżowce rysujące się na tle ciemniejącego nieba.

– Kto wie.

Manfred kiwa głową.

– Pojedź jutro razem z Andreasem do ośrodka i porozmawiaj z kimś odpowiedzialnym. Chyba powinni tam wiedzieć, czy kogoś nie brakuje.

Andreas wita nas w biurze uniesieniem dłoni. Potem skarży się na dziennikarzy, którzy przez cały dzień tkwili w swoich samochodach przed budynkiem.

Krzesła Hanne i Petera stoją puste.

Chociaż jest ciasno i brakuje nam miejsca, nie przesunęliśmy ich papierów ani rzeczy. Leżą tam, gdzie je położyli, jako nieme, ale uporczywe przypomnienie tego, co się stało – pudełko snusu Petera, jego notes z pospiesznie nabazgranymi zapiskami i tubka kremu do rąk Hanne z apteki.

Podczas gdy Manfred relacjonuje pokrótce nasze spotkanie z lekarką sądową, zdejmuję kurtkę i siadam naprzeciw Andreeasa, unikając jego wzroku. Następnie zaczynam sprawdzać maile.

Kilka minut później dzwoni Max. Ponieważ Andreas patrzy na mnie badawczo, gdy odbieram połączenie, wychodzę do dawnego sklepu, żeby mieć święty spokój.

Staję przed niedużą brudną szybą, za którą kiedyś znajdowała się kasa, i rysuję stopą w kurzu na podłodze. W głębokich bruzdach ukazują się stare kafelki w kolorze musztardy. Na dworze jest już ciemno i z czarnego nieba znowu sypią się duże płatki.

Za niecały miesiąc Boże Narodzenie.

Mam nadzieję, że do tej pory znajdziemy Petera całego i zdrowego i rozwiążemy zagadkę morderstwa. Mam też nadzieję, że będę już daleko od Ormbergu.

U Maxa wszystko dobrze.

Nawet bardzo dobrze. Dostał pochwałę od szefa za swój wkład w rozwiązanie skomplikowanej sprawy odszkodowania. Pięćdziesięcioletnia kobieta z rzekomym urazem kręgosłupa szyjnego prowadziła długi proces przeciwko towarzystwu ubezpieczeniowemu, w którym pracuje Max, i dzięki jego zaangażowaniu firma uniknęła wypłacenia jej rekompensaty.

– Nie dostanie ani jednego öre! Fantastycznie! – oznajmia ze źle skrywaną dumą.

Tak, używa dokładnie tych słów.

Coś mi przeszkadza w tym jego długim i szczegółowym wywodzie. Chyba nawet nie sam fakt, że biedna poszkodowana kobieta zostanie bez pieniędzy, tylko raczej to, że jest tak strasznie rozgadany i roztrajkotany. Nigdy nie uważałam za specjalnie interesujące wysłuchiwanie jego opowieści o pracy. Zwłaszcza że ani razu nie spytał mnie o moje sprawy.

Gdzieś w głowie odzywają się słowa mamy: „Czy ty rzeczywiście go kochasz?”.

To wywołuje we mnie jeszcze większą irytację, tym razem na mamę. Zawsze jej się wydaje, że tylko ona wie, co dla mnie najlepsze, chociaż nigdy nie udało jej się wyrwać z tej dziury. Chociaż nadal mieszka w tym samym domu, w którym dorastała, i obraca się wśród ludzi, których zna od dziecka.

Max kończy informacją, że nie możemy spotkać się w weekend, bo musi pracować, na co odpowiadam, że to nie szkodzi, ponieważ ja i tak zostaję w Ormbergu, żeby prowadzić dalej śledztwo.

– Aha, czyli okej – stwierdza tylko, również tym razem nie pytając, co u mnie.

Po skończonej rozmowie czuję się niewytłumaczalnie źle. Jakbym doznała właśnie jakiegoś olśnienia, ale nie potrafiła dokładnie określić, na czym ono polega.

Po kilku chwilach już wiem.

Nie chcę jechać w weekend do Sztokholmu. Nie byłabym w stanie siedzieć z Maxem przed nowym telewizorem z płaskim ekranem i słuchać, jak papie o swojej pracy. Nie mam najmniejszej ochoty jeść antrykotu i wypijać do niego dwóch i pół kieliszka czerwonego wina. I wcale nie jestem spragniona kochania się z nim w jego dużym, drogim łóżku z podwójnym materacem z końskiego włosia i z płóciennym tapicerowanym oparciem w kolorze idealnie pasującym do narzuty.

Co właściwie jest ze mną nie tak?

Dostałam wszystko, na czym mi zależało, a teraz jakby przestało mieć to dla mnie wartość.

– Wszystko w porządku? – pyta Andreas, unosząc nieco brwi, kiedy siadam z powrotem na swoim miejscu i odkładam komórkę.

– A dlaczego miałyby nie być w porządku? – rzucam dosyć obcesowo.

Manfred chrząka znacząco.

– Czy możemy przejrzeć informacje, jakie wpłynęły do kolegów w sprawie zniknięcia Petera, czy też macie coś przedtem do omówienia?

Zerka na mnie. Wygląda na zmęczonego. Oczy ma zaczerwienione i przygasłe, a jego potężne ciało zapadło się na krzesło jak stary worek ziemniaków.

– Oczywiście – odpowiadam.

Manfred przerzuca kartki na stole.

– W sumie cztery wskazówki, w tym trzy anonimowe. Pierwsza jest od Ragnhild Sahlén, która mieszka blisko starej fabryki TrikåKungens, czyli ośrodka dla uchodźców.

Andreas spogląda ponad stołem prosto na mnie.

– Czy to nie ona...

– Tak – potwierdzam. – To ona chciała zgłosić kradzież roweru.

Manfred patrzy na nas zdezorientowany.

– Coś mi umknęło? – pyta i sięga od razu po długopis, jakby zamierzał coś zapisać.

– W gruncie rzeczy nic specjalnego – wyjaśniam. – Ragnhild Sahlén przyszła tu któregoś dnia i chciała zgłosić kradzież. Była przekonana, że jeden z mieszkańców ośrodka zwędził rower.

– Powinna z tym jechać do Vingåker – wtrąca Manfred. – Nie mamy czasu na takie rzeczy.

– Dokładnie tak jej powiedziałam – mówię. – A co miała do przekazania przez telefon?

Manfred przesuwa długopis po kartce i czyta:

– Podobno słyszała, jak jakiś mężczyzna z ośrodka krzyczał *Allahu akbar* tamtego wieczoru, kiedy zniknęli Peter i Hanne. Według niej... – Urywa i przeciera oczy, po czym kontynuuje: – ...był w jakiś sposób zamieszany w zniknięcie Petera i dlatego tak krzyczał.

– Żartujesz sobie? – wtrąca Andreas, po czym wyjmując pudełko ze snusem i wkłada prymkę pod wargę.

– Niestety nie – odpowiada Manfred. – Chyba możemy zignorować tę informację?

– Bez dwóch zdań – zgadzam się.

– Co prawda wszystkie trzy anonimowe zgłoszenia – ciągnie dalej Manfred – też dotyczą ośrodka dla uchodźców. Jedna z osób twierdzi, że widziała, jak w wieczór, kiedy zniknął Peter i została zamordowana ta nieznamiona kobieta, dwóch ciemnoskórych mężczyzn wnosilo do ośrodka zrolowany dywan. Wystarczająco duży, by mogło się w nim zmieścić ludzkie ciało.

Manfred przy słowach „ludzkie ciało” robi w powietrzu znak cytatu, po czym mówi dalej:

– A jakaś kobieta zgłosiła, że widziała tego samego dnia trzech ciemnoskórych mężczyzn na drodze w lesie na wysokości kościoła. Jej zdaniem wyglądali bardzo groźnie.

– Na jakiej podstawie wyciągnęła taki wniosek? – pyta Andreas. – Że wyglądali groźnie?

– Nie wiadomo – wzdycha Manfred. – Na koniec zadzwonił ktoś i powiedział, że w ubiegłą sobotę na działce przylegającej do ośrodka palił się ogień. Możliwe, że palono ciało.

– Rany boskie! – wykrzykuje Andreas. – Palono c i a ł o? Bo ktoś zobaczył trochę dymu? Co się dzieje z ludźmi w tej pieprzonej wsi?

Na chwilę zalega cisza. Czuję, jak znowu wzbiera we mnie irytacja i nagła potrzeba obrony mieszkańców Ormbergu, o których Andreas ma najwyraźniej niskie mniemanie, mimo że sam urodził się i wychowywał nie tak daleko stąd.

– Radziłabym ci poświęcić trochę czasu, pochodzić po domach i pogadać z ludźmi. Jeśli ich posłuchasz, zaczniesz rozumieć, dlaczego dzwonią z takimi informacjami.

– Czyżby? – pyta Andreas z powątpiewaniem.

– Ormberg to mała społeczność – kontynuuję najspokojniej, jak potrafię, chociaż pałają mi policzki. – Z jakiegoś powodu gmina podjęła decyzję o umieszczeniu w samym środku lasu, wśród tutejszych mieszkańców stu Arabów. Stu osób o kompletnie innym systemie wartości. Które doświadczyły wojny, tortur i nędzy i tutaj dostają wszelką możliwą pomoc:

dach nad głową, jedzenie, zasiłki i edukację. Musisz zrozumieć, że ludziom z Ormbergu nie jest łatwo. Zakłady przemysłowe zlikwidowano i przeniesiono produkcję do Azji. Zamknięto pocztę i przedszkole. Nawet ten pieprzony sklep zabito dechami.

– Tak samo dzieje się w wielu innych miejscach – zauważa oschle Manfred.

– Wiem – odpowiadam. – Ale w Ormbergu jest tak od pokoleń. Zanim doszło do kryzysu w przemyśle tekstylnym i bankructwa Brogrenów, były tutaj fabryka i tartak. Teraz nie ma niczego. Absolutnie niczego. Ludzie czują się oszukani. A kiedy przyjeżdżają tu uchodźcy i dostają wszystko podane na tacy, to ich irytuje. Zwłaszcza że imigranci mają coraz więcej wymagań: mówiący po arabsku personel w przychodni lekarskiej w Vingåker, specjalne godziny wstępu na basen dla kobiet...

Milknę pod wpływem spojrzenia Andreasa. Są w nim niedowierzenie i strach, jakby patrzył na niezwykle niebezpieczne zwierzę albo raczej na dziecko, które bawi się odbezpieczoną bronią.

– Do czego zmierzasz? – pyta.

– Twierdzą tylko, że rozumiem, co oni myślą. Nawet jeśli nie zgadzam się ze wszystkim, co mówią. Bo się nie zgadzam. Nie jestem rasistką, jeśli mnie o to podejrzewasz.

– Chyba nie słyszysz samej siebie? – pyta Andreas. – Nie słyszysz, jak to brzmi...? Malin, przecież to mogłaś być ty.

– Słucham? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko to, że równie dobrze to ty mogłaś uciekać przed wojną i głodem.

– Opamiętaj się. Właśnie do tego zmierzam. Jestem z Ormbergu i nam tutaj nikt nie pomaga. Najpierw trzeba chyba pozamiatać przed własnymi drzwiami, żeby móc pomagać reszcie świata.

Manfred uderza wielką dłonią w stół tak mocno, że wszystkie papiery spadają na podłogę, a z jego kartonowego kubka wylewa się kawa.

– Co jest z wami, do cholery! Niezależnie od tego, jaki macie ze sobą problem, rozwiążcie go może poza godzinami pracy.

Potem wstaje i zaczyna chodzić tam i z powrotem po pokoju.

– Próbuję tylko wyjaśnić, dlaczego ludzie robią to, co robią – mówię do Manfreda. – Są rozczarowani, bo nigdy nie otrzymali od nikogo pomocy. Bo Ormberg nigdy nie dostał nawet dziesiątej części tych zasobów, jakie dostają uchodźcy. Nigdy o tym nie pomyślałeś?

Manfred zatrzymuje się i odwraca do mnie zatrważająco powoli. Jego wielka postać stopniowo zamiera w posąg.

– Nie ma najmniejszego znaczenia, co sądzę o ośrodku dla uchodźców. I jest kompletnie nieistotne, co myślę o specjalnych godzinach wstępu na basen dla muzułmanek. Jesteśmy tu po to, żeby wyjaśnić morderstwo. Teraz mamy jeszcze drugie zabójstwo. A jeżeli nie znajdziemy Petera, będzie i trzecie.

Rzucam okiem na zdjęcia na ścianie. Na szkielet dziewczynki i pozbawione twarzy ciało

w śniegu.

Manfred nie zwraca na mnie uwagi i mówi dalej:

– Jeśli nie potraficie wznieść się ponad polityczne różnice, odeślę was do domu. Poza tym będę musiał zawiadomić waszych szefów i uświadomić im, jak bardzo jesteście nieprofesjonalni. Czy to jasne?

Opada ciężko na krzesło i wzdychając głęboko, spogląda w sufit.

– Do jasnej cholery, nie zamierzam się tu z wami pieścić – mówi z naciskiem. – Ogarnijcie się wreszcie.

Wzdycha znowu i masuje sobie skronie palcami. A potem dodaje:

– Jutro pojedziecie do ośrodka i porozmawiacie z personelem, sprawdzicie, czy kobieta przy kopcu była stamtąd. A potem odwiedźcie w Gnesta ciotkę Nerminy, Esmę. Wczoraj wróciła z urlopu. Musicie dowiedzieć się więcej o Nerminie Malkoc. I trzeba znaleźć jej mamę.



# Jake

Siedzimy na łóżku Sagi i oglądamy horror na jej komputerze. Film opowiada o dziewczynie, która została opętana, ponieważ przespała się z facetem noszącym w sobie demona. Teraz musi iść do łóżka z innym, żeby pozbyć się tego szatana.

– Moim zdaniem w Stanach boją się seksu – mówi Saga z naciskiem, jakby wiedziała wszystko nie tylko o seksie, ale także o USA.

– Hm – bąkam i grzebię w torebce z cukrowymi żelkami.

Saga kupiła je, ponieważ bardzo mi współczuje z powodu wieży Eiffla. Wiem, że zrobiła to dlatego, i muszę przyznać, że sprawiła mi tym przyjemność.

Myślę o Vincencie, Muhammedzie i Albinie. Przypominam sobie posępne spojrzenie tego ostatniego, kiedy wzruszył ramionami i zaczął deptać moją wieżę. W ciągu zaledwie kilku sekund została zniszczona wielotygodniowa praca.

Saga i ja pozbieraliśmy potem resztki zmiażdżonej konstrukcji z posadzki. Jej piramida natomiast przetrwała w całkiem niezłym stanie. Saga zamocowała na nowo zapalki, które odpadły, i potem nie było nawet widać, że coś zostało uszkodzone.

Ale wieża Eiffla nie dało się uratować. Była spłaszczona jak naleśnik i tak krzywa, że nie dało się domyślić, co przedstawia.

Mimo to zaniósłem ją do szkoły. Kiedy oddałem ją Evie, naszej nauczycielce, i razem z Sagą opowiedziałem, co zrobił Albin, jej twarz spurpurowiała aż po szyję. Obiecała, że zaraz po lekcji porozmawia z dyrektorem.

Możliwe, że to zrobiła, ale to i tak niczego nie zmienia.

Wieża Eiffla jest zniszczona, a Vincent, Albin i Muhammed zawsze pozostaną zasranymi dupkami.

To na końcu to słowa Sagi, ona uwielbia nazywać Vincenta zasranym dupkiem, kiedy on tylko nie słyszy.

Tata mówi, że Vincent i jego kumple kiedyś się uspokoją, że będą z nich l u d z i e, gdy dorosną. Twierdzi też, że właściwie to trzeba współczuć Vincentowi i że w okresie dojrzewania często tak się dzieje. Bo w ciele zmienia się tyle, że głowa przestaje nadążać.

Mówi, że t o p r o b l e m c h ł o p c ó w.

Czyli, dochodzę do wniosku, Vincent jest więźniem własnego ciała. Mięśni, tkanek i całej reszty.

Jeszcze jeden powód, żeby nie być mężczyzną.

Saga spogląda na mnie.

– Ile byś dał w skali od jednego do dziesięciu? – pyta, wskazując na laptop.

Patrzę na opętaną przez demona dziewczynę, która biegnie przez las z szeroko otwartymi ustami.

– Z osiem. Według mnie jest dosyć dobry. A ty jak myślisz?

– Dziewięć – mówi Saga z przekonaniem i przysuwa się trochę bliżej.

Kiedy jej ramię dotyka mojego, w piersi wzbiera mi fala ciepła, a serce robi drobne salto. Bardziej domyślam się, niż czuję na skórze delikatne włoski jej przedramienia.

Oczywiście myślałem o tym tysiące razy: że to mogłoby się zdarzyć znowu. Że moglibyśmy się znowu pocałować.

Bo przecież jak jest się razem, to tak się dzieje.

Ta myśl i podnieca, i przeraża. To jak stać na trzecim podeście wieży do skoków nad jeziorem, patrzeć na błyszczącą jak lustro tafłę wody w dole i wahać się – chociaż człowiek wie, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, mimo to potwornie się boi, że coś się nie uda.

Saga zatrzymuje film jednym naciśnięciem klawisza. Mruga i patrzy na mnie z powagą. Tusz do rzęs utworzył ciemny cień pod jej oczami. Róż na policzkach błyszczy w słabym świetle monitora.

– Myślisz, że przy kopcu straszy? – pyta.

– Chcesz wiedzieć, czy wierzę w upiorka?

Kiwa głową i zwilża sobie usta językiem.

– Nie wierzę w duchy – mówię, lecz w tej samej sekundzie, gdy wypowiadam te słowa, przypominam sobie kościśta, bladą twarz w oknie Berit. Czarne oczodoły i wąską kreskę zamiast ust.

– Ja też nie. Ale to wszystko jest bardzo dziwne.

Saga przesuwając opuszkami palców po klawiaturze.

– Co jest dziwne?

Waha się, w końcu jednak chyba postanawia, że może mi się zwierzyć.

– Że znajdują tam tylu umarłaków. To chyba nie może być przypadek. Jeśli nawet między samymi morderstwami minęło dwadzieścia lat.

Myślę o Nerminie, która przyjechała do Szwecji tylko po to, żeby umrzeć. O tym, co wiem, ale nie mogę powiedzieć Sadze.

A to wszystko z winy paranoi.

Gdybym tamtego wieczoru nie wyszedł w sukience mamy, mógłbym od razu oddać dziennik policji. Wtedy nie musiałbym go zatrzymywać i kłamać.

Saga spogląda na mnie i chyba znowu się waha. Potem mówi:

– Kobieta, którą znaleźli w ostatni wtorek, została zastrzelona. I była bosa.

– Co? Bosa? Na śniegu?

Saga potakuje z poważną miną.

– Skąd to wiesz? – pytam.

– Były mąż siostry mojej mamy, który mieszka w Brevens Bruk, ma syna, a ten syn chodzi z dziewczyną z Kumla, a ona pracuje jako urzędniczka w policji w Örebro. Tylko nikomu tego nie powtarzaj. Obiecuj!

– Obiecuję. Co jeszcze powiedziała?

Saga bawi się kółkiem w nosie.

– Że wyglądała jak upiór. Z brudnymi siwymi włosami.

– Tata mówi, że ten, co ją zamordował, mógł być z ośrodka dla uchodźców.

– Skąd może to wiedzieć?

Saga unosi perfekcyjnie pomalowane brwi.

– A kto inny mógłby ją zabić? – pytam. – Gunnar Sten? Skogowie? Upiorek?

– Nathalie twierdzi, że słyszała upiorka przy kopcu. Dwa razy. Jeden raz przemówił do niej, szepnął, żeby podeszła.

– Nathalie pieprzy bzdury.

Saga wygląda na zakłopotaną.

– Ale...

Jej głos zamiera. W ciemnym świetle oczy wydają się czarne i wyjątkowo duże, twarz robi się poważna.

Siedzę jak skamieniały, nie mam odwagi się ruszyć.

Nie chcę się ruszyć.

Potem mnie całuje, a ja odwzajemniam pocałunek. Tym razem jest łatwiej, jakby usta same wiedziały, co mają robić.

Saga smakuje gumą do żucia, a ja zamykam oczy, nie bardzo wiedząc dlaczego. Może dlatego, że inaczej byłoby dla mnie za dużo doznań i nie dałbym rady wchłonąć wszystkiego, co się dzieje.

Gdy rozlegają się czyjeś kroki, odskakujemy od siebie.

– Twoja mama? – pytam.

– Nie, ona je. Nie będzie nam przeszkadzać.

Ale w tej samej chwili ktoś lekko puka do drzwi.

– Saga, masz przyjść i posprzątać po sobie w kuchni.

– Później – woła Saga, wznosząc oczy.

– Nie, teraz! Poza tym muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Saga wzdycha i mimo wszystko wstaje, przeciągając dłonią przez różowe włosy.

– Już idę – mówi i znika za drzwiami.

Długo nie wraca. Mijają minuty i nic się nie dzieje. Słyszę wzburzone głosy dochodzące z kuchni, ale nie potrafię rozróżnić słów.

Zerkam na laptop. Ponieważ nie mam ochoty dalej oglądać filmu sam, wydaję z plecaka podręcznik do historii, w którym wciąż leży dziennik, i zaczynam czytać.

Na pierwszych stronach mowa jest o różnych przesłuchaniach przeprowadzonych przez

Hanne i P. Potwornie to nudne, więc przewracam kilka stron do przodu.

Ormberg, 28 listopada

P zmienił PIN w komórce. Odkryłam to, kiedy był pod prysznicem. Chciałam sprawdzić pogodę, wbiłam stary znajomy kod, który miał od wieków, ale telefon nie zareagował!

Wcześniej nigdy nie zmieniał PIN-u. Jediną osobą, która dotąd mogła uruchomić jego komórkę poza nim samym, byłam ja.

Czyli musi być w niej coś, czego nie powinnam zobaczyć. Przypominam sobie, jak ze spodniami opuszczonymi do kolan pisał esemesa w łazience.

Coś ukrywa.

Muszę ustalić co!

Wczesne przedpołudnie w biurze.

Malin i Andreas właśnie widzieli się z Rut Sten, kierowniczką ośrodka dla uchodźców w Ormbergu na początku lat dziewięćdziesiątych.

Oczywiście pamiętała Azrę i Nerminę, ale nie mogła sobie przypomnieć, aby wyróżniały się czymś szczególnym. Podobno dobrowolnie opuściły ośrodek 5 grudnia 1993 roku. Według Rut miało to związek z pozwoleniem na pobyt.

Manfred je bułeczki.

Mnie to nie przeszkadza. P spytał, czy rzeczywiście POWINIEN je jeść. Zrobiło mi się go strasznie żal. (Jest gruby, ale to przecież dorosły mężczyzna, w pełni zdolny decydować, co wkłada do ust).

Gdyby P siedział bliżej, trąciłabym go w bok, stał jednak przy drzwiach i sprawdzał komórkę.

Postanowiłam mimo wszystko nic nie mówić. Jeśli zarzucę mu, że ma przede mną tajemnice, obróci to przeciwko mnie. To przecież ty masz tajemnice, powiedziałyby pewnie.

I miałby rację.

Tak więc nic nie mówię. Nie pytam, dlaczego zmienił PIN. (Przecież to mógł być zbieg okoliczności, przypadek niemający nic wspólnego ze mną, CENTRUM WSZECHŚWIATA).

Oczywiście ironizuję. Nie jestem centrum wszechświata. Ani dla P, ani dla nikogo innego. Nawet dla siebie samej: mam wrażenie, jakbym powoli rozpadała się na małe, malutkie kawałki, które podążają w różnych kierunkach, rozwiewają się jak jesienne liście w zimną, czarną noc nad rzeką Ormberg.

To dziennik mojego znikania.

Nie fizycznego, ale symbolicznego – bo z każdym mijającym dniem coraz głębiej zanurzam się we mgłę.

Kim będę, jeśli przestanę być Hanne? Kiedy to, czym jestem – moje wspomnienia, moja historia – wyblakną i zostaną przemielone na kurz choroby? KIM wówczas będę? Ciałem bez duszy? Duszą bez funkcjonującego ciała? Kupą mięsa, z pulsującą w żyłach krwią?

Nieustannie o tym myślę.

Nie boję się śmierci, tylko boję się stracić siebie.

To dlatego dziennik jest taki ważny. Służy dokumentacji, ale ma mi także przypominać, kim jestem.

Istnieję! W każdym razie jeszcze przez jakiś czas!

P sprawdził rejestr przestępców i podejrzanych. W Ormbergu i okolicy nie popełniono wielu poważnych przestępstw. Tutejsi mieszkańcy co najwyżej biją się po pijanemu i ćpają.

Jednak dwa poniższe przypadki są interesujące:

Björn Falk: urodził się i dorastał w Ormbergu, ale w latach 2009–2016 mieszkał w Örebro. Wrócił do Ormbergu, kiedy odziedziczył dom po rodzicach. Skazany za przemoc, molestowanie i naruszenie nietykalności osobistej kobiet. Dwukrotnie znęcał się nad swoją byłą partnerką niemal ze skutkiem śmiertelnym – raz wepchnął ją do rozgrzanej sauny i zablokował wyjście. Aby usunąć poparzenia na ciele, kobieta musiała przejść potem dwie transplantacje skóry.

Żołądek przeszywa mi skurcz, kiedy czytam o Björnzie.

To nowy facet mamy Sagi. Jestem przekonany, że ona nie wie, jaki z niego sukinsyn. Powinienem opowiedzieć to Sadze, żeby mogła ją ostrzec.

Ale to niemożliwe.

Nie wolno mi nikomu wspomnieć o tym, co jest w dzienniku.

Czuję ciarki na plecach, kiedy po raz kolejny uświadamiam sobie, że dziennik Hanne być może zawiera rzeczy, których nie powinienem, albo nawet nie chcę wiedzieć. Rzeczy, które powinny pozostać tajemnicą.

Może lepiej byłoby nie czytać go dalej. Lecz w tym samym momencie, gdy przemyka mi to przez myśl, moje spojrzenie zatrzymuje się na kolejnym akapicie i serce niemal zatrzymuje mi się na chwilę.

Drugi to Henrik Hahn: pedofil, który atakował dzieci w Örebro (w szkole, gdzie pracował). W 2014 został poddany terapii w zamkniętym systemie opieki psychiatrycznej i pozostaje do dziś w szpitalu Karsudden pod Katrineholmem. Żona

Kristina i syn Vincent mieszkają w Ormbergu.

Ze zdziwienia upuszczam dziennik na podłogę.

Tata Vincenta jest pedofilem?

Przecież Vincent mówił, że jego ojciec pracuje na platformie wydobywczej na Morzu Północnym. Że odpowiada tam za system IT i komputery i że dlatego prawie nigdy nie może przyjechać do domu.

Czy on siedzi w Karsudden? Z innymi świrami?

Jest zboczeńcem? Oczywiście o wiele ohydniejszym zboczeńcem ode mnie. Bo ostatnio sprawdziłem, że słabość do dziewczynskich ciuchów i kosmetyków nie jest karalna.

Vincent Hahn.

Król dupków w Ormbergu.

Może tata mimo wszystko miał rację. Może trzeba współczuć Vincentowi.

# Malin

**C**o najmniej stuletnia ceglana budowla jest bardzo okazała: ma imponująco duży korpus, od frontu biegnie rząd wysokich, zwieńczonych łukami okien. Pada z nich ciepłe światło i miesza się z szaroniebieską grudniową ciemnością, zabarwiając śnieg pod murem na złoto.

Światło pali się także w wolno stojącym domu zarządcy, położonym pięćdziesiąt metrów od głównego budynku. W jednym z okien wisi samotna bożonarodzeniowa gwiazda.

Śnieg skrzypi nam pod stopami, gdy przemierzamy krótki odcinek z parkingu do głównego wejścia.

– Co za kurewski ziąb – mamrocze Andreas.

Zgadzam się z nim, potakując głową.

Kiedy rano jadłam z mamą śniadanie, termometr pokazywał dziewięć stopni mrozu.

Zatrzymuję się i spoglądam jeszcze raz na budowlę przypominającą pałac. Do początku lat sześćdziesiątych, gdy nastąpiła plajta Triåkungen, pracowało tutaj ponad dwieście osób. Fabryka, będąca wraz z Bogrens Mekaniska jednym z głównych pracodawców dla ludności Ormbergu, uległa w końcu zagranicznej konkurencji.

Próbuję sobie wyobrazić, jak musiało tu być w owych czasach świetności, u schyłku lat pięćdziesiątych. Kiedy fabryka żywiła całe rodziny. Kiedy rodzice pracowali na zmiany i mijali się na dziedzińcu. W domu czekały dzieci, prawdopodobnie pochłonięte nowinkami dostępnymi dzięki postępowi technicznemu i podwójnej pensji rodziców, takimi jak telewizor, telefon Cobra czy winylowe płyty. A nad niezmiernymi lasami, gdzieś w cichym, czarnym kosmosie szybował satelita Sputnik.

Postęp, wiara w przyszłość.

Potem nad Ormbergiem zaległa ciemność.

Pukamy do niedużych brązowych drzwi na prawo od głównego wejścia.

Otwiera nam kobieta. Ma krótkie siwe włosy, a na ramionach robione na drutach poncho z wełny w naturalnym kolorze. Jasne oczy otoczone są grubą kreską, a usta, pociągnięte ciemnoczerwoną szminką, przypominają krwawą ranę pośrodku twarzy. Na jej szyi wisi okazały naszyjnik z emaliowanego metalu w kształcie chrząszcza czy żuka.

Kobieta uśmiecha się i rana w twarzy pęka, kiedy przedstawia się jako Gunnel Engsäll, magister nauk społecznych i kierowniczka ośrodka dla uchodźców.

Uścisk jej dłoni jest zaskakująco mocny, a wybuch śmiechu, gdy Andreas potyka się o próg, równie niespodziewany i hałaśliwy niczym nagła burza w senny letni dzień.

– Ups – mówi. – Nie pan pierwszy wybiłby sobie tu zęby. Zapraszam!

Ruszamy korytarzem, mijamy otwarte drzwi, za którymi widać obszerne pomieszczenie mogące być stołówką albo salą ogólną. Kilkoro dzieci bawi się na podłodze. Jakiś chłopiec przebiega obok z kijem do unihokeja w dłoni. Dwie nastolatki siedzą na kanapie i chichoczą.

Idziemy dalej i na końcu korytarza wchodzimy do niewielkiego biura, które choć urządzone spartańsko, sprawia przytulne wrażenie. Może za sprawą kolorowych poduszek leżących na fotelach.

Gunnel zaprasza, abyśmy usiedli, następnie wyjaśnia, że ma tylko dwadzieścia minut, ponieważ później jest umówiona z kimś z gminy, żeby porozmawiać o procedurach przeciwpożarowych i „innych biurokratycznych pierdołach”.

Po ostatnich słowach przez pokój przetacza się jej gromki śmiech.

Andreas wyjmuje notes i wyjaśnia powód naszej wizyty.

– W ubiegły wtorek znaleziono w lesie martwą kobietę, niecałe dwa kilometry stąd – zaczyna, przewracając kartki. – Była...

Gunnel unosi dłoń. Bransoletki na jej przegubie pobrzękują głośno.

– Ona nie była stąd.

Andreas otwiera usta, jakby chciał coś dodać, nie padają z nich jednak żadne słowa.

– Skąd może to pani wiedzieć? – pytam. – Przecież nawet nie....

– Już o niej słyszałam – odpowiada Gunnel. – Pięćdziesięciolatka? Długie siwe włosy?

Andreas spogląda na mnie lekko zdezorientowany.

– Gdzie pani to słyszała? – kontynuuję.

Kobieta zachowuje kamienną twarz.

– Ormberg jest mały. A ja pilnuję swoich podopiecznych. Nikogo nam nie brakuje. Gdyby ktoś zniknął, wiedziałabym o tym.

– Okej – mówi Andreas. – Rozumiem. Wobec tego mam kilka innych pytań. Cofnijmy się w czasie o tydzień, do piątku, pierwszego grudnia...

Andreas zerka do notesu.

– To wtedy została zamordowana? – pyta Gunnel.

Zalega cisza. Andreas odchrząkuje.

– Szczegóły śledztwa objęte są tajemnicą. Chciałbym, żeby mi pani powiedziała, czy tamtego wieczoru nie wydarzyło się nic nietypowego.

Gunnel kieruje spojrzenie za okno, a potem powoli kręci głową.

– Nie sędzę.

– Otrzymaliśmy informację, że coś tutaj paliliście.

Kobieta mruga nerwowo i spogląda ze zdziwieniem na Andreasa.

– Paliliśmy? No tak, możliwe. To znaczy, kilku chłopców próbowało rozniecić ogień i potem buchnęły straszne płomienie. A co? To zabronione?

– Nie, bynajmniej. Chciałem tylko zweryfikować tę informację. Mamy też świadka, który



twierdzi, że tamtego wieczoru na teren ośrodka wniesiono zrolowany dywan. Tak duży, że zmieściłby się w nim człowiek.

Gunnel krzyżuje ramiona na piersi i przybiera surowy wyraz twarzy.

– To jakiś żart?

Andreas znowu odchrząkuje i spogląda na swoje buty.

– Musimy sprawdzić każdą informację – wyjaśniam.

Nasza rozmówczyni kręci głową.

– Gdyby ktoś wniósł tu zwłoki, na pewno byśmy zauważyli. Zazwyczaj na grillu pieczemy kielbasę jagnięcą i pianki cukrowe, a nie części ciała.

Gunnel wstaje i zaczyna chodzić tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu. Wreszcie zatrzymuje się przed oknem i patrzy przed siebie.

– Co się dzieje z tymi ludźmi? – rzuca po chwili retoryczne pytanie. – Skąd tutaj tyle nienawiści? Dlaczego tyle osób dokonuje projekcji swoich frustracji na uchodźców? Dlaczego uderza się w najsłabszych, w tych, którzy i tak są już pokonani? Czy umiecie mi to wytłumaczyć?

Żadne z nas się nie odzywa. Andreas wygląda tak, jakby chciał zapaść się pod ziemię. Ja jestem w rozterce. Nienawiść i przemoc są oczywiście straszne, ale w postawie Gunnel i w jej politycznie poprawnej interpretacji wrogości wobec obcych jest coś irytująco wielkodusznego.

Kierowniczka kontynuuje:

– A wczoraj była tu ta szalona kobieta. Ragnhild...

– Ragnhild Sahlén? – upewniam się.

– Tak. Bredziła o jakimś rowerze, który według niej ukradł ktoś stąd. I powiedziała, że ona już się postara, żeby zamknięto ośrodek.

Wraca na swoje miejsce i siada znowu.

– Tak powiedziała? – pytam.

Gunnel potakuje.

– Czy pracowała pani tutaj na początku lat dziewięćdziesiątych? – wtrącam, próbując zmienić temat, bo chociaż zachowanie Ragnhild jest specyficzne, trudno mi sobie wyobrazić, żeby miała coś wspólnego z kobietą w lesie.

Gunnel prostuje się nieco na krześle.

– Tak, pracowałam przez pewien okres, podczas wojny w byłej Jugosławii. Sytuacja wyglądała wtedy podobnie. Ludzie strasznie się burzyli, że akurat u nich pojawili się imigranci. Pamiętam, że w niektóre noce spaliśmy na zewnątrz z gaśnicami w rękach, bo ktoś z uporem podpalał co rusz zarośla naokoło. Zgłosiliśmy to na policję, radiowóz przyjechał kilka razy, ale nigdy nie udało się złapać tego, kto to zrobił.

– Czy pamięta pani pięcioletnią dziewczynkę Nerminę Malkoc? – pytam. – Mieszkała tutaj ze swoją matką Azrą Malkoc. Odeszły stąd w grudniu tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątego trzeciego.

Gunnel marszczy brwi i dotyka dużego emaliowanego żuka wiszącego na łańcuszku.

– Nie, niestety. Nie mam pamięci do nazwisk.

Andreas wyjmuje zdjęcie Nerminy i podaje je kobiecie, która przygląda mu się w milczeniu, a potem kręci głową.

– Przykro mi. Powinniście skontaktować się z Rut Sten, była tu wtedy kierowniczką. Dzisiaj jest już na emeryturze. Możecie też spróbować porozmawiać z Tonym, ówczesnym dozorcą.

– Rozmawialiśmy z Rut – wyjaśnia Andreas. – Ona pamięta i Azrę, i Nerminę, ale nie wie, co się z nimi stało po opuszczeniu Ormbergu.

Rozlega się pukanie do drzwi i do środka wsuwa głowę młody mężczyzna z włosami zebranymi w kucyk.

– Już są – mówi. – Siedzimy w domu zarządcy. Przyjdiesz?

Gunnel kiwa głową.

– *Well?* – rzuca Andreas w samochodzie, gdy ruszamy do Gnesta, żeby spotkać się z Esmą, siostrą Azry Malkoc.

Właśnie wróciła z Wysp Kanaryjskich i oboje mamy nadzieję, że dzięki niej uda nam się uzyskać trop prowadzący do matki Nerminy.

– *Well co?* – pytam.

– Chyba nie było tak niebezpiecznie.

– Może byś się wreszcie opamiętał – mówię do niego. – Ile razy mam ci tłumaczyć, że nie jestem rasistką?

Przypominam sobie naszą wczorajszą kłótnię w obecności Manfreda. I to, co powiedział wtedy Andreas – że równie dobrze to ja mogłam uciekać przed głodem i wojną. To był tani i ohydny chwyt obliczony na zdobycie przewagi. Andreas jest nie tylko egocentrycznym męskim szowinistą, ale najwyraźniej próbuje też moim kosztem okazać swoją moralną wyższość.

Manfred pewnie teraz myśli, że jestem skrajną rasistką. A to wszystko przez głupie gadanie Andreasa.

Pozostałą część drogi do Gnesta odbywamy w milczeniu. Na dworze zapada zmierzch. Gdy wjeżdżamy do centrum, zaczyna sypać śnieg.

Andreas parkuje w błotnistej brei przed szarym drewnianym dwupiętrowym budynkiem przy Nygatan, gdzie mieszka Esmą Hadzic.

Przebiegając kilkadziesiąt metrów od samochodu do wejścia, otulam się szczelnie kurtką. Wirujący wokół nas śnieg tłumi wszelkie dźwięki, słychać jedynie skrzypienie naszych butów.

Esmą otwiera drzwi już po dwóch sygnałach dzwonka. Jest wysoka i ciemnowłosa, ma

delikatne rysy i włosy krótko obcięte na pazia. Chociaż wygląda na co najmniej pięćdziesiąt lat, jej twarz sprawia wrażenie nieco dziecinnej, niemal lalkowej, jakby zmarszczki były tylko maską, którą jednym ruchem można ściągnąć i odsłonić dziewczęcą buzię.

Dopiero po wyciągnięciu do niej ręki zauważam, że kobieta opiera się na kuli, a jej palce są powyginałe jak sękaty gałęzie.

Dostrzega moje spojrzenie.

– Reumatyzm – wyjaśnia krótko. – Jestem na rencie inwalidzkiej od ponad dwudziestu lat.

– Następnie, wspierając się na szwedce, wlecze się do kuchni, dając nam znak, abyśmy przeszli dalej.

Zdjąwszy buty i kurtki, podążamy za gospodynią.

Mieszkanie jest małe, sterylne czyste, pomalowane na jasne kolory. Podłogę w przedpokoju i salonie pokrywają bure orientalne dywaniki, ale ściany są gołe jak w klasztorze. Kuchnia też ma bardzo spartański wygląd. Na linoleum stoi prosty sosnowy stół i cztery krzesła. Nie ma firanek, kwiatów ani żadnych ozdób.

Siadamy, a Esmą częstuje nas kawą i pierniczkami. Mam wyrzuty sumienia, kiedy widzę, jak walczy z własną niedołężnością, aby podać mi kubek swoimi zdeformowanymi dłońmi.

– Pomóc pani? – pytam.

– Nie – odpowiada zdecydowanie, stawiając kubek przede mną.

Potem nalewa sobie kawy i powoli siada obok Andreasa.

– To Nermina? – pyta opanowanym, ale słabym głosem.

Mówi bezbłędnie po szwedzku, chociaż z lekkim akcentem.

Andreas odchrząkuje, a jego spojrzenie zatrzymuje się na zniekształconych rękach Esmy.

– Jak zapewne powiedział pani przez telefon nasz kolega, na razie nie mamy stuprocentowej pewności. Musimy potwierdzić tożsamość na podstawie próbek DNA jej krewnych. Wiele jednak wskazuje na to, że szkielet znaleziony w dwa tysiące dziewiątym roku pod Ormbergiem m ó g ł należy do Nerminy. Na kości promieniowej jednego przedramienia znajdowały się metalowe płytki, które prawdopodobnie zostały tam umieszczone podczas operacji nadgarstka. A jak wynika z naszych ustaleń, zimą dziewięćdziesiątego trzeciego roku Nermina złamała rękę.

Esmą przenosi spojrzenie na kuchenną lampę. Jej oczy błyszczą, a powieki mrugają nerwowo.

– To się stało w połowie listopada. Nermina spadła z drzewa w ośrodku dla uchodźców. Operowano ją w Katrineholmie. Wróciła jeszcze tego samego dnia, ale trzy dni później znalazła się znowu w szpitalu, ponieważ dostała gorączki. Leżała w nim dosyć długo. Azra bardzo się denerwowała. Ten... s z k i e l e t... Ta dziewczynka przy kopcu... Wiadomo, kiedy umarła?

– Nasza lekarka uważa, że kilka miesięcy po operacji nadgarstka, ponieważ kości nie były jeszcze do końca zrosnięte. Jeśli to Nermina, oznaczałoby to, że umarła mniej więcej na

początku dziewięćdziesiątego czwartego. Ale szkielet znaleziono dopiero osiem lat później. Wtedy nie udało się go zidentyfikować i śledztwo zawieszono aż do końca listopada tego roku, kiedy podjęliśmy je na nowo.

– A jak zmarła tamta dziewczynka... która być może jest Nerminą? – pyta Esmā.

– Albo uległa wypadkowi, albo została napadnięta. Chce pani poznać szczegóły?

Kobieta wzdycha głęboko, po czym kiwa potakująco głową, aż kilka pasemek ciemnych włosów spada jej na twarz. Odgarnia je na bok wykrzywionymi palcami.

– Tak, chcę wiedzieć. Cała moja rodzina zginęła podczas wojny i prawie wszystkich musiałam zidentyfikować. Szczątki męża są w Tuzli. Swoich braci pochowałam w Srebrenicy. Oglądałam masowe groby w Kamenicy i boisko do piłki nożnej w Novej Kasabie, gdzie więziono tysiące chłopców i mężczyzn, zanim ich stracono. Trzeba wiedzieć. Jeśli zabiera się człowiekowi wszystko, to wiedza jest jedyną rzeczą, która może pomóc pójść dalej. Rozumiecie?

Andreas kiwa głową w milczeniu, po czym zaczyna grzebać w papierach w swojej torbie. Wyjmuje mapę Ormbergu i kilka zdjęć z kamiennego kopca. Kładzie je przed Esmā i przystępuje do wyjaśniania. Powtarza, że po znalezieniu szkieletu w 2009 roku śledztwo zawieszono, ale teraz policja wraca do tak zwanych zamrożonych spraw. Na koniec przedstawia, w jaki sposób lekarz medycyny sądowej zamierza doprowadzić do zidentyfikowania ofiary.

Oddycham z ulgą, że nie wspomniał o tym, iż to ja znalazłam Nerminę.

Esmā dosłownie zamiera, kiedy Andreas pokazuje jej zdjęcia kopca. Przez kilka sekund siedzi nieruchomo, potem, jęknąwszy głośno, bierze fotografie do ręki. Przesuwa swoimi nabrzmiałymi i krzywymi palcami po gałęziach i gałkach.

– Nermina – mówi. – Moje słońko. Czy to ty leżałaś pod kamieniami?

Potem chowa twarz w dłoniach i szlocha.

Andreas sięga po kuchenny ręcznik w serduszka, odrywa kawałek i podaje go Esmie, która dziękuje mu i wyciera sobie nos.

Przez kilka sekund siedzi w milczeniu, starając się zapanować nad emocjami. Z trudem zwija obiema dłońmi papier w kulkę i kładzie ją na stole.

– Nie ma pewności, czy to Nermina – mówię cicho, chociaż wiem, że prawdopodobieństwo, aby to był ktoś inny, jest znikome.

– To ona – oznajmia krótko Esmā. – Poza tym wiem od dawna, że one nie żyją. Ale tak czy inaczej, to boli.

– Co pani ma na myśli? – pyta Andreas. – Skąd mogła pani wiedzieć, że one nie żyją?

Esmā unosi lekko brwi.

– Azra była moją młodszą siostrą. Minęło już prawie dwadzieścia pięć lat, odkąd ona i Nermina zniknęły z ośrodka w Ormbergu. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie, dlaczego Azra nie dała przez ten czas znaku życia: śmierć.

– Powiedziała pani, że ona zniknęła – wtrącam. – A kierowniczką ośrodka dla uchodźców twierdzi, że obie uciekły.

Esmu uśmiecha się smutno, po czym unosi kubek do ust i pije łyk gorącej kawy.

– Azra myślała, że ich wniosek o pozwolenie na pobyt zostanie odrzucony, i zamierzała przedostać się do Sztokholmu.

– Sądziłem, że podczas wojny wszyscy Bośniacy dostawali zgodę – mówi Andreas.

Emma kręci przecząco głową.

– Latem dziewięćdziesiątego trzeciego rząd wydał stałe pozwolenie pobytu dla pięćdziesięciu tysięcy Bośniaków w Szwecji. Ale jednocześnie wprowadzono obowiązek wizowy. Nie dlatego, że sytuacja się ustabilizowała, tylko aby w ten sposób ograniczyć imigrację.

Esmu pociąga lekko nosem, po czym wyjaśnia dalej:

– Azra i Nermina przebywały wtedy w Chorwacji. Udało im się zdobyć chorwackie paszporty i dzięki temu, mimo obowiązku wizowego, mogły dostać się do Szwecji. Ale kiedy już się tu znalazły, miały problem z pozwoleniem na pobyt. Mimo że były w stanie udowodnić, że rzeczywiście są Bośniaczkami.

– I dlatego zaczęły się ukrywać? – pyta Andreas.

Esmu potakuje ruchem głowy.

– Azra nie wierzyła, że będą mogły tu legalnie zostać. A przecież nigdzie indziej, ani w Chorwacji, ani w Bośni, nie było dla nich przyszłości.

– Pamięta pani, kiedy dokładnie zniknęły? – docieka Andreas.

– Piątego grudnia.

Andreas zapisuje datę w notesie.

– Czy wie pani, dokąd zamierzały pojechać, pod jaki adres w Sztokholmie?

– Przykro mi, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ktoś chciał im pomóc dostać się do Sztokholmu, ale nie orientuję się, dokąd się wybierały ani kto im pomógł. Zdaje się, że Azra miała znajomych w Sztokholmie, Bośniaków, którzy przyjechali tam już wcześniej.

– Wspomniała pani naszym kolegom, że Azra była w ciąży, kiedy zniknęła – włączam się do rozmowy. – To prawda?

– Tak mi powiedziała – odpowiada Esmu.

– W którym mogła być miesiącu? – pytam.

– Nie wiem. W każdym razie nic nie było widać. Przypuszczam, że zaszła w ciążę latem, tuż przed przyjazdem do Szwecji. Ale kiedy spodziewała się Nerminy, też była chuda jak patyk, więc nie mogłam mieć pewności.

– Jak się czuła? – pytam dalej.

– Chyba dobrze – odpowiada Esmu ze wzruszeniem ramion.

– Psychicznie też?

Kobieta spogląda na mnie. W jej spojrzeniu jest coś nieokreślenie czujnego.

– Tak. Nie rozumiem.

– Musimy to wiedzieć – rzucam, nawet nie próbując wyjaśnić bliżej.

– Psychicznie czuła się świetnie – oznajmia kobieta nieco ostrzejszym tonem.

– A co z jej mężem? – pyta Andreas, odchrząknąwszy.

– Nie żyje – odpowiada krótko Esmą. – Nigdy się nie odnalazł. Pojechał z Chorwacji z powrotem do Bośni i potem słuch po nim zaginął. Pewnie leży w jednym z masowych grobów. Nie on jeden się nie odnalazł.

Andreas ostrożnie zbiera zdjęcia, potem składa mapę i chowa wszystko do torby.

– Na ciało Nerminy natrafiono w dwa tysiące dziewięćdziesiątym – mówi. – Słyszała pani wtedy, że w Ormbergu znaleziono małą dziewczynkę? Pisano o tym dosyć dużo w gazetach.

Esmą kręci głową i podskubuje kulkę z papierowego ręcznika.

– Nie. Raczej nie. W każdym razie nie przypominam sobie. Zresztą jeśli nawet usłyszałam coś takiego w wiadomościach, to na pewno nie pomyślałam o Nerminie. Bo niby dlaczego? Minęło tyle czasu. Oprócz tego byłam przekonana, że jest z Azrą – wyjaśnia coraz słabszym głosem.

– Wspomniała pani, że wiedziała, że Azra i Nermina nie żyją – wtrącam. – Nie sądzi pani, że Azra mogła się gdzieś ukryć? Że ktoś zamordował Nerminę, ale ona ocalała? Może mieszka w Sztokholmie albo...

Esmą przerywa mi w pół zdania.

– Żartuje pani?

Jej ładna, poprzecinana zmarszczkami twarz nagle przybiera surowy wyraz, a oczy przeszywają mnie na wskroś. Dłonie tak mocno ściskają kubek, że aż bieleją jej kostki.

– Przecież wiadomo, że gdyby mogła, odezwałaby się do mnie – mówi niskim tonem. – Bycie w Szwecji nie było dla niej aż tak ważne, żeby miała się tu ukrywać przez dwadzieścia lat. W końcu mieszkanie tutaj to znowu nie taki raj.

Esmą spogląda przez czarną szybę. Pojedyncze płatki śniegu wirują za nią na pozór nieważko w blasku kuchennej lampy.

Jej komentarz budzi coś we mnie, chyba pewien rodzaj irytacji. Prawdopodobnie jestem zdziwiona, że kobieta nie wykazuje większej wdzięczności za to, że znalazła w Szwecji spokojną przystań. Że pozwolono jej tu zostać, mimo że wojna dawno dobiegła końca. Przypuszczalnie wielu by uznało, że nie ma żadnego logicznego uzasadnienia, aby Esmą dostawała rok w rok szwedzką rentę inwalidzką, skoro równie dobrze mogłaby wrócić do swojej ojczyzny.

I częściowo zgadzam się z tym poglądem.

– Czy to niemożliwe, że wróciła do Bośni? – pyta Andreas.

Kobieta wzrusza ramionami.

– Chce pan powiedzieć, że pojechała tam po wojnie? A potem przyjechała znowu do Szwecji? Przypuszczam, że to możliwe. Nawet tak pomyślałam, że razem z Nerminą wróciła

do Bośni. Ale gdyby tak zrobiła, na pewno by się ze mną skontaktowała. Chociaż jestem od niej siedem lat starsza, byłyśmy do siebie przywiązane. Byłam dla niej prawie jak matka. Nie, nie sądzę, żeby ona żyła.

Zostajemy u niej jeszcze trochę. Andreas pobiera Esmie wymaz z ust, aby technicy mogli porównać jej DNA z wynikami ofiary uznanej wstępnie za Nerminę. Następnie wkłada patyczek do małej foliowej torebki, a tę chowa do brązowej koperty.

Potem Esmia znowu parzy kawę i pokazuje nam zdjęcia z Bośni. Album ma skórzane zielone okładki z tłoczonymi złotymi literami i jest tak stary, że niektóre kartki się posklejały. Wprowadzcie zdjęcia robione polaroidem trochę wyblakły, ale moją uwagę i tak zwraca soczysta zieleń bośniackich wzgórz.

Głośno daję wyraz swojemu zachwytowi, mówiąc, że krajobrazy są przepiękne, na co ona skwapliwie przytakuje.

Azra na dawnych fotografiach też jest ładna i bardzo podobna do siostry. Ma także pociągłą twarz, wysokie kości policzkowe i ciemne oczy. Tylko młodsze. Młodsze i szczęśliwie nieświadome przyszłości, gdy stoi w słońcu przed niedużym kamiennym domem, ubrana w kwiecistą bluzkę.

To zdjęcie jest wyjątkowo ostre i wyraźnie widać na nim wszystkie detale: dyskretne kolczyki, lśniąca ciemna włosy, nieco krzywe przednie zęby i śliczną ozdobę na szyi – złoty medalion z zieloną obwódką. Wydaje mi się dziwnie znajomy, jakbym już go gdzieś widziała, tylko nie potrafię ustalić gdzie.

Esmia przerzuca kilka kartek.

– Trudno to zrozumieć – mówi i pokazuje zdjęcie Nerminy jako niemowlęcia. Zmarszczywszy lekko czoło, kontynuuje: – Że też ludzie zdolni są do takich rzeczy. Mam na myśli nie tylko to, co przytrafiło się Nerminie, ale w ogóle wojnę. Że sąsiedzi mogą zwrócić się przeciw sobie, być w stanie plądrować i mordować. Osiem tysięcy mężczyzn i chłopców zabito w masakrze w Srebrenicy. Rozdzielono ich z rodzinami, wywieziono i powyrzynano jak bydło. A świat tylko się temu przyglądał. Osiem tysięcy! Co jest nie tak z ludźmi? I to nigdy się nie kończy. Jedno zło rodzi jeszcze więcej zła. Bośniackie przysłowie mówi: *kto seje vjetar, žanje oluju*. Co znaczy: kto sieje wiatr, zbiera burzę.

– Kto sieje wiatr, zbiera burzę – powtarza Andreas. – Te słowa brzmią niemal biblijnie.

Esmia wzrusza ramionami.

– Tak to jest.

Spoglądam znowu na zdjęcie Nerminy.

Pyzate policzki niemowlęcia, różowe śpiochy i smoczek ozdobiony kwiatkiem.

W tej samej chwili uzmysławiam sobie, dlaczego naszyjnik Azry wydał mi się znajomy. Zasycha mi w ustach.

– Czy mogłaby pani pokazać jeszcze raz zdjęcie Azry? – pytam.

– Jasne – odpowiada Esma i przewraca kilka kartek w albumie do tyłu.  
Pochyliam się nad fotografią i uważnie przyglądam się ozdobie na szyi.  
– Ładny naszyjnik – mówię.  
– To był medalion naszej mamy. Azra nigdy się z nim nie rozstawiała. Można było go otworzyć. W środku nosiła zdjęcie Nerminy.  
– Miała go na sobie, kiedy zniknęła? – dociekam.  
– Nigdy go nie zdejmowała.  
– Czy możemy pożyczyć to zdjęcie? Będziemy na nie uważać i zwrócimy potem.  
Kobieta unosi nieco brwi.  
– No dobrze – odpowiada z ociąganiem, po czym ostrożnie odkleja fotografię i mi ją podaje.  
– No, na nas już pora – rzucam i nieznacznie ciągnę Andreasa za ramię. Chyba domyślił się, o co mi chodzi.  
Żegnamy się z Esmą i obiecujemy wrócić, gdy tylko będziemy wiedzieć więcej.  
Ledwie zamknęły się za nami drzwi, Andreas odwraca się do mnie i pyta szeptem:  
– Co takiego?  
– Medalion – odpowiadam równie cicho. – Medalion Azry. Hanne miała go na szyi, kiedy ja i Manfred się z nią spotkaliśmy.



# Jake

Tata śpi, chociaż jest dopiero szósta po południu.

Przemykam obok pokoju najciszej, jak potrafię, i idę do pralni. W ręce niosę reklamówkę pełną brudnej bielizny.

Wcześniej, kiedy żyła mama, mieliśmy specjalny wiklinowy kosz na brudy, z niebieską koronkową taśmą na wierzchu. Przy taśmie wisiał malutki woreczek z suszoną lawendą. Ale kosz popsuł się podczas jakiejś prywatki Melindy i potem tata nie kupił już nowego.

Nic nie szkodzi, foliowy worek też nie jest zły. Chociaż brakuje zapachu lawendy. Mama Sagi ma mydło, które pachnie dokładnie tak samo, i za każdym razem, kiedy go używam, przypomina mi się nasz stary kosz na brudną bieliznę i mama.

Zapalam światło. Podłoga jest zavalona rzeczami do prania.

Odrzucam na bok kilka swetrów, żeby dostać się do pralki, potem wypełniam ją swoimi ubraniami, wsypuję proszek do małego pojemnika i wciskam guzik.

Najpierw rozlega się bulgotanie, a potem pralka robi lekki skok.

Myślę o tym, co wcześniej powiedziała mi Saga. Że Nathalie dwa razy słyszała przy kopcu upiorka i że do niej przemówił, szepnął, żeby przysłała.

Przecież duchy chyba nie istnieją? A nawet gdyby istniały, to przecież nie mogłyby zabić dwojga ludzi?

Czy na pewno?

A tamta zamordowana kobieta, która chodziła boso w zimie? Kim była i co robiła przy kamiennym kopcu?

W momencie gdy chcę zgasić światło, moje spojrzenie pada na zwiniętą w kłębek i wciśniętą między kosz z drutu a ścianę jedną z kraciastych koszul taty. Nie wiem dlaczego, ale przykucam i wyciągam po nią rękę. Nie ma w tym żadnej logiki, bo podłoga jest usiana różnymi ubraniami, dlaczego więc sięgać akurat po tę koszulę? Coś jednak każe mi ją podnieść. Bo po pierwsze, nie rozumiem, jak tam wylądowała, a po drugie, widzę, że jest postrzępiona, jakby była podarta.

Widziałem tę brązową koszulę w kratę tysiąc razy; to jedna z jego ulubionych. Jeden rękaw jest urwany i trzyma się tylko na pojedynczej nici. Na materiale widać dużą brązową plamę. W tym miejscu tkanina jest sztywna.

Zastanawiam się, co mogło się stać, i dlaczego tata położył tutaj koszulę, zamiast ją wyrzucić. Przede wszystkim jednak zastanawiam się, co mam z nią zrobić. W końcu wpycham ją z powrotem za kosz i idę na górę do swojego pokoju.

Może powinienem porozmawiać o tacie z Melindą, gdy wróci do domu. Nie wspomniałem jej o broni, którą widziałem pod kanapą: odebrałem to trochę jako zdradę. A teraz jeszcze koszula – pewnie istnieje jakieś naturalne wyjaśnienie tej sytuacji, ale mimo wszystko.

Plama wyglądała jak zaschnięta krew.

Wyobrażam sobie, że tata zawadził o coś rękawem, pociągnął go i rozerwał materiał. Zamykam oczy i widzę krew na jego piegowanej skórze.

Łzy palą mnie pod powiekami, trudno mi oddychać.

Od kiedy mama umarła, przez cały czas się boję, że tacie przydarzy się coś dziwnego – że zjedzie z drogi, że rzeka wystąpi z brzegów i go zatopi albo że zarazi się groźnym wirusem.

Wyjmuję dziennik Hanne; czuję jego ciężar w dłoniach i wciągam zapach starego, wilgotnego papieru.

Muszę ostrożnie rozdzielić sklezione kartki, aby niechcący ich nie uszkodzić.

Gdyby Hanne była tutaj, mógłbym ją spytać, co mam zrobić z tatą. Jestem pewien, że wie takie rzeczy.

Zaczynam czytać, ale najpierw natrafiam na długie i supernudne podsumowanie spotkania z kimś, kto nazywa się „kierującym dochodzeniem wstępnym”. Gdy zamierzam już odłożyć dziennik, mój wzrok pada na zdanie na samym dole strony: „...odwiedziliśmy właśnie rodzinę Olssonów”.

Rodzina Olssonów – to przecież my. Ja, tata i Melinda.

Hanne była tutaj?

Czytam dalej.

Ormberg, 29 listopada

P i ja odwiedziliśmy właśnie rodzinę Olssonów.

Droga prowadząca do ich domu była paskudna, z każdym kilometrem coraz węższa i węższa i pokryta dużymi, głębokimi kałużami. Myślałam, że utkniemy.

P powiedział, że przydałby się „jakiś cholerny pojazd na gąsienicach”, żeby się tam dostać.

Ale i tak nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka.

W głębi lasu, nad samą rzeką, leżał dom przypominający Willę Śmiesznotkę. Musiał pochodzić z początku wieku, a potem był chyba rozbudowywany we wszystkie strony i kierunki. Dziwne przybudówki przylegały do biednego domu jak rakowe narośle. Gigantyczna weranda ciągnęła się wokół całego budynku. Stosy drewna leżały nakryte brezentem w wielu miejscach na trawniku.

Doszedłem do wniosku, że ktoś musiał nieustannie dłubać przy tym domu.

Obejście było pełne przeróżnych rupieci i starych gratów: rowerów, opon, grillów na

węgiel i zepsutych narzędzi. Ale weranda wyglądała na zadbaną i nową: drewno było zaimpregnowane na zielono.

Znajdowała się tam też wiata na samochód. Pod jedną ze ścian leżały na stosie wypchane czarne worki na śmieci.

P podszedł bliżej i sprawdził, co w nich jest: wypełniały je puste puszki po piwie.

Drzwi otworzył nam Stefan Olsson.

Cuchnął starym potem i przetrawionym alkoholem. Prawdopodobnie nie kąpał się od tygodnia. Był ubrany w stary dres i miał tylko jedną skarpetkę.

Zaprowadził nas do kuchni. Wyjaśnił, że jest sam (dzieci poszły do szkoły). Przeprószył za bałagan: nie zdążył jeszcze posprzątać. Powiedzieliśmy, że oczywiście nic nie szkodzi.

Starałam się zachować obojętność na otoczenie, mimo wszystko jednak nie mogłam wyjść z szoku.

Co za degrengolada!

Ale jej przyczyną nie była bieda, tylko raczej niedbalstwo. Sprzętów kuchennych nie brakowało (w kuchni stały gigantyczna lodówka, ekspres do kawy, ekspres do napojów gazowanych, toster itp.). Resztki jedzenia i śmieci wały się wszędzie: w zlewie, na podłodze. Puste puszki po piwie były ustawione rzędkiem pod ścianami.

Stefan ma 48 lat. Jego żona Suzanne nie żyje od roku (białaczka).

Stefan opowiadał długo o niej i o dzieciach. Zakręciły mu się łzy w oczach. Pociągnął nosem. Jeszcze raz przeprószył za bałagan. Szepnął: „Nie wiem, jak dałbym sobie radę bez dzieci”.

Pomyślałam: Przecież powinno być dokładnie ODWROTNIĘ. To dzieci nie powinny dać sobie rady bez ciebie. Ale nic nie powiedziałam, ponieważ ten człowiek wyglądał na szczerze zrozpaczonego.

P spytał, czy ktoś mu pomaga. Stefan odpowiedział, że zarówno jego rodzice, jak i rodzice Suzanne nie żyją. Ale mam zasilek, wyjaśnił. Nie głodujemy. Czasami robię różne rzeczy dla letników.

Stefan opowiadał długo o synu Jake’u i córce Melindzie. Nazwał ich dobrymi dziećmi. Czułymi i mądrymi. Zajmowały się nim, kiedy nie dawał rady. Ale niepokoił się o Jake’a, określił go jako „kruchego”.

P rozpoczął przesłuchanie. Spytał, czy Stefan i Suzanne mieszkali tutaj pod koniec lat dziewięćdziesiątych (tak) i czy on pamięta dziewczynkę z Ormbergu (oczywiście, ludzie miesiącami nie mówili o niczym innym). Czy pamięta, jak w tamtym okresie w budynkach Triåkungen zorganizowano siedzibę dla uchodźców (pewnie, wszyscy byli przeciwko temu, nie chcieli mieć „problemów”).

P wspomniał o Nerminie Malkoc. Wyjaśnił, że prawdopodobnie to jej ciało znaleziono na kamiennym kopcu w 2009 roku. Spytał, czy Stefan zna to nazwisko i czy

był w ośrodku dla uchodźców.

Olsson nigdy o niej nie słyszał. Nie był też na terenie ośrodka, ani w latach dziewięćdziesiątych, ani teraz. Od kiedy przyjechali uchodźcy z Syrii, „starał się trzymać dzieci jak najdalej od tamtego miejsca”.

Spytałam dlaczego, a on odpowiedział, że nie chcą mieć żadnych „problemów”.

Po raz kolejny słowo: PROBLEM. (Jakby ośrodek dla uchodźców, a nie bezrobocie, wyludnienie i odwrócenie piramidy demograficznej był największym problemem Ormbergu).

Ponieważ naprawdę chciałam zrozumieć, spytałam ponownie: o JAKI problem chodzi?

Stefan nie odpowiedział. Zamiast tego podszedł do lodówki, wyjął z niej piwo, otworzył puszkę i usiadł na krześle.

(Chociaż robiło mi się niemal niedobrze od jego zapachu, mimo wszystko czułam do niego pewną sympatię. Może sprawiała to miękkość w jego głosie, kiedy mówił o dzieciach. A może lęk w oczach, gdy nazwał syna „kruchym”).

P spytał jeszcze raz, czy Stefan jest całkowicie pewny, że nigdy nie był w ośrodku dla uchodźców na początku lat dziewięćdziesiątych.

Stefan wpadł w pułapkę. Powiedział, że NIGDY tam nie był.

P wyjął stary dokument znaleziony przez Andreasa, poświadczający, że w 1993 roku Stefan w sumie pięciokrotnie wykonywał na terenie ośrodka prace stolarskie.

Olsson wyraźnie poczuł się zakłopotany, ale wytłumaczył się, że widocznie musiał zapomnieć.

Wiele więcej się nie dowiedzieliśmy, ponieważ do domu wróciła córka Melinda: pulchna nastolatka o zdecydowanie zbyt mocnym makijażu, ubrana dosyć tandetnie.

Stefan nie powiedział nam „do widzenia” na pożegnanie, tylko otworzył kolejne piwo.

Chociaż miałam dla niego sporo sympatii, musiałam zgodzić się z Peterem, kiedy stwierdził, że jego zachowanie jest podejrzane. Po co kłamał, że nie pracował w ośrodku dla uchodźców?

Coś musi się nie zgadzać.

Stefan Olsson coś ukrywa.

Dziennik wyslizguje mi się z rąk. Zapiera mi oddech, czuję się tak, jakbym siedział w imadle i oddychał przez słomkę.

To nie może być prawda.

To niemożliwe, żeby to była prawda.

Przecież chyba nie mogą na serio podejrzewać, że tata ma coś wspólnego z morderstwami?

# Malin

**D**ochodzi dziewiąta wieczorem, kiedy z Andreasem zajeżdżamy przed czerwoną chatą Berit Sund. W oknach jest światło, z komina powoli unosi się dym, aby po chwili rozplynać się w przeraźliwie zimnym powietrzu.

Przez całą drogę z Gnesta rozmawialiśmy o Esmie, wojnie w Bośni i Nerminie. I próbowaliśmy zrozumieć, jak to możliwe, że medalion jej mamy znalazł się w posiadaniu Hanne. O ile się nie pomyliłam.

Patrząc na zdjęcie u Esmy, nie miałam nawet cienia wątpliwości, teraz jednak nie jestem już taka pewna.

Śnieg skrzypi pod stopami, gdy przemierzamy krótki odcinek od auta do domu Berit.

Andreas puka do drzwi. Czekamy, ale nic się nie dzieje. Potem rozlega się szczekanie psa.

– Berit chyba ma kłopoty ze słuchem – mówię. – Może powinienesś...

Andreas kiwa głową i nie czekając na koniec zdania, powtórnie uderza mocno pięścią w drzwi. Po kilku sekundach słycać odgłos zbliżających się kroków i chwilę później otwiera nam Berit. Ma papiloty we włosach, a na nich chustkę, która trzyma je na miejscu. Pies przestaje ujadać i wystawia nos przez szczelinę między futryną a nogami swojej pani i węszy intensywnie.

– Malin? – rzuca lekko zmieszana. Następnie przenosi spojrzenie na Andreeasa, mruga gorączkowo i otwiera usta, jakby zamierzała coś powiedzieć.

– Przepraszamy za tak późną wizytę – odzywam się. – To mój kolega z Örebro. Chcielibyśmy porozmawiać z Hanne.

– Znaleźliście go? – Berit pyta szeptem.

– Nie, chodzi o coś innego – wyjaśniam.

– Wobec tego wejdźcie do środka – mówi i cofa się do przedpokoju. – Właśnie pijemy herbatę – dodaje odwrócona do nas plecami.

Zdejmujemy kurtki i buty. Wątle pelargonie na parapecie wyglądają chyba jeszcze nędzniej, niż je pamiętam. Na wpół suche pożółkłe liście leżą dookoła doniczek.

W kuchni jest przytulnie ciepło. W piecu trzaska ogień, a na stole pali się naftowa lampa. W oknie wychodzącym na zachód wisi bożonarodzeniowa gwiazda ze słomy. Hanne siedzi przy stole z kubkiem herbaty w ręce. Na ramionach ma narzucony szal. Na nasz widok wstaje z ociąganiem.

– Witaj – mówię.

Patrzy na mnie pytającym wzrokiem. Gdy podaje mi rękę, żeby się przywitać, zauważam,

że chyba nadal mnie nie rozpoznaje. Właściwie mogłam się tego spodziewać, lecz z jakiegoś powodu sądziłam, że teraz już powinna mnie sobie przypomnieć, że z czasem wróciła jej pamięć.

– Witaj, Hanne – mówię jeszcze raz. – Mam na imię Malin i jestem koleżanką Manfreda.

Na jej twarzy pojawia się ostrożny uśmiech.

– Aha. Co u Manfreda?

– Wszystko w porządku.

Hanne unosi brwi i pochmurnieje.

– Peter? – pyta szeptem.

– Nie znaleźliśmy Petera – odpowiadam, biorąc ją za rękę. – Jesteśmy tu z innego powodu. Chcielibyśmy porozmawiać z tobą o pewnej sprawie.

Berit zabiera kubek z herbatą i odwraca się do nas.

– Wyjdę z Joppem na spacer. Podrzucicie za jakiś czas kilka szczap do pieca, dobrze?

Potakuję kiwnięciem głowy i jednocześnie zerkam na lewe przedramię Berit. Zadrapania na jej skórze są bardzo zaognione. Chyba wdała się infekcja

– To nie wygląda dobrze – mówię do niej.

Berit przykrywa rany dłonią.

– Zagoi się – rzuca, po czym kuśtyka do przedpokoju, a pies człapie za nią.

Andreas i ja siadamy przy stole naprzeciwko Hanne.

– Jak się czujesz?

Hanne wzrusza ramionami.

– Dobrze. Chociaż wciąż nie pamiętam, co wydarzyło się w lesie, jeżeli więc przyszlście w tej sprawie, niewiele mogę wam pomóc.

– Chcemy porozmawiać o czymś innym. O twoim naszyjniku.

– Moim naszyjniku?

Hanne wygląda na zdezorientowaną; zsuwa nieco szal z ramion i unosi dłoń na wysokość dekoltu. Coś błyszczy między jej palcami.

– Czy moglibyśmy go obejrzeć? – pyta Andreas.

– Oczywiście, bardzo proszę.

Hanne zdejmuje naszyjnik i mi go podaje.

Ciepły medalion spoczywa ciężko w mojej dłoni. Przyglądam mu się uważnie. Otacza go zielona emaliowana obwódka, a na środku umieszczone są kamienie. Błyszczą w łagodnym świetle lampy naftowej.

– To ten sam – stwierdza Andreas.

Kiwam głową w milczeniu, ponieważ ma rację. Medalion wygląda identycznie jak ozdoba widoczna na szyi Azry Malkoc na zdjęciu z albumu Esmy.

– O co chodzi? – pyta Hanne, nerwowo przenosząc wzrok ze mnie na Andreasa.

– Ty i Peter braliście udział w tutejszym śledztwie, w Ormbergu – zwracam się wprost do

niej. – Pamiętasz?

Hanne spogląda w dół.

– Tak. Nie. Mnóstwa rzeczy nie pamiętam. To jeden wielki... chaos.

– Na początku lat dziewięćdziesiątych zamordowano tu małą dziewczynkę. Ta ozdoba należała do jej mamy – wyjaśnia Andreas. – Ona nazywa się Azra Malkoc.

Hanne wygląda na przerażoną.

– Nie miałam pojęcia.

– Pamiętasz, skąd masz ten naszyjnik?

Hanne kręci przecząco głową.

– Nie. Przepraszam!

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem, ale robi głęboki wdech i nieco się uspokaja.

Andreas sięga do kieszeni i wyciąga notes. Otwiera go i wyjmuje zdjęcie Azry pożyczone od Esmy.

– Rozpoznajesz ją? – pyta.

Hanne bierze fotografię do ręki i kładzie na stole przed sobą. Następnie sięga po leżące przy kubku okulary do czytania, zakłada je i długo przygląda się mrużącej oczy pod słońce młodej kobiecie w kwiciastej bluzce.

– Nie. Nie znam jej. Ale widzę, że ma na sobie naszyjnik.

– Hanne, czy możemy go sobie pożyczyć? – proszę ją.

– Czyli okazuje się, że nie jest mój – zauważa cicho. – Oczywiście, że możecie go wziąć.

Ujmuję jej dłoń. Jest chuda i zimna, mimo ciepła w pomieszczeniu.

– Gdyby ci się coś przypomniało, cokolwiek, zapisz to od razu, okej? I w każdej chwili możesz do nas zadzwonić, jeśli tylko będziesz chciała.

Hanne kiwa głową w milczeniu.

Siedzimy w ciemnym samochodzie przed domem Berit.

– Miałaś rację – mówi Andreas, patrząc na medalion w mojej dłoni.

– Wolałabym się mylić – odpowiadam. – Teraz chyba możemy już wykluczyć, że Peter uległ wypadkowi.

– Hanne i Peter musieli wpaść na jakiś trop. Wybrali się gdzieś w piątek, a potem...

Nie kończy zdania.

– Ale dlaczego nie wspomnieli o tym nikomu z nas?

Nic nie mówimy. Chociaż właśnie dokonaliśmy ważnego odkrycia, nie czuję radości. Zbyte wiele bowiem wydaje się beznadziejne: mam przeczucie, że Petera spotkało coś złego, zastanawia mnie też wyraźne zmieszanie Hanne, gdy zobaczyła nas w kuchni u Berit, nie daje mi także spokoju wspomnienie czaszki Nerminy Malkoc wśród ciężkich, porośniętych kamieni na kopcu.

I jeszcze tamta kobieta bez twarzy, która wyglądała dokładnie jak...

Ledwie zdążyłam pomyśleć jego imię, pot zrasza mi czoło, a serce przyspiesza.

Po co właściwie zgodziłam się przyjąć to cholerne zlecenie? Powinnam była zostać w Katrineholmie i dalej zajmować się kradzieżami rowerów, bójkami i niemającym końca spisywaniem raportów.

Andreas dotyka medalionu, postukuje w niego palcami, jakby się nad czymś zastanawiał. Sekundę później rozlega się delikatne kliknięcie i okrągła ozdoba otwiera się w jego dłoni niczym muszla. W tym momencie przypomina mi się, co powiedziała Esma: medalion dawało się otworzyć, a Azra nosiła w nim zdjęcie Nerminy.

– Zapal lampkę! – mówi Andreas, na co szukam po omacku przycisku na suficie i sekundę później wewnątrz samochodu oblewa światło tak mocne, że aż mrużę oczy.

Andreas robi minę pełną obrzydzenia.

– Co to, u diabła, jest?

Spoglądam na medalion i widzę zdjęcie, ale oprócz niego dostrzegam coś jeszcze. Początkowo myślę, że na fotografii leży po prostu ciemny kłak kurzu. Ostrożnie wiodę palcem po puszystym, jedwabście miękkim strzępku.

Wstrzymuję oddech.

– Włosy – mówię. – To włosy.

Dochodzi dziesiąta, gdy zatrzymujemy się przed biurem. Postanowiliśmy zostawić w nim medalion. Następnego dnia rano wysłamy go technikom. Poza tym chcę także zabrać swój samochód, który stoi przysypany śniegiem przed starym sklepem.

Kiedy brniemy po świeżym śniegu do wejścia, lodowaty wiatr wdziera mi się pod kurtkę. Gwiżdże i świszcze wokół domu.

Jakiś mężczyzna podbiega od strony zaparkowanego kawałek dalej czerwonego audi. Sekundę później otwierają się drugie drzwi samochodu.

– Trzecia władza czuwa – zauważa Andreas, przyspieszając kroku.

Idę za jego przykładem, aby uniknąć dziennikarzy.

Gdy odruchowo spoglądam na szybę wystawową, ku swemu zdumieniu zauważam, że w naszym kantorku na zapleczu pali się światło i rzuca upiorny blask na podłogę w dawnym sklepie.

– Dlaczego pali się światło? – pytam.

Jest piątek wieczór. Wprawdzie ja i Andreas zamierzamy pracować przez cały weekend, ale Manfred postanowił spędzić go z rodziną w Sztokholmie. Powinien był wyjechać już kilka godzin wcześniej.

– Może zapomniał wyłączyć lampę – sugeruje Andreas, otwierając drzwi.

Wchodzimy do środka, nie zwracając uwagi na dziennikarzy, którzy wołają za nami. Otapujemy buty ze śniegu.



Dmuchała też jest włączona. Przytłumiony szum wypełnia pomieszczenie – jakby setki owadów krążyły w półmroku.

Manfred siedzi przy stole.

Laptop jest zamknięty, a jego papiery czekają na starannie ułożonej kupce obok teczki, jakby właśnie zamierzał wyjść. Komórka leży na wierzchu.

– Zostałeś? – pytam.

Nie odpowiada. Nawet nie patrzy na nas, kiedy stajemy przed nim, a z naszych kurtek kapie woda z rozpuszczającego się śniegu.

– Widzieliśmy się z Esmą – zaczyna Andreas. – Hanne ma naszyjnik, który chyba należał do Azry Malkoc.

Manfred, utkwivszy wzrok w jakimś niewidzialnym punkcie na ścianie obok mnie, kiwa od niechcenia głową, jakby myślał zupełnie o czymś innym.

– Trochę się wydarzyło – mówi wreszcie.

Czekamy na dalszy ciąg, lecz on tylko powoli kręci głową. Dopiero po chwili mówi dalej:

– Po pierwsze, dostaliśmy informację od kilku siedemnastolatków z Vingåker. Twierdzą, że widzieli ciemne volvo kombi starszego modelu zaparkowane na szosie między kopcem a starą fabryką tego samego wieczoru, kiedy zniknął Peter i została zamordowana kobieta.

– Mamy w to uwierzyć? – pyta Andreas. – Dlaczego do tej pory siedzieli cicho?

Manfred spogląda na swoje duże spierzchnięte ręce i skubie naskórek na kciuku.

– Mówią, że przyjechali motorowerami z Vingåker.

Andreas kręci głową, nie bardzo rozumiejąc.

– No i?

Dyskretnie trącam go w bok.

– Przyjechali samochodem – wyjaśniam. – Ale nie mają prawa jazdy i pewnie dlatego nie zgłosili się wcześniej. Zgadza się?

Manfred potakuje, po czym mówi dalej:

– Widzieli ciemne volvo. A w nim siedział jakiś łysy facet.

Wstrzymuję oddech.

– To Stefan Olsson – mówię wreszcie. – Jest łysy i ma granatowe volvo.

– Zgarniemy go jutro rano – oznajmia Manfred. – Zaraz zadzwonię do prokuratora, jestem raczej pewny, że mamy dosyć podstaw, aby go aresztować.

Następnie wstaje z krzesła, podchodzi do ściany i zatrzymuje się przed zdjęciem leżącej na śniegu kobiety bez twarzy. Unosi rękę i przyciskając gruby palec do błyszczącego papieru, mówi:

– Jest jeszcze jedna rzecz. Dzwonili z laboratorium medycyny sądowej. Analiza DNA zamordowanej jest gotowa.

– Już? – dziwi się Andreas. – Zwykle zajmuje to...

– To sprawa priorytetowa – przerywa mu Manfred. – Wszystkie inne odłożyli na bok.

– I? – dopytuję.

Manfred kręci powoli głową.

– Jej profil DNA jest podejrzenie podobny do profilu Nerminy Malkoc.

– Co to oznacza? – pyta Andreas.

Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie wszystko.

Pomieszczenie wokół wiruje, a przytłumiony szum dmuchawy zdaje się narastać, jakby gigantyczna chmara bąków o lśniących zielonych tułowiach chciała zaatakować nasze małe biuro.

Przysiadam na jednym z taboretów i chwytam się brzegu stołu, aby nie spaść, ponieważ mam wrażenie, że podłoga ustępuje mi spod nóg.

– Boże drogi – szepczę. – To jest jej mama, tak? Kobieta przy kopcu to Azra Malkoc?

– W każdym razie łączy je bardzo bliskie pokrewieństwo. To jedyne, co nie ulega wątpliwości. Ale facet z laboratorium, z którym rozmawiałem, przyznał, że znaleziona ofiara to prawdopodobnie Azra Malkoc.

# Jake

Sobotni poranek jest cichy i szary.

Od okna ciągnie zimno, dlatego zaszywam się głębiej pod kołdrą.

Jestem strasznie zły na Hanne. Może jestem nią też rozczarowany, sam nie wiem.

Czy można być złym i rozczarowanym kimś, kogo nigdy się nie widziało?

Hanne nie podoba się Ormberg. Ani nasza rodzina, a właściwie nasz dom. Poza tym uważa, że Melinda jest tłustawa i wygląda kiczowato.

Jakby ona sama była taka cholernie atrakcyjna.

Uważam, że Hanne jest niesprawiedliwa – nie zgadzam się, że tata brzydko pachnie ani że przybudówki przy naszym domu wyglądają jak rakowate narośle.

Od razu przypomniała mi się mama: jej miękkie dłonie i długi, cienki nos. Włosy jasne na końcach i ciemne przy głowie, głos, który prawie zawsze brzmiał łagodnie. Angielskie książki o miłości n a p r z e k ó r w s z y s t k i e m u, które czytała, kiedy leżała w szpitalu w Örebro.

Jej zapach zmienił się, gdy zachorowała.

Przedtem zawsze pachniała przyjemnie, świeżą kąpielą. Ale później, kiedy zaczęła brać te wszystkie lekarstwa, wydzielala coś w rodzaju chemicznego zapachu, jakby w szpitalu pompowali w nią jakąś truciznę. Właśnie dokładnie to robili. To chemioterapia, wyjaśniała pochodząca z Iranu lekarka o imieniu Hadiya, która miała piękny biust i była zawsze ładnie umalowana.

Te trucizny odbierały mamie siły.

Straciła włosy i paznokcie, wymiotowała do blaszanej miski.

Mimo to wciąż była pogodna. Pogodna i bardzo zainteresowana tym, co u mnie w szkole.

Obiecywała, że wyzdrowieje, ale skłamała.

Dorośli tak robią.

Wiem, że w ten sposób chcą chronić dzieci, ja jednak wolałbym, żeby była szczerą, ponieważ okazało się, że jestem zupełnie nieprzygotowany, kiedy pewnego dnia jej ciało postanowiło, że już dłużej nie wytrzyma. Wtedy naprawdę się na nią wściekłem, chociaż to przecież nie jej wina, że dostała raka i umarła.

To niczyja wina, powiedział tata, ale ja uważałem, że to wina Pana Boga, bo wydawało mi się, że On równie często czyni zło jak dobro.

Po odejściu mamy wszystko się zmieniło.

Tata się zapadł jak przekłuty balon. Właściwie to jakby rzeczywiście stał się mniejszy

i prawie z niczym nie dawał sobie rady. Z kolei Melinda zdawała się rosnąć i nabierać siły. Zamiast siedzieć w pokoju i słuchać muzyki albo włóczyć się ze swoim chłopakiem, zaczęła gotować, dbać o zakupy i robić to wszystko, co wcześniej należało do obowiązków mamy.

Przypuszczam, że ja też się zmieniłem, tylko nie wiem jak. Coś we mnie w środku musiało ulec przemeblowaniu, chociaż nadal wyglądałem tak samo. Podobnie było po pocałunku Sagi.

Tata też chyba musiał się zmienić. Mimo że nigdy nie mówi na ten temat. Wciąż tylko czepia się różnych rzeczy, jak Arabowie czy spódniczki Melindy, które dla niego zawsze są za krótkie.

Tata i Olle zaczęli coś przebąkiwać o założeniu straży obywatelskiej. Tata powiedział, że zabójstwo kobiety w lesie to „kropla” i że ich obowiązkiem jest ochrona dziewczyn w Ormbergu, a to znaczy, że muszą dać „jednemu czy drugiemu Arabowi w mordę”.

Spytałem, skąd może mieć pewność, że to właśnie Arabowie są niebezpieczni, ale mi nie odpowiedział, tylko zatrzasnął drzwi lodówki tak mocno, że kawałki lodu znowu wypadły z maszyny i potoczyły się po podłodze.

Nie potrafię sobie wyobrazić taty i Ollego patrolujących Ormberg. Niby gdzie mieliby chodzić? Przecież u nas jest tylko las. Mieliby włóczyć się bez celu po śniegu i ścigać Arabów?

I gdzie trzymaliby piwo podczas swoich patroli?

Podnoszę dziennik z podłogi i ważę go w dłoni.

Poprzedniego wieczoru rzeczywiście przeszło mi przez myśl, żeby go wyrzucić, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej nabieram przekonania, że muszę doczytać go do końca.

Zwłaszcza gdy teraz jest w nim mowa o tacie.

Byliśmy dosyć poruszeni po wyjściu od rodziny Olssonów.

Degrengolada nie ogranicza się jednak tutaj tylko do nich.

W Ormbergu czuć upadkiem i przygnębieniem: zlikwidowane fabryki, pozamykane sklepy, opuszczone domy.

Być może w tej sytuacji trudno się dziwić podejrzliwości mieszkańców w stosunku do uchodźców.

Bo chyba taki jest mechanizm?

Mózg szuka związku przyczynowego. Łatwo jest uwierzyć, że cała ta katastrofa jest winą uchodźców. Że brak pracy, wyludnienie i kres publicznych zasobów to symptomy tego samego zjawiska.

I kiedy żyje się w takim miejscu, i jest się pozbawionym możliwości zarobku oraz ograbionym z godności, bardzo łatwo jest wskazać innych jako odpowiedzialnych za to wszystko.

Na przykład imigrantów.

Myślę o Nerminie. O kościach na zdjęciach: białych, zwierzęcych.

Teraz Nermina spoczywa pod bezimiennym kamieniem nagrobnym.

Muszę jej pomóc!

Popołudnie.

P i ja spotkaliśmy się z Margaretą Brundin (ciotką Malin), która mieszka razem ze swoim dorosłym synem Magnusem na południe od góry Ormberget.

Magnus i Margareta wydają się żyć w pełnej symbiozie, wręcz na granicy choroby. Wzbudziło to moją ciekawość i chciałabym dowiedzieć się o nich więcej. (Przy okazji spytam Malin).

Margareta powiedziała, że nie miała kontaktu z nikim z ośrodka dla uchodźców – ani w latach dziewięćdziesiątych, ani teraz. Ona i Magnus trzymali się od niego z daleka.

Spytałam dlaczego.

Wyjaśniła, że nie miała tam żadnych „spraw”. Syn także. Potem dodała jeszcze, że według niej zabójca nie może pochodzić z Ormbergu.

Spytałam, skąd to wie.

Jej odpowiedź nie była zaskakująca: w Ormbergu wszyscy się znają. To musiał być ktoś z zewnątrz.

Dosyć osobliwe – wszyscy mówią to samo: w Ormbergu nie ma morderców. Sprawca musi pochodzić z ośrodka dla uchodźców / z Katrineholmu / ze Sztokholmu / z Niemiec.

Można by odnieść wrażenie, że cała wieś wspólnie uradziła jednolitą linię przekazu!

Wróciliśmy do biura niewiele mądrzejsi.

Wieczór.

P poszedł pobiegać (po ciemku, z czołówką – po co mu to?). Wydaje mi się, że przechodzi kryzys wieku średniego. Zrobił się milczący i zamknięty. Zaczął biegać częściej niż dotychczas. Krytycznie obserwuje się w lustrze.

Biedny P: nie dość, że musi uporać się z moim starzeniem się, to jeszcze zмага się z własnym.

Nie! Wcale nie trzeba mu współczuć!

Bo on w ogóle nie musiał się mną przejmować, przynajmniej do tej pory. Po prostu tylko go kochałam. I nigdy nie stawiałam żadnych żądań. Nigdy nie oczekiwałam obietnic dotyczących naszej wspólnej przyszłości.

Byłam tak cholernie elastyczna jak wysłużony biustonosz z rozciągniętymi gumkami.

Muszę przyznać jedno: jestem straszliwie wściekła. Rozgoryczona na życie, które przyniosło mi tę pieprzoną chorobę. I jestem też czasami zła na P, ponieważ wiem, że

mnie opuści, kiedy mój stan się pogorszy. Być może zbyt daleko wybiegam w przyszłość, ale WIEM, że tak będzie!

P jest jak pochyłe małe drzewo rosnące na górze: ugina się pod porywami wiatru, dostosowuje się, odmawia najmniejszego oporu.

Można by powiedzieć, że jest pozbawiony kręgosłupa.

Kiedy zaczęliśmy być razem, powiedział, że moja choroba nie ma najmniejszego znaczenia, że będzie mnie kochać niezależnie od tego, co się wydarzy.

Nie wiem, czy to było kłamstwo czy myślenie życzeniowe z jego strony, już wtedy jednak wiedziałam, że to nieprawda.

A może to ja jestem prawdziwym czarnym charakterem w tym dramacie: bezduszna, egocentryczna i popędliwa?

Wszystko to wiedziałam od początku, ale mimo wszystko chciałam go mieć.

To było jak zjedzenie ciastka, chociaż powinno się z niego zrezygnować. Zależało mi na cudownym czasie bez zobowiązań: na podróży na Grenlandię, na namiętności. Na przyjemnym uwolnieniu się od odpowiedzialności.

Narkotyk.

P był dla mnie jak narkotyk. Cudowny narkotyk, z którego absolutnie nie chciałam zrezygnować.

On był narkotykiem. Ja byłam uzależniona. Kim więc jestem, aby go teraz oskarżać?

Wyglądam przez okno. Dostrzegam światełko. Podskakuje w górę i w dół, przybliża się powoli.

P wraca z joggingu.

Ktoś dzwoni do drzwi wejściowych – słyszę wyraźnie, mimo że mój pokój jest zamknięty.

Początkowo myślę, że to Saga – co prawda nie umówiliśmy się dzisiaj, ale czasami i tak się pojawia, jeśli najdzie ją ochota. Potem jednak uświadamiam sobie, że jest zdecydowanie za wcześnie. W weekend Saga zawsze śpi długo.

Wymykam się z łóżka i uchylam drzwi; z dołu dobiegają obce głosy.

Z tatą rozmawiają jakiś mężczyzna i jakaś kobieta. Nie da się rozróżnić słów, słyszę tylko, że mężczyzna przedstawia się jako Manfred. Potem tata prowadzi ich oboje do kuchni.

Schodzę kilka stopni niżej, najpierw niepewnie, ale później ciekawość bierze górę i postanawiam zakraść się aż pod wejście do kuchni.

Jest zimno, mam na sobie tylko T-shirt i slipy. Dostaję gęsiej skórki i dygoczę, kiedy zaglądam przez szczelinę w drzwiach.

Tata siedzi tyłem do mnie. Ma kraciasty koc narzucony na ramiona, jego kark i czaszka błyszczą, jakby się spocił.

Naprzeciwko taty siedzą Malin Brundin i gruby policjant ubrany jak makler giełdowy – razem z Sagą widzieliśmy go, gdy wychodził z dawnego sklepu Vivo. To pewnie jest ten

Manfred.

Domyślam się, że to o nim Hanne pisała w dzienniku, że lubi drożdżówki.

Malin pochyła się i patrzy prosto na tatę. W jej zachowaniu jest coś, co mi przeszkadza – wygląda tak, jakby niemal chciała się na niego rzucić i go zjeść.

– I dlatego chcielibyśmy pana spytać, gdzie pan był w ubiegły piątek.

Tata przeciąga dłonią po czaszce, jakby próbował poprawić sobie włosy, których od dawna już nie ma.

– W ubiegły piątek? Hm, to już ładnych parę dni temu. No... Nie pamiętam dokładnie.

– Zaledwie tydzień – mówi gruby policjant, krzyżując ręce na piersi.

– No tak, tak – odpowiada tata i milknie na chwilę. Następnie prostuje się trochę i dodaje:

– No jasne. Byłem u mojego kumpla Ollego. W Högsjö.

– Jest pan pewny? – pyta Malin.

Ma ostry głos, coraz bardziej mi się nie podoba. Zaczynam się bać, co będzie z tatą. Nie jest ani trochę agresywny i wydaje się zupełnie nieświadomy zagrożenia. Mam ochotę krzyknąć do niego, żeby jej nie ufał, ale przecież nie mogę. Stoję więc nieruchomo za drzwiami, podczas gdy gula w gardle robi mi się coraz większa.

– Tak, kurde, jestem pewny – odzywa się tata.

– Bo on twierdzi, że nie był pan u niego w piątek – odzywa się Malin. – Mówi, że widzieliście się w sobotę, co pan też nam zeznał. Podobno... – zerka do swojego notesu i dodaje: – ...podobno graliście w Counterstrike'a.

Wypowiadając ostatnie słowa, Malin uśmiecha się nieznacznie, nie jest to jednak miły uśmiech.

– Może i tak – bąka tata. – Może to było w sobotę. Tak, grywamy w Counterstrike'a.

– Wobec tego co robił pan w piątek? – pyta Manfred.

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiada tata, rozkładając szeroko ramiona.

– To dlaczego pan powiedział, że widział się pan z Ollem? – dopytuje Malin.

Robi mi się zimno w środku. Widać wyraźnie, że próbują przygwoździć mojego tatę. Identycznie jak na filmach kryminalnych w telewizji. Ich jest dwójka, a on sam, i jedyne, na czym im zależy, to wpędzić go w pułapkę. Mimo że jest tylko roztrzepany i pomieszały mu się dni.

– Widocznie źle zapamiętałem. Nie wolno czy co?

Głos taty robi się piskliwy.

Ani Malin, ani Manfred nie odpowiadają. Potem ona wstaje.

– Mogę skorzystać z toalety?

– Jasne – mówi tata i wskazuje na drzwi w głębi kuchni.

Widzę, jak Malin idzie w ich kierunku.

Manfred i tata siedzą przez chwilę w milczeniu, jakby każdy z nich czekał, że ten drugi pierwszy się odezwie. Później Manfred bąka coś pod nosem, ale nie słyszę co.

Tata też coś mamrocze.

Z przedpokoju dochodzą kroki i w drzwiach kuchni pojawia się Malin. Ma jasnoniebieskie rękawiczki na dłoniach i w jednej z nich trzyma broń myśliwską.

– Nie wiedziałam, że ma pan pozwolenie na broń – mówi, patrząc na tatę.

– To nie moja – odpowiada tata, kuląc się na krześle. – Ja nie poluję.

– Myślałem, że tutaj każdy poluje – wtrąca Manfred.

– Akurat – bąka tata.

– Posiadanie broni bez zezwolenia – zaczyna cicho Manfred – podlega karze zgodnie z ustępem dziewiątym, paragrafem pierwszym ustawy o broni.

Potem dodaje coś jeszcze, czego nie rozumiem. Tata gwałtownie kręci głową.

– No cóż – odzywa się Malin, mierząc tatę uważnym spojrzeniem. – Pójdzie pan z nami, musimy sobie dłużej porozmawiać. O broni i o innych rzeczach. – Następnie podnosi wzrok i patrzy prosto na mnie. Zamiera.

– To nie jest moja broń – powtarza tata obojętnie.

Malin nie odpowiada. Nie odrywa ode mnie oczu.

– Cześć, Jake – mówi. – Chodź do nas.

Popycham drzwi, ale nie ruszam się z przedpokoju. Nagle czuję się zupełnie nagi, kiedy tak stoję w samym T-shircie i slipach.

Tata odwraca się i spogląda na mnie. Jego wodniste oczy są zaczerwienione i szeroko otwarte. Kąciki ust lekko mu drżą.

– Twój tata musi pojechać z nami do Örebro – wyjaśnia Malin.



# Malin

Svante stoi w rozkroku przed whiteboardem. Na nasz widok kiwa ku nam głową. Jest ubrany w coś w rodzaju swetra w norweskie wzory, a nogawki džinsów ma wciśnięte w skarpety. Na brodzie zawisł mu jakiś okruch wyglądający na resztkę jajecznicy.

Siadam obok Andreasa, który przysuwa krzesło jak najbliżej mnie, na co natychmiast cofam się w przeciwnym kierunku. Robię to automatycznie, bez zastanowienia. Ale on jak zwykle próbuje zmniejszyć dystans, co wywołuje moją irytację.

– Dowiedzieliście się czegoś? – pyta Svante.

Jesteśmy w sali konferencyjnej komendy policji w Örebro. To dziwne uczucie znajdować się znowu w normalnym biurze po dwóch tygodniach marznięcia w norze cuchnącej zgnilizną.

Mimo soboty praca wre.

Informacja, że kobieta przy kopcu to Azra Malkoc, dała pożywkę całkiem nowym teoriom i nasunęła wiele pytań. A znalezienie broni u Stefana Olssona wzbudziło nadzieję na zidentyfikowanie sprawcy.

Rozglądam się dookoła.

Naprzeciwko mnie siedzi Malik. Jeszcze nie zdążyłam z nim porozmawiać, ale wiem, że pracował przez kilka lat ze Svantem i że właśnie skończył jednoroczny kurs technik kryminalnych w NFC.

Malik wygląda na trzydzieści kilka lat, ma zielone oczy, twarz anioła i długie, smukłe palce pianisty o błyszczących zadbanych paznokciach. Zebrane w kucyk ciemne włosy dodatkowo podkreślają jego androgyniczne rysy. Nadgarstki obu rąk zdobią plecione skórzane bransoletki w różnych kolorach i różnej szerokości, a na palcu lewej dłoni błyszczy złoty pierścionek z kamieniem o barwie bursztynu.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi Suzette, jedna ze śledczych.

Jest mocno umięśnioną kobietą po czterdziestce o przystrzyżonych krótko jasnych włosach, mocnym makijażu i z długimi, intensywnie niebieskimi paznokciami. Z notesem i długopisem w ręce idzie nieco pochylona, jakby bolał ją brzuch.

– Matko, ale macie miny – mówi przez zęby. – Ktoś umarł czy co?

To policyjny żart z brodą, mimo wszystko nie mogę się powstrzymać, by nie unieść kącików ust.

Plotka głosi, że Suzette w czasie wolnym dorabia sobie w salonie kosmetycznym siostry w Örebro i że jej specjalnością jest depilacja brazylijska za pomocą wosku.

Dlatego Andreas nazywa ją Queen of Brazilian i mówi, że ma piekielnie mocny chwyt, niezależnie od tego, czy ściga bandytów, czy robi te „inne rzeczy” w salonie piękności.

Suzette siada obok Malika, uśmiecha się do mnie i kładzie rękę na notesie.

Patrząc na jej długie niebieskie paznokcie bębniące w notes, nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o depilacji miejsc intymnych. Wszystko przez te opowieści Andreeasa.

Svante spogląda na mnie i chrząka.

– Manfred, może ty zaczniesz?

Osoby kierujące dochodzeniem wstępnym podjęły decyzję o koordynacji czynności śledczych dotyczących zniknięcia Petera, zabójstwa Nerminy i Azry Melkoc, co wydaje się posunięciem słusznym, ponieważ chyba już nikt nie sądzi, że są to sprawy niezależne od siebie.

Nowy, łączony zespół dochodzeniowy będzie pracował w Örebro, ale zachowamy też nasze małe biuro terenowe w Ormbergu. Oprócz tego na początku przyszłego tygodnia otrzymamy wsparcie wydziału operacyjnego sztokholmskiej policji kryminalnej.

Celem spotkania jest zapoznanie Malika i Suzette ze szczegółami sprawy, najpierw jednak mamy poinformować grupę, co wyniknęło z przesłuchania Stefana Olssona.

Tego wszyscy chcą się dowiedzieć w pierwszej kolejności.

Wiadomość, że go aresztowano, rozeszła się lotem błyskawicy.

Manfred podnosi się z wysiłkiem i podchodzi do Svantego.

– Właśnie przeprowadziliśmy wstępne przesłuchanie. Stefan Olsson podtrzymuje swoją wersję. Twierdzi, że pomyliły mu się dni. Że w sobotę odwiedził swojego przyjaciela Ollego w Högsjö. Co robił w wieczór, gdy dokonano zabójstwa, to znaczy w piątek, nie pamięta. Przypuszcza, że mógł „kręcić się po okolicy” samochodem. – Manfred za pomocą palców robi w powietrzu cudzysłów.

– Przecież w tamten wieczór była wichura jak cholera – wtrąca Svante, krzyżując ręce na piersi i opierając je na wydatnym brzuchu. Po co miałby „kręcić się po okolicy” samochodem?

– Nie potrafi na to odpowiedzieć – wyjaśnia Manfred. – Mówi też, że nie może wykluczyć, że zatrzymał się na chwilę między kopcem a fabryką. Ale twierdzi, że ani na moment nie wszedł do lasu.

– A co mówi o swojej pracy w ośrodku dla uchodźców na początku lat dziewięćdziesiątych? – pyta Svante.

– Utrzymuje, że o niej też zapomniał – odpowiada Manfred. – A jeśli chodzi o broń, to...

– Pewnie też nie pamięta? – przerywa mu Svante, śmiejąc się z własnego komentarza.

Manfred potwierdza skinieniem głowy, zachowując kamienną twarz.

– Poważnie? Naprawdę tak powiedział?

– Tak. Jak najbardziej serio.

Svante wygląda na zdezorientowanego, jakby nie umiał się zdecydować, czy Stefan

Olsson jest po prostu kretynem, czy wręcz przeciwnie – geniuszem, i to w tak diabelnie wyrafinowany sposób, że on nie potrafi tego pojąć.

Manfred przysuwa krzesło do tablicy, siada na nim z głuchym pacnięciem i mówi dalej:

– Zadzwońię do prokuratora. Chodzi o to, żeby jutro zrobić przeszukanie w domu Olssona. Dziś jest sobota, czyli prokurator może złożyć wniosek o areszt tymczasowy najpóźniej we wtorek. Do tej pory powinniśmy powiązać wszystkie pojedyncze tropy. Okej?

Wszyscy kiwiają głowami, ale nikt nic nie mówi. Słychać jedynie bębnienie paznokci Suzette po stole. Widząc jej dłoń poruszającą się nad blatem, nagle coś sobie przypominam.

– Drewno – mówię.

Manfred patrzy na mnie zdezorientowany.

– Drewno? – powtarza.

– Hanne powiedziała, że pamięta deski – wyjaśniam. – A Stefan Olsson trzyma w swoim ogrodzie całą masę desek pod plandeką.

– Bardzo słusznie! – mówi Manfred z aprobatą. – Trzeba to sprawdzić podczas rewizji. Może uda nam się zabezpieczyć ślady Hanne przy domu Olssona.

Suzette zwilża sobie ciemnoczerwone usta końcem języka i pyta:

– A co stanie się z jego dziećmi, jeśli go zatrzymamy?

– Już to ustaliłam – odpowiadam. – Jeszcze dziś wieczorem wyślemy tam kogoś z opieki społecznej.

– Co z bronią? – rzuca Manfred.

– Jest w drodze do centralnego laboratorium kryminalistycznego – wyjaśniam. – Ale nie mamy ani nabojów, ani łusek do porównania, więc nie wiem, co to może nam dać.

W sali zapada cisza.

– Czy naprawdę wierzycie, że to on? – odzywa się Malik dosyć nieśmiało; w jego głosie słychać sceptycyzm.

– Ja ni cholery nie wierzę – odpowiada Manfred. – Ale najpierw musimy wszystko sprawdzić. – Robiąc grymas, masuje sobie kolana i zamyka oczy. Po chwili ciągnie dalej: – Sprawia wrażenie osobnika dosyć pokiereszowanego wewnątrz. Jestem nawet skłonny sądzić, że mogło mu się pomieszać, w jaki dzień był w Högsjö. W końcu ja też powoli przestaję rozeznawać się w dniach. I nie można także wykluczyć, że tamtego wieczoru zaparkował samochód przy drodze, ale wcale nie jest zamieszany w morderstwo. Mówiąc całkiem szczerze, co innego do roboty jest w tym przeklętym Ormbergu niż oglądanie telewizji czy jeżdżenie w kółko samochodem. Ale nikt mi nie wmówi, że da się zapomnieć miejsce, w którym pięć razy wykonywało się prace zleczone. I przecież wiadomo, że dobrze wie, skąd ma broń. Czyli coś ukrywa. Trzeba tylko dojść co.

– Albo nie chce nam powiedzieć – wtrącam.

– Nie chce?

Manfred unosi krzaczaste rudawe brwi tak wysoko, że czoło marszczy mu się jak

akordeon.

Zastanawiam się, jak wyrazić się precyzyjnie.

– W Ormbergu powszechna jest nieufność do policji. A właściwie do wszelkiej władzy.

– Ale w ten sposób Olsson tylko pogarsza własną sytuację – stwierdza Manfred.

Patrzę na swojego kolegę ze Sztokholmu. Na jego drogi garnitur, okazały szwajcarski zegarek i perfekcyjnie przystrzyżoną brodę.

Jak wytłumaczyć mu, co mam na myśli? Czy w ogóle warto próbować?

– Oczywiście – odpowiadam. – Usiłuję tylko wyjaśnić sposób myślenia ludzi we wsi. Oni nam nie ufają.

Przez moment mam wrażenie, że zaraz znowu zaczną na mnie krzyczeć, jak wtedy, kiedy starałam się mu wytłumaczyć, dlaczego mieszkańcy Ormbergu nigdy nie lubili ośrodka dla azylantów.

Na szczęście jednak nic nie mówi, tylko w milczeniu kiwa głową.

– Zostawmy na razie Stefana Olssona – proponuje Svante. – Zrekapitulujmy wszystkie zdarzenia, żeby Suzette i Malik mieli pełny ogląd sytuacji.

Manfred spogląda na nowych kolegów z Örebro, po czym wstaje, strzepuje sobie coś z rękawa marynarki i podchodzi do białej tablicy. Bierze do ręki pisak, rysuje nim długą oś czasu i zaznacza na niej poszczególne lata.

– Azra i jej pięcioletnia córka Nermina przyjechały tu z Bośni latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Piątego grudnia tego samego roku opuściły ośrodek w Ormbergu. Wszyscy uważali, że zrobiły to z własnej woli, i dlatego nikt nie zgłosił ich zniknięcia policji. Siostra Azry, Esmá, początkowo sądziła, że obie wróciły do Bośni, później jednak nabrała coraz większej pewności, że musiały zginąć, ponieważ nie dawały znaku życia.

Manfred sięga po butelkę z wodą mineralną, pociąga łyk i opowiada dalej:

– Nermina Malkoc została zamordowana prawdopodobnie na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego. Przybliżoną datę mogliśmy ustalić dzięki temu, że w połowie listopada poprzedniego roku mała przeszła operację i złamany nadgarstek nie zdążył się jeszcze do końca zrosnąć, kiedy umarła. Przyczyną śmierci była brutalna przemoc. Ciało zostało ukryte pod kamieniami na wysokim kopcu, a znalazła je przez przypadek dopiero w dwa tysiące dziewiątym grupka nastolatków.

Manfred wskazuje głową w moją stronę.

Spojrzenia wszystkich kierują się na mnie, czuję, jak się czerwienię. Za każdym razem, gdy ta historia znowu powraca, robi mi się niedobrze.

Manfred zwraca się ponownie ku tablicy i pośrodku osi czasu zaznacza krzyżyk.

– Przyjechaliśmy do Ormbergu dwudziestego drugiego listopada – kontynuuje – aby wyjaśnić zabójstwo niezidentyfikowanej dziewczynki znalezionej na kopcu. Dwudziestego siódmego listopada udało nam się wstępnie ustalić jej tożsamość jako Nerminy Malkoc.

Cztery dni później, w piątek pierwszego grudnia, zniknęli Peter i Hanne. Ona odnalazła się w lesie w sobotni wieczór drugiego grudnia, była wyziębiona i zdezorientowana. Petera nadal nie ma. Azra Malkoc została śmiertelnie postrzelona prawdopodobnie w piątek pierwszego grudnia. Nikt nic nie widział, nikt nie słyszał strzału. Ciało znaleziono piątego grudnia, w ostatni czwartek. Lekarz potwierdził, że strzelono do niej od przodu, w klatkę piersiową, z odległości około dwudziestu metrów. Ofiara była boso. A wczoraj otrzymaliśmy wiadomość z centralnego biura kryminalistycznego, że prawdopodobnie jest to Azra Malkoc, matka Nerminy. Obok miejsca zbrodni natrafiono na but Hanne. Stwierdzono na nim ślady krwi ofiary, co sprawia, że możemy połączyć ją z miejscem przestępstwa. Ponadto Hanne miała na sobie naszyjnik, który prawdopodobnie należał do Azry Malkoc.

– Czy to już pewne, że na bucie Hanne znajdowała się krew Azry? – pytam. – Ostatnio technicy sprawdzili wyłącznie grupę krwi.

Manfred kiwa głową i z ciężkim westchnięciem opada na jedno z krzesel.

– Tak.

– A ten medalion? – włącza się Malik. – Czy technicy zdążyli go już obejrzeć?

– Na razie powierzchownie – odpowiada Manfred. – Według nich prawdopodobnie nie został wykonany w Szwecji, co brzmi sensownie. Potwierdzili też, że w środku znajdowały się ludzkie włosy. Czekają na wynik analizy DNA. Zakładają, że przynajmniej część włosów ma cebulki, dzięki czemu byłaby możliwa zwykła analiza DNA. Jeśli nie, będą musieli zbadać mitochondrialny DNA. Tylko nie proście mnie, żebym wam wyjaśnił, co to jest. Wiem jedynie, że ta procedura zajmuje więcej czasu i nie jest równie precyzyjna.

– Jak, do jasnej cholery, Hanne wplątała się w to gówno? – wtrąca Andreas, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Ona o niczym nie ma pojęcia – odpowiadam. – Pytaliśmy ją, ale nic nie pamięta.

Manfred uciska sobie skronie opuszkami palców. Potem się odwraca i spogląda na oś czasową sięgającą od 1993 do 2017 roku. Na jej początku i końcu widoczne są liczne zapiski, ale w środkowej części jest pusta, jeśli nie liczyć krzyżyka przy 2009 roku, kiedy znaleziono Nerminę.

– Nermina zmarła w dziewięćdziesiątym czwartym – mówię z ociąganiem. – Azrę zamordowano dwadzieścia trzy lata później. Obie znaleziono w tym samym miejscu. Czyli to m u s i a ł być też ten sam sprawca. Kiedy zabito Nerminę, Stefan Olsson miał dwadzieścia pięć lat. I mieszkał w Ormbergu. Mógłby więc dokonać i jednej, i drugiej zbrodni.

– No tak, ale... – zaczyna Andreas i nagle milknie.

– Peter i Hanne mogli wpaść na jego trop – wtrąca Svante.

– No tak, ale... – odzywa się znowu Andreas. – Gdzie przez ponad dwadzieścia lat mieszkała Azra Malkoc? Ani szwedzkie, ani bośniackie instytucje nie mają o niej żadnych

wiadomości.

– Może się ukrywała – sugeruję. – Nie sędzę jednak, by mieszkała gdzieś tutaj w okolicy, ponieważ wtedy byśmy o tym wiedzieli.

– Ormberg jest na to za mały – potwierdza Manfred. – Tu nie sposób się ukryć. Ale już w Sztokholmie... Kto wie. Albo na Bałkanach. Zwłaszcza jeśli nikt jej nie szukał.

– Ale... – wtrąca znowu Andreas. – Przecież zabito jej córkę. Dlaczego nie poszła na policję?

– Może bała się, że zostanie wydalona – podsuwa Suzette, która odłożywszy na bok notes, pochyliła się nad stołem tak nisko, że jej biust opiera się na blacie.

– Z całą pewnością się bała – mówię. – Ale czy gdy zamordowano jej dziecko, nie powinno być dla niej mimo wszystko ważniejsze złapanie sprawcy niż otrzymanie azylu?

– Było za późno – zauważa nieśmiało Malik. – Dziecko i tak już nie żyło. I nic nie mogło tego zmienić. Więc może uciekła. A potem wróciła do Ormbergu, żeby się pożegnać. Tak jak odwiedza się grób kogoś bliskiego.

– Możliwe – zgadza się Manfred. – To brzmi całkiem sensownie.

– Istnieje też inna możliwość – wtrącam. – Załóżmy, że Stefan Olsson jest niewinny. Jak wynika ze statystyk, najbardziej prawdopodobnym sprawcą śmierci dziecka jest zwykle jedno z rodziców. Jeżeli Azra z jakiegoś powodu zabiła swoją córkę, to by wyjaśniało, dlaczego się ukrywała.

– Nie można tego wykluczyć – mówi Manfred, kiwając głową. – Ale kto wobec tego zamordował Azrę?

– Ktoś, kto w ten sposób się zemścił? – sugeruje Suzette. – Ktoś, kto wiedział, że zabiła córkę, i zamordował ją, żeby zaprowadzić swego rodzaju sprawiedliwość.

– Stefan Olsson – wtrąca Andreas. – Może on...

Manfred wznosi oczy ku niebu. Domyślam się, że według niego nasze spekulacje są chyba zbyt naciągane.

– Siostra powiedziała, że Azra była w ciąży. Według moich obliczeń w momencie zniknięcia mogła być w piątym miesiącu. Jeśli donosiła ciążę do końca, to znaczy, że urodziła wiosną dziewięćdziesiątego czwartego. Trzeba sprawdzić szpitale.

– Świetnie, Malin! – wykrzykuje Manfred. – Bardzo dobrze!

Jego przesadny entuzjazm sprawia, że czuję się jak uczennica, która dostała same piątki na egzaminie.

– Tylko dlaczego chodziła boso po lesie? – pyta Svante, który przez dłuższą chwilę wydawał się pogrążony we własnych myślach.

– Może przysłała z samochodu, który stał w pobliżu? – sugeruje Suzette. – Droga jest przecież całkiem niedaleko.

– Albo zgubiła buty, kiedy przed kimś uciekała – podsuwa Malik.

– Brzmi trochę dziwnie, ale nie da się wykluczyć – stwierdza Manfred.

Na chwilę zapada cisza.

– A co z pozostałymi podejrzanymi? – pyta później Suzette.

– Kiepsko – odpowiada Manfred. – Jest Henrik Hahn, pedofil, który obecnie siedzi w Karsudden. W dwa tysiące cztertnastym został skazany na pobyt w zamkniętym karnym zakładzie psychiatrycznym. Miał przepustkę w ostatnią sobotę, ale nie w piątek, czyli przyjmując nasze ustalenia czasowe za obowiązujące, musimy skreślić go z listy. A na początku dziewięćdziesiątego czwartego służył, jak na ironię, jako żołnierz sił ONZ-etu w Bośni, co znaczy, że nie mógł mieć nic wspólnego ze śmiercią Nerminy. Svante, zdaje się, że twoi ludzie rozmawiali z jego żoną?

Svante potwierdza ruchem głowy.

– Zapewniła mu alibi na sobotę i niedzielę. Ja też miałem okazję spotkać się z nim kiedyś przy innej okazji.

– I jaki on jest? – pytam głównie z ciekawości.

– Miły, towarzyski. Mniej więcej taki jak wszyscy skazani pedofile. W końcu zbliżenie się do ofiary wymaga całkiem sporych kompetencji społecznych.

– A niech to szlag – mówi Andreas, wykrzywiając twarz.

– Są jeszcze inni podejrzani? – pyta Malik.

– Jest niejaki Björn Falk – odpowiada Manfred. – Skazany za pobicie, molestowanie i naruszenie wolności osobistej. Trzeba ściągnąć go i przesłuchać. Nie możemy też zapominać, że to morderstwo mogło mieć podłoże rasistowskie albo wynikać z wrogości do cudzoziemców. Zadzwońię do Säpo i trochę ich pomęcę.

– To co robimy? – pyta Suzette, wpatrzona w swoje paznokcie.

– Będziemy dalej rozwiązywać nasze zagadki – oznajmia Manfred. – Po pierwsze, chcę wiedzieć wszystko o Stefanie Olssonie. Przeszłość, co robił w wiadomy piątek, które dokładnie deski przybił w ośrodku dla uchodźców, z kim chodzi do łóżka i jak bardzo ścięte lubi jajka sadzone na śniadanie.

Manfred zapisuje na tablicy: Stefan Olsson.

– Coś mi się zdaje, że on najbardziej lubi piwo – zauważa Andreas.

Suzette z trudem dławi śmiech, ale niezrażony Manfred kontynuuje:

– A jeżeli Hanne zgubiła na jego działce czy w jego domu choćby jeden włos, to ma być znaleziony podczas rewizji, zrozumiano? Oprócz tego trzeba ustalić wszystkich, którzy pracowali i mieszkali w ośrodku na początku lat dziewięćdziesiątych. Azra i Nermina raczej rzadko go opuszczały. Prawdopodobieństwo, że sprawca znajdował się na jego terenie albo odwiedzał go przy jakichś okazjach, jest duże. Poza tym Esmą wspomniała, że ktoś miał im pomóc dostać się do Sztokholmu. Kto to był? Czy to mógł być Stefan Olsson? Odszukajcie też starego wartownika, o którym mówiła kierowniczką, tego Tony'ego.

Manfred przerywa i dużymi czerwonymi literami zapisuje na tablicy „ośrodek dla uchodźców”.

– Po trzecie – uzupełnia – musimy ustalić, gdzie Azra Malkoc podziewała się po śmierci córki. Nikt nie znika na dwadzieścia lat, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Trzeba to sprawdzić i w Szwecji, i w Bośni, żeby niczego broń Boże nie przeoczyć. No i powinniśmy odszukać jej krewnych. Bo przecież jacyś muszą być, mimo wojny i bombardowań. Skontaktujcie się też z klinikami położniczymi. Sprawdźcie, czy Azra lub jakaś inna niezidentyfikowana kobieta, która mogłaby być nią, urodziła w dziewięćdziesiątym czwartym dziecko.

Manfred zapisuje na tablicy „Azra”.

– A po czwarte? – pyta Andreas.

– Po czwarte – Manfred znowu przykłada pisak do tablicy i skrzypiąc nim, pisze „Peter i Hanne”. – Musimy znaleźć Petera i dowiedzieć się od niego, co się stało tamtego wieczoru – mówi, zniżając głos. – Oni dwoje musieli coś odkryć. Jest wiele tropów, które trzeba pociągnąć dalej. Trzeba też znaleźć samochód Petera. I byłoby super, gdyby udało się wpaść na dziennik Hanne, bo jestem przekonany, że zapisywała każdy ich najdrobniejszy krok.

Gdy się pochylam, spotykam wzrok Manfreda.

– Szukaliśmy dziennika dosłownie wszędzie. Nie ma go w hotelu, w którym mieszkali, nie ma go też w naszym biurze. Myślę, że Hanne miała go ze sobą, powinien więc leżeć w aucie Petera albo w...

– Masz zrobić wszystko, żeby znaleźć ten pieprzony dziennik – odburkuje Manfred.

Kiwam głową w milczeniu.

– Zastanawiam się nad inną rzeczą – mówi Andreas. – Kopiec. Dlaczego i Azra, i Nermina zostały znalezione właśnie tam?

– Może to przypadek – sugeruję.

Manfred podnosi się, poprawia sobie marynarkę i podchodzi do mapy wiszącej na ścianie. Izohipsy wokół góry Ormberget układają się w ten sposób, że przypominają ogromne, szeroko otwarte oko patrzące na nas ze ściany.

Manfred staje do wszystkich plecami i kołyszając się nieco na palcach, wyjmuje z kieszeni długopis i wymienia cicho:

– Nermina. Azra. Zakrwawiony but Hanne.

Rysuje okrąg wokół kamiennego kopca na mapie.

Gruby czerwony okrąg.

I jeszcze jeden, i kolejny. Na papierze wyrastają następne krwistoczerwone elipsy.

Ktoś puka do drzwi, nikt jednak się nie rusza ani nic nie mówi, wszyscy siedzą jak zahipnotyzowani, ze wzrokiem utkwionym w mapie.

Manfred odwraca się do nas. Powoli wkłada długopis z powrotem do kieszeni marynarki.

– Czy to wygląda na przypadek? – pyta retorycznie, patrząc na mnie.

Znowu rozlega się pukanie, po chwili ostrożnie otwierają się drzwi i do środka zagląda młoda ciemnowłosa kobieta, którą rozpoznają jak przez mgłę.



– Dzwoni Gunnel Engsäll z ośrodka dla uchodźców w Ormbergu – informuje. – Chce rozmawiać z kimś z was.

– Powiedz jej, że odezwiemy się w poniedziałek – rzuca Manfred.

Kobieta w drzwiach wyraźnie się waha, przestępuje z nogi na nogę.

– Zdaje się, że to coś ważnego.

– Masz kłopoty ze słuchem? – pyta Manfred przesadnie powoli. – Zajmiemy się tym w poniedziałek.

– Ale – wtrąca ona, oblewając się rumieńcem – podobno na tyłach ośrodka ktoś odkrył ogromną kałużę krwi.

Gunnel Engsäll czeka na nas w drzwiach. W oknie dostrzegam zaniepokojone twarze dorosłych i widzę dzieci z nosami przyklejonymi z ciekawości do szyby. Jedna z kobiet odciąga małą dziewczynkę w głąb pomieszczenia i osłania ją, przytulając do siebie.

Ja, Manfred, Andreas i Malik przyjechaliśmy do ośrodka w Ormbergu, aby obejrzeć nowe odkrycie.

Pozostali wrócili do domów.

W końcu jest sobotni wieczór i prawdopodobieństwo, że znaleziona plama krwi ma coś wspólnego z morderstwem, należy uznać za niewielkie.

Gunnel naciąga pikowaną kurtkę z paskami odbłaskowymi. Pod nią pobłyskuje duży emaliowany naszyjnik.

Idzie jako pierwsza wzdłuż ściany budynku. W ręce trzyma latarkę.

– Krew odkryło jedno z dzieci, mała dziewczynka o imieniu Nabila. Nie mam pojęcia, jak długo tu jest. Ale jeżeli... – Gunnel urywa, jakby się wahała. Ominąwszy złamaną gałąź, chrząka i dodaje: – Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli was zawiadomię.

– Bardzo dobrze, że pani zadzwoniła – mówię.

Przechodzimy za narożnik domu.

Na tle ciemnego nieba rysują się sylwetki drzew.

Gunnel przystaje i kieruje światło latarki na ziemię, około półtora metra od pnia najbliższego drzewa.

Na śniegu widoczna jest duża czerwono-czarna plama. Ma około pięćdziesięciu centymetrów średnicy i wygląda na zamarznąętą.

Malik stawia na ziemi dużą torbę i wyjmuje z niej latarkę, następnie oświetla kałużę i podchodzi kilka kroków bliżej. Po chwili przykuca.

– Wygląda jak krew – stwierdza rzeczowo. – Naokoło widać mniejsze ślady. – Malik wskazuje na krople, które otaczają dużą kałużę zamarznąętej krwi. – Widać, że biegną od pnia aż tutaj. – Wykonuje zamaszysty ruch ręką.

– Jakby ktoś ranny szedł od drzewa tutaj – mówi Andreas, wskazując na plamę.

– Hm – mruczy Malik.

– Co? – pytam.

– Są tylko dwa problemy – mówi Malik, przekrzywiając lekko głowę, wskutek czego długie włosy opadają mu na ramię. – Po pierwsze, krew pokrywa samą powierzchnię śniegu, jak... glazura. Świeża krew jest ciepła, więc powinna by trochę rozpuścić śnieg i wsiąknąć w niego.

Gunnel odwraca głowę, nie kryjąc obrzydzenia.

– A po drugie... – zaczyna znowu Malik.

– Nie ma żadnych śladów stóp – dopowiada Manfred. – Jeśli uszkodzona osoba szłaby tędy, pozostałyby odciski w śniegu.

– Otóż to – potwierdza Malik. – Nie ma śladów nóg między drzewem a plamą krwi. Za to jest ich całkiem sporo dookoła samego drzewa.

– Może ktoś ją rozlał? – sugeruje Andreas.

– Nie. Wtedy wyglądałoby to całkiem inaczej. A to są klasyczne krople. Jedyne siła, która mogła spowodować to krwawienie, to grawitacja, krew skapywała prosto w śnieg z...

Malik prostuje się i kieruje snop latarki na koronę drzewa.

A tam, może cztery metry powyżej naszych głów, wisi krwawa bezkształtna bryła, przymocowana sznurem biegnącym od grubej gałęzi w dół do pnia drzewa.

Malik przesuwając stożek światła wzdłuż sznura – jego koniec jest przywiązany do gałęzi na wysokości mniej więcej półtora metra nad ziemią.

Następnie ponownie oświetla to coś, co wisi w koronie drzewa. Spod krwi wyłania się coś, co wygląda jak blada skóra.

– Co to, do kurwy nędzy, jest? – mamrocze Manfred.

# Jake

Niemal cały dzień przeleżałem w łóżku, próbując zrozumieć, co takiego się stało, że dziś rano naprawdę była u nas policja i zabrała tatę.

Powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze.

Wiem, że policjanci nic złego mu nie zrobią, rozumiem to nawet ja, w końcu nie żyjemy nie wiadomo gdzie, na przykład w Afryce. Ale jeśli mu nie uwierzą i postanowią zatrzymać go w areszcie w Örebro?

Jest jeszcze strach przed czymś innym, strach mroczniejszy, który boję się do siebie dopuścić. Jest tak potworny, że niemal niewyobrażalny, nie wspominając już o wypowiedzeniu go na głos. Jest tak wielki, jakby połączyć w jedno wszystkie potwory, bestie i katastrofy naturalne.

A jeżeli tata j e s t w coś zamieszany?

Jeżeli wsadzą go do więzienia i zniknie tak samo jak mama?

Kiedy o tym myślę, czuję ściskanie w żołądku i pieczenie pod powiekami.

Nie umiem sobie wyobrazić, że tata mógłby kogoś zamordować, to naprawdę niemożliwe. Jest za dobry i za bardzo nieporadny, żeby zrobić coś takiego. Przecież nie jest w stanie nawet usmażyć naleśników czy pójść na zebranie rodziców do szkoły, więc jak miałyby kogoś z a m o r d o w a ć? Ale z drugiej strony nie mogę przestać myśleć o broni i zakrwawionej, porwanej koszuli za koszem w pralni.

Poza tym ostatnio był trochę dziwny. Bardziej zmęczony niż zwykle i rozdrażniony.

Kiedy przypominam sobie to wszystko, wydaje mi się, że myśli rozsadzają mi czaszkę, a ona rozpadnie się na tysiąc części jak niedawno moja wieża Eiffla.

Siadam na łóżku i zaczynam kołysać się powoli do przodu i do tyłu.

Na dworze zrobiło się znowu ciemno.

Minął cały dzień, a ja nic nie zrobiłem.

W końcu wstaję i idę do pokoju Melindy. Czuć w nim papierosami. Dostałem od niej esemesa, że wróci około szóstej i że mam wziąć sobie coś do jedzenia.

Podchodzę do szafy i kładę dłoń na uchwycie w kształcie plastikowego błyszczącego ślimaka.

Ledwie otwieram drzwi, od razu ogarnia mnie spokój, jakby ubrania wiszące w środku szeptały do mnie, że wszystko się ułoży. Że tata niedługo wróci i będzie tak jak do tej pory.

Ściągam T-shirt i wkładam czarną obcisłą sukienkę.

W słabym świetle czerwonej lampki przy łóżku moja skóra wygląda na różową, kolorem

przypomina bożonarodzeniową szynkę.

Sięgam po szminkę, która leży na biurku, i maluję sobie usta na czerwono. Trudno jest zrobić to ładnie, przypuszczam, że dziewczyny muszą najpierw długo ćwiczyć, zanim naborą wprawę. Zrobienie perfekcyjnego makijażu wymaga wielu lat solidnego treningu.

Mimo to ja też zamierzam być w tym dobry.

Będę ćwiczył i ćwiczył, aż kreski na powiekach nie okażą się proste i równe, a czerwone usta symetryczne. Aż róż nie znajdzie się idealnie w najwyższym miejscu kości policzkowych, a tusz do rzęs nie rozmaże się pod oczami.

Zamierzam ćwiczyć tak długo, aż będę równie ładny jak Melinda.

Odkładam szminkę na miejsce i przyglądam się swojej twarzy w powiększającym lusterku stojącym na biurku. Dwa obrzydliwe grube włoski sterczą mi nad górną wargą.

Grzebię w kosmetyczce Melindy, znajduję pęsetę, której używa do regulowania brwi, i wyrrywam włoski z korzeniami.

Boli tak bardzo, że aż chce mi się płakać, ale potem jest już lepiej. Staję przed dużym lustrem. Prostuję się i zakładam włosy za uszy.

Gdy uśmiecham się nieśmiało, dziewczyna w lustrze też odpowiada mi uśmiechem, jakby łączyła nas wspólna tajemnica.

Pewnego dnia, przemyka mi przez głowę, pewnego dnia stanę się tobą naprawdę.

To cudowna myśl, lekka jak piórko, wyzwalająca jak promienie słońca na nagiej skórze po długiej zimie i podniecająca jak miękkie wargi Sagi na moich ustach.

Mimo wszystko jednak wiem, że to błąd.

Jestem chłopcem i nigdy, przenigdy nie będę mógł pokazać się w takim wydaniu. To chore, odrażające i złe. To wbrew Bogu, naturze i wszelkim niepisanim zasadom Ormbergu.

To jak nasikać na Biblię.

Wynaturzony: tego słowa nauczyłem się wczoraj i zrozumiałem, że idealnie pasuje do mnie. Kiedy je wygooglowałem, przeczytałem: w niezgodzie z naturą, nienormalny, nieprzyzwoity, perwersyjny, zepsuty, patologiczny, chory.

Jestem nienormalny.

Tylko dlaczego to wydaje się takie przyjemne?

Któregoś dnia zostanę mężczyzną i cokolwiek bym zrobił, nie będę w stanie tego zmienić.

To siedzi w genach, w chromosomie Y. I pewnego dnia, kiedy moje ciało uzna, że już pora, ten pieprzony chromosom Y wyśle do całego mojego organizmu rozkaz, aby zaczął produkować hormony męskie, a one zmienią mnie w potwora. Owłosionego, odrażającego potwora o nabrzmiewających mięśniach, których jedynym celem będzie zdobycie.

Będę czuł to samo co muzułmanie z ośrodka. I Vincent, Albin i Muhammed. I wszyscy mężczyźni od wieków na całym świecie.

A nawet tata.

Uczyliśmy się na ten temat na biologii. Wiem, jak to działa, i zdaję sobie sprawę, że to

nieuniknione.

Na myśl o tym chce mi się tylko płakać.

Wychodzę z pokoju Melindy i wracam do siebie, wciąż ubrany w sukienkę. Siadam na łóżku i wydaję dziennik Hanne. Przez chwilę trzymam go w dłoni, a potem otwieram na stronie z zagiętym rogiem. Pochylone, trochę koślawe pismo nie jest już trudne do odczytania, mam wręcz wrażenie, jakbym sam to pisał.

Nagle przemyka mi przez głowę pewna myśl, całkiem szalona, lecz im dłużej się zastanawiam, tym większej nabieram pewności.

Chociaż jestem nadal zły na Hanne, sądzę jednak, że ona by mnie zrozumiała.

I raczej nie uważałaby mnie za *n i e n o r m a l n e g o*.

Z powrotem w naszym tymczasowym biurze. Krótkie spotkanie podsumowujące.

Jedynym podejrzanym jest na razie Stefan Olsson, a obciążają go wyłącznie jego własne kłamstwa. Nic więcej na niego nie znaleźliśmy.

Rozpracujemy go szczegółowo.

Nie ma kryminalnej przeszłości, poza jednym epizodem, kiedy w wieku czternastu lat był podejrzewany o podłożenie ognia w starym tartaku nad rzeką, czego jednak nigdy mu nie udowodniono. Wygląda na to, że prowadził całkiem zwyczajne życie: żona, dwoje dzieci, praca w Brogrens Mekaniska, dopóki go nie zwolniono za to, że kilkakrotnie przyszedł do roboty pijany. Potem szybko wszystko zaczęło się walić: umarła żona, problemy z alkoholem się nasiliły.

Przygryzam wargę tak mocno, że czuję, jak smak krwi miesza się w ustach z pomadką.

Stary tartak – przecież podpalili go skinheadzi z Katrineholmu, tata opowiadał o tym mnóstwo razy. Wiadomo, że nie ma z tym nic wspólnego.

Po co miałyby to robić?

A pracę w Brogrens stracił, bo po prostu fabrykę zamknięto.

*Czy na pewno?*

Żołądek mi się zaciska, jakbym stał nad urwiskiem i patrzył w przepaść. Jednocześnie jestem zły. Najbardziej na Hanne, bo oskarża tatę o całą masę rzeczy, a gównu o nich wie. Akurat kiedy już zacząłem jej wybaczać wszystkie te okropieństwa, które napisała o naszej rodzinie.

Znowu czuję ssanie w żołądku i nagle wiem, co to jest.

To poczucie, że nie można na nikim polegać.

To poczucie, że człowiek jest na świecie całkiem sam.

Mocno ściskam dziennik w dłoni i czytam dalej.

Wieczór i CIEMNOŚCI. W podwójnym znaczeniu tego słowa.

P znowu biega. Korzystam z okazji i robię trochę notatek.

Chwilę temu zmusiłam P, by usiadł na łóżku, żebyśmy mogli porozmawiać (w pokoju jest tylko jedno krzesło, dlatego musimy rozmawiać w łóżku).

Wydawał się zdziwiony i może trochę sceptyczny, mimo to przysiadł na brzegu z ramionami demonstracyjnie skrzyżowanymi na piersi.

Powiedziałam mu, że zrobił się kłótlivy i drażliwy. Że nie patrzy na mnie, a w pracy traktuje mnie jak powietrze.

Odparkł, że jestem przewrażliwiona i że mnie kocha. Pochylił się w moją stronę i niezdarnie mnie przytulił.

I wtedy. PAC!

Wymierzyłam mu policzek! Nie wiem, jak to się stało, nie należę do osób gwałtownych ani porywczych. Chyba nigdy wcześniej nikogo nie uderzyłam, nawet jako dziecko – przecież byłam nieśmiałym, otęłym mołem książkowym, który interesował się Eskimosami.

Wpadłam w desperację. Raz za razem prosiłam go o wybaczenie.

Teraz siedzę sama i piszę. Za oknem dmucha jak diabli, północny wiatr wyje i gwizdże. To nie jest pogoda na bieganie. Gdybyśmy się nie pokłócili, pewnie bym się o niego denerwowała. Bałabym się, że przewróci się w ciemności albo wpadnie pod samochód.

Ale nie ma już we mnie miejsca na więcej uczuć. Wypełnia mnie pustka, bezlitosna, bezdenna ciemność.

Może w końcu Ormberg wdarł się we mnie.

Nagle wejście Melindy do pokoju przerywa mi lekturę. Widzę, że na mój widok zamiera w pół kroku i uśmiech znika z jej twarzy. Ja zaś wciąż jeszcze jestem tak zagłębiony w opowieści Hanne, że początkowo nie rozumiem, o co może chodzić mojej siostrze. Przez ułamek sekundy myślę, że to z powodu taty i tego, że zabrała go policja.

Dopiero po chwili dociera do mnie prawda, i to z siłą równą tej, z jaką czasami lądują na mojej twarzy lodowate śnieżki rzucane przez Vincenta.

Mam na sobie sukienkę Melindy.

Siedzę na swoim łóżku ubrany w czarną obcisłą sukienkę i z ustami pociągniętymi czerwona szminką.

Tak chyba człowiek się czuje, kiedy umiera, przemyka mi przez głowę. Melinda wypada z pokoju i z hukiem zatrzaskuje za sobą drzwi.

# Malin

– Skończysz wreszcie?

Manfred spogląda niecierpliwie na Malika, który przez ostatnie pół godziny robił zdjęcia, pomiary i zbierał próbki.

– Możecie już rozwiązać sznur.

Manfred odwiązuje grubą linę z konaru i zaczyna powoli opuszczać to coś z korony drzewa. Gałąź trzeszczy złowróźnie, gdy lina trze o korę.

Andreas kieruje światło latarki na bezkształtną zakrwawioną bryłę, która jest coraz niżej.

Wygląda na coś organicznego, ale chyba nie pochodzącego od człowieka. Jak trudna do zidentyfikowania odcięta część ciała.

– Kurwa!

Manfred potyka się i z krzykiem puszcza sznur, który prześlizguje się w jego gołych dłoniach ze świstem. Zakrwawiona bryła upada z głuchym odgłosem na ziemię, wzbijając dookoła tuman śniegu.

Manfred podchodzi bliżej, wykrzywiając twarz z bólu. Również Andreas robi krok do przodu, ale raptownie zatrzymuje się przede mną.

– Kurwa mać!

Pochyłam się, aby lepiej widzieć.

W śniegu leży ociekający krwią świński łeb z wbitym w niego ordynarnym zardzewiałym hakiem rzeźniczym.

Dłoń mamy lekko drży, kiedy nalewa kawę do małych delikatnych filiżanek ze złotym szlaczkiem. Dziadkowie używali ich tylko przy specjalnych okazjach, takich jak zakończenie roku szkolnego, urodziny czy sobótka.

Po powrocie z ośrodka dla uchodźców długo stałam pod prysznicem. Jakby gorąca woda mogła spłukać wspomnienie zakrwawionej świńskiej głowy i jeszcze czegoś znacznie gorszego: nienawiści tak silnej, że ktoś zadał sobie trud, aby wciągnąć świński łeb na drzewo przed domem, w którym mieszkają muzułmańscy uchodźcy.

Malik zrobił nam długi wykład, dlaczego świnie i wieprzowina uważane są za nieczyste i są *haram* – zakazane – w islamie.

Obraza uczuć religijnych albo groźba, jaką ów świński łeb miał oznaczać, była skierowana wprost do imigrantów. Nie wiadomo jednak na razie, czy ten incydent może mieć jakiś związek z naszym śledztwem.

Patrę na Margaretę.

Unosi pomarszczoną i pokrytą piegami rękę. Filiżanka spoczywa w jej ułożonej w łódkę dłoni niczym jakiś klejnot.

– Tylko łyczek – mówi, pokaszując. – Muszę zaraz iść. Rut i Gunnar też dostaną po kilka kilo.

Ciotka wstąpiła, żeby zostawić nam zamrożoną dziczyznę. Myśliwi, którzy polują na jej polach, ustrzelili tego roku wiele łosi i dlatego nazbierało jej się dużo więcej mięsa, niż jest w stanie przetworzyć.

Mama siada na krześle i kręcąc głową, odwraca się do mnie. Jej oczy są pełne niedowierzania i lęku.

– To przerażające, Malin. Myślisz, że ktoś specjalnie zmiażdżył twarz tej biednej kobiety?

Żałuję, że opowiedziałam o obrażeniach Azry. Choć pewnie dla Margaretę to żadna nowina, bo wie o wszystkim, co dzieje się w Ormbergu, niekiedy nawet zanim cokolwiek się wydarzy.

– Tak, to okropne.

Mama stawia dzbanek z kawą na stole.

– Kto jest w stanie zrobić coś takiego? To musiał być ktoś nie stąd.

– Wiadomo, że to nie mógł być nikt ze wsi – parska Margareta. – Ale teraz tyle jest zagubionych ludzi, że nie wiadomo, gdzie zacząć szukać.

Podnoszę filiżankę do ust, piję łyk gorącej słabej kawy i zastanawiam się, co obie by powiedziały, gdyby usłyszały, że Stefan Olsson siedzi w areszcie w Örebro. Facet, który nie jest ani Arabem, ani sztokholmczykiem, równie mocno zakorzeniony w tutejszej glebie jak my.

– A tego policjanta ze Sztokholmu wciąż nie znaleźliście? – dopytuje Margareta.

– Nie, ale go znajdziemy.

– Takich rzeczy nie można być pewnym – stwierdza ciotka. – Kiedyś odbierałam poród u kobiety, której mąż zgubił się pod Marsjö, i nigdy go nie...

– Margareto, proszę cię – wtrąca mama.

– Chcę tylko powiedzieć, że tutejsze lasy są ogromne – odpowiada ciotka z urażoną miną.

– A jeziora głębokie. Nietrudno zniknąć. Na zawsze.

– Znajdziemy go – powtarzam. – Przecież ktoś musiał coś widzieć. A Hanne, która była z nim w lesie, trochę jednak pamięta.

– Na przykład co? – pyta mama.

Wzruszam ramionami.

– Nie mogę o tym mówić.

Mama kręci głową i przykłada sobie dłoń do piersi, jakby za chwilę miała dostać ataku serca.

– A jeżeli on nie żyje – szepcze.



– Przecież wiadomo, że nie żyje – stwierdza sucho Margareta. – To najsurowsza zima, jak sięgam pamięcią. Dziesięć stopni mrozu i trzydzieści centymetrów śniegu. Żaden człowiek nie przetrwa w takich warunkach. Znajdźcie go, jak śnieg stopnieje, wspomnisz moje słowa.

Mama pociąga nosem.

– Co tu się wyprawia? W Ormbergu było zawsze tak spokojnie i bezpiecznie. Takie rzeczy się tutaj nie zdarzały. Nic z tego nie rozumiem.

Ciepłe światło lampy pada na jej pełne różowe policzki.

Przypominam sobie to, co mówiła Hanne. Strzępki jej wspomnień, które być może są autentycznymi obrazami zachowanymi w pamięci albo jedynie mieszaniną snów i fantazji.

Przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Ormberg jest mały, a nikt nie wie tyle o jego mieszkańcach, co ciotka i moja mama.

– Znacie tu kogoś, kto czyta angielskie książki? – pytam.

– Angielskie książki?

Mama kręci głową i wydyma usta, Margareta natomiast robi zamyśloną minę.

– Może Ragnhild – mówi. – Pewna nie jestem, ale jest cholernie zarozumiała i dumna z tego, że pracowała jako nauczycielka języków. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby trzymała angielskie książki. – Po chwili dodaje: – Albo Berit. W latach osiemdziesiątych miała chłopaka z Irlandii. Mistrza ogrodniczego. Pamiętam, że uwielbiał czytać grube książki. Za to mniej lubił pracować. Niestety. Berit zawsze trafiała na niewłaściwych facetów.

Margareta wzdycha i kręci głową z dezaprobatą.

Po chwili uznaję, że warto zadać także drugie pytanie.

– Mieszkacie tutaj tyle czasu, więc pewnie pamiętacie, kiedy tak naprawdę powstała historia o upiorku z kopca?

Mama i Margareta patrzą na siebie nawzajem.

– Ależ, skarbie, przecież to kompletna bzdura – mówi mama, nie kryjąc zdziwienia.

– Wiadomo, że to bzdura – odpowiadam. – Ale kiedy właściwie zaczęła krążyć ta historia?

Mama wznosi wzrok ku sufitowi.

– Nie pamiętam dokładnie, chyba mniej więcej jak byłaś jeszcze mała.

– Ivar z bagien widział tamto dziecko – wtrąca Margareta. – Zobaczył gołe niemowlę w trawie przy kopcu. Blade jak śmierć i z sinymi wargami. A kiedy chciał je podnieść, nagle, puf, zamieniło się w dym.

Ivar z bagien to brat Gunnara Stena.

Mieszkał po drugiej stronie kościoła, nad trzęsawiskiem; zmarł jakieś osiem, dziewięć lat temu. Cierpiał na zaburzenia psychiczne i uważał, że mieszkańcy Ormbergu go szpiegowali i zainstalowali w jego zębach nadajnik radiowy. Pewnej zimy wyłożył cały swój dom od

środką folią bąbelkową, aby uniemożliwić przedostawanie się do niego fal radiowych.

Ja i moi rówieśnicy mieliśmy z niego niezły ubaw. Kiedyś na przykład wdrapaliśmy się na jego dom i wsunęliśmy duży, pomalowany na czerwono nóż w kalenicę.

Wstyd mi, gdy teraz o tym myślę.

– Ivar z bagien był psychicznie chory – mówię.

– Ale widział dziecko – twierdzi Margareta i z powagą kiwa głową.

– Czego to on nie widział – wtrąca mama. – Nie wierzyłabym w ani jedno jego słowo.

– Kiedy to było? – pytam.

Ciotka wydyma nieco wąskie wargi.

– To musiało być jakoś po tym, jak Berit spaliła swój samochód, tego starego rzęcha. Tak, to musiało być wtedy. Ale zanim Rut i Gunnar zbudowali tę swoją wspaniałą szklaną werandę.

– Czyli kiedy?

Margerata unosi ramiona.

– Nie pamiętam dokładnie. Ale mogę spytać Ragnhild. Może ona będzie wiedziała.

Następnie prostuje się nieco i odgarnąwszy pomarszczoną dłonią cienkie włosy z czoła, wyraźnie przymierza się do tego, aby opowiedzieć jeszcze jedną ze swoich historii.

– Wiecie co – rzucam – chyba już pójdę się położyć. Jutro muszę wstać bardzo wcześnie.

– Jutro? – dziwi się mama. – Zamierzasz pracować w niedzielę?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa, mamó.

– No dobrze, nie będę wam już dłużej zawracać głowy – odzywa się Margareta, wierząc się na krześle, jakby poczuła się zawiedziona, że nie będę jej już słuchać.

Dopija kawę i głośno odstawia filiżankę na tacę. Potem wstaje, odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie z niezwykłą powagą.

– Obiecuj mi, że będziesz ostrożna, Malin.

Potakuję ruchem głowy.

Ciotka obejmuje mamę i dziękuje za kawę, po czym wychodzi do przedpokoj.

Mama również się podnosi i idzie za nią.

Siedzenie na starej kanapie dziadków i picie z ich filiżanek wywołuje we mnie niewyraźne, ale dotkliwe poczucie niepokoju. Wszystko tutaj – ponure tapety, wysiedziana sofa i naiwne obrazki z górskimi motywami – to wszystko bezlitośnie budzi we mnie wspomnienia z okresu dorastania. Nocnych kąpiele w rzece, popijaw i pierwszego seksu w wakacyjnych domkach, a także supernudnych obiadów z Margaretą i Magnusem, które nie miały końca.

To moje dzieciństwo, myślę, ujmując filiżankę za delikatne porcelanowe ucho, unosząc ją do ust i czując ciepłą parę na wargach.

To ja, ale już niedługo.

Bo niedługo zamieszkam daleko stąd, w Sztokholmie.

Moje smutne mieszkanie w Katrineholmie, z kuchnią i łazienką przystosowanymi dla niepełnosprawnych, to tylko krok na drodze prowadzącej jak najdalej stąd.

To budzi melancholię, ale mimo wszystko wydaje się słuszne. Chyba zawsze wiedziałam, że wyjadę z Ormbergu. Nie żebym miała złe dzieciństwo – nie brakowało mi koleżanek i kolegów, a moi rodzice nie byli ani lepsi, ani gorsi od innych. Nie, to w samym Ormbergu jest coś takiego, czego nie mogę znieść. Powietrze wydaje się tutaj zbyt ciężkie do oddychania, lasy zdają się pilnie mnie obserwować, a wszystkie smutne istoty, którym nigdy nie udało się stąd wyrwać, próbują mnie tutaj zatrzymać.

Może rzeczywiście boję się Ormbergu – albo raczej boję się tego, co by się ze mną stało, gdybym z niego nie wyjechała. Jestem przekonana, że stopniowo bym się zmieniła, popadła w beznadzieję, która tu czyha, i z czasem upodobałabym się do wszystkich innych tutejszych mieszkańców.

Szarych, o ciasnych horyzontach, pozbawionych marzeń.

Poza tym tutaj jest tata. I Kenny. I to coś na kopcu, co okazało się nie pieczarką, tylko czaszką zamordowanej dziewczynki.

Wszyscy oni są w Ormbergu: zmarli, którzy nie chcą zostawić mnie w spokoju.

A teraz dołączyła do nich jeszcze kobieta bez twarzy.

Kiedy mama wraca do pokoju, wciąż siedzę na kanapie i trzymam w ręce oprawione zdjęcie taty z czasów szkolnych.

Mama obrzuca mnie długim spojrzeniem, ale nic nie mówi.

Śmierć taty nie stanowiła dla mnie wprawdzie takiego szoku i wstrząsu jak śmierć Kenny'ego, mimo to oczywiście ogromnie mi go brakuje.

Byliśmy ze sobą bardzo zżyci. Pod wieloma względami wydawał mi się bliższy niż mama. Może dlatego, że byliśmy do siebie bardzo podobni: impulsywni, wrażliwi, a jednocześnie pragmatyczni i niesentymentalni.

Za młodu tata lubił sport. Zimą jeździliśmy na nartach, a w wakacje często biwakowaliśmy nad Långsjön. Mama nigdy nam nie towarzyszyła. Chyba uważała, że to bez sensu, aby spać w namiocie, skoro można mieszkać w pełni wyposażonym domu.

Później, kiedy tacie zaczęło szwankować serce, zaprzestaliśmy naszych wycieczek. Wtedy siadywaliśmy często przed kominkiem i planowaliśmy podróże, które – oboje to wiedzieliśmy – nigdy miały nie dojść do skutku: do Rzymu, Paryża, Krakowa i Pragi.

Tata lubił duże miasta.

Mama ostrożnie zabiera mi zdjęcie i stawia je z powrotem na regale. Potem siada obok mnie.

Kanapa groźnie trzeszczy pod jej ciężarem i przez ułamek sekundy wydaje mi się, że zaraz się rozpadnie.

Przekrzywiwszy głowę, mama przygląda mi się uważnie.

– Rozmawiałam dzisiaj z księdzem – odzywa się, głaszcząc mnie lekko po policzku. – Termin w sobótkę może być.

– Dzięki.

– Wspomniałam Margarecie, że może będziemy chciały wynająć jej stodołę.

– Przecież ci mówiłam, że nie chcę mieć tam przyjęcia.

– Ale, Malin...

Mama przybiera pełną dezaprobaty minę, jak zawsze, kiedy chce mi dać do zrozumienia, że nie doceniam jej starań.

– Nie chcę być u nich.

– Tutaj jest za mało miejsca, nie pomieścimy się – odpowiada mama.

– Wystarczy, że rozstawimy namiot w ogrodzie i będzie dobrze.

Kręcąc głową, mama odstawia małą filiżankę z takim rozmachem, że niewiele brakuje, by ją rozbiła. Błada, zwiotczała skóra na jej szyi drży przy każdym ruchu.

– Namiot? Jaki namiot! Jeszcze nigdy nie słyszałam czegoś równie głupiego! Skoro można mieć normalny dach nad głową.

– Nie chcę przyjęcia u Margarety, i koniec. We wszystko by się wtrącała.

– Dużo jej zawdzięczamy.

– Wiem. Ale to zupełnie co innego. Tu chodzi o m o j e przyjęcie ślubne.

Mama prycha z irytacją, widzę jednak, że się poddaje.

Margareta zawsze szarogęsiła się w Ormbergu. Należy do osób posiadających najwięcej ziemi i pod względem finansowym powodzi jej się lepiej niż wielu innym, w co trudno uwierzyć, będąc w jej ponurym domu w lesie. Nie ma chyba ani jednej rodziny w Ormbergu, która przy jakiejś okazji nie pożyczylaby od niej pieniędzy. I to zapewniło jej tak znaczący wpływ. Ludzie się z nią liczą i zwykle robią to, co ona mówi.

Trzeba jednak przyznać, że ciotka jest też przedsiębiorcza i zrobiła wiele dobrych rzeczy dla Ormbergu, na przykład doprowadziła do tego, że zbudowano nową drogę i że linia autobusowa z Vingåker została pociągnięta aż do kościoła. W ostatnią zimę zmusiła też gminę do udoskonalenia systemu odśnieżania.

Mama wzdycha ciężko, mimo to chyba postanawia nie sprzeczać się ze mną dłużej na ten temat.

– Znalazłaś już sukienkę? – pyta łagodniejszym tonem, zapowiadającym zgodę.

– Nie.

– Mogłabyś wziąć moją. Oczywiście trzeba by ją porządnie zwęzić – mówi ze śmiechem.

Mama nigdy nie należała do szczupłych. I nadal jest gruba.

Co prawda w Ormbergu nikt nie przejmuje się takimi problemami, pamiętam jednak jak przez mgłę, że kiedy byłam młodsza, mama próbowała przeróżnych diet – przez pewien czas jadła tylko jajka i sałatę lodową. Później, chyba pod koniec lat dziewięćdziesiątych, żywiła się wyłącznie zupami i winogronami. Po śmierci taty chyba zrezygnowała z eksperymentów

i zaakceptowała swoją słabość do tłustego jedzenia i słodkości.

– Poczekaj chwilkę – zwraca się do mnie, po czym wstaje i podchodzi do regału.

Wraca z jednym ze starych albumów ze zdjęciami pod pachą.

– Może obejrzymy go już jutro? – sugeruję.

– Chcę ci pokazać tylko jedną rzecz – odpowiada, przewracając kartki w albumie w poszukiwaniu czegoś konkretnego.

Przed oczami migają mi fotografie z mojego dzieciństwa: chuda dziewczynka z dwoma długimi ciemnymi warkoczami, niewyobrażalnie blade dziecięce ciało w małym dmuchanym baseniku na trawniku, Magnus patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami i tępyim spojrzeniem, podczas gdy Margareta pcha po alejce jego stary czerwony samochodzik ze mną w środku.

Ziewam.

Mama wydaje się nie dostrzegać mojej reakcji. Energicznie przerzuca kartki na sam początek albumu.

– Jest! – woła.

Przyglądam się wyblakłemu zdjęciu z polaroida przedstawiającemu mamę i tatę przed kościołem. Wyglądają na tak sztywnych i zakłopotanych, że nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Nagle ogarnia mnie niespodziewana tkliwość, doznanie zdające się składać w połowie z miłości, a w połowie z bolesnego żalu za czymś, co było i już nigdy nie wróci.

Tata ma ciemny garnitur i czerwony kwiat w butonierce, chyba goździk. Mama jest ubrana w koronkową sukienkę, ciasno opinającą jej tłuste ramiona i wydatny biust. Materiał jest bardzo ładny, po drobnych przeróbkach sukienka z pewnością byłaby jeszcze do wykorzystania.

– Rzeczywiście niebrzydka – mówię.

– W Vingåker jest zdolna krawcowa, która by... – zaczyna mama.

– Proszę cię, chcę mieć s w o j ą suknię.

Z grubym palcem przyklejonym do błyszczącej powierzchni zdjęcia mama milknie.

– Myślałam tylko...

Jej głos nagle zamiera, a mnie od razu dopadają wyrzuty sumienia.

– Zastanowię się jeszcze – bąkam, po czym sięgam po album i przewracam kilka kartek.

– Twoje pierwsze lato – mówi mama i uśmiecha się w zadumie.

Przyglądam się sobie jako niemowlakowi, szukam znajomych rysów w okrągłej buzi. To ja i nie ja jednocześnie; ciemne oczy, trochę zbyt pełna górna warga i zadziwiająco wyraziste łuki brwi na tle śnieżnobiałej cienkiej skóry.

Nieoczekiwanie, być może pod wpływem tych wszystkich zdjęć z dawnych lat, w głowie pojawia mi się zupełnie inna myśl. Przypominam sobie spotkanie z Esmą Hadzic w Gnesta. I fotografie Azry oraz Nerminy, a także Esmę, która przeciągała po zdjęciach wykrzywionymi palcami w taki sam sposób jak przed chwilą mama.

Zastanawiam się, czy Azra urodziła drugie dziecko, a jeśli tak – to gdzie ono teraz jest. Zadzwoiłam do lekarki przeprowadzającej sekcję zwłok, żeby się dowiedzieć, na ile to prawdopodobne, że doszło do porodu. Lekarka nie miała pewności, ale stwierdziła, że jeśli Azra przetrwała pierwszy trymestr ciąży bez komplikacji, istnieje „bardzo duża” szansa, że ją donosiła i urodziła zdrowe dziecko.

Jestem przekonana, że to tylko kwestia czasu, kiedy natkniemy się na nie zagrzebane gdzieś w ziemi. I zamierzam zrobić wszystko, aby je znaleźć, nawet gdybym musiała przekopać wzdłuż i wszerz cały las. Dziecko musi mieć grób, a Esmę zasługuje na to, aby wiedzieć, co się stało, nawet jeśli jej postępowanie w pewien nieokreślony sposób budzi moje zastrzeżenia.

Jestem w stanie zrozumieć, że ludzie uciekają przed wojną i biedą. Ale dlaczego ja i wszyscy pozostali podatnicy mamy finansować jej rentę inwalidzką, skoro już dawno temu mogłaby wrócić do Bośni? Mama nigdy nie dostała żadnego zasiłku, chociaż naprawdę go potrzebowała. Musiała pożyczać pieniądze od Margarety, jak wszyscy inni w naszej wsi.

Komórka dzwoni akurat w momencie, kiedy mama, zatopiona we wspomnieniach, chce mi pokazać zdjęcie, na którym ze stawu przy starym tartaku wyciągam błyszczącego, pokrytego śluzem szczupaka.

Przepraszam ją i odbieram telefon.

To Max.

Proszę go, aby poczekał sekundę, i wychodzę z pokoju w kierunku schodów.

Mama wygląda na nieco zawiedzioną, kiedy znikam, a ja znowu mam wyrzuty sumienia.

Zamieszkanie z mamą było jednak kiepskim pomysłem – dorośli ludzie nie powinni mieszkać z rodzicami. Nie pojmuję, jak Margareta i Magnus mogą ze sobą wytrzymać. Przecież on powinien był wynieść się z domu już dwadzieścia pięć lat temu.

Ale ciotka nie ma nikogo innego, Magnusa w gruncie rzeczy też nie ma.

Samotność jest najwyraźniej dużo silniejszym spoiwem niż miłość.

Stoję przed oknem w swoim dawnym pokoju i rozmawiam z Maxem, który jest dzisiaj w bardzo złym humorze. Rowerzysta potrącony przez miejski autobus wygrał proces z towarzystwem ubezpieczeniowym, co oznacza, że będzie dostawał od niego pełną rentę inwalidzką.

– A jakich doznał obrażeń? – pytam, rysując palcem po wilgotnej szybie.

Za oknem wirują płatki śniegu.

Max opowiada o dwudziestopięcioletnim mężczyźnie, który skazany jest na wózek inwalidzki i na cewnik, kiedy chce opróżnić pęcherz, oraz o jego sukinsynie pełnomocniku. Czuję, jak wkrada się we mnie chłód – chłód i coś jeszcze: nieokreślony dyskomfort i rozdrażnienie, którego nie potrafię do końca sprecyzować.

Może jego źródłem jest to, że Max brzmi tak bezwzględnie, albo wynika z tego, że

jakakolwiek wzmianka o wypadku samochodowym przywołuje u mnie wspomnienie Kenny'ego.

– Czyli twoim zdaniem nic mu się nie należy? – pytam i przeciągam palcem po zimnej, zaparowanej szybie.

Wyjaśnia, że nie to miał na myśli, ale ostatecznie pracuje dla firmy ubezpieczeniowej, a nie dla jakiegoś ckliwego programu w telewizji. Poza tym czy w ogóle zdają sobie sprawę, ilu tak zwanych „inwalidów” symuluje symptomy? Ilu inkasuje co miesiąc odszkodowanie, a potem ściąga kołnierz ortopedyczny i po powrocie do domu skacze z dziećmi na trampolinie?

Rysuję na szybie serduszko. I obok drugie.

– Ale masz paskudną pracę – mówię.

– Słucham?

Max jest dobrze wychowany i nigdy nie spytałby „co?”, gdyby nie zrozumiał, co ktoś do niego mówi. To jedna z wielu drobnych rzeczy, które nas różnią, i z pewnością też coś, co początkowo mnie w nim pociągało.

– Powiedziałam, że masz paskudną pracę. Siedzisz sobie za swoim eleganckim biurkiem, masz obie nogi i obie ręce i skąpisz pieniędzy ludziom, którzy nie mogą chodzić czy samodzielnie się wysikać.

Następuje chwila ciszy.

– Co jest, do cholery – odzywa się wreszcie Max. – Kiedy to zamieniłaś się w socjaldemokratkę?

– Może gdy poznałam ciebie.

Rozłączam się i patrzę na komórkę, nie bardzo rozumiejąc, co się wydarzyło. Gdy dociera do mnie, co zrobiłam, natychmiast tego żałuję. Obraziłam i zraniłam Maxa bez rzeczywistego powodu, bo przecież ma rację, mówiąc, że tylko wykonuje swoją pracę.

Wiem, że powinnam do niego oddzwonić i go przeprosić. Wyjaśnić mu, jak strasznie jestem zmęczona i pod jak wielką presją tu jesteśmy. Opowiedzieć o Azrze, Nerminie i Peterze. O obawie, że znajdziemy naszego kolegę martwego albo – co jest równie przerażające – nie znajdziemy go w ogóle.

I powinnam wyłożyć mu całą resztę, wszystko to, o czym tak naprawdę nigdy nie próbowałam z nim rozmawiać: jak rozpaczliwie mało wie o mojej rodzinie i o ludziach, którzy tu żyją. Chociaż mama i Max są dla siebie mili, kiedy się widują, nie ma to najmniejszego znaczenia, ponieważ on zawsze potem wraca do pedantycznie wysprzątanego mieszkania w sztokholmskiej kamienicy z przełomu wieków, z drogimi włoskimi meblami i z mosiężnymi detalami łazienkowymi na wysoki połysk. Do łóżka z materacem z końskiego włosia, kosztującego całą miesięczną pensję – oczywiście jego miesięczną pensję, bo moja nigdy nie wystarczyłaby na taki luksus.

Czy kiedykolwiek będzie w stanie zrozumieć, jak to jest, gdy autobus zmiążdży

człowiekowi nogi albo ktoś inny straci pracę w Triåkungen i nie dostanie nowej, ponieważ wszystkie zakłady pozamykano, a gminy nie stać na inwestowanie w te, które pozostały, mimo że uchodźcy z ośrodka dostają jedzenie, dach nad głową i edukację bez niczego w zamian?

Co on wie o ciemnościach w Ormbergu?

I co chyba ważniejsze: czy kiedykolwiek będzie potrafił mnie zrozumieć?

Nie jestem w stanie do niego zadzwonić. Nie teraz.

Spoglądam na serduszka na szybie. A potem ścieram je grzbietem dłoni.

Miłość to nie moja bajka.



# Jake

Śnieg zacina mi w twarz. Motorower z trudem przebija się przez warstwę białego puchu na szosie. Ciemność i zadymka utrudniają widoczność, jadę więc tak powoli, że aż się boję, że mogę przewrócić się na zakrętach. Staram się nie myśleć, co by było, gdybym uległ tu wypadkowi i nie mógł liczyć na niczyją pomoc.

Chociaż dzisiaj to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Nic już nie ma żadnego znaczenia.

Myślę o tacie, który jest na policji w Örebro. Myślę też o Melindzie, o wyrazie jej twarzy, kiedy zobaczyła mnie na łóżku w sukience i z umalowanymi ustami. Zdziwienie i strach widoczne w jej oczach przypomniły mi boleśnie, kim jestem albo raczej c z y m jestem.

Odmieńcem.

Zaraz po jej wyjściu przebrałem się i wyjechałem.

Zwinięty plecak wcisnąłem pod siedzenie. Są w nim dziennik Hanne, komórka, zamrożony chleb i dwie puszki coli.

Po dojechaniu do głównej drogi skręcam w kierunku tego, co wszyscy uparcie nazywają centrum, chociaż to jedynie kilka zrzurowanych domów pośrodku pola.

W każdym razie tak uważa Hanne.

Odbijam w wąską dróżkę prowadzącą do domu Sagi. Zostawiam przed nim motorower, wchodzę po niewielkich schodkach i naciskam dzwonek. Przez drzwi słyszę podniesione głosy.

Otwiera mi mama Sagi, ubrana w różowe welurowe dresy. Długie ciemne włosy ma zebrane wysoko w koński ogon. W ręce trzyma mokry zmywak.

– Jake? Co ty tu robisz w taką pogodę? Wejdz!

Otwiera szeroko drzwi, na co szybko wślizguję się do środka i w ciepłe ściągam buty, a puchową kurtkę wieszam na wieszaku w przedpokoju.

Mama Sagi przywiązuje dużą wagę do porządku w domu. To chyba jej główne zajęcie w czasie wolnym. Każdy w rodzinie ma swój wieszak z własnym imieniem i własne miejsce na półce na buty. Jest też oddzielne miejsce dla gości i właśnie na nim stawiam obuwie.

Z dużego pokoju dochodzi głos telewizora.

Bea, dwunastoletnia siostra Sagi, wypada z kuchni z iPadem w ręce. Widzę, że jest zła, domyślam się więc, że trafiłem w sam środek kłótni.

– To on mnie uderzył! – krzyczy Bea.

Mama Sagi odwraca się w jej stronę i skrzyżowawszy ramiona, mówi:

– Mimo to nie wolno oddawać. Nie chcę więcej słyszeć na ten temat od twojej pani. Rozumiesz? Do czego to podobne, przecież jesteś dziewczynką, powinnaś być rozsądniejsza.

– Ale on mnie uderzył. I to strasznie mocno!

– Miłość zaczyna się od kłótni. Uderzył cię pewnie dlatego, że cię lubi, chłopcy tak mają. Nie potrafią powiedzieć, że ktoś im się podoba. Kiedy dorośniesz, sama to zrozumiesz.

W drzwiach kuchni pojawia się Saga.

Jej włosy mają jeszcze ciemniejszy różowy odcień, są prawie wiśniowe. Długie frędzle zwisają ze sfatygowanych czarnych dżinsów, a w dziurach na udach i na kolanach wydyma się jasna miękka skóra.

Na mój widok Saga uśmiecha się promiennie i szybko do mnie podbiega.

– Cześć!

– Cześć – odpowiadam, uświadamiając sobie nagle, że właściwie nie mam do niej żadnej sprawy.

Ale ona, wciąż z uśmiechem na twarzy, bierze mnie za rękę i ciągnie do dużego pokoju, gdzie każe mi spocząć na kanapie przy kotce Miki.

– Co słyszać? – pyta i siada obok po turecku.

– Wszystko okej – kłamię. – O co ta kłótnia?

– Bea znowu komuś przyłożyła.

Myślę o tym, co mama Sagi powiedziała do swojej młodszej córki: że kiedy chłopcy kogoś lubią, biją się, bo nie umieją wyrazić tego w inny sposób. Jakby wszyscy faceci byli potworami używającymi zamiast języka pięści. Bach – pacnięcie w twarz: jesteś słodka. Bęc – cios prosto w brzuch: lubię cię. Puf – kopniak w plecy: chcesz być ze mną?

Saga przeciąga dłonią po włosach.

– Ufarbowałam sobie na ciemniejsze. Podobają ci się?

– Są ekstra.

– Dzięki. Mama mówi, że wyglądam jak kurwa.

Słysząc szuranie w przedpokoju i mama Sagi staje w drzwiach.

– Młoda damo! Tak na pewno nie powiedziałam! W naszym domu nie używamy tego słowa. Nawiasem mówiąc: gdzie są moje czarne dżinsy?

– Nie wiem. A co?

Saga wywraca oczami w moją stronę.

– Po pierwsze, są moje. A po drugie, wieczorem idę do Björna i chcę je włożyć. Więc ich poszukaj.

Następnie odchodzi zdecydowanym krokiem.

Saga wzdycha, a ja czuję wypieki na policzkach.

Björn Falk.

Nowy facet jej mamy. Skazany za przemoc. Który wepchnął kobietę do rozgrzanej sauny i zablokował wyjście; potem musiała mieć przeszczepy skóry. O czym nie mogę

opowiedzieć, chociaż powinienem.

– Twoje włosy są teraz bardzo ładne – potwierdzam, bo naprawdę tak uważam.

Ich kolor przypomina kolor kwiatów rosnących latem w rowach. Mama bardzo je lubiła.

– Więcej w nich temperamentu – dodaję.

– Dokładnie! – odpowiada Saga z zadowoleniem.

Nagle lekko się wzdrygam, bo dotyka rękawa mojej bluzy.

– Przecież ty jesteś mokry. Poczekaj, zaraz przyniosę ci coś innego.

– Daj spokój, nie trzeba – zaczynam, ale Saga już rusza do przedpokoj.

Kilka minut później wraca z T-shirtem i grubym różowym swetrem, niemal takiego samego koloru jak jej włosy. Z jednego rękawa zwisa niemal do podłogi długa, wyciągnięta nić.

Saga zaczepia o nią palec, unosi brwi i się uśmiecha.

– Wciąż o coś zawadzam.

Biorę od niej rzeczy. Waham się trochę, w końcu jednak uznaję, że nie powinienem robić jej przykrości, i się przebieram.

Sweter jest długi, sięga mi do połowy ud.

– Super. Dobrze ci w różowym.

Nie odpowiadam.

Zawsze lubiłem ten kolor, ale oczywiście nie mogę się do tego przyznać.

Nagle zapada dziwna cisza. Kłótnia chyba się skończyła, słychać jedynie monotony głos lektora wiadomości w telewizji. Za czarnymi szybami duże płatki śniegu wirują w tańcu, który chyba nigdy się nie skończy.

Miki przeciąga się na kanapie, a gdy Saga głaszcząc kotkę po miękkiej sierści na brzuchu, na jej nadgarstku metalicznie grzechoczą bransoletki.

– To co, obejrzymy jakiś horror?

– Jasne.

Włącza stary film o grupie nastolatków, którzy wybierają się do lasu na poszukiwanie czarownicy nazywanej Blair Witch i się w nim gubią. Film wygląda na amatorski, ale Saga stwierdza oschle, że to tylko taki zabieg marketingowy.

– Właśnie o to chodzi, żeby każdy myślał, że oni sfilmowali to sami. I ludzie chyba dawali się na to nabrać. To znaczy dawniej. Moja mama powiedziała, że dla niej był straszny.

– Serio?

– Poważnie – mówi Saga i oboje zgodnie chichoczą.

Jej dłoń dotyka mojej; jest ciepła i wilgotna i chociaż tak naprawdę mam ochotę poruszyć ręką, nie robię tego, żeby nie zburzyć tej idealnej chwili. Chcę trwać w tym doznaniu ciepła, które rozlewa się w moim wnętrzu, i przeciągnąć uzależniające ssanie w dołku najdłużej, jak to możliwe.

– I kto by pomyślał, że Ormberg, najnudniejszy na świecie, stanie się takim

niebezpiecznym miejscem. Mama mówiła, że wczoraj paru dziennikarzy z telewizji chciało przeprowadzić z nią wywiad. Ale nie miała rano makijażu, więc odmówiła. I zjechali już turyści kryminalni.

– Turyści kryminalni?

– No wiesz, ciekawscy, którzy chcą zobaczyć miejsce zbrodni. Mama spotkała w centrum całą zgraję. Pytali ją o drogę do kamiennego kopca.

Dygotę na myśl o dzienniku Hanne w moim plecaku. Muszę przeczytać go do końca.

– Kurczę, jakie to wszystko pokręcone – mówię. – Bo przecież tamta kobieta w lesie też była człowiekiem, żyła, oddychała i w ogóle. Kręciła się po okolicy tak samo jak my. Może nawet widziała ten film albo miała rodzinę... A teraz stała się atrakcją dla turystów. Jak outletry w Vingåker.

– Hm – bąka Saga. – To faktycznie pokręcone. Chociaż nikt się nad tym nie zastanawia. Poza nami, bo my jesteśmy m o r a l n i e l e p s i.

Znowu zgodny chichot.

– Pamiętasz, wspominałam ci o dziewczynie, która pracuje jako urzędniczka na policji w Örebro – zagaduje Saga.

– Ta twoja kuzynka?

Saga wywraca oczami.

– Nie. Chodzi o tę, która jest z synem byłego męża siostry mojej mamy i pochodzi z Kumla. Nieważne. No więc ona mówi, że niedługo wszystko się wyjaśni. Policja ma podejrzanego.

Ciarki mnie przechodzą, kiedy dociera do mnie, że tym podejrzanym może być mój tata.

Saga przygląda się swoim paznokciom i opowiada dalej:

– Ona ma nadzieję, że zamkną go na zawsze i już nigdy nie zobaczy słońca.

Czuję, jakby coś we mnie pękło. Żołądek mi się ściska i mam sucho w ustach.

Tata. Zamknięty w ciemnej celi do końca życia.

– Ciekawe, czy ta kobieta, którą znaleźli w lesie, by go rozpoznała – kontynuuje Saga, nie zwracając uwagi na moją reakcję. – Ta, która straciła pamięć. Swoją drogą to strasznie dziwne, że teraz mieszka u Berit. Jedna staruszka opiekuje się drugą staruszką. Mama mówi, że to bez sensu. Co prawda Berit kiedyś pracowała z takimi. Zajmowała się kalekami i wariatami.

– Nie użyłam tego słowa!

Mama Sagi znowu staje w drzwiach. Ale nie wygląda na złą, tylko na rozbawioną. Macha zmywakiem trzymanym w dłoni.

– Jake – zwraca się do mnie. – Czy nie powinieneś już wracać do domu?

Siedzę ze wzrokiem utkwionym w dywanie i nagle ogarnia mnie panika. Mama Sagi przygląda mi się w milczeniu. Po chwili marszczy czoło i mówi:

– Chociaż jeśli chcesz, możesz przespać się na kanapie. Nie mam nic przeciwko temu.

Saga się uśmiecha, ale się nie odzywa, tylko pociąga jedną z długich nici zwisających z jej dżinsów, aż wreszcie ją urywa i trzyma w palcach jak dżdżownicę.

Leżę na kanapie pod starą wilgotną kołdrą, którą mama Sagi przyniosła ze schowka.

Mama Sagi jest super – nie musiała pozwalać mi tutaj spać.

Przypomina mi się to, co zawsze powtarza ojciec: że ludzie w Ormbergu wspierają jedni drugich i że to jedna z zalet życia w małej miejscowości. I może ma rację.

Wyjmuję dziennik. Przez chwilę się waham, w końcu jednak zapalam stojącą lampę i zaczynam czytać.

Ja i Hanne niezbyt się lubimy, mimo to muszę się dowiedzieć, co się stało. Bo jeżeli znajdę prawdziwego mordercę, wtedy puszcza mojego ojca.

Możliwe, że tylko ja mogę go uratować.

Ormberg, 30 listopada

W biurze.

Paskudna pogoda, niemal burza.

Deszcz pada, wiatr uderza w ściany budynku. W środku jest lodowato zimno i kapie z sufitu, chociaż dmuchawa pracuje na pełny regulator.

Właśnie skończyliśmy poranne spotkanie. Podsumowaliśmy sytuację, postępy w śledztwie, przeanalizowaliśmy kolejność zdarzeń, hipotezy, ustalenia techników i zebrane materiały. Dostaliśmy też więcej zdjęć Nerminy od bośniackiej policji.

Powiększyliśmy je i zawiesiliśmy na ścianie.

Manfred był sfrustrowany. Spytał mnie, z jakiego rodzaju sprawcą mamy do czynienia.

Wyjaśniłam, że widzę trzy opcje: (1) Ktoś zabił Nerminę przez przypadek (np. w wypadku samochodowym) i ukrył jej ciało w kopcu. (2) Azra zabiła córkę, co by również wyjaśniało, dlaczego potem zniknęła. (3) Ktoś inny zabił Nerminę. Motyw mógłby być natury seksualnej.

Później prześledziliśmy życiorysy osób pracujących w ośrodku dla uchodźców na początku lat dziewięćdziesiątych. Większość nie miała podejrzanej przeszłości. Jedna z nich była skazana za przemoc. Tylko dwoje pracowników nadal jest w Ormbergu: Rut Sten, była kierowniczką, i Berit Sund, stara kobieta, która mieszka między kościołem a starą fabryką.

Malin uważa, że Berit jest całkowicie nieszkodliwa.

Budzę się z zimna.

Kołdra ześlizgnęła się na podłogę. Do pokoju wpada słabe światło z kuchni. Coś chrzęści pode mną na kanapie, kiedy się poruszam – może to jakiś stary czips.

Mama Sagi nienawidzi takich rzeczy – resztek jedzenia na kanapie. Gdyby wiedziała, że coś tu leży, wpadłaby pewnie z odkurzaczem, mimo że jest środek nocy.

Naciągając na siebie kołdrę, nagle zamieram: odwracam się i znowu patrzę na podłogę.

Dziennik zniknął.

Wstaję, klękam koło kanapy i zaglądam pod nią, ale nigdzie go nie widzę. Nie ma go też między kanapowymi poduszkami.

Siedzi na łóżku, z dziennikiem na kolanach, po policzkach płyną jej łzy. Różowe włosy zasłaniają jedno oko.

– Hej – mówię. Saga kręci głową, jakby chciała, żebym sobie poszedł. – Saga, słyszysz?

– To jest jej dziennik, tak? Tej, która błąkała się po lesie?

Kiwam głową, nic nie mówiąc.

– Mogłeś mi powiedzieć – bąka cicho.

Stoję jak skamieniały na zimnej podłodze, czując chłodny podmuch na wysokości kostek. Kiedy wiatr się wzmacza i napiera na szybę, całe okno trzeszczy.

Tak, powinienem był powiedzieć. Ale nie zrobiłem tego. A teraz nawet nie potrafię wyjaśnić, dlaczego nie umiałem jej powiedzieć.

– Powinieneś był powiedzieć, że znalazłeś dziennik i że Björn Falk jest cholernym sukinsynem. A jeśli on spróbuje zabić też moją mamę? Nie pomyślałeś o tym?

– Ja...

– Dlaczego nie powiedziałaś? Myślałam, że możemy na siebie liczyć – szepcze. Potem kręci głową i ociera łzę. – Dlatego że... Dlatego że twój tata może kogoś zabić?

– Nie. Nie!

– Dlatego że nie miałbyś ani mamy, ani taty, gdyby trafił za kratki?

– Tata nigdy by...

– Nie możesz tego wiedzieć – odpowiada Saga i śmieje się oschle. – Takich rzeczy się nie wie. A nawet gdyby, co byś na to poradził? Chyba nie zamierzałeś tam pojechać?

– Pojechać dokąd?

– Nawet nie doczytałeś do końca? – rzuca z irytacją.

Zapada cisza. Saga kołysze się na łóżku do przodu i do tyłu ze wzrokiem utkwionym w ścianie.

– Nie mów nikomu, okej? – proszę ją.

Odwraca się do mnie. Jej oczy przypominają czarne kulki.

– To jest dla ciebie najważniejsze? Żebym trzymała język za zębami?

– Nie, ja...

– Idź już sobie, słyszysz! – krzyczy i ciska we mnie dziennikiem, który ląduje z hukiem na mojej lewej stopie, mimo to nie czuję bólu, tylko dziwną pustkę, kiedy uświadamiam sobie, że być może ją straciłem. – Spadaj! I nigdy tu nie wracaj.

Odwraca się i chowa głowę w poduszce.

# Malin

Nie wiem, co mnie obudziło, być może jakiś hałas na zewnątrz, słycać bowiem dziko gwizdzący wiatr i lekko uderzającą o szybę samotną gałąź – mam wrażenie, jakby to Suzette była tam w ciemności i powoli stukiała w okno swoimi długimi niebieskimi paznokciami.

Księżyc rzuca blade światło na dywanik na podłodze.

Myślę o Maxie i Kennym, a także o tym, co mama powiedziała kilka dni temu: że nie można uciec przed samą sobą.

Może ma rację.

Może Max oznacza dla mnie ucieczkę od Ormbergu albo od Kenny’ego, a w konsekwencji także od siebie.

Chyba coś się we mnie załamało po śmierci Kenny’ego.

Nie dlatego, że to był potworny wypadek, ani dlatego, że byliśmy wtedy wstawieni, tylko dlatego, że uświadomiłam sobie, jakim nieopisanym bólem jest utrata człowieka, którego się kocha.

Nie chcę doświadczyć go nigdy więcej.

Z parteru dochodzi jakieś szuranie, jakby ktoś ciągnął krzesło po podłodze.

Zerkam na zegarek: jest pięć po piątej. Może mama poszła do toalety.

Po śmierci Kenny’ego nie chciałam w ogóle wychodzić z łóżka ani jeść. Każdy kęs rósł mi w ustach i przyprawiał o mdłości. Nieustannie miałam przed oczami jego twarz, która była już nie twarzą, tylko bezkształtną masą.

Mama i Margareta bez przerwy przy mnie czuwały, i w dzień, i w nocy. Oczywiście tata też był, ale on musiał myśleć głównie o pracy. Poza tym opiekowanie się załamaną nastolatką to babska sprawa.

A kiedy kilka tygodni później mama i tata zarazili się grypą i poważnie się rozchorowali, ciotka wprowadziła się do nas. Przygotowywała nam wszystkim śniadania, obiady i kolacje. Wysprzątała poddasze, zrobiła dżem z jesiennych jabłek, prała, prasowała i pastowała podłogi.

Myślę, że chyba wtedy zdałam sobie sprawę, ile znaczy Margareta dla mnie i dla całej naszej rodziny. Nie jest czułą, empatyczną osobą, ale kiedy trzeba, umie stanąć na wysokości zadania. Jest osią, wokół której wszyscy się obracamy, siłą spajającą naszą całkiem małą i rozproszoną rodzinę. Pomoc, którą oferuje, jest często szorstka i niema, ale nie zawodzi nigdy.



A ostatecznie chyba to się przede wszystkim liczy?

Z dołu dobiega jakiś rumor, a potem łoskot, jakby zatrzęsęły się drzwi.

Siadam na łóżku. Czuję, jak serce mi wali, a na czole występują kropelki potu.

Czy mama gdzieś wychodzi? O tej porze? O piątej nad ranem?

Wstaję, narzucam na ramiona koc leżący w nogach łóżka i przemykam w stronę schodów.

Jest cicho. Światło księżycy oblewa korytarz przejmującym grozą blaskiem. Czując zimną podłogę pod stopami, owijam się szczelniej kocem.

Tata czasami chodził we śnie. Zwykle zakradał się do kuchni. Bywało, że mama znajdowała go przy lodówce z ręką w słoiku, w piżamie wysmarowanej jagodowym dżemem.

Zszedłszy powoli, sprawdzam najpierw przedpokój, potem kuchnię.

Wszędzie pusto.

Krzewy za kuchennym oknem kołyszą się w silnych porywach wiatru, ciągnie od podłogi.

Idę dalej, do pokoju mamy, uchylam drzwi i nasłuchuję.

Jej oddech jest ciężki, ale miarowy, a powietrze przesycone jest jej zapachem. Ostrożnie zamykam drzwi, wracam do przedpokoju i wodzę wzrokiem po pokrytym śniegiem podjeździe oraz drzewach w oddali. Między dwoma największymi świerkami dostrzegam jakiś ruch.

Ktoś albo coś kręci się między pniami. To może być człowiek, ale równie dobrze także zwierzę.

W tej samej chwili w dużym pokoju rozlega się piknięcie.

Odwracam się.

Coś świeci na stoliku przed kanapą zimnym, sztucznym światłem.

Mój laptop.

Ale przecież wczoraj chyba go wyłączyłam?

Idę do pokoju i pochylam się nad komputerem. Na ekranie tańczą różnokolorowe kółka. Obok laptopa leży mój notes, otwarty, tak jak go zostawiłam. Notatki dotyczące Hanne i nielicznych szczegółów, które zachowała w pamięci po nocy, gdy zniknął Peter, zapełniają całe dwie strony.

Naciskam jeden z klawiszy i zamiast wygaszacza ekranu pojawia się strona logowania.

Czyli komputer nie jest aktywny.

Oddycham z ulgą, lecz w tej samej sekundzie mój wzrok pada na podłogę. Na sztucznym parkiecie widoczna jest wilgotna plama, błyszczący nieznacznie w wątłym świetle padającym z ekranu laptopa.

Serce przyspiesza rytm, dudni mi w uszach.

Wychodzę do przedpokoju, otwieram drzwi wejściowe i patrzę w ciemność. Wiatr rozwiewa mi włosy, dygoczę z zimna.

Początkowo nie widzę nic niepokojącego, po chwili jednak dostrzegam coś w zaspie

niedaleko drzwi.

Ślad buta.

Przykucam i przyglądam mu się z bliska. Pośrodku odcisniętej zelówki widać zarys pięcioramiennej gwiazdy.

Hanne siedzi w kuchni Berit z kubkiem herbaty w ręce. W świeczniku na stole palą się dwie świece.

Jest druga niedziela adwentu.

Głowa boli mnie ze zmęczenia. Po tym, jak nad ranem usłyszałam w domu jakieś odgłosy, nie mogłam już później zasnąć. Przewracałam się z boku na bok, nie zmrużywszy oka, aż w końcu zadzwonił budzik.

Jadąc do biura, postanowiłam powiedzieć Manfredowi o wydarzeniach z nocy, lecz w jasnym świetle słońca to wszystko wydało mi się śmieszne: jakiś łoskot, ślad buta w śniegu, który mógł być świeży, ale równie dobrze mógł powstać już wcześniej. Ruch między drzewami był raczej projekcją mojego lęku, a nie wywołał go intruz, którego się obawiałam.

Spoglądam na stół przed sobą.

Obok świecznika leżą zdjęcia martwych ciał Azry i Nerminy Malkoc, mapa Ormbergu, protokół przesłuchań i notatki zebrane przez Manfreda.

Siedzieliśmy ponad godzinę, podczas której Manfred w niezwykle pedagogiczny sposób przedstawił całe dochodzenie, zrelacjonował wszystko, co wiemy o Nerminie i Azrze, a także o zniknięciu Petera i medalionie noszonym przez Hanne. Nie wspomniał o Stefanie Olssonie – zrobił to celowo, aby niczego jej nie sugerować.

Ona zaś zanotowała to i owo w notesie i zadała kilka pytań. Berit zaś zaparzyła nam herbatę, wyprowadziła psa na spacer, a potem usiadła w pokoju obok z jakąś ręczną robótką.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Hanne nic nie pamięta ze sprawy, dlatego też ja i Andreas nie potrafiliśmy zrozumieć sensu naszej wizyty. Jeżeli Manfred liczył na to, że Hanne jednak coś sobie przypomni, całkowicie się mylił. A mamy przecież mnóstwo do roboty, bo prokurator potrzebuje materiału do postawienia oskarżenia.

Nad Ormbergiem świeci blade poranne słońce. Cienka różowa smuga unosi się nad wierzchołkami drzew, a mgła rozmywa ich zarysy na skraju lasu.

Zapowiada się ładny dzień, lecz meteorolodzy ostrzegają przed intensywnymi opadami śniegu i utrudnieniami w ruchu w ciągu następnego dnia.

Hanne zdejmuje okulary i kładzie je na stole, po czym przeciera sobie oczy. Ogień trzaska w żeliwnym piecyku.

– Przecież chyba wiesz, że nic nie pamiętam? – odzywa się, spoglądając na Manfreda, na co on kiwa głową i kładzie dużą dłoń na jej ręce.

Oboje się uśmiechają. W niemym porozumieniu.

– Co chcesz wiedzieć? – pyta ona.

– Chcę wiedzieć, czy Nerminę i Azrę Malkoc zabiła ta sama osoba. I chcę, żebyś mi powiedziała, kto to jest.

Hanne wybucha śmiechem i ściska jego dłoń.

– Nie jestem jasnowidzem.

– Owszem, jesteś – mówi Manfred i uśmiecha się jeszcze szerzej.

Hanne puszcza jego rękę i przeczesuje palcami swoje długie włosy, rozplątuje jakiś kosmyk.

– Uprzedzam cię, Manfredzie, choć chyba sam się orientujesz, że to, co mogłabym powiedzieć, to jedynie hipotezy oparte na wyjątkowo powierzchownej analizie materiału.

– Oczywiście.

Hanne wzdycha i powoli kręci głową. Wygląda na niemal rozbawioną.

– Nie lubię wyciągać pochopnych wniosków.

– A gdybyś mimo wszystko musiała to zrobić?

– Wtedy bym powiedziała, że wszystko, rzecz jasna, się ze sobą wiąże. Mało prawdopodobne, aby dziewczynka i jej matka zostały znalezione martwe w tym samym miejscu przez czysty przypadek, nawet jeśli obu zbrodni dokonano w różny sposób i obie dzieli wiele lat. Sądzę więc, że możemy mieć do czynienia z jednym i tym samym sprawcą. Ponadto niektóre elementy działania każą mi przypuszczać, że pozostawał on, o ile był to mężczyzna, w bliskiej relacji z ofiarami.

– Mogłabyś to rozwinąć? – prosi Manfred.

– Okazywał im swego rodzaju... troskę. Małą dziewczynkę ułożył na plecach, z rękami splecionymi na piersi, i dopiero potem nakrył ją kamieniami. Prawie jak w grobie. Można odnieść wrażenie, że... ją s z a n o w a ł. Podobnie było z Azrą. Sprawca ułożył ją pod świerkiem i w taki sam sposób splótł jej ręce. Myślę, że je znał. Może nawet kochał.

Hanne zakłada okulary, zerka do swoich notatek i po chwili kontynuuje:

– Ale z drugiej strony mamy zmasakrowaną twarz Azry.

Nagle milknie i marszczy czoło. Nie odzywa się dosyć długo.

Przyglądamy się jej w milczeniu. Berit pokasłuje w pokoju obok.

– Na pozór to się nie trzyma kupy – mówi wreszcie Hanne. – Zakładając, że szanował ofiarę, nie powinien był zmiążdżyć jej twarzy kamieniem. Takie zachowanie bowiem kojarzy się raczej z nienawiścią albo z zadaniem śmierci w afekcie. Lecz w tym przypadku mogły też istnieć inne powody. Bardziej praktycznej natury.

Manfred podnosi wzrok znad notesu.

– Tak – potwierdza Hanne pewniejszym głosem. – Mogło tak być. Może sprawca nie miał czasu, aby ukryć ciało, i zmiążdżył twarz, by utrudnić identyfikację.

– Przecież i tak można jej dokonać, na przykład na podstawie DNA.

Hanne nieznacznie wzrusza ramionami.

– Jasne. Ale to już nie jest takie proste. Musisz mieć materiał porównawczy. To samo dotyczy odcisków palców.

– A fakt, że obie ofiary były boso? – pytam.

– Hm – bąka Hanne i stuka długopisem w stół. – O ile dziewczynka rzeczywiście była boso, bo przecież nie możemy wykluczyć, że miała na nogach jakieś buty, tylko się rozłożyły. W końcu leżała tam przez piętnaście lat. Jej matka natomiast...

Hanne znowu milknie i spogląda na pokryte śniegiem pole za oknem.

– Czy technicy są w stanie określić, czy przed zabójstwem miała buty na nogach? – pyta po chwili.

– Nie mają pewności – odpowiada Manfred. – Ale na jej stopach było sporo zadrapań, przypuszczają więc, że mogła iść przez las spory kawałek boso.

– Może była psychicznie chora – sugeruje Hanne. – Albo...

– Albo? – powtarza za nią Manfred.

– Albo puściła się pędem przed siebie, na łeb na szyję, uciekając na przykład z samochodu albo z domu w pobliżu.

– W pobliżu nie ma żadnych domów – wtrącam.

– Ale jest droga – zauważa Hanne i wskazuje na mapę.

– No więc? – mówi Manfred z ociąganiem. – Kto to jest?

Hanne uśmiecha się smutno.

– Bardzo chciałabym to wiedzieć. Przypuszczam, że ten ktoś mieszka tu od dawna, ponieważ obu zabójstw dokonano tutaj i dzieli je wiele lat. Jestem pewna, że to mężczyzna, po prostu dlatego, że większość sprawców strzelających do swoich ofiar lub używających wobec nich przemocy to mężczyźni. Jest silny fizycznie i ma dobre rozeznanie w terenie. Prawdopodobnie może być w wieku między czterdzieści a sześćdziesiąt pięć lat...

– Zaraz, zaraz – wtrąca Andreas. – Skąd możesz to wiedzieć?

Hanne sprawia wrażenie niemal ożywionej.

– Morderstwo to poważna zbrodnia. Większość zbrojców ma za sobą kryminalną przeszłość albo przynajmniej jeden, nazwijmy to, p a t o l o g i c z n y e p i z o d r o z w o j o w y. Jeśli przyjmiemy, że sprawca w chwili zabicia Nerminy miał osiemnaście lat, to dzisiaj przekroczył czterdziestkę. A jeśli chodzi o zabójstwo tej... jak się nazywała jej matka?

– Azra Malkoc – podpowiadam.

– Dziękuję. Teren jest nierówny, a ciało zostało przeniesione i ułożone pod drzewem, co wymagało pewnej fizycznej siły. Czyli można wykluczyć osoby w podeszłym wieku i niepełnosprawnych. Myślę, że sprawca nie ma więcej niż sześćdziesiąt pięć lat.

W kuchni na chwilę zalega cisza.

Hanne wygląda na zadowoloną. Jej oczy lśnią.

– Coś jeszcze? – pyta Manfred.

– No cóż, można by spekulować, jaki rodzaj osobowości ma sprawca, wolałabym jednak tego nie robić.

Ma rozdrażniony głos i mierzy Manfreda wzrokiem.

– Daj spokój! – rzuca Manfred.

– No dobrze. Powiedziałabym, że jest impulsywny i niezorganizowany. Wskazuje na to przynajmniej morderstwo kobiety. Wykonał je... pospiesznie. Lekkomyślnie i niezbyt przebiegle.

– Czy to znaczy, że mógł być narkomanem lub alkoholikiem? – pyta Manfred.

Hanne wzrusza ramionami.

– Możliwe. Albo działał tak pospiesznie, ponieważ tego nie planował. Jak już wspomniałam, musiała go łączyć z ofiarami jakaś bliska relacja. Szukajcie w okolicy, a może go znajdziecie.

Manfred pochyła się i prześwidrowuje Hanne wzrokiem. Potem sięga po mapę, rozkłada ją na stole między sobą a nią i wskazuje na kopiec.

– Dlaczego tutaj, Hanne? Dlaczego właśnie kopiec?

Hanne kręci głową. Ma zmęczoną twarz.

– Początkowo myślałam, że być może to miejsce miało dla niego specjalne znaczenie. Nie jestem jednak pewna. To mogło być...

– Co? – pytam.

Hanne spogląda na mnie, potem przymyka oczy i wygląda na bardzo skupioną.

Pies, który do tej pory leżał cicho na podłodze, podnosi głowę i patrzy na nas, jakby czuł, że tutaj, przy kuchennym stole, w małej chatce Berit, dzieje się coś ważnego.

– Wyobraźcie sobie duże skrzyżowanie, które trzeba minąć, żeby wyjechać z miasta albo do niego wjechać – mówi z ociąganiem Hanne. – Miejsce, przez które wszyscy przejeżdżają nie dlatego, że chcą, tylko muszą. Może zarówno dziewczynka, jak i jej matka mijają kopiec w drodze skądś lub dokądś. Z samochodu. Z domu. Kopiec leży na polanie, więc osoba przechodząca tamtędy zatrzymuje się i rozgląda dookoła, żeby się zorientować, gdzie jest. A jej ewentualny prześladowca ma ją wtedy jak na dłoni.

Hanne unosi rękę i przekrzywia głowę, jakby trzymała broń i mierzyła w kogoś.

Manfred coś zapisuje.

– Czyli mamy jeszcze raz bliżej przyjrzeć się domom w okolicy?

– Tak myślę – odpowiada Hanne i odsuwa mapę na bok. – Domom i samochodom, które kursują drogą w pobliżu... W pobliżu...

Hanne ze złością uderza pięścią w stół i mocno zaciska powieki.

– W pobliżu tej... tej góry kamieni... – mówi w końcu.

– Kopca – wtrąca ostrożnie Manfred.

Hanne spogląda na niego i zaciska dłoń. Potem wzdycha głośno.

– To nie wygląda dobrze. Tamtej kobiety... Jak ona miała na imię?

– Azra – odpowiada Manfred.

Hanne kiwa głową.

– No więc nosiłam naszyjnik Azry. A jej krew była na moim bucie. Nie sędzę, aby Peter był w którymś z letnich domków. Przypuszczam, że stało mu się coś strasznego.

Nikt z nas się nie odzywa, a Manfred mocno ściska dłoń Hanne.

Wracamy do biura. Andreas zdejmuje grubą kurtkę i siada naprzeciw mnie.

– Skąd ona może to wszystko wiedzieć?

Wzruszam ramionami. Jestem równie zdziwiona jak on. Hanne była bowiem przez cały czas cicha i wycofana. Podczas wszystkich naszych spotkań przysłuchiwała się w milczeniu, robiła notatki, potakiwała niemo i prawie nie zadawała pytań.

Nie przypuszczałam, że ma aż taki potencjał. Co prawda Manfred wspominał, że jest utalentowana, a nawet najlepsza, ale wciąż zdawała się stać w cieniu Petera.

– Widocznie nie bez powodu nazywana jest „czarownicą” – zauważam.

Andreas kiwa głową potakująco.

Wygląda dzisiaj całkiem nieźle, chyba zrobił coś z włosami. Może je podciął, a może tylko użył żelu, bo fryzura leży jak przyklejona do czaszki, wyjątkowo ma też na sobie robiony na drutach niebrzydki sweter i dżinsy, które, o dziwo, nie są za krótkie.

Chyba czuje, że mu się przyglądam, ponieważ podnosi spojrzenie znad komputera i zerkna na mnie. Szybko odwracam wzrok, ale o sekundę za późno, bo na jego twarzy już wykwita pełen samozadowolenia uśmiech, jakbym właśnie dostarczyła mu potwierdzenie, że uważam go za pociągającego.

Do biura wchodzi Manfred. Zdjąwszy płaszcz i usiadłszy na swoim miejscu, zaczyna grzebać w pliku papierów na stole.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Hanne jest cholernie przenikliwa, ale także zdezorientowana i nic nie pamięta z dochodzenia. Niezależnie od tego jestem gotów się założyć, że jej ocena sytuacji jest słuszna.

– Stefan Olsson całkiem nieźle pasuje do jej opisu – wtrącam. – Ma czterdzieści osiem lat, mieszka dosyć blisko kopca, zna tutejsze lasy jak własną kieszeń i sprawia wrażenie dosyć... Jak to ona określiła? *N i e z o r g a n i z o w a n e g o? N i e d b a ł e g o?*

W tym momencie odzywa się komórka Manfreda, który zerknąwszy na wyświetlacz, rzuca sucho:

– NFC, wreszcie oni też pracują w weekend. – Następnie rozpościera pięć palców w powietrzu i dodaje: – Pięć minut.

Wstaje i przechodzi do dawnego sklepu, aby móc rozmawiać w spokoju.

– Uważam, że powinniśmy poszukać dziecka, które urodziła Azra – sugeruję.

– Sprawdziłaś kliniki położnicze? – pyta Andreas.

– Tak, nigdzie nie ma śladu, aby niejaka Azra Malkoc miała rozwiązanie wiosną

dziewięćdziesiątego czwartego. Ani żadna inna kobieta o nieznanym tożsamości. Ale nie można wykluczyć, że Azra posłużyła się fałszywym nazwiskiem. Tak czy inaczej, to niemowlę prawdopodobnie leży zakopane gdzieś w lesie.

– Pytanie tylko, gdzie dokładnie go szukać. Przecież tutejsze lasy ciągną się bez końca. A teraz jeszcze wszystko przykrywa śnieg. Spenetrowanie terenu będzie możliwe nie wcześniej niż na wiosnę.

– Gdybyśmy wiedzieli, gdzie szukać...

– A wiemy? – przerywa mi Andreas ze sceptyczną miną.

– Kopiec – mówię. – Zbyt wiele wskazuje na to miejsce, abyśmy mogli je zignorować. – Robię pauzę, a potem dodaję lekkim tonem: – Nie zapominajmy o upiorku.

Andreas przybiera kamienny wyraz twarzy.

– No co? – pytam.

– Serio? Chcesz mi powiedzieć, że wierzysz w duchy?

– Jasne, że nie. To jest coś w rodzaju masowej hysterii. Zastanawiam się tylko, czy kiedyś nie doszło do jakiegoś rzeczywistego zdarzenia, które stało się źródłem tej plotki. Może na przykład ktoś przypadkiem naprawdę usłyszał płacz niemowlęcia w tamtym miejscu, ponieważ faktycznie było tam jakieś dziecko. Potem przekazywano sobie tę historię z ust do ust, aż wreszcie cała opowieść urosła do legendy. Zdaje się, że to wszystko zaczęło się mniej więcej dwadzieścia lat temu. I to by się zgadzało.

Nie wspominam o Ivarze z bagien, który twierdził, że widział martwe niemowlę przy kopcu. Nie chcę przyznać, że biorę na poważnie chore bajanie schizofrenicznego starca.

Nie spuszczając ze mnie wzroku, Andreas chyba zastanawia się nad moimi słowami.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co się tutaj zdarzyło, może rzeczywiście powinniśmy porządnie przeszukać kopiec. – Urywa na sekundę, po czym dodaje: – Wiosną. Kiedy stopnieje śnieg.

– Musi być jakiś sposób, aby zrobić to szybciej. Można by odrzucić śnieg albo użyć jakichś podgrzewaczy, żeby go rozpuścić. I wykorzystać psy.

Andreas nie wygląda na przekonanego.

– I one potrafiłyby znaleźć zwłoki po tylu latach?

– Tak. Niektóre to umieją. Już to sprawdziłam. Są takie, które znajdują części szkieletu liczące ponad trzydzieści lat.

– Okej – rzuca Andreas.

– Okej co?

– Możemy zaproponować to Manfredowi.

Jestem zaskoczona. Sądziłam, że będę musiała się o wiele więcej napracować, aby go przekonać. Dłużej go namawiać. Urabiać i nakłaniać, może nawet zgodzić się na upokorzenie.

Andreas uśmiecha się niemal drwiąco.

– Gotowa na piwo dzisiaj po pracy?

W ułamku sekundy satysfakcja z przekonania go do mojego pomysłu przeradza się we wściekłość.

Ma kompletnie gdzieś, co stało się z tamtym dzieckiem. Tak naprawdę jest zainteresowany tylko tym, by wsadzić mi łapę w majtki, do czego nigdy nie dojdzie, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na świecie.

Gdy zerkam na niego, widzę na jego twarzy chełpliwy uśmiezek. Spod górnej wargi wystaje mu prymka snusu, która wygląda jak gównno szczura, jego oczy błyszczą irytująco. Siedzi rozparty, z szeroko rozstawionymi nogami, jakby był nieopisanie zadowolony z samego siebie.

– Czy ty jesteś, do cholery, opóźniony w rozwoju? Jeszcze nie dotarło do ciebie, że nie mam na ciebie ochoty?

– Ojoj – rzuca, nie przestając się uśmiechać.

Gdybym była dziesięć lat młodsza, dałabym mu w tym momencie w twarz. Słowo daję, podeszłabym do niego i przyłożyłabym mu prosto w tę jego szczerzącą się gębę. Ale skończyłam z tym. Nie mieszkam już w Ormbergu i nie daję ludziom w zęby tylko dlatego, że są kretynami.

Andreas wstaje przesadnie powoli z krzesła.

– Muszę się odlać – oznajmia, potwierdza jeszcze tę informację skinieniem głowy i wychodzi.

Wpatruję się w ekran komputera, czując wypieki na twarzy. Nabieram głęboko powietrza i próbuję zapanować nad emocjami.

Cała ta sytuacja z Andreasem jest bardzo dziwna.

Gdy tylko zaczynam myśleć, że jest nawet sympatyczny, zaraz robi coś, co wszystko psuje.

Moje spojrzenie przypadkiem pada na wydruk leżący obok jego laptopa: to nazwiska mieszkańców Ormbergu znajdujących się w jakichkolwiek rejestrach policyjnych.

I wśród nich, mniej więcej pośrodku listy, widzę jej nazwisko.

Mojej mamy.

Skąd się tam wzięła? Przecież nigdy nie zrobiła nic nielegalnego, nie ukradła nawet leżącego pod drzewem jabłka.

Loguję się do systemu i sięgam po listę. Wprowadzam dane, następnie przyciskam ENTER.

Komputer warczy, jakbym dała mu jakieś bardzo trudne zadanie do wykonania. Po chwili monitor się rozjaśnia.

Klikam dalej i dochodzę do raportu. Czytam go, a potem siedzę jak skamieniała.

Trzy lata temu, w listopadowy wieczór, niedługo po śmierci taty, znaleziono mamę na



stoku Ormberget z licznymi obrażeniami i mocno pijaną. Policjanci, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce, napisali, że „znajdowała się w stanie skrajnego przygnębienia po śmierci męża” i że zawieźli ją do Katrineholmu „w celu opatrzenia obrażeń oraz ustalenia, czy nie istnieje niebezpieczeństwo popełnienia samobójstwa”. Nadmieniono też, że absolutnie nie chciała, aby zawiadomiono jej najbliższych, córkę Malin Brundin, ponieważ właśnie zaczęła studia w Wyższej Szkole Policyjnej w Sztokholmie i „nie powinna się rozpraszać”.

Czuję ucisk w żołądku i pieczenie pod powiekami.

Biedna mama.

Było jej tak strasznie źle? I mimo to nie chciała mi przeszkadzać.

To rozczulające.

Czytam dalej. Najwyraźniej poprosiła policjantów, aby skontaktowali się z Margaretą. Okazało się, że złamała sobie nogę w stawie skokowym i ciotka obiecała zajmować się nią przez czas, gdy będzie unieruchomiona w gipsie.

Zastanawiam się.

Podczas mojego pierwszego semestru w Sztokholmie mama rzeczywiście wspominała, że Margareta dosyć często ją odwiedza.

Wtedy o tym nie myślałam, ale teraz już rozumiem, skąd te ciągłe wizyty ciotki.

W Ormbergu ludzie opiekują się swoimi bliskimi.

Przypuszczam, że Margareta gotowała, sprzątała i nieustannie pucowała, tak by cały dom pachniał czystością, a szyby błyszcząły w słońcu.

Taka już jest. Dokładnie tak samo zachowywała się po śmierci Kenny’ego.

Szkoda, że mama nic mi nie powiedziała. Gdyby to zrobiła, na pewno bym przyjechała i też jej pomogła. Mogłybyśmy porozmawiać o tym, co się stało. Teraz natomiast nie mogę jej o to zagadnąć, ponieważ naruszyłabym tajemnicę.

Ukrywam twarz w dłoniach i czuję w sobie narastający smutek i frustrację.

Nie powinnam była nigdy tutaj wracać.

Tylko zostać w Katrineholmie, trzymać się z daleka od całego tego starego gówna i być miłą dla Maxa.

Słyszę zbliżające się kroki. Prostuję się więc i poprawiam sobie włosy.

Andreas wchodzi do środka i siada znowu na swoim miejscu. Za nim wkracza Manfred. Ma zaróżowione policzki i porusza się sprężysto.

Na szczęście chyba nie zauważył mojego wzburzenia.

– Rozmawiałem z koordynatorką zbierającą wszystkie ekspertyzy techników dotyczące naszej sprawy – zaczyna i pada na krzesło, które wygina się pod jego ciężarem. – Zbadano ubranie Hanne, które miała na sobie, kiedy ją znaleziono. Były na nim ziemia i pozostałości roślin, co zrozumiałe, bo przecież błąkała się po lesie całą dobę. Ale wykonano też analizę chemiczną i stwierdzono obecność ditlenku krzemu, magnetytu i węgla.

– Chemia nie jest moją mocną stroną – wtrąca Andreas.

Manfred opuszcza brodę i spogląda na mnie znad okularów.

– Przykro mi, moją też nie – mówię, kręcąc głową.

– Magnetyt, czyli inaczej ruda żelaza, jest tlenkiem żelaza – wyjaśnia Manfred. – O ile dobrze zrozumiałem, jest wykorzystywany do produkcji żelaza. Z kolei ditlenek krzemu jest produktem ubocznym procesu wytwarzania żelaza. A węgiel... No cóż, węgiel to węgiel. Mówiąc precyzyjnie: pirolizowany materiał biologiczny.

W pokoju zalega cisza. Słysząc jedynie jednostajny szum dmuchawy dochodzący z pomieszczenia dawnego sklepu.

– A niech to szlag – cedzi powoli Andreas.

– Fabryka – wtrącam. – Hanne musiała być przy starej hucie.

# Jake

Śnieg sięga mi do kolan, kiedy wciągam motorower pod blaszany daszek przy szczytowej ścianie dużego czerwonego budynku. Potem przeciskam się przez otwór w murze.

W środku jest ciemno i zimno. Bardziej domyślam się, że tam są, niż widzę wielkie betonowe filary i poprzeczne belki biegnące przez całe pomieszczenie. Telefon jest ciepły, ponieważ leżał w kieszeni. Sprawdzam wiadomości: Melinda przysłała dwa esemesy. Podobno odwiedziła nas jakaś baba z opieki społecznej, która ma nas pilnować, dopóki tata nie wróci.

Nie wspomina ani słowem o tym, w jakim stanie zastała mnie w moim pokoju – umalowanego i w dziewczynskich ciuchach.

Uświadamiam sobie, że wcześniej czy później będę musiał pojechać do domu. Ale na razie nie jestem w stanie widzieć się z Melindą. Nie umiałbym spojrzeć jej w oczy. Piszę więc do niej krótkiego esemesa, że śpię u kolegi.

Gdzie spędzę noc, nie mam zielonego pojęcia, ale tak czy inaczej, nie mogę wrócić do Sagi, bo szczerze mnie teraz nienawidzi.

W hali maszyn panuje mrok, cienie czyhają za ogromnymi stalowymi bestiami, które stoją w różnych miejscach na betonowej posadzce. Moje kroki odbijają się echem w ciszy, od czasu do czasu pobrzękuje jeden z łańcuchów zwisających ze stropu, jakby lekko potrącała go czyjaś niewidzialna dłoń.

Brogrens Mekaniska to jedyne miejsce, które na razie przyszło mi do głowy. Nie mam się gdzie indziej podziąć.

Idę do biurka brygadzysty i sadwię się na starym poplamionym materacu na podłodze. Zapalam świeczkę, otwieram plecak i wyjmuję z niego puszkę coli oraz dziennik Hanne.

Lunch.

Andreas i Manfred pojechali do Sztokholmu. Mają spotkać się z ludźmi z Biura Imigracyjnego oraz z urzędnikami z ambasady Bośni i Hercegowiny. Wrócą jutro wieczorem. Malin jest u swojej mamy na lunchu.

Wcześniej zadałam jej pytanie o Margaretę i Magnusa Brundinów – dlaczego mieszkają razem, skoro on ma ponad czterdzieści lat. Odpowiedziała, że jej ciotka nie ma nikogo poza nim. Mąż Lill-Leffe zostawił ją dla fryzjerki z Flen, kiedy była w ciąży z Magnusem, i mimo upływu ponad czterdziestu lat jest to dla niej nadal temat tak

drażliwy, że pod żadnym pozorem nie wolno wymieniać w jej obecności imienia eksmęża.

Niełatwo jest być człowiekiem.

Wydarzyło się parę rzeczy.

Po pierwsze: weszłam do toalety i znowu nie rozpoznałam swojego odbicia w lustrze.

Przeraziłam się! Dopiero po kilku minutach zdołałam się jako tako uspokoić.

Jak to możliwe? Jak można nie rozpoznać siebie samej w lustrze? Twarzy, na którą patrzy się rok za rokiem. Zmarszczek, których przybywało na naszych oczach, włosów, które stopniowo siwiały.

Wiem, że choroba ogranicza mi pamięć pod każdym względem. Z coraz większym trudem rozpoznaję ludzi.

Ale żeby samą siebie?

Po drugie: P wygrzebał stare zgłoszenie na policję z listopada 93. Pracownicy ośrodka dla uchodźców kilkakrotnie zauważyli stojącą w pobliżu na drodze brązową furgonetkę. Ponieważ ktoś parę razy podpalił zarośla przed ośrodkiem, podejrzewali, że pojazd mógł mieć związek z tymi aktami wandalizmu.

Dla nas ta informacja jest interesująca z zupełnie innego powodu.

Zgłoszenie przyjęto w listopadzie, niedługo przed zniknięciem Nerminy i jej matki.

Nie można wykluczyć związku między ich zniknięciem a obecnością furgonetki.

P sprawdzi, czy ktoś w Ormbergu posiadał taki samochód. (W zgłoszeniu nie wymieniono numeru rejestracyjnego ani marki, ale w końcu nie ma tu tak wielu mieszkańców, by nie dało się tego ustalić).

Wieczór.

Leżę w łóżku w hotelu. P jest w łazience.

Na dworze pada i wieje, czuję się paskudnie.

Nie znoszę Ormbergu. Chciałabym już stąd wyjechać i nigdy nie wrócić.

Ponadto: P jest znowu jakiś milczący i chłodny.

Wściekłam się na niego tak bardzo, że kiedy jechaliśmy do hotelu, pod wpływem impulsu chwyciłam za hamulec ręczny i go pociągnęłam.

Przecież mogłam zrobić krzywdę P! Mogliśmy zjechać z drogi albo wpaść do rzeki!

Wiadomo, że tego nie chcę, ale wygląda na to, że chyba już nie potrafię kontrolować swoich emocji.

Życie wymyka mi się z rąk.

Wszystko zmierza do końca.

Budzi mnie echo kroków odbijające się od ścian hali, a potem słyszę głuchy huk, jakby

ktoś kopnął jedną z metalowych blach walających się po posadzce.

Zrobiło się już dużo ciemniej – chyba musiałem zasnąć na kilka godzin. Czuję się sztywny i obolały, gdy wpycham dziennik do plecaka i wpatruję się w gęsty mrok.

Kroki się zbliżają, nagle cichną, ale po chwili rozlegają się znowu. Wreszcie z ciemności wyłania się cień.

Żołądek zaciska mi się w bolesnym skurczu, kiedy rozpoznaję, kto to jest.

Jak mogłem być tak cholernie głupi? Przecież dobrze wiem, że tutaj przesiaduje. A mimo wszystko przyjechałem tu znowu.

Jakbym sam prosił się o łomot.

– Kurde, Ja-ke. Nie miałem pojęcia, że tu kiblujesz!

Vincent stoi w szerokim rozkroku z foliową reklamówką ze stacji benzynowej w dłoni. Jego wydęta górna warga lekko drga, jakby za chwilę chciał wybuchnąć śmiechem.

Powoli podchodzi bliżej, aż w końcu zatrzymuje się kilka metrów przede mną.

Nie ruszając się z materaca, podnoszę na niego wzrok. Może sprawia to migoczące światło świecy, ale wydaje mi się, że Vincent wygląda na jeszcze bardziej ześwirowanego niż zwykle. Ma przemoczone spodnie, a z jego sfatygowanej pikowanej kurtki kapie woda. Przypomina morskiego upiora z jednego z horrorów, które kilka tygodni wcześniej oglądałem z Sagą. Zjawa została zagryziona na śmierć przez własne zwierzę domowe – psa, który właściwie był wilkołakiem – i runęła z klifu do morza.

Po obejrzeniu filmu Saga powiedziała, że za żadne skarby nie będzie trzymać w domu żadnego zwierzaka, bo jeśli nawet byłby najśodszy na świecie, nigdy nie wiadomo, czy nie zamieniłby się w potwora.

– Ja-ke. A gdzie twoja dziewczyna emo? Znudziłeś się już tą suką?

Odchyła głowę i ponad moją głowę wypluwa przeżuty snus, który ląduje gdzieś w ciemności za mną. Gdy przykuca, jego twarz znajduje się na wysokości mojej twarzy.

Jest tak blisko, że czuję zapach snusu w jego ciepłym, wilgotnym oddechu i widzę pojedyncze kłaki zarostu na jego bladej przyszczatej brodzie, wyglądające jak samotne drzewa na wyrębie.

– Chyba wiesz, że ochrzcili cię imieniem pedała, co?

Przełykam nerwowo.

– To imię aktora – odpowiadam, wpatrując się w wystrzępiony brzeg materaca, w plamy po piwie, po winie i w inne obrzydliwe zacieki nie wiadomo po czym pokrywające materiał.

Vincent popycha mnie tak mocno, że przewracam się do tyłu i upadam na plecy.

– Pieprzenie. Przecież ten aktorzyzna Jake Gyllen-jakiś-tam grał ciotę w najbardziej pedalskim filmie, jaki istnieje. O dwóch kowbojach, którzy się ciupciali i cholernie to lubili. Nie wiedziałeś o tym? Mamusia nic ci nie powiedziała, zanim umarła?

Przewracam się na bok, podnoszę się i staję kilka metrów przed nim.

– On nazywa się Jake Gyllenhaal – mówię cicho.

Vincent robi krok w moją stronę.

– I jest pedziem. Dokładnie jak ty, Ja-ke. Ładniutki różowy sweterek. Dostałeś od swojego chłopaka?

Coś zimnego skapuje mi z sufitu na włosy. Gdzieś cicho pobrząkuje łańcuch. Szkoda, że nie pojechałem do domu. Wszystko byłoby lepsze od bycia tutaj. Nawet pełne obrzydzenia spojrzenie Melindy.

Vincent robi jeszcze jeden krok.

– Obciągnij mi, ty pieprzona cioto!

– Nie jestem...

Pang.

Trafia mnie prosto w żołądek, składam się z bólu jak scyzoryk, przykucam i podpieram się dłońmi o wilgotną i zimną posadzkę, żeby się nie przewrócić. Mam wrażenie, jakby cała krew odpłynęła mi z głowy i zebrała się dookoła rozżarzonej kuli bólu pęczniejącej w moim brzuchu. Pojękując, walczę ze sobą, żeby nie stracić równowagi.

Co zrobiłaby Hanne? Hanne, która jest taka dzielna i silna: ona nigdy nie dopuściłaby do tego, żeby ktoś potraktował ją tak, jak Vincent traktuje mnie.

– Przyznaj, że jesteś pedałem!

Dzieje się ze mną coś dziwnego. Nie potrafię wyjaśnić co, ale czuję, jakby coś we mnie pękło.

Przemykają mi przed oczami obrazy wszystkich świństw, które mi zrobił. Widzę, jak tarza mnie w śniegu żółtym od psich sików, jak wali moją głową w siedzenie szkolnego autobusu i jak wieża Eiffla leży przewrócona na posadzce, a on wydaje rozkaz Albinowi: „Zgnieć to gównno!”.

Widzę to wszystko i coś we mnie pęka, i toruje drogę innemu uczuciu, tak silnemu, że boję się, iż mogę stracić nad nim kontrolę. Jakby cios wymierzony przez Vincenta wyzwolił we mnie dzikie zwierzę.

Podnoszę się powoli, uginam kolana, aby wziąć zamach, i rzucam się na niego.

Vincent upada tyłem jak podcięty na betonową posadzkę, ze mną na sobie. Lądujemy na niej z głuchym hukiem.

– Ty sukinsynu! – krzyczę, słysząc, jak dziwnie brzmi mój głos. W ogóle go nie poznaję: jest ochrypły i nienawistny.

Chwytam go za włosy i raz za razem uderzam jego głową w posadzkę z siłą, której pochodzenia nie pojmuję.

– Ty sukinsynu! Ty skurwielu! Ty pieprzony, pierdolony skurczysynu!

– No co ty, odchrzań się – piszczy. – Przecież ja tylko... żartowałem.

Puszczam jego głowę i cofam ręce, jakby jego blada skóra nagle zaczęła mnie parzyć.

– Jeśli tkniesz mnie jeszcze choć jeden raz, jeśli tylko zbliżysz się do mnie, wtedy opowiem wszystkim w Ormbergu, co zrobił twój ojciec. Że jest obrzydliwym pedofilem

i obmacywał małych chłopców w Örebro, a teraz siedzi w więzieniu. Słyszysz?

Vincent ma szeroko otwarte oczy, a w nich zastygły strach. Cienka strużka śliny ścieka mu po brodzie z kącika ust.

W samym środku tego wszystkiego nagle wydaje mi się, jakbym patrzył na całą tę sytuację z zewnątrz, i uświadamiam sobie prosty fakt: Vincent się mnie boi.

Jak to możliwe?

Vincent boi się mnie, Ja-ke-go, swojej ulubionej ofiary. Chłopaka, którego upodobał sobie do bicia, kopania i obśmiewania.

Milczymy obaj przez chwilę, nie wiem, jak długo, aż w końcu dociera do moich uszu moje i jego sapanie. Czuję zimno panujące w maszynowni, słyszę wiatr gwizdający na dworze i ciche pobrzękiwanie łańcuchów pod stropem.

Podnoszę się i staję nad nim, nie cofając się ani o krok. Nie uciekam spojrzeniem nawet o milimetr.

Vincent odsuwa się do tyłu, w głąb hali. Patrzy na mnie jak zwierzę złapane w zasadzkę; tak samo wyglądały oczy Hanne tamtego wieczoru w lesie.

– Jesteś kompletnie szur... szur... nięty – mamrocze słabym głosem. – Kompletnie, kurwa...

Głos mu zamiera.

W tym momencie wiem, że już nigdy nie będę uciekał przed Vincentem. Po prostu to wiem.

Przesuwa się na tyłku jeszcze jakiś metr do tyłu, na co robię krok w jego stronę.

Potem podnosi się i skulony wpół wybiega z hali.

Po jego zniknięciu jeszcze długo siedzę na materacu, próbując zrozumieć, co się stało. Jak do tego doszło? Jak to możliwe, że ja, Jake, napędziłem stracha Vincentowi – królowi dupków w Ormbergu?

Satysfakcja miesza się jednak z innym, bardziej mrocznym i nieprzyjemnym uczuciem, które uciska mi pierś.

Jeśli potrafię zachować się w ten sposób, czy to znaczy, że stałem się taki jak on? Że jakaś część mnie będzie równie podła i wynaturzona jak Vincent?

Zarzucam plecak na ramię, podnoszę świecę, a drugą ręką chwytam brzeg materaca i ciągnę go w głąb hali.

Za maszyną o nazwie Innocenti znajduje się niewielka przestrzeń, niemal niewidzialna, szeroka mniej więcej na dwa metry i na metr długa.

Tutaj jestem bezpieczny.

Nie to, żebym się bał powrotu Vincenta, ale nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Wciskam materac w kąt, stawiam świecę na ziemi i siadam wygodnie. Opieram się plecami o zimną ścianę i ponownie sięgam po dziennik.

Noc. Nie mogę spać. Wciąż myślę o P.

Znowu go zaatakowałam. Zupełnie straciłam nad sobą kontrolę, cisnęłam w niego jego laptop i krzyczałam na całe gardło.

P mocował się ze mną. Powiedział, że zadzwoni po karetkę, jeśli się nie opanuję. Uderzył mnie mocno w twarz.

Co się ze mną dzieje?

Co dzieje się z nami?

Odkładam dziennik.

Czy Hanne naprawdę popada w obłąd? Czy była jedynie strasznie zmęczona, kiedy to pisała?

A jeśli ma coś wspólnego ze zniknięciem Petera? Może rzeczywiście wepchnęła go do rzeki, tak jak się obawiała?

Może czytam dziennik morderczyni?

Przecieram oczy. Zostało już niewiele stron, ale nagle dopada mnie głód. Boli mnie brzuch i trzęsę się z zimna.

Otwieram plecak i wydaję chleb. Odpakowuję go i odgryzam kęs. Bochenek jest wciąż trochę zamrożony, objadam więc tylko miękką część wokół twardego środka. Potem otwieram drugą puszkę coli i opróżniam ją do dna. Odbija mi się. Rzucam puszkę przed siebie – toczy się w ciemności z metalicznym łoskotem.

Myślę o Hanne i w końcu dochodzę do wniosku, że mimo wszystko jest mi jej żal. Chociaż jestem na nią zły i uważam ją za obłąkaną, współczuję jej.

I wkurza mnie ten P.

W ogóle nie rozumiem, dlaczego ona z nim jest. Powinna była zostać na Grenlandii, z Inuitami, i dać sobie spokój z przyjazdem tutaj, do Ormbergu.

Zanim przeczytałem dziennik Hanne, nigdy nie przyszło mi do głowy, że życie tutaj może mieć wady, ale ona raczej nie lubi tego miejsca i prawdopodobnie ma rację, kiedy mówi, że to brzydka i zabita dechami dziura.

Nie wiem.

Nic już nie wiem, nic oprócz tego, że muszę doczytać jej historię do końca.

Dziennik leży na moich kolanach. Zostały już tylko dwa centymetry świeczki. Muszę się pospieszyć.

Ormberg, 1 grudnia

Obudziłam się wcześniej. Słyszałam oddech P obok siebie: miarowy, spokojny, nieświadomy moich męczarni.

Próbowałam go objąć.



Ocknął się i mnie odepchnął. Bąknął, że byłoby mu za ciepło.

Za CIEPŁO!

POTRZEBOWAŁAM jego bliskości! Miałam wrażenie, że inaczej zaraz się rozpadnę.

Ale widocznie P jest niewrażliwy na moje potrzeby.

Wstałam z łóżka. Przeczytałam notatki z poprzedniego dnia i przypomniałam sobie wszystko: kłótnię, policzek.

Potem otworzyłam dziennik na pierwszej stronie i przeczytałam go w całości, od początku do końca. Ta lektura uświadomiła mi rzecz przerażającą: w ostatnim czasie mój stan bardzo się pogorszył. Byliśmy tacy szczęśliwi i zakochani na Grenlandii. A teraz wszystko pogrążyło się w ciemności.

Czy tak to się skończy? Nie hukiem, ale skomleniem, jak napisał T.S. Eliot.

Śniadanie jedliśmy w milczeniu.

P czytał gazetę od deski do deski. Każdy artykuł, każde ogłoszenie zasługiwało na jego uwagę.

Siedziałam naprzeciw niego. Pogryzałam swój chrupki chleb, piłam kawę. Przyglądałam się mu.

Od czasu do czasu podnosił wzrok znad gazety. Uśmiechał się. Wyglądał na trochę zakłopotanego, chyba czuł, że się w niego wpatruję.

Byliśmy w Ormbergu od półtora tygodnia.

Te dni wydawały się wiecznością.

Objechaliśmy całą okolicę, włóczyliśmy się po lasach i przesłuchiwalismy mieszkańców. Mimo to wciąż nie potrafię zrozumieć tego miejsca. Odnoszę wrażenie, jakby zalegała nad nim jakaś gruba powłoka. Jakby coś się pod nią kryło, tuż pod powierzchnią.

Zło, pod fasadą codzienności i nudy.

Próbowałam wytłumaczyć to P.

Nie rozumiał, co mam na myśli. Powiedział, że dramatyzuję. Że „prowadzimy dochodzenie w sprawie zbrodni w prowincjonalnej dziurze, a nie jesteśmy na planie horroru”.

Nie odpowiedziałam mu, że właśnie DOKŁADNIE tak jest! Że odgrywamy role naiwnych gliniarzy, co ospale kręcą się po domu, w którym cała rodzina została poćwiartowana, zostaliśmy zwabieni w pułapkę przez szaleńca z piłą mechaniczną pod pachą.

Pojechaliśmy do biura około dziewiętej. Na dworze rozszalała się straszna zawierucha.

Malin była już na miejscu. Manfred i Andreas są nadal w Sztokholmie. Wrócą późno

wieczorem.

Malin właśnie wyszła, chciała wpaść do mamy na lunch. P jest ze mną i działa.

Wiatr gwizdże, woda kapie do wiadra. Dochodzi dwunasta, ale za oknem jest szaro.

Tutaj nigdy nie jest naprawdę jasno.

Ormberg to synonim ciemności. Może także w sensie przenośnym, nadal bowiem twierdzą, że w tym miejscu czyha coś diabelskiego, niezależnie od tego, co mówi P.

P znalazł osobę, która na początku lat dziewięćdziesiątych miała brązową furgonetkę, taką, jaką zauważyli na drodze pracownicy ośrodka.

Obecny mieszkaniec Ormbergu był posiadaczem brązowego nissana kinga.

Ale P nie chciał mi wyjawiać, kto to. Powiedział jedynie, że sprawa jest „potwornie delikatna”.

Zrobiło mi się strasznie przykro i jednocześnie zdenerwowałam się na niego. Przyznaję, mam zaćmiony umysł, ale przecież wiadomo, że nie pisnęłabym nawet słówkiem.

Co on tak naprawdę o mnie myśli? Mam kłopoty z pamięcią, lecz nie jestem nieracjonalna!

Ojej, zdaje się, że wiatr zerwał coś przed sklepem.

Muszę kończyć.

# Malin

Jesteśmy przy starej fabryce. Śnieg, który sięga mi do kolan, jest miękki i puszysty. Gdy wracam do Andreasa, zapadam się przy każdym kroku.

Wieje jak diabli, kulę się przed wiatrem.

Wsuwam komórkę do kieszeni i wkładam grube rękawiczki. Zapalam latarkę i myślę o tym, co powiedział Max.

Zrobić sobie przerwę.

Co, u diabła, miał na myśli? Przecież latem mamy się pobrać i chcę, żeby mi pomógł w przygotowaniach do ślubu. Nie możemy zrobić sobie przerwy.

Nie teraz.

A może chodziło mu o to, żeby ze mną zerwać? Tylko nie umiał się zdobyć, by powiedzieć mi to wprost?

Wiem, że powinnam była do niego zadzwonić i przeprosić za swoje zachowanie podczas ostatniej rozmowy. Byłam naprawdę niemila. Co więcej, także niesprawiedliwa. Co może poradzić, że ma taką pracę, jaką ma? Że każdy jego dzień sprowadza się do tego, aby dotknięci nieszczęściami ludzie dostali jak najmniejsze odszkodowanie?

Czy na pewno nic nie może poradzić?

Próbuję odsunąć tę myśl, jest jednak natrętna i nieustępliwa jak nieproszony gość, który nie chce sobie pójść, mimo że poczęstowano go już winem, kawą, koniakiem i skrzętem.

Mógłby robić co innego. Jest prawnikiem, w Sztokholmie nie brakuje posad dla prawników. Nikt go nie zmuszał do takiego wyboru.

Czy sam wybór właśnie tej pracy w istocie nie mówi czegoś ważnego o nim, o jego charakterze?

Wokół mnie stoją w ciemności opuszczone budynki: wielki piec, piec do kalcynacji, magazyn na węgiel i odlewnia. Niektóre z nich się rozpadły, ale te zbudowane z cegły stoją nadal jak nieme przypomnienie, czym był kiedyś Ormberg.

Tuż obok bezszelestnie płynie rzeka. Duże tafle lodu spiętrzyły się wzdłuż brzegu.

Andreas podnosi na mnie wzrok, gdy do niego podchodzę.

– Myślałem, że już tam zostaniesz.

Wyczuwam nutę irytacji w jego głosie. Przytupuje nogami w śniegu i mocniej naciąga sobie czapkę na uszy.

Jest zimno, marzniemy, ale to przecież nie moja wina.

– Nie tak łatwo znaleźć coś w tych ciemnościach – mówię.

Manfred, Andreas i ja spędziliśmy już godzinę na poszukiwaniu śladów Petera i Hanne – czegokolwiek, co potwierdziłoby, że oboje byli tutaj tamtej burzliwej nocy przed tygodniem. Przeczesałiśmy budynki, a potem na oślep brodziliśmy wokół nich po głębokim śniegu.

Niczego nie znaleźliśmy.

O tym, że Hanne musiała być w tym miejscu, świadczą pozostałości związków chemicznych wykryte na jej ubraniu, a dokładnie na tylnej części jej dzinsów, jakby siedziała w nich na ziemi.

Przez śnieg zbliża się ku nam potężna postać: idzie bezgłośnie jak niedźwiedź.

To Manfred.

Opuszczam latarkę, żeby nie oślepić go światłem.

– Pieprzyć to, dajmy już sobie spokój – zwraca się do nas. – Jutro będą tu szukać technicy i psy.

Coś przychodzi mi do głowy.

– Chwileczkę – rzucam i rozglądam się dookoła. – Sprawdzę jeszcze jedną rzecz.

Ruszam w kierunku starego pieca do kalcynacji.

– Malin, do cholery – wzdycha Manfred, który chyba ma już szczerze dość. – Idę do samochodu.

Słyszę za sobą posapywanie Andreasa.

– Co chcesz sprawdzić? – pyta.

– Jeden drobiazg – odpowiadam.

Zgrabna ceglana sylwetka pieca wyłania się przed nami w ciemności. Nad całą budowlą góruje wysoki komin. Okna są zabite deskami i pokryte bazgrołami, ale krzywe stare drzwi stoją lekko uchylone.

– Jaki znowu drobiazg?

Wzdycham i czekam na niego.

– Tamtego wieczoru były burza i zawierucha – wyjaśniam. – Niewykluczone, że jeśli Hanne tu była, szukała w którymś z budynków schronienia. A ten jako jedyny ma okna i drzwi.

Stare drewniane drzwi skrzypią głośno, gdy je otwieram.

– Ale już tutaj sprawdzałem – informuje mnie Andreas.

– To zajmie tylko minutkę – odpowiadam i wchodzę do środka.

Świecę sobie latarką w ciemnym pomieszczeniu.

W centralnym miejscu stoi imponujący wielki okrągły piec. Na posadzce walają się puszki po piwie i puste butelki po winie. Pod ścianami leżą stosy petów.

– Gdzie byś usiadł, gdybyś szukał schronienia i znalazł się tutaj?

Andreas rozgląda się dookoła. Jego oddech zamienia się w świetle latarki w białą mgłę.

– Tam – mówi i wskazuje na stos drewna leżącego wzdłuż ściany.

– Dokładnie – potwierdzam, okrążam ogromny piec i podchodzę do sterty drewna.

Z niektórych szczap wystają zardzewiałe gwoździe.

Siadam na wierzchniej desce, ściągam rękawiczkę i dotykam dłonią jej powierzchni. Szorstka i zimna, coś mi przypomina.

– Hanne mówiła coś o deskach – zauważam. – Pamiętała deski.

– Deski i ciemne pomieszczenie – uzupełnia Andreas.

– Czy mogła mieć na myśli to miejsce?

Andreas omiata snopem światła przestrzeń dookoła nas.

– Wspomniała, że było ciasne – dodaje Andreas. – A tu nie jest specjalnie ciasno. Ale może coś jej się pomyliło.

Wciągam z powrotem rękawiczkę i rozglądam się ostatni raz.

– Nie ma co, trzeba iść – mówię, wstając. W tej samej chwili zauważam, że coś błyszczy przy moich nogach, pod jedną z desek.

– Poświeć tutaj!

Andreas wykonuje polecenie.

Schylam się i podnoszę to coś z ziemi.

– A niech to szlag – mamrocze Andreas, gdy widzi, co mam w ręce.

Szum silnika i rozkręconego na pełny regulator ogrzewania wypełnia wnętrze samochodu.

Manfred przygląda się komórce w swojej dłoni.

– To Petera – mówi i kciukiem w rękawiczkce przyciska guzik startowy.

Nic się nie dzieje. Wyświetlacz pozostaje czarny.

Podłącza aparat do przewodu zwisającego spod deski rozdzielczej.

– Nie powinniśmy wezwać techników? – pyta Andreas.

– Jeszcze czego – odpowiada Manfred. – Nie zamierzam czekać, aż raczyliby tu przyjechać. Jest druga niedziela adwentu, wieczór. A przecież nie mamy żadnych nowych zwłok, żeby ich tu zwabić. Jeśli w komórce jest coś ważnego, chcę to wiedzieć zaraz.

W samochodzie robi się ciepło, para zaczyna pokrywać szyby, a w powietrzu czuć zapach wilgotnych ubrań. Zdejmuję czapkę i rozpinam grubą kurtkę.

Andreas robi to samo.

Po chwili rozlega się bzyczenie telefonu, a jego wyświetlacz się rozjaśnia.

Manfred kładzie aparat na kolanach, zdejmuje wełniane rękawiczki, otwiera schowek pod przednią szybą i zaczyna w nim grzebać. Wyciąga niebieską lateksową rękawiczkę i wkłada ją na lewą rękę. Następnie bierze w nią komórkę i naciska ekran prawym palcem wskazującym. Potem zwraca się do nas.

– Jak myślicie, jaki może być PIN?

Pół godziny później nie posunęliśmy się ani o krok dalej.

Wypróbowaliśmy wszystkie najbardziej typowe kody, pozbawione fantazji kombinacje

stosowane przez większość z nas, jak na przykład 0000 czy 1234, a także, rzecz jasna, cyfry numeru identyfikacyjnego zarówno Petera, jak i jego syna.

– Istnieją dziesiątki tysięcy kombinacji – mówi w końcu Andreas, drapiąc się po brodzie.  
– Może lepiej zostawić to informatykom.

Manfred wzdycha i odkłada komórkę na kolana.

– Poczekaj – wtrącam. – Spróbuj jeszcze trzy sześć trzy jeden.

Manfred wzrusza ramionami i wbija zaproponowany PIN. Komórka byczy odmownie.

– Sprawdź jeszcze trzy sześć trzy dwa albo trzy sześć trzy trzy.

– Nic z tego. O co chodzi? Telefon zablokował się znowu. Trzeba odczekać pięć minut.

Czekamy w milczeniu. Słysząc jedynie szum silnika i ciężki oddech Manfreda. Za oknami wiatr szarpie gałęziami drzew i niesie tumany śniegu.

– Próbuj dalej – zwracam się do Manfreda, gdy telefon znowu zaczyna migać. – Wpisz trzy sześć trzy cztery i trzy sześć trzy pięć.

– Pudło. Może pojedziemy już jednak do domu? – proponuje Manfred.

– Poczekaj – proszę.

– Niech zgadnę: mam wpisać trzy sześć trzy sześć? – pyta Manfred, po czym wbija kod, otwiera usta, by prawdopodobnie powiedzieć coś niemiłego, ale zastyga.

Komórka wydaje znajome kliknięcie.

– Co, u diabła? – szepcze. – Skąd wiedziałaś?

– Hanne miała te cyfry na dłoni – wyjaśnia Andreas. – Zapisała trzy sześć trzy, a za nimi coś, czego nie dało się odczytać.

Manfred kręci głową, jakby nie wierzył własnym oczom. Przeszukuje esemesy i mejle.

W samochodzie zapada cisza.

– Nie ma nic, czego byśmy już nie wiedzieli – stwierdza po chwili.

– Sprawdź jeszcze zdjęcia – sugeruję.

Manfred otwiera album.

Hanne stoi na tle zatoki – turkusowy lodowiec odbija się w tafli wody.

Przegląda dalej: Hanne siedzi na łóżku w hotelowym pokoju, uśmiecha się i trzyma w dłoni kanapkę.

– Dalej – mówię. – Te są z Grenlandii.

Manfred kontynuuje i po chwili ukazują się zdjęcia z Ormbergu: nasze biuro, kopiec, strome zbocze góry Ormberget, świerki i krzaczki jagód rosnące u ich stóp.

– Jeszcze dalej – proszę. – Wszystkie te zdjęcia były robione, zanim jeszcze spadł śnieg.

Stopniowo obrazy zmieniają charakter. Pojawia się pierwszy śnieg: oprószone na białe pole przed kościołem jako zapowiedź zbliżającej się zimy. Potem warstwa puchu rośnie. A Hanne – jak odnotowuję – pojawia się na zdjęciach coraz rzadziej.

Lecz jedno z ostatnich ujęć ukazuje jej zbliżenie. Chyba leży w łóżku, bo naciąga sobie pod brodę coś, co wygląda na kołdrę. Uśmiecha się szeroko i ma rozczochrane włosy. Jej

oczy lśnią, niemal słyszę śmiech, którym się zanosi. Miłość łącząca ją z Peterem jest wyraźnie wyczuwalna – jako wibracja przecinająca czas i przestrzeń – mimo że oglądam tylko zdjęcia.

Trudno mi oddychać, kiedy uświadamiam sobie, że oni dwoje przypuszczalnie już nigdy się nie spotkają, że może były to ich ostatnie wspólne chwile szczęścia.

Dwa zdjęcia są zrobione w jakimś wnętrzu.

Pierwsze ukazuje schody prowadzące do czegoś, co mogłoby być piwnicą. Na betonowych ścianach widnieją wielkie plamy wilgoci, w niektórych miejscach odpadł tynk. Na samym dole wiszą ubrania na haczykach, być może to rodzaj wieszaka.

– Co to jest? Malin, poznajesz te schody?

Manfred podnosi komórkę, abym mogła dokładnie przyjrzeć się zdjęciu.

– Nie – odpowiadam. – Ale wyglądają na schody do piwnicy. Sprawdź następne.

Manfred przechodzi do kolejnej fotografii. Jest rozmyta, jakby osoba, która ją robiła, się poruszyła. Przy lewej krawędzi widać czyjąś głowę.

To Peter, nie sposób nie rozpoznać jego trochę haczykowatego nosa i zwichrzonej jasnej czupryny.

Po prawej stronie wyłania się coś niewyraźnie w tle. To chyba człowiek skulony na podłodze.

– A niech to szlag – mówi znowu Andreas.

# Jake

Świeczka gaśnie ze skwierczeniem i robi się tak ciemno, że nie widzę nawet własnej ręki. Bolą mnie plecy, a palce mam sztywne z zimna. Wiatr szaleje na zewnątrz, gwizdże i podszeptuje mi, żebym czytał dalej. Grzechotanie łańcuchów wiszących pod stropem nie ustaje, jakby cały budynek dygotał z niepokoju.

Zastanawiam się, co Hanne może teraz robić, siedząc w małym domku Berit. A co z tatą? Czy policja go wypuściła?

O Melindzie i Sadze nie chcę nawet myśleć; na wspomnienie pełnego obrzydzenia wzroku mojej siostry i wściekłości Sagi ściska mi się żołądek.

Wyjmuję komórkę, włączam latarkę i kładę ją na wielkiej śrubie wystającej z brzucha maszyny.

Zostało mi tylko kilka stron.

Widziałam, jak P wpisywał PIN w swojej komórce: 3636.

Nie miałam pod ręką żadnej kartki, więc zapisałam go na dłoni, żeby zapamiętać.

Zbieram się na odwagę: chcę sprawdzić jego telefon, jak tylko będzie to możliwe. Wiem, że nie powinnam tego robić, bo takich rzeczy się nie robi: nie węszy się w cudzych telefonach i dziennikach. Ale muszę się dowiedzieć.

Wpół do piątej.

Powiedzieliśmy Malin, że chcemy wyjść wcześniej i może pojechać do Katrineholmu. Żeby zjeść coś normalnego, co nie smakuje papierem.

Zamierzała jeszcze trochę zostać i popracować.

Ale P nie pojechał do Katrineholmu, tylko głęboko w las, do domu, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Zaparkował za drzewem. Powiedział, żebym poczekała w samochodzie i zadzwoniła do niego, gdyby ktoś się pojawił.

I poszedł.

Nastawiłam się na czujną obserwację, ale nagle odkryłam, że P zostawił swoją komórkę na siedzeniu kierowcy. Nie wiedziałam, co mam zrobić.

Deszcz zacina o przednią szybę, wicher wciąż nie ustaje.

Jest mi zimno, nie uruchamiam jednak silnika, mimo że kluczyki tkwią w stacyjce. Nie mam odwagi przeszkadzać P.



Za piętnaście piąta. P jest w środku już piętnaście minut.

Domyślałam się, że w domu mieszka właściciel brązowego samochodu. Zza drzewa widzę fragment budynku i ogród. Na trawniku stoją różne drewniane figury – dwa krasnale, ogromny muchomor z czerwonym kapeluszem, owca i dwa obejmujące się niedźwiedzie.

Dziwne: w oknach jest ciemno, ale przed chwilą zauważyłam przesuwaną się we wnętrzu snop światła.

To pewnie P!

Ale dlaczego używa latarki?

W domu nie ma nikogo? Mimo to P tam wszedł i węszy?

To byłoby typowe.

Za dziesięć piąta. Postanawiam poczekać jeszcze chwilę. Jeśli P nie wróci, pójdę po niego.

Nie mam zamiaru siedzieć tu dłużej i marznąć! Łzy są jak kawałki lodu.

Komórka P leży na siedzeniu obok. Kod PIN jest na mojej dłoni.

Czy się odważę?

Nie wytrzymam dłużej.

Nie chcę. Życie jest zbyt bolesne.

Sprawdziłam komórkę P i znalazłam esemesa do mojej lekarki.

P napisał, że mój stan się pogorszył, ale że robię wszystko, by to ukryć. Że miewam straszne ataki agresji i że boi się, żebym nie wyrządziła krzywdy jemu albo sobie. Że bardzo mnie kocha, nie wie jednak, czy da radę zajmować się mną dłużej. Pytał, czy nadal mogę mieszkać w domu, czy też może trzeba znaleźć „inne rozwiązanie”.

Lekarka odpowiedziała, że nie jest w stanie postawić diagnozy bez spotkania się ze mną.

Zaczęłam płakać.

Jestem KOMPLETNIIE PORAŻONA!

Ale zrobiło mi się też wstyd: bo obwinałam go, że jest zimny i obcy, podczas gdy się o mnie niepokoił.

Czytając ich korespondencję, zrozumiałam jeszcze jedno: P się boi. Boi się, że zostanie sam. A także, że nie będzie umiał poradzić sobie z tym strachem.

Tak mi wstyd! I czuję się zupełnie bezradna.

Jak wtedy, gdy miałam dziewięć lat i zobaczyłam, jak mój mały labrador Ajax idzie po lodzie.

Stałam i patrzyłam na jego walkę. Widziałam, jak czarne łapy próbują znaleźć

zaczepienie na śliskiej tafli. Słyszałam jego wycie, dopóki nie zniknął pod powierzchnią wody.

Teraz jest dokładnie tak samo.

Tylko teraz to ja tonę.

Kiedy to się skończy, będę musiała spalić dziennik. Wykreślić ostatnie dwa tygodnie swojego życia. Zapomnieć Ormberg i to, co się tutaj wydarzyło, bo zanim tu przyjechaliśmy, życie było idealne, mimo choroby.

Dobry Boże, proszę Cię tylko o jedną małą przysługę: pomóż mi zapomnieć!

P wrócił.

Nie zauważył, że płakałam.

Był zdenerwowany. Powiedział, że nie zastał osoby, z którą chciał porozmawiać, ale „rozejrzał się trochę po domu” i odkrył coś ważnego.

Wymierzył krokami kuchnię i pokój obok. Oba pomieszczenia powinny być tej samej długości (oba sąsiadują z przedpokojem i leżą w szczycie domu), tymczasem kuchnia jest krótsza o dobry metr.

W kuchni znalazł ukryte wejście zastawione regałami, zamykane na niedużą zasuwkę w dolnej części.

Po co buduje się ukryte drzwi?

P zamierza je otworzyć. Przyszedł po komórkę, żeby zrobić zdjęcia.

Dałam mu ją.

Nie zauważył, że była odblokowana.

Powiedziałam mu, żeby wezwał wsparcie, zanim wejdzie znowu do środka. Ale nie chciał.

Dał mi też naszyjnik, medalion na złotym łańcuszku. Podobno leżał na podłodze pod tamtymi drzwiami. P poprosił, żebym się nim zaopiekowała, powiedział, że to może być ważne.

Nie miałam pojęcia, gdzie go położyć. Bałam się, że mogłabym go gdzieś zapomnieć, więc zawiesiłam go sobie na szyi.

P jest znowu w środku.

Ja czekam w samochodzie.

Jest mi tak zimno, że aż się trzęsę.

Wichura nie ustaje: liście, gałęzie – wszystko fruwa.

Mam wrażenie, jakbym siedziała w wirówce.

Coś musiało się stać. Coś jest nie tak.

P nie wraca.

Czekać czy zostać?

Ja...

I na tym koniec.

Odwracam stronę, ale jest pusta. Przewracam jeszcze kilka kartek. Zamieram, kiedy widzę zaschnięte duże brązowe plamy na papierze.

*Krew, to musiała być krew.*

W wielu miejscach widać czerwone odciski kciuka.

Ostrożnie przesuwam po nich palcami, muskam je opuszkami. Czuję się tak, jakbym dotykał Hanne. Jakbym otworzył dziurę w czasie i był tam z nią, czuję jej desperację i smutek.

Coś musiało się stać w tym domu z drewnianymi krasnalami w ogrodzie. W domu, przy którym bywałem tyle razy.

Tak, tak musiało być.

Rozwiązanie zagadki znajduje się tam – odpowiedź na pytanie, co przytrafiło się P. I kto zamordował dziewczynkę i kobietę z kopca.

*Odpowiedź, która może uratować tatę.*

# Malin

**W** Ormbergu jest ciemno jak w grobie, a w niewielkim skupisku domów, zwodniczo nazywanym centrum, panują cisza i pustka. Zniknęli nawet dziennikarze, którzy w tygodniu uparcie tkwili do późna w nocy w swoich samochodach.

Wszyscy pojechali do domu na adwentowe szafranowe bułeczki i oglądanie telewizji w przytulnych mieszkaniach.

Manfred z nerwowym spojrzeniem ściąga z siebie płaszcz i siada przy stole. Następnie wyjmuje niewielką foliową torebkę z komórką Petera w środku i kładzie ją ostrożnie na środku blatu, po czym otwiera swój laptop.

– Niedługo wpadną tu technicy i go zabiorą – mówi, wskazując głową telefon.

Jego duże dłonie poruszają się szybko i zręcznie ponad przyciskami klawiatury.

– Ściągnąłeś je do siebie? – pyta Andreas.

Manfred powoli odwraca komputer, abyśmy mogli zobaczyć ekran, a na nim zdjęcie znajdujące się w komórce Petera. Przesłał je na swoją pocztę, żeby móc je powiększyć i pokazać nam wszystkim.

Przyglądamy się niewyraźnemu obrazowi w milczeniu – kształty są rozmyte, trudne do odczytania, gama kolorów sięga od sepii do ciemnego grafitu.

– To na pewno Peter – mówię, wskazując na profil twarzy wyłaniający się po lewej.

Manfred jeszcze zoomuje zdjęcie i przybliża osobę skuloną w prawym rogu. Widać zarys chudej ręki. Głowa jest odwrócona w drugą stronę, włosy są siwe i bardzo długie.

– To ona – stwierdzam. – To Azra Malkoc.

Coś błyszczący w dłoni kobiety.

– Co ona trzyma w ręce? – pytam.

– Nóż? – sugeruje Andreas.

– To może być cokolwiek, co odbija światło – mówi Manfred. – Lusterko, metalowy przedmiot.

– A jeżeli to jednak nóż? – wtrącam. – Jeżeli była niebezpieczna i zabiła Nerminę, i zrobiła też krzywdę Peterowi?

Nikt się nie odzywa.

– A to tutaj? – Wskazuję na coś na prawo od Petera.

To wygląda na...

– Wydaje się, że to chyba książki poukładane jedne na drugich.

I w tej samej sekundzie, gdy wypowiadam te słowa, nabieram pewności, że się nie mylę.

Elementy układanki trafiają na właściwe miejsca, mózg prawidłowo interpretuje bodźce wzrokowe i nagle jestem w stanie rozpoznać książki leżące na stosie.

– Faktycznie! – woła Manfred. – Przecież Hanne mówiła, że pamięta dużo angielskich książek na brudnej podłodze.

– Musiała tam być – zauważam. – Tylko gdzie to jest?

– Nie sposób stwierdzić – odzywa się Andreas. – Ciekawe, co powiedzą technicy po analizie tego zdjęcia, obawiam się jednak, że nie uzyskają dużo więcej.

– Sprawdźmy drugie – proponuję. – To na schodach.

Manfred otwiera kolejną fotografię. Jest znacznie ostrzejsza i pokazuje schody, które zdają się prowadzić do piwnicy. Na samym dole widać starannie pozawieszane na wieszaku na ścianie ubrania. Pod ścianą na tacy stoją naczynia.

Nie ma nikogo.

– To musi być jakaś piwnica – mówi Manfred. – Trzeba ustalić, które z domów w okolicy mają piwnicę. Może geodeta albo biuro architektury posiada takie informacje. Zaraz po spotkaniu zadzwonię do Svantego. Niech nam pomogą. Chciałbym się dzisiaj przespać kilka godzin w nocy.

– Kto trzymał komórkę i robił zdjęcie? – pyta Andreas. – Bo przecież nie Peter, bo on na nim jest.

– Hanne – odpowiadam. – Może miała jego telefon? Pewnie dlatego zapisała sobie PIN na dłoni. I niewykluczone, że to także ona zgubiła go przy fabryce. Wcale nie ma pewności, że Peter tam w ogóle był.

Manfred masuje sobie skronie.

– Załóżmy, że oboje wpadli na jakiś trop i natrafili na Azrę Malkoc. Wiemy, że ich komórki przez cały czas były zalogowane w Ormbergu. Czyli znaleźli Azrę gdzieś tu, w okolicy. Prawdopodobnie potem coś poszło nie tak. I Azra została zamordowana. Hanne uciekła albo się zgubiła. A Peter...

Manfred nie kończy zdania. Zerkam na półkę, na którą odstawiliśmy rzeczy Petera i Hanne. Dopiero po tygodniu przenieśliśmy je tam ze stołu. Usunięcie ich całkiem wydawało nam się zbyt ostateczne, dlatego umieściliśmy je na regale.

– Peter może żyje, a może nie – kontynuuje Manfred. – I ten brak pewności doprowadza mnie do szaleństwa. – Przerywa, po czym wiedzie wzrokiem po wnętrzu starego sklepu, w którym szumi dmuchawa. Po chwili ciągnie dalej: – Dlaczego ani on, ani Hanne nie wspomnieli, że natrafili na nowy trop? Dlaczego to przed nami ukryli?

– Bo może to nie był żaden nowy trop – wtrącam. – Może mieli spotkać się z kimś, kto znajdował się już w kręgu podejrzanych, i przez przypadek natknęli się na Azrę Malkoc.

– Na przykład z kim?

Manfred pochyla się nad stołem i wbija we mnie wzrok. Mimo woli się czerwienię.

– Stefanem Olssonem? – sugeruję. – Björnem Falkiem? Czy pedofilem Henrikiem

Hahnem? Albo spotkali się ze świadkiem, który okazał się zupełnie kimś innym niż niewinnym informatorem. Choćby z jednym z pracowników ośrodka dla uchodźców.

Manfred opiera się wygodnie na krześle. Nie wygląda na przekonanego.

– Hm – bąka.

Rozlega się trzaśnięcie drzwi zewnętrznych, a potem słychać zbliżające się kroki.

Po chwili w wejściu na zaplecze staje Malik. Ma na ramionach i czapce śnieg.

– Puk, puk – mówi.

– Czołem – wita go Andreas, unosząc rękę w pozdrowieniu. – Co tutaj robisz?

– Wybieram się z technikami do fabryki. Pomyślałem, że wstąpię do was po komórkę.

Manfred wskazuje ruchem głowy telefon Petera leżący w foliowej torebce na stole.

Malik otupuje buty ze śniegu, zdejmuje czapkę, przeczesuje dłonią czarne włosy i zbiera je w kucyk za pomocą cienkiej czarnej gumki, którą ma na nadgarstku.

– Jak tam rewizja u Stefana Olssona? – pyta Manfred.

– W porządku – odpowiada Malik. – Co prawda na nasz widok córka dostała hysterii, ale w pralni znaleźliśmy pokrwawioną i podartą koszulę. Poza nią nie zauważyliśmy nic szczególnego. Zobaczymy, co powiedzą technicy. Aha, i jeszcze jedno. W szafie zmarłej żony Olssona wisiała cekinowa sukienka. Złota cekinowa sukienka w rozmiarze trzydzieści sześć. Nie wiem, czy to ważne. Stefan Olsson na pewno się w nią nie zmieści, ale na wszelki wypadek ją zabraliśmy.

– Hm – bąka znowu Manfred. – Coś jeszcze?

Malik przecząco kręci głową.

– Podczas rewizji już niczego nie odkryliśmy. Za to dotarliśmy do tego Tony’ego.

– Do jakiego Tony’ego? – pyta Manfred.

– To Svante do was nie dzwonił? – dziwi się Malik. – Suzette gadała z facetem, który ma na imię Tony. Pracował jako wartownik w ośrodku dla uchodźców na początku lat dziewięćdziesiątych. Stefan Olsson podobno dostał kopniaka. To znaczy, nie był tam zatrudniony na stałe, ale musiał odejść z dnia na dzień, bo wieczorami szpiegował kogoś z mieszkańców. Zgadnijcie, kiedy to było? Jesienią dziewięćdziesiątego trzeciego.

– Azrę i Nerminę – szepczę.

Malik sięga po telefon Petera.

– Dokładnie. Przesłuchujemy Stefana Olssona jutro o ósmej rano. Możecie przy tym być, jeśli chcecie.

– Na pewno nie przegapimy takiej okazji – mówi Manfred. – A jeśli chodzi o te zdjęcia, nic więcej z nimi nie zrobimy. Widzimy się jutro o wpół do ósmej, okej?

Dziesięć minut później Malik i Manfred wychodzą, a ja zostaję sama z Andreasem.

Idę do sklepu, wyłączam dmuchawę i sprawdzam, czy wiadro stoi bezpośrednio pod przeciekiem w suficie.

Andreas przygląda mi się badawczo, kiedy wracam do niego, a potem uśmiecha się nieznacznie. Ale tym razem nie wyniośle i arogancko, tylko miło, niemal nieśmiało.

– Pojedziesz ze mną do domu? – pyta.

Zastygam. Jestem bliska, by puścić w jego stronę jeden z ostrzejszych komentarzy, które mam przygotowane na takie okazje, ale potem spoglądam na niego, spotykam jego pełne powagi spojrzenie i myślę o całym tym pieprzonym świecie – o ociekającym krwią świńskim łbie, o kościach Nerminy, o pozbawionej twarzy Azrze na sekcyjnym stole i o Peterze, który prawdopodobnie zamienił się w kota Schrödingera. Myślę o Kennym, który nigdy nie wróci, o Maxie, który być może wróci, i o mamie, która nie może zasnąć i – prawdopodobnie zupełnie niepotrzebnie – łamie sobie głowę, jak zorganizować ślub i wesele jak najmniejszym kosztem.

Ale przede wszystkim myślę o tym, że życie jest rozpaczliwie krótkie. Mgnienie w wieczności, zanim zapanuje ciemność i pochłonie nas wszystkich.

Przypomina mi się też coś jeszcze: obraz Hanne w łóżku, z kołdrą naciągniętą pod brodę. Śmiech w jej oczach i miłość, którą tchnie całe zdjęcie.

Dlaczego między mną a Maxem nigdy tak nie było? Czy świadomie zrezygnowałam z prawdziwej miłości w swoim życiu? Czy to z powodu Kenny’ego?

– Okej – mówię.

Twarz Andreeasa jest pozbawiona wyrazu, ale oczy rozszerzają się nieco i zdradzają zdziwienie.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Chodźmy, zanim się rozmyślę – rzucam.

Jedziemy przez las w milczeniu. Gałęzie wysokich świerków pokryte są grubą warstwą świeżego śniegu. W snopach światła z reflektorów wirują samotne płatki.

Tak pięknie może być zimą jedynie w Ormbergu. Pięknie i przerażająco martwo, i ponuro.

Nie wiem, ile przejechaliśmy, być może ze trzydzieści kilometrów. Andreas nic nie mówi, ja też nie. Las stopniowo rzednie i w końcu jego miejsce zajmują rozległe białe pola. Zjeżdżamy w węższą drogę, mijamy stację benzynową rozświetlającą noc. Niedługo później docieramy do osiedla z niskimi szeregowcami, które wyglądają na zbudowane w latach siedemdziesiątych.

Parkujemy samochód przed jednym z identycznych, bezlitośnie brzydkich klockowatych budynków i wychodzimy z auta. Andreas wyjmuje klucze z kieszeni i otwiera drzwi wejściowe. Zapala światło i zaprasza mnie do środka.

– Tak właśnie mieszkam.

Jego dom mógłby równie dobrze znajdować się w Ormbergu.

Wygląda dokładnie tak samo jak każdy inny, w jakim bywałam w okresie dzieciństwa i dorastania: umeblowany mieszaniną starych i nowych sprzętów, które do siebie nie pasują.

Brzydkie skórzane fotele i sofa, imitacja orientalnego dywanu przed wielkim telewizorem, przeogromne głośniki, regał bez książek, hantle na podłodze i stos kolorowych czasopism obok kanapy.

Przy telewizorze stoją dwie puszkę coli i miska z kilkoma samotnymi czipsami. Na fotelu suszy się strój treningowy.

Od czegoś takiego uciekam przez całe swoje życie – przemyka mi przez myśl.

Ormberg, prowincja, beznadziejna przewidywalność, ciągnące się bez końca pola i milczące lasy. Wieczory przed telewizorem w towarzystwie czipsów i wina i regularne wizyty w centrum handlowym, żeby zrobić duże zakupy.

Surowa ciemność zimowych nocy i niemiłosierna ostrość lata.

Poczucie, że wszystko się skończyło, chociaż jeszcze się nie zaczęło.

Przypominam sobie, co było napisane w raporcie policyjnym o mamie: że znaleziono ją na górze, pijaną, przybitą i pełną obrażeń. Trzy lata temu.

Biedna mama.

Próbuję sobie wyobrazić to wszystko, co mogłaby zrobić, gdyby nie została w Ormbergu. Pracę, jaką mogłaby dostać, ludzi, których mogłaby poznać, i miejsca, które mogłaby zobaczyć.

Ale dla niej Ormberg jest i początkiem, i końcem wszystkiego: całkowicie zadowolającą egzystencją. Wszechświatem spełniającym wszystkie jej potrzeby i marzenia, który ani trochę jej nie ogranicza.

Dlaczego ze mną jest inaczej?

Jak to niedawno powiedziała mama?

„Jeśli przed czymś uciekasz, zastanów się, czy przypadkiem nie uciekasz przed samą sobą”.

– Zjesz coś? – pyta Andreas. – Nie wiem co prawda, czy mam wiele w domu, ale...

– Nie, dziękuję.

– Napijesz się herbaty?

Kręcę głową i odwracam się w jego stronę.

Jego ciemne włosy są wilgotne, a sweter lekko czuć potem. Oczy są pełne powagi, trochę skośne, jak Kenny’ego.

Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, ale Andreas ma oczy Kenny’ego.

Na policzku dostrzegam drobną świeżą ranę – może zadrapał się o coś przy fabryce.

Na jej brzegu lśni kropelka krwi.

Ma zakłopotaną minę, jakby nie bardzo wiedział, co ze mną począć, gdy w końcu sprowadził mnie do swojego domu.

– No cóż – mówi.

– No cóż – powtarzam za nim, nagle intensywnie świadoma jego bliskości.

Robię krok ku niemu, on zaś stoi w miejscu, nie odsuwa się.



Ma ciepły oddech, czuję go na swoim policzku niczym letni wiatr w duszny dzień nad rzeką, czuję ciepło promieniujące od jego ciała.

Gdy go całuję, robi krok do tyłu.

– Czy to dobry pomysł? – pyta szeptem.

Ale wahanie trwa jedynie sekundę. Potem przyciąga mnie ku sobie i odwzajemnia pocałunek.

# Jake

**K**iedy dodaję gazu, motorower próbuje przebić się do przodu. Tumany śniegu wzbijają mi się wokół nóg. Już nie staram się jechać wolno, ale na wypadek gdybym miał się zachwiać, trzymam nogi opuszczone blisko ziemi.

Jest wpół do trzeciej nad ranem, poniedziałek.

Po przeczytaniu do końca dziennika przespałem się kilka godzin. Nie dlatego, że byłem zmęczony, tylko po prostu zdecydowałem, że najlepiej będzie pojechać właśnie o tej porze, jeszcze w środku nocy. Bo chyba nikt nie jest tak popieprzony, żeby nie spać o takiej godzinie?

Kiedy się obudziłem, odkryłem, że Saga przysłała mi siedem esemesów – w pierwszych czterech była jeszcze zła, ale w trzech ostatnich wydawała się spokojniejsza. Postanowiłem zadzwonić do niej za kilka godzin, nie chciałem jej budzić.

Myślę o Hanne i P. Zastanawiam się, czy on na nią zasługiwał, czy też ona była za dobra dla niego, jak mama zwykła mówić o swoich koleżankach.

Kobiety zwykle są zbyt dobre dla facetów. Może wszyscy oni są źli do szpiku kości, tak że zasługują na to, aby być sami.

A jak to jest z tatą? Moim zdaniem nie jest zły, a przynajmniej nie był do śmierci mamy.

Nagły poryw wiatru trochę mnie zatrzymuje, przez sekundę wygląda na to, że zaraz się przewrócę, ale na szczęście udaje mi się zachować równowagę i jadę dalej przez śnieg.

Dookoła zalega ciemność. Wysokie świerki torują mi drogę po obu stronach, wyciągają obsypane śniegiem gałęzie na boki, jakby chciały chwycić się za rękę.

Właściwie to dziwne, że robię coś takiego. Ale w ostatnim czasie zdarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że już nie wiem, co jest normalne, ani nawet kim jestem. Przypominam sobie spojrzenie taty, kiedy zabierali go policjanci. Miękkie wargi Sagi na moich ustach, moje ręce ściskające głowę Vincenta i walące nią o betonową posadzkę, a także słowa, które wtedy powiedziałem; groźbę, że wszyscy się dowiedzą, kim naprawdę jest jego ojciec.

Co się ze mną dzieje?

Nie wiem, ale niezależnie od tego, co to jest, boję się, że nie da się tego zatrzymać. Trzeba iść z prądem i liczyć, że będzie dobrze.

We wszystkich budynkach jest ciemno i cicho. Duży dom mieszkalny znajduje się w odległości około pięćdziesięciu metrów, tuż pod lasem. Na dachu jest duża antena satelitarna, trzy okna wychodzą na podwórze.

Staję przed mniejszym budynkiem, który wygląda podobnie jak duży, tylko nie ma anteny

na dachu, a od frontu są jedynie dwa okna.

Wiatr przybrał na sile; śnieg zacina mi w twarz, gdy idę do drzwi wejściowych. Drewniane rzeźby na trawniku są przykryte grubą warstwą śniegu.

Bywałem w tym miejscu wiele razy, znam tu każdy krzew, każde drzewo, ale nigdy nie byłem w żadnym budynku.

Na drzwiach wisi sztuczny jodłowy wianek i lekko kołysze się na wietrze. Dookoła ganku leżą miękkie zasy nawianego śniegu.

Ostrożnie chwytam za klamkę.

Zamknięte.

Zaglądam przez okno do kuchni. Jest w niej ciemno i cicho, mała lampka świeci na czymś, co wygląda na lodówkę – przypomina żółte oko, które nigdy nie mruga. Z pomieszczenia obok, prawdopodobnie z przedpokoju, dochodzi słabe światło.

Na schodkach obok mnie stoją doniczki z pelargoniami. Domyślam się, że sztuczne, ponieważ wyglądają nienaturalnie żywo i są intensywnie czerwone, mimo że pokrywa je warstwa śniegu. Zdejmuję rękawiczki, wpycham je do kieszeni i zaczynam obmacywać śnieg wokół doniczek. Potem podnoszę jedną za drugą i w końcu pod którąś z kolei natrafiam na zardzewiały stary klucz.

W Ormbergu raczej nikt nie boi się złodziei.

To wielki błąd, uważa tata. Niemal każdy ma przed wejściem jakąś kryjówkę na dodatkowy klucz, mimo że uchodźcy, którzy się tutaj znaleźli, są o wiele mniej godni zaufania niż stali mieszkańcy. Mogą na przykład w każdej chwili się włamać i użyć siły, przybić do ściany czarną flagę kalifatu albo ukraść drogocenne rzeczy.

Cokolwiek to jest.

Nie znam u nas nikogo, kto miałby coś cennego, co najwyżej komputer lub telewizor z płaskim ekranem.

Klucz wchodzi bez oporu w dziurkę. Przekręcam go w zamku i drzwi otwierają się bezgłośnie.

Stoję w progu.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że powinienem zadzwonić na policję, zamiast wchodzić całkiem sam do tego ciemnego domu.

Ale policja uważa, że mój tata to zdegenerowany alkoholik. Funkcjonariusze naprawdę wierzą, że zamordował tamtą kobietę. Może nawet zamkną go w więzieniu do końca życia.

Gula w gardle, której dosyć długo nie czułem, znowu sprawia, że nie mogę oddychać.

Nie ma mowy, muszę dojść, kto zabił kobietę przy kopcu, żeby uwolnić tatę. Przeszuję próg i cicho zamykam za sobą drzwi.

W przedpokoju czuć pizzą i nieświeżym zmywakiem. Goła żarówka pod sufitem w dużym pokoju oblewa podłogę bladym żółtym światłem. Foliowe torby ze śmieciami stoją przy drzwiach wejściowych, a obok leży para bezładnie ciśniętych butów. Kurtki wiszą na hakach

na ścianie.

Wycieram podeszwy o wycieraczkę i wślizguję się do kuchni. Podłoga skrzypi niemal przy każdym kroku, zatrzymuję się więc kilkakrotnie, żeby się upewnić, czy nikt nie idzie. Słyszę jedynie jednostajny szum lodówki i od czasu do czasu trzaskanie w kaloryferze. W głębi, pod krótszą ścianą, dostrzegam półki.

Podchodzę do nich i przykucam. Macam dłonią wzdłuż listwy podłogowej. Znalezienie małej metalowej zasuwki kilka centymetrów nad podłogą zajmuje mi kilka minut. Muszę się trochę namocować, zanim udaje mi się ją otworzyć i ukryte drzwi uchylają się z cichym kliknięciem.

Są grube i obite blachą od środka.

Uderza mnie fala wilgotnego powietrza i dokładnie taki sam zapach jak w komórce u Sagi, w której jak mówi, jest grzyb i która potrzebuje remontu, ale na razie ich na niego nie stać.

Podnoszę się, wchodzę w ciemną przestrzeń i przymykam za sobą drzwi, tak że widać wąską strużkę światła.

Drżąc z zimna, wydaję komórkę, która chyba niedługo się rozładuje, i włączam latarkę.

Muszę oszczędzać baterię.

Schody są strome i śliskie od wilgoci. Na ścianach widać plamy, a z sufitu zwisają woale pajęczyn i lekko kołyszą się w przeciągu.

Na stopniu w połowie schodów leżą pudełko na snus i rękawiczka, jakby dopiero ściągnięta z zaciśniętej dłoni. Wygląda tak, jakby po omacku sięgała po snus.

Schodzę coraz niżej. Powoli i ostrożnie, żeby nie narobić choćby najmniejszego hałasu. Na samym dole powietrze wydaje się cięższe, trudniej nim oddychać, a piwniczna stęchlizna jest jeszcze intensywniejsza. Na podłodze leżą rozrzucone ubrania i wieszak. Spoglądam na ścianę: trzy ziejące w niej dziury zdradzają, gdzie był wcześniej przymocowany. Przy ubraniach widzę też rozbitą talerz i roztrzaskaną szklanę.

Zauważam parę drzwi: jedno po prawej, drugie po lewej stronie. Te po prawej mają spore wgniecenie pośrodku, jakby ktoś w nie kopnął, a zamek wygląda na zniszczony.

Waham się, czy je popchnąć. Za nimi można spodziewać się wszystkiego: ducha, zombie...

Ta myśl znika jednak szybciej, niż się spodziewałem, i nagle, ku własnemu zaskoczeniu, uświadamiam sobie, że żadne duchy ani zombie tego świata nie są już w stanie mnie przerazić. Wszystko, czego bałem się do tej pory, straciło moc: obślizgłe zwłoki, demony i mięsożerne nieśmiertelne istoty. Mordercy z siekierą, piłą łańcuchową i przybysze z kosmosu, którzy chcą zawładnąć Ziemią i jeść ludzkie mózgi jak popcorn.

Rzeczywistość jest o wiele gorsza.

Popycham więc drzwi – uchylają się bezgłośnie. Są cięższe, niż przypuszczałem, ponieważ podobnie jak ukryte drzwi w kuchni też są od wewnątrz obite blachą.

Pomieszczenie jest małe, zimne i bez okien. Ale przede wszystkim puste.

Nie ma w nim ani nikogo żywego, ani rozkładających się zwłok. Pod jedną ze ścian stoi samotne łóżko, a na nim leży kilka poduszek i narzuta w kwiatowy wzór. Obok widzę stojącą lampę i małą nocną szafkę, a na niej ceratę i szklanę. Na podłodze blisko łóżka sterta ubrań – wszystkie starannie poskładane. Pod inną ścianą piętrzy się stos książek. Co najmniej setka. Podchodzę do nich i oświetlam latarką grzbiety.

Wszystkie są po angielsku.

W głębi odkrywam jeszcze jedne drzwi.

Otwieram je: w środku są sedes i umywalka.

Na brzegu umywalki leży postrzępiony różowy ręcznik. Na podłodze stoi rolka papieru toaletowego, napęczniała od wilgoci. Na ścianie naprzeciwko sedesu wisi półka, a na niej: szczoteczka do zębów, dezodorant, małe popękane mydło i szczotka do włosów z różową plastikową rączką.

Sięgam po nią.

Pełno na niej długich siwych włosów.

Przypominają mi się słowa Sagi.

„Wyglądała jak widmo. Z przyklejonymi do czaszki długimi siwymi włosami”.

Czy znaleziona przy kopcu zamordowana kobieta mieszkała w tej piwnicy?

Bulgocie w rurach biegnących pod stropem wyrывa mnie z zamyślenia. Wycofuję się z łazienki i rozglądam znowu po pomieszczeniu, wypatrując jakiegoś detalu, który mogłem przeoczyć.

Na betonowej ścianie nad łóżkiem dostrzegam z daleka jakieś niewyraźne znaki. Podchodzę bliżej i kieruję światło na to miejsce. Widzę nieduże kreski; zdaje się, że ktoś wydrapał je w tynku.

Pochyliam się i przyglądam się czemuś, co wygląda jak płot: cztery pionowe kreski przekreślone piątą poziomą.

Gdy się cofam, dostrzegam więcej płotków, a kiedy robię jeszcze kilka kroków do tyłu i przesuwam snop światła po ścianie, stwierdzam ku własnemu przerażeniu, że cała pokryta jest kreskami.

Cała pieprzona ściana jest usiana kreskami!

I dokładnie w chwili, gdy uświadamiam sobie, co one znaczą, ogarnia mnie panika. Nie z powodu ciasnego pomieszczenia, ohydnej toalety z poplamioną posadzką i nie z powodu pajęczyn pod sufitem.

Dociera do mnie, że ktoś musiał spędzić w tym miejscu lata. Nie dni, tygodnie czy miesiące, tylko całe lata. I że ta osoba wyrzynała kreski w wilgotnym betonie, żeby zachować minimalną orientację w ciągu mijających dni i nocy.

Czy to była ona? Kobieta o długich siwych włosach?

Chwieję się, muszę zrobić kilka kroków, żeby nie stracić równowagi i nie upaść.

Czy można w ogóle mieszkać w piwnicy? Czy nie umiera się w niej z braku światła i świeżego powietrza? Nie gnije jak warzywo zapomniane w zimnej i wilgotnej lodówce?

Powietrze znowu robi się gęstsze, pierś ściska mi niewidzialny sznur. Ściany pełzną w moją stronę, zawisają nade mną, serce bije mi jak szalone.

Tyle dni, tyle nocy.

Wycofuję się stamtąd. Świadomość, że ktoś tam mieszkał, a może był więziony za tymi grubymi drzwiami, przyprawia mnie o mdłości i o zawrót głowy.

Ręce mi drżą, kiedy wchodzę do małego korytarzyka. Niechcący potrącam tacę i rozlega się brzęk porcelanowych naczyń.

Serce zamiera mi w piersi, wstrzymuję oddech.

Nic się nie dzieje.

Słychać jedynie szum w rurach i brzęczący odgłos zza drugich drzwi.

Odwracam się i oświetlam je komórką.

Wyglądają całkiem zwyczajnie, a kiedy naciskam kłamkę, okazuje się, że nie są zamknięte.

Otwieram je i kieruję snop światła do środka.

Widzę kolejną zimną piwnicę bez okien, tylko mniejszą od poprzedniej.

W pomieszczeniu znajduje się jedynie ogromna zamrażarka stojąca pod ścianą – otwierana od góry, taka sama, jaką mamy u nas w garażu. Tata trzyma w niej sarninę i mięso z łosia. Jest tak duża, że starcza miejsca na całego dużego zwierzaka.

Posadzkę pokrywają spore ciemnobrązowe plamy – wolę nawet nie myśleć, z czego mogą pochodzić.

Rząd ciemnych kropli biegnie od największej plamy aż do zamrażarki.

Podchodzę do niej i kładę dłoń na uchwycie. W tej samej sekundzie rozlega się warkot, jakby to urządzenie próbowało mi coś powiedzieć.

Ostrożnie otwieram wieko.

Pochyliwszy się nad skrzynią, z której unosi się lodowate powietrze, oświetlam telefonem wnętrze.

Obok pudełka lodów Big Pack w trzech smakach leży człowiek. Mężczyzna, w skulonej pozycji.

Jest pokryty cienką warstwą błyszczącego szronu, mimo to widzę wyraźnie szaroblond włosy, niebieską pikowaną kurtkę, a pod nią koszulę w kratę.

Usiłuję na niego nie patrzeć, tylko zatrzymać spojrzenie na opakowaniu lodów, na którym znajoma postać klauna uchyla kapelusza.

Nic z tego.

Czuję wzbierającą falę mdłości. Upuszczam komórkę na ziemię, wieko zamrażarki wysuwa mi się z rąk i zatrząskuje ze zwłódnym głuchym hukiem.

Chociaż wszystko dookoła wiruje i żołądek podchodzi mi do gardła, mózg jednak pracuje

i tworzy teorie.

Przypominam sobie rysopis P zamieszczony w lokalnej gazecie: „...był ubrany we flanelową koszulę w czerwono-białą kratę i niebieską pikowaną kurtkę marki Sail Racing”.

Mężczyzna w zamrażarce to P.

Podnoszę komórkę z posadzki i chowam do kieszeni. Następnie wycofuję się tyłem z pomieszczenia do małego korytarzyka. Opieram się o betonową ścianę, przykucam, a następnie na czworaka, jak pies, zaczynam pełznąć po schodach na górę.

Nie myślę o niczym innym, tylko żeby się stamtąd wydostać. Nie mogę pojąć, że coś dużo gorszego, niż kiedykolwiek byłbym w stanie sobie wyobrazić, rozegrało się właśnie tutaj, pod podłogą całkiem zwyczajnego domu w najnudniejszej dziurze na świecie, gdzie wszystkie dni są jednakowe i nigdy nie dzieje się nic groźnego.

Schody zamieniają się w wielką górę, wspinam się na nią stopień za stopniem. Obijam sobie kolana, paznokcie łamią mi się na betonie, ale nie czuję bólu. W głowie mam tylko paraliżujący strach.

Prostuję się mniej więcej w połowie schodów. Ich powierzchnia jest wilgotna i śliska, a obraz mężczyzny w zamrażarce odbiera mi władzę w nogach. W momencie kiedy powtarzam sobie, że nie wolno mi się przewrócić, potykam się o coś.

Upadając, uzmysławiam sobie, że pewnie nadepnąłem na pudełko po snusie i rękawiczkę.

Tyłem głowy uderzam o posadzkę.

Ból jest ostry, ale ustępuje równie szybko, jak się pojawił. Nagle czuję się lekki jak puch i wydaje mi się, że unoszę się w powietrzu.

Ciemność wokół mnie się rozplywa i robi się biała jak śnieg.

Boli mnie całe ciało. Nie mam pojęcia, jak długo leżałem na betonowej posadzce, ale po ocknięciu się jestem cały sztywny z zimna. Podnoszę się i dotykam tyłu głowy. Guz jest wielkości piłeczki pingpongowej i boli, nie wyczuwam jednak żadnego rozcięcia.

Sprawdzam komórkę – jest rozbita i martwa.

Powoli wchodzę znowu po schodach, uważając, aby po raz drugi nie potknąć się o pudełko i rękawiczkę. Jasna smuga na górze poszerza się. Gdy zamierzam już pchnąć sekretne drzwi, zauważam, że w kuchni pali się światło. Wstrzymując oddech, zerkam przez szczelinę. Opieram dłoń o szorstki beton i pochylam się odrobinę, żeby zobaczyć więcej.

Lampa pod sufitem jest włączona, a zaledwie kilka metrów przed sobą widzę parę potężnych nóg.

# Malin

**P**o obudzeniu się uświadamiam sobie, że moje życie zmieniło się na zawsze. Że przekroczyłam granicę i znalazłam się w obcej krainie, której już nigdy nie będę w stanie opuścić. Wszystko, co wiedziałam o swoim życiu i własnej przyszłości, okazało się nieprawdziwe – to było kłamstwo, które sama stworzyłam, utkałam z wyobrażeń o szczęściu gdzieś indziej, daleko od Ormbergu.

Przewracam się na bok i w ciemności spoglądam na Andreasa – śpi na plecach, z rękami wyciągniętymi nad głową, jak małe dziecko. Oddycha głęboko i niemal bezgłośnie.

Pieprzony Andreas.

Gdyby nie on, dałabym radę.

Wyszłam za Maxa i wyniosła się do Sztokholmu. Zostawiłam Ormberg za sobą i przestała myśleć o tej dziurze, aż wreszcie wspomnienie o niej wyblakłoby jak stare polaroidowe zdjęcia w albumie mamy. Zamieniłoby się w malowniczą opowieść snutą podczas jednej z kolacji u znajomych, do których ja i Max mamy zwyczaj chodzić.

„Nie, dorastałam w Ormbergu. Nie słyszałaś o nim? Nie, to nic nadzwyczajnego. Mała i niezbyt ciekawa, ale bardzo ładna miejscowość i...”

Wyciągam rękę i delikatnie dotykam jego ramienia, czuję, jak drobne włoski łaskoczą mnie w dłoń.

On wszystko schrzanił.

Wobec tego dlaczego jest mi dobrze? Dlaczego czuję się tak, jakbym znalazła coś, o czym nawet nie wiedziałam, że tego szukam?

Andreas pochrząkuje i przewraca się na bok. I ten jego zapach... Jest osobliwie znajomy, a jednak całkiem nowy – nieprzepraczone pociągający i jednocześnie strasznie zakazany.

To zapach Kenny’ego.

Zapach wszystkiego, czego sobie odmawiałam i przed czym uciekałam: pożądania, utraty kontroli, ciemnych lasów, smukłych ceglanych budynków Triåkungen i zrujnowanej starej fabryki.

Widzę otyłą sylwetkę mamy przed kuchenką i martwy wyraz twarzy Magnusa, gdy opuszcza wzrok ku podłodze.

Muszę przyznać, że to właściwie zabawne – chociaż wszystko się zawaliło.

Jestem więc w łóżku z chłopkiem-roztropkiem, który czytuje kolorowe pisma na kanapie przed telewizorem i nie zależy mu w życiu na niczym więcej poza ewentualnie kupieniem sobie nowych mebli, pracą nad muskułami i wyjazdem raz w roku do Tajlandii.



Albo przynajmniej tak mi się wydaje, bo przecież w rzeczywistości nie znam go szczególnie dobrze, tylko przypisałam mu cechy pochodzące spoza mojego obrazu świata.

Zerkam na złoty pierścionek, który błyszczy na moim palcu. Zdejmuję go i kładę na nocnej szafce.

Rozlega się brzęknięcie.

Andreas otwiera oczy i patrzy na mnie, nic nie mówiąc. Potem bierze mnie za rękę i przyciąga do siebie. Zdecydowanie.

Kładę mu głowę na ramieniu i zaczynam się bawić kępką włosów pod jego pępkiem.

Nie wiem, jak długo tak leżymy, chyba kilka minut. Później dzwoni budzik.

Docieramy do Örebro tuż po siódmej. Jest jeszcze ciemno, a kiedy parkujemy samochód przed komendą, zaczyna padać śnieg.

Manfred jest już na miejscu. Ma mocno podkrążone oczy i bladą twarz, prawdopodobnie w ogóle nie spał w nocy. Włosy kleją mu się do głowy, jakby dopiero przed sekundą zdjął z niej czapkę.

– Cześć – mówię.

Odpowiada krótkim skinieniem.

Dopiero teraz zaczynam myśleć o zdjęciach z komórki Petera i czuję się odrobinę winna, że udało mi się zapomnieć na tak długo o dochodzeniu, że spędziłam noc w łóżku Andreeasa, zamiast dotrzymać towarzystwa Manfredowi.

Gdy pozostali zjawiają się dziesięć minut później, schodzimy wszyscy na dół, gdzie znajduje się pokój przesłuchań. Mają je przeprowadzić Svante i Suzette-o-ostrych-szponach. Dzisiaj jej paznokcie są jaskrawozielone i na samych czubkach mają przyklejone maleńkie błyszczące diamenty.

Siedząc w sąsiedniej salce, Manfred, ja i Andreas będziemy mogli obserwować rozmowę przez lustro weneckie. Po usłyszeniu zarzutu Stefan Olsson oświadczył ku zaskoczeniu wszystkich, że nie potrzebuje adwokata podczas przesłuchania, ponieważ jest „w stu procentach niewinny”.

Atmosfera jest napięta, ale pełna wyczekiwania – dzisiaj wreszcie to nastąpi, niedługo przyprzemy do muru mordercę Azry i Nerminy.

Stefan Olsson wygląda na trochę zdezorientowanego. Rozgląda się po pokoju, następnie zatrzymuje spojrzenie na szybie i chociaż wiem, że nie może nas widzieć, czuję się nieco nieswojo.

Jest ubrany w czarne spodnie dresowe z białymi lampasami i nierówno zapiętą dżinsową koszulę. Jedna jej poła dosięga niemal pachwiny.

Niedługo potem wchodzi Svante i Suzette, która wciąż lekko się pochyla. Czy przypadkiem nie ma problemów z kręgosłupem, a nie z żołądkiem?

Siadają. Gdy Svante zapala lampkę, Stefan Olsson zasłania sobie oczy. Następnie Svante

włącza magnetofon i odklepuje obowiązkowe oficjalne formułki.

Przesłuchiwany siedzi nieruchomo z pochyloną głową i dłońmi splecionymi na kolanach. Wzrok utkwił w blacie stołu.

– Chcemy porozmawiać między innymi o tym, co wydarzyło się w ośrodku dla uchodźców w dziewięćdziesiątym trzecim i dziewięćdziesiątym czwartym – zaczyna Svante.

– Trzymacie mnie w więzieniu, żeby pogadać ze mną o mojej robocie stolarza? – odzywa się Stefan Olsson, przecierając oczy.

Svante nie zwraca uwagi na ten komentarz, ale Suzette wtrąca łagodnie:

– W areszcie, nie w więzieniu.

– *Whatever*. Przecież mówiłem, że po prostu zapomniałem, że pracowałem dla nich. Już to wyjaśniałem. Kurde. To jakaś pieprzona paranoja. Nie rozumiecie, co wy wyprawiacie? Co robicie mnie i mojej rodzinie? Nie pojmujecie... – Stefan urywa i nie kończy zdania.

Svante odchyła się i skrzyżowawszy ręce na piersi, przygląda się uważnie przesłuchiwanemu. Po chwili zwraca się do niego z ociąganiem:

– Dlaczego przestał pan tam pracować?

Stefan wzrusza ramionami.

– Widocznie nie mieli już dla mnie żadnej roboty.

– Niech pan posłucha – wtrąca Suzette, lekko przekrzywiając głowę. – Będzie o wiele prościej, jeśli będzie pan z nami współpracował. Nie chcemy zaszkodzić ani panu, ani pańskiej rodzinie, zależy nam tylko na ustaleniu, co wydarzyło się tamtej zimy.

– Nic się nie wydarzyło. Trochę popracowałem, a potem odszedłem.

– A co pan sądził o uchodźcach? – pyta Svante.

– Co sądziłem? Raczej nic specjalnego.

– Uważał pan, że to dobrze, że sprowadzono ich do Ormbergu? – uzupełnia Svante, pochylając się nieco.

Stefan kręci głową.

– Widzę, że kręci pan głową – mówi Suzette. – Proszę wyrazić się jasno – dodaje, wskazując na mikrofon zwisający na kablu z sufitu.

– No więc... – zaczyna Stefan. – Jasne, że mi się to nie podobało. Ale nie miałem nic przeciwko żadnemu z nich. To znaczy osobiście. Tylko jakby tak ogólnie. No nie wiem. Chyba myślałem, że mogliby mieszkać gdzieś indziej.

Svante drapie się po gęstej brodzie.

– A czy pan przypadkiem nie był szczególnie zainteresowany dwiema konkretnymi osobami, na przykład Azrą i Nerminą Malkoc?

Stefan gwałtownie kręci głową.

– Proszę odpowiedzieć na głos – upomina go znowu Suzette.

– Nie, do cholery. Nie znałem nikogo z ośrodka.

– Dlaczego szpiegował pan uchodźców? – rzuca Svante łagodnym tonem. Pytanie jest

podstępne i pada jakby mimochodem, jakby w gruncie rzeczy nie było szczególnie ważne, tylko wypływało z czystej ciekawości Svantego.

– Nic takiego nie robiłem. – Stefan chowa twarz w dłoniach i pochlipuje. – Kurde – mamrocze. – Spieprzyliście mi życie. Nie rozumiecie tego?

Suzette pochyla się ku niemu i kładzie dłoń na jego rękę. Ale on nie reaguje.

– Niech pan posłucha – przemawia do niego łagodnie jak do dziecka. – Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy pracowali w ośrodku tamtej zimy. Mówili, że został pan przyłapany kiedyś wieczorem na dziedzińcu. To było jesienią w dziewięćdziesiątym trzecim. Trzyma pan w domu broń, chociaż nie ma pan na nią pozwolenia. Pana i pański samochód widziano w pobliżu miejsca przestępstwa. Oprócz tego wczoraj znaleźliśmy w piwnicy zakrwawione ubranie i porwaną koszulę. Niech pan zrozumie, że to wszystko czyni pana podejrzanym.

Stefan opiera głowę na rękach i kręci nią bezradnie, na co Manfred zrywa się z krzesła i szepcze w stronę lustra:

– Mamy go!

Stefan, wstrząsany szlochem, wydaje z siebie zawodzenie niczym ranne zwierzę.

Suzette odruchowo podsuwa mu pudełko z chusteczkami, ale on nawet tego nie zauważa.

– Niech pan nam pomoże zrozumieć – prosi go Suzette. – Niech pan opowie, co się stało!

Opanowawszy się nieco, przesłuchiwany prostuje się na krześle, kiwa głową i głośno wyciera sobie nos.

– To ja – rzuca i natychmiast zaczyna znowu szlochać.

Suzette zamiera, a Svante odwraca się gwałtownie. Oboje wymieniają się spojrzeniami.

Na tę chwilę wszyscy czekali.

Wstrzymuję oddech i spoglądam na Manfreda, który siedzi sztywny jak posąg obok mnie.

– To jaaa – wyje Stefan.

Suzette znowu kładzie mu dłoń na przedramieniu. Jej zielone paznokcie niemal świecą.

Stefan ponownie wyciera sobie nos i podnosi na nią spojrzenie, na co ona daje mu znak, aby kontynuował.

– To ja podpaliłem zarośla przed ośrodkiem – mówi, pochlipując. – To dlatego poszedłem tam wieczorem jesienią dziewięćdziesiątego trzeciego. A krew na koszuli, którą znaleźliście... To była krew ze świńskiego łba, który Olle i ja zawiesiliśmy na drzewie. Ale nie chcieliśmy nikomu zrobić krzywdy, chcieliśmy tylko... jakby zaznaczyć...

Milknie, lecz po kilku sekundach ciągnie dalej:

– Chyba byliśmy też trochę wstawieni. Nie pamiętam. Nie chcę, żeby dowiedziały się o tym dzieci. Nie chcę, żeby myślały, że jestem złym człowiekiem. Okropnie mi na tym zależy. Błagam was, nie mówcie nic Jake’owi i Melindzie – prosi łamiącym się głosem. – Strasznie tego żałuję – kończy i znowu zanosi się płaczem.

Suzette i Svante po raz drugi wymieniają między sobą spojrzenia. Dostrzegam dezorientację na ich twarzach.

– Co jest, do cholery? – mamrocze Manfred, zapadając się głębiej na krześle.

Suzette jako pierwsza odzyskuje rezon.

– Okłamał nas pan wcześniej, więc skąd mamy wiedzieć, że to, co mówi pan teraz, też nie jest kłamstwem?

– Spytajcie Ollego – pochlipuje. – Był wtedy ze mną i podpalił tamte zarośla.

– Olle Eriksson, pana przyjaciel z Högsjö?

– Tak. A broń należy do niego. Pożyczyłem ją. Zamierzaliśmy patrolować Ormberg wieczorami. Chronić młodych. Głównie babki. Cholera wie, co tym Arabom może strzelić do głowy!

Manfred zasłania sobie twarz dłońmi, jakby chciał wymazać całą tę scenę.

– Kurwa mać – mamrocze.

Otwierają się drzwi i Malik wsuwa głowę do środka.

– Sprowadźcie mi tu migiem tego pieprzonego Ollego – syczy do niego Manfred.

– Tak jest – mówi Malik. – Ale jest jeszcze jedna sprawa. Sprawdziliśmy, w których domach w pobliżu kopca jest piwnica. Okazuje się, że u Berit Sund, u Rut i Gunnara Stenów i u Margarety Brundin.

– Berit – szepczę.

– Co? – pyta Manfred.

– Berit pracowała w ośrodku na początku lat dziewięćdziesiątych. Kiedy byliśmy u niej, miała na rękach dziwne zadrapania. Poza tym, jeśli byłaby zamieszana w to wszystko, wyjaśniałoby to, dlaczego Hanne miała medalion. Może znalazła go u niej w domu. Dziwne, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej.

– Hm – bąka Manfred. – Berit nie za bardzo pasuje do opisu sprawcy podanego przez Hanne.

– A co z pozostałymi? – pyta Malik.

– Rut Sten na początku lat dziewięćdziesiątych kierowała ośrodkiem – mówię. – A jej mąż był podobno za młodu dosyć agresywny. Oprócz tego oboje nie mają alibi na noc zabójstwa.

– Hm – bąka znowu Manfred.

– A Margareta Brundin? – kontynuuje Malik.

– Ona nie ma piwnicy – wtrącam. – Byłam w jej domu setki razy i ani Magnus, ani ona nie mają piwnicy. Na dodatek obojgu nie brakuje alibi na wieczór, w którym zamordowano Azrę. Chyba byli w Katrineholmie, prawda?

– Owszem, Margareta ma alibi – poprawia mnie Manfred. – Okazała paragony z dwóch sklepów i z restauracji. Co oczywiście nie znaczy, że był z nią też Magnus.

– On nie tknąłby nawet muchy – odpowiadam. – Magnus Brundin jest całkowicie niegroźny.

# Jake

W yglądam przez wąską szparę. Jest nie szersza niż centymetr, ale wyraźnie widać przez nią kuchnię.

Magnus Moszna stoi na szeroko rozstawionych nogach przy stole.

W jednej ręce trzyma komórkę, a drugą drapie się po kroczu. Jego ciemne rzadkie włosy są zmierzwiłone. Pod pękatym białym brzuchem z bioder zwisają mu workowate dresowe spodnie. Wpatruje się w okno, przez które sączy się słabe światło.

Głowa pęka mi z bólu. Zamykam oczy i staram się skupić. Chociaż wypuszczam powietrze ustami najciszej, jak to możliwe, mimo wszystko chyba wciąż sapię. A serce wali mi w piersi tak mocno, że może być słycać je w kuchni.

Magnus Moszna. Idiota. Wioskowy głupek.

Przypominam sobie małe kreski na ścianie na dole skwapliwie wryte w wilgotnym betonie. Długie siwe włosy na szczotce i P leżącego w zamrażarce obok pudełka z lodami.

Wszyscy wiedzą, że Magnus Moszna ma nie po kolei w głowie. Kiedy byłem mniejszy, chowałem się z kolegami przy ogrodzeniu domu Margarety i razem z nimi ciskałem w niego kamieniami, kiedy się pojawiał.

Gdy tata nazywał go „imbecylem”, mama zawsze się denerwowała i mówiła, że to nie jego wina, że jest „mało rozgarnięty”, i że spuści mnie i Melindzie lanie, jeśli się dowie, że mu dokuczamy.

Czy on w swojej piwnicy więził kobietę?

Mordował ludzi?

Nie dociera do mnie, że ktoś może robić takie rzeczy, a już na pewno nie Magnus, który nigdy nigdzie nie pracował, nie umie prowadzić samochodu i według Melindy nie umie nawet czytać ani pisać.

Ktoś musiał mu pomóc.

Ale jednocześnie piwnica nie kłamie. Oprócz tego jest jeszcze kopiec.

Chyba wiem, dlaczego i Nermina, i tamta kobieta z długimi siwymi włosami zostały znalezione właśnie tam.

Każdy, kto próbowałby uciekać do lasu z domu Margarety i Magnusa, po lewej miałby rzekę, a po prawej górę Ormberget. Przejście robi się stopniowo coraz węższe i węższe, a na jego końcu otwiera się polana z kamiennym kopcem. To miejsce to niemal jak więcierz, w który łapie się ryby.

Można dotrzeć do niego z wielu innych stron, ale jedyna droga z domu Margarety

i Magnusa prowadzi przez kopiec.

Jeśli oczywiście nie chce się iść szosą. A ktoś, kto ucieka przed obłąkanym mordercą, raczej nie chce.

I Magnus, rzecz jasna, to wiedział.

Musiał czekać na Nerminę i kobietę przy kopcu, tak jak myśliwy czeka na zwierzynę. Zastrzelenie kobiety było dla niego jedynym sposobem, by ją zatrzymać. Nie mógłby dogonić nikogo dorosłego, ponieważ jest zbyt powolny i ociężały.

Mnóstwo myśli kłębi mi się w głowie, ale stopniowo poszczególne puzzle trafiają na właściwe miejsca.

Magnus więzi kobietę w piwnicy. Hanne i Peter tam przyszli, znaleźli drzwi, otworzyli je i wypuścili Azrę. Magnus odkrył ich i zamordował Petera. Pewnie zamierzał trzymać go w zamrażarce do wiosny, dopóki nie rozmarznie ziemia i nie będzie dało się go zakopać.

Ale kobiecie o długich włosach udało się uciec. Właśnie dlatego nie miała butów na nogach. Po prostu wypadła z domu jak stała, gdy tylko okazało się to możliwe. Puściła się pędem przez las w kierunku kopca, gdzie Magnus ją zastrzelił.

A Hanne?

Zdołała uciec, tylko później się zgubiła.

Spoglądam znowu na Magnusa.

Spaceruje tam i z powrotem po kuchni, z komórką przy uchu. Stawia ostrożnie stopy, jakby chodził po cienkim i śliskim lodzie. Bąka coś do telefonu, potem słucha przez chwilę, po czym mówi sennym głosem:

– Przeczytałaś to w notesie Malin?

Wzdycha ciężko.

– Ale przecież tam jest Berit – mówi, wysuwa krzesło i siada na nim tyłem do mnie.

Kilka sekund później dodaje:

– Dlatego że nie chcę.

Znowu milknie i bębni palcami wolnej ręki o siedzenie krzesła.

– Nie chcę.

Znowu wzdycha.

– Ale, mamó, ona na pewno wszystko zapomni. Przecież jest okropnie stara.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówi.

Zastanawiam się.

Czyli Magnus rozmawia z Margaretą, swoją matką. I rozmawiają o Hanne. Zaciskam dłoń tak mocno, że paznokcie wbijają mi się w skórę.

– Naprawdę muszę?

Pyta błagalnym tonem. Brzmi jak dziecko, któremu kazano posprzątać pokój, a jemu się nie chce. Brzmi jak Saga, kiedy mama każe jej zakuwać matematykę, albo jak Melinda, gdy tata mówi, żeby włożyła porządną bluzkę, a nie taką, w której pokazuje „pół pieprzonego

brzucha Arabom”.

Zamrażarka uruchamia się z sapnięciem.

Nagle dociera do mnie dławiący odór stęchlizny z piwnicy. Uświadamiam sobie, że przez szparę w drzwiach przenika do kuchni i rozchodzi się po niej.

Czy Magnus go czuje? Wywęszy jak pies, że drzwi są otwarte?

– Nie moglibyśmy tego zrobić innego dnia? – pyta. – Jestem straszliwie, straszliwie zmęczony. – I po kilku sekundach dodaje: – W tygodniu pewnie spadnie jeszcze więcej śniegu. Koniecznie musimy zrobić to dzisiaj?

Przez dłuższą chwilę się nie odzywa. Swoją wielką dłonią drapie się po karku.

– Okej – mówi w końcu, chociaż nadal wydaje się nieprzekonany. – Ale najpierw muszę się ubrać, coś zjeść i w ogóle, więc nie od razu...

Następuje krótka pauza.

– Tak. Może być. Przy kopcu. Wziąć strzelbę?

Magnus zsuwa się niżej na krzesło i patrzy w sufit. Lekko odwraca głowę, dzięki czemu widzę go z profilu. Ziewa.

– Kamień? Ale... Po co?

Serce podchodzi mi do gardła, kiedy uświadamiam sobie, o czym mówią. Ani na moment nie przyszło mi do głowy, że Hanne mogłaby być w niebezpieczeństwie, chociaż przecież w oknie u Berit widziałem bladą twarz z pustymi oczodołami.

To musiała być Margareta.

Pewnie stała tam w ciemności i szpiegowała Hanne i Berit. Oni dwoje boją się, że Hanne przypomni sobie, co stało się z P.

Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

To wszystko moja wina.

Gdybym tylko potrafił uporać się ze swoją paranoją, żadna z tych rzeczy by się nie zdarzyła.

– No dobrze, dobrze – mówi Magnus znudzonym tonem. – Uściski.

Następnie wstaje, lekko posapując. Wsuwa komórkę do kieszeni spodni i przeciąga się tak, że T-shirt podjeżdża mu do góry i odsłania wielki owłosiony brzuch. Podchodzi do lodówki, otwiera ją i zaczyna czegoś szukać na półkach. Przesuwa produkty i szeleści papierem.

Nogi mi ścierpły, są jak kłody drewna.

Robię kilka kroków w miejscu, żeby pobudzić je do życia, ale niestety się potykam. Kiedy wyciągam po omacku rękę w stronę ściany, by odzyskać równowagę, niechcący potrącam drzwi. Niezbyt mocno, ale słychać przytłumione pacnięcie i szpara poszerza się o kilka centymetrów.

Zamykam powieki i modlę się w duchu, chociaż nie lubię Boga, a właściwie nawet nie wiem, czy w Niego wierzę.

Dobry Boże, pomóż mi! Spraw, żeby Magnus mnie nie odkrył!

Kiedy otwieram oczy, widzę go dokładnie naprzeciw siebie – mruga i oblizuje grube czerwone wargi.

Zastygam. Dokładnie jak ludzie w horrorach, kiedy natrafiają na zombie, kosmitów albo ohydne zjawy. Różnica polega tylko na tym, że ten potwór jest rzeczywisty. Nie siedzę na kanapie u Sagi i nie jem czipsów. Nie ściskam jej wilgotnej dłoni. Nie mogę nacisnąć klawisza, żeby zatrzymać film, a przede wszystkim nie ma w pobliżu żadnego dorosłego, którego mógłbym zawołać.

Stoję w domu prawdziwego zabójcy, a on właśnie patrzy prosto na mnie.

Ale Magnus Moszna nagle znowu ziewa, odwraca się do lodówki, wyjmuje z niej pitny jogurt i pije prosto z kartonu.

Nabieram głęboko powietrza. I jeszcze raz.

Nie widział mnie.

Mimo że stałem tuż przed nim, nie zauważył mnie.

Może jednak Bóg istnieje, chociaż trudno mi uwierzyć, żeby zawracał sobie głowę kimś tak wynaturzonym jak ja, kiedy na świecie jest tyle gówna.

Magnus wstawia karton z jogurtem z powrotem do lodówki, zamyka ją i człapie do przedpokoju. Jego postać znika w ciemności. Sekundę później słyszę ciężkie kroki na schodach na piętro.

To moja jedyna szansa – okazja, żeby się stamtąd wydostać.

Właśnie na tę chwilę czekałem.

Magnus jest na górze. Ubiera się, żeby spotkać się z Margaretą przy kopcu.

Ma mieć ze sobą pieprzony kamień.

Zamykam oczy i myślę o Hanne. O Grenlandii, turkusowych górach lodowych kołyszących się na morzu i o P, którego kochała, a który leży teraz zamrożony jak hamburger z supermarketu na grilla.

Myślę o tym, jak potwornie dziwne musi być starzenie się, kiedy człowiek nic już nie pamięta i wlecze całe życie za sobą jak długi ogon. Ale nagle przychodzi mi do głowy, że życie może skończyć się w dowolnej chwili, nawet kiedy jest się w samym środku czegoś ważnego, na przykład pisanie książki czy wymyślanie lekarstwa na raka. Śmierć może przyjść niezależnie od tego, czy jest się starym, czy młodym jak Nermina.

Boli mnie całe ciało, z tęsknoty za Sagą, Melindą i tatą, ale najbardziej za mamą. Ona by wiedziała, co powinienem zrobić. Zawsze wiedziała, jak postąpić, kiedy źle się działo. Na przykład gdy Melinda spadła z drzewa, uderzyła głową o kamień i strasznie krwawiła. Albo jak tata w Wigilię u babci upił się tak mocno, że nie mógł iść.

Mama radziła sobie ze wszystkim.

To znaczy poza rakiem.

Chociaż z drugiej strony co można zrobić, kiedy człowiek natrafi na obłąkanego



mordercę? Czy nawet dorosły może wiedzieć, co wtedy począć?

Nie sędę.

Najchętniej położyłbym się na podłodze i wył ze zmęczenia i przerażenia, ale wtedy słyszę w głowie tamten głos – który szepcze i przekonuje, że nic nie jest niemożliwe. Że wszystko da się zrobić, wystarczy tylko uwolnić myśli i pozwolić im wznieść się swobodnie jak ptaki. Myślę o Vincencie i jego słowach: „Obciągnij mi, ty pieprzona cioto!”. I o chaosie w mózgu, kiedy obudziło się we mnie do życia dzikie zwierzę. O tym, jak raptem Vincent znalazł się pode mną, przerażony, podczas gdy ja zdobyłem się na coś niewyobrażalnego.

Niewyobrażalne jest niewyobrażalne, jedynie dopóki się tego nie robi.

Potem jest całkiem zwyczajną częścią życia, tego ogona, który za sobą wleczeni.

Dotykam dłonią drzwi, żeby je popchnąć, lecz w momencie gdy czuję pod palcami chłodny metal, na schodach rozlegają się kroki.

Zamieram i zerkam przez szparę.

Magnus przechodzi obok. Znowu otwiera się lodówka, słyszę szelest folii.

Potem robi się cicho. Niepokojąco cicho.

Przysuwam się do szpary w drzwiach, żeby widzieć lepiej.

Magnus stoi zwrócony w moją stronę. Usta ma w pół otwarte, wygląda na zdziwionego.

Idzie prosto do drzwi, podnosi rękę i zatrząskuje je zdecydowanym ruchem.

Ogarnia mnie ciemność. Słyszę kliknięcie zamykanego zamka.

# Hanne

**Z**a oknem pada gęsty śnieg, pokrywając coraz grubszą warstwą ziemię i gałęzie drzew. Przecinające pole przed domem Berit świeże ślady zająca z każdą chwilą stają się coraz mniej widoczne.

Spałam bardzo dobrze, już dawno nie wyspałam się tak jak dzisiaj.

Spoglądam na stopy.

Nie mam już na nich opatrunków, ale na bladej skórze nadal widać zadrapania i małe ranki. Paznokcie są sine i popękane, a jeden mały palec jest owinięty plastrem.

Ubieram się i przypatruję się sobie w niedużym lustrze wiszącym na ścianie. Stwierdzam, że przynajmniej się rozpoznaję: rozczochrane włosy, teraz bardziej siwe niż rude, zaczerwienione oczy.

Piegi.

To ja, Hanne.

Jest fotografka, która nazywa się Helene Schmitz. Zdaje się, że to Owe, mój były mąż, zaciągnął mnie kiedyś na jej wystawę. Śledził wszelkie wydarzenia kulturalne, a im bardziej były pretensjonalne i ponure, za tym lepsze je uważał. Wątpię, by autentycznie interesował się kulturą, stanowiła dla niego raczej wyznacznik statusu, dzięki niej czuł się nieco lepszy od innych, podobnie jak to się dzieje z posiadaczami luksusowych samochodów czy drogich ubrań.

Tymczasem zdjęcia Helene Schmitz nie były ani pretensjonalne, ani ponure. Okazały się powalająco ładne i całkiem przyjemne, przez co być może utkwiły mi w pamięci.

Wystawa składająca się z dwóch serii fotografii pokazywała, jak natura przejmuje – albo właściwie odzyskuje – to, co stworzył człowiek.

Jeden cykl składał się ze zdjęć ładnych starych domów w opuszczonej górniczej osadzie na wybrzeżu Namibii. Zabudowania te stopniowo, ale nieuchronnie wypełniały się delikatnym piaskiem nanoszonym przez wiatry. Drugi prezentował, jak japońska roślina o ekspansywnym rozroście, która zaaklimatyzowała się na terenie Stanów Zjednoczonych, zdławiła lokalną florę, opłotła budynki zabójczą zieloną powłoką, doprowadzając nawet do ich zawalenia.

Jak wspomniałam, będąc na wystawie, uważałam, że zdjęcia są ładne i tylko trochę przerażające. Z czasem jednak nabrały dla mnie innego znaczenia.

Teraz mam poczucie, jakbym to ja była tymi ładnymi domkami na wybrzeżu Namibii. A piaskiem jest moja choroba, która powoli, ale nieustępliwie mnie zatapia. Ja to drzewa

i budynki, a roślina kudzu to moja cholerna demencja.

Jestem narratorem, jestem opowiadaniem.

Jestem aparatem fotograficznym, jestem domem.

Jestem przedmiotem i zarazem podmiotem, ponieważ widzę, co się dzieje, ale nie mogę nic na to poradzić.

I każdego dnia, kiedy się budzę, piasek pochłania kolejny fragment mojej rzeczywistości. Pędy kudzu oplatają się wokół jeszcze jednej z moich umiejętności, chcą mi odebrać kolejną część życia.

Przeciągam grzebieniem po włosach, zwilżam usta kremem i idę do kuchni. Staram się nie myśleć o tym wszystkim, czego już nie potrafię.

Berit stoi przy zlewie i zmywa.

Ma zawiązany na biodrach sfatygowany fartuch. Radio gra cicho muzykę taneczną.

Ogień trzaska w piecu, a pośrodku kuchni stoi Joppe i wyczekująco macha ogonem, jakby chciał zwrócić uwagę swojej pani.

– O, dzień dobry! – mówi Berit i uśmiecha się szeroko. – Zjesz śniadanie?

Stawia dzbanek z kawą.

– Chętnie – odpowiadam, siadając na jednym z taboretów przy stole.

Berit podaje mi chleb, ser i masło. A potem nalewa mi kawy.

Za każdym razem, kiedy mnie tak obsługuje, mam wyrzuty sumienia, ponieważ pod wieloma względami jestem od niej znacznie zdrowsza. To znaczy, gdyby nie pamięć. Ale to akurat nie jest przeszkoda, żeby nalać sobie kawy.

Berit siada naprzeciw mnie i znowu się uśmiecha. Jej siwe włosy, ułożone w staranne loki zakręcone na papiloty, przypominają mi moją mamę. W grzywkę ma wpiętą ozdobną spinkę z kwiatkiem.

Robię sobie kanapkę. Kroję grube plastry sera i kładę je na kromkę chleba własnego wypieku.

Jest nam całkiem dobrze, mnie i Berit.

Lubię ją – a zwłaszcza jej bezpretensjonalną, wypełnioną spokojem ciszę. Należy do ludzi, którzy nie muszą koniecznie zagadywać życia. I co najważniejsze: wciąż ją rozpoznaję. Kiedy budzę się rano, pamiętam ją. Nie wiem, czy to oznacza odzyskanie części pamięci krótkotrwałej, czy też po prostu w wyniku długiego i nieprzerwanego kontaktu jej obraz wrył się w mój krnąbrny mózg.

W ciągu dnia nie robimy nic szczególnego.

Berit lubi piec ciasta i robić na drutach, a jeśli pogoda pozwala, chodzimy na długie spacerzy z Joppem.

Bywa, że budzę się w nocy i wołam Petera. Wtedy Berit wstaje, rozpala pod kuchnią i robi herbatę, którą pijemy potem w milczeniu.

Czasami daje mi proszek na sen.

Zaczynam wątpić, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. I przestałam wyczekiwać wizyty Manfreda. Raczej się jej boję, boję się tego, co on mi powie. Bo nie wierzę, że Peter żyje. Z jakiegoś powodu wmówiłam sobie, że gdyby było inaczej, czułabym to – jako wewnętrzną wibrację, jako ciepło gdzieś w piersi albo łaskotanie w okolicy serca.

Choć jednocześnie wiem, że to głupota.

Przecież nie mogę czuć, czy on żyje czy nie.

Przeszkadza mi, że nie pamiętam niczego z czasu spędzonego przez nas tutaj, w Ormbergu, z dochodzenia, w którym uczestniczyłam, i że nie pamiętam też nowo poznanych kolegów.

Ostatnie klarowne wspomnienia mam z Grenlandii. Było nam tam obojgu niesamowicie dobrze.

I chyba nie ma powodu sądzić, że w Ormbergu było inaczej. Że dwa tygodnie w sörmlandzkiej dziurze miałyby to zmienić.

Gdy więc Berit spytała kiedyś o Petera, powiedziałam tylko, że to mężczyzna mojego życia i że jest nam super. Oraz że jestem bardzo szczęśliwa.

Oparłszy się dłońmi o blat stołu, Berit wstaje powoli z taboretu. Nagle zamiera w pół ruchu i wykrzywia twarz.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Uśmiecha się do mnie krzywo.

– Nic mi nie jest.

Podchodzi do Joppego, pochyla się nad nim i drapie kudłatego psa za uchem.

– Przejdę się z nim. Będę za pół godziny.

– Posprzątam – mówię, wkładając ostatni kęs kanapki do ust.

– Nie trzeba, pozmywam, jak wrócę – odpowiada Berit.

– Nie, ja to zrobię.

– Nie musisz.

– To żaden kłopot.

Widzę, że dalej chce protestować, w końcu jednak się powstrzymuje.

– No dobrze – zgadza się, po czym znika w przedpokoju, a Joppe razem z nią.

Zaraz po jej wyjściu podnoszę się od stołu i zaczynam uprzątać po swoim późnym śniadaniu. Potem dokładam kilka szczap drewna do ognia.

Chociaż pada śnieg, dzień jest mroźny. Mimo że Berit wciąż pali w piecu, zimno wnika szczelinami do wnętrza starego domu, a wraz z nim wilgoć, która pozostawia swój oddech na szybach i sprawia, że pościel robi się nieprzyjemnie ciężka.

Z przedpokoju dobiega ciche pukanie.

Początkowo myślę, że jedynie się przesłyszałam, lecz po chwili pukanie się powtarza, tylko tym razem jest mocniejsze. Zdaje się, że ktoś nie zamierza ustąpić.

Składam więc lnianą ścierkę, kładę ją na szafce i idę, żeby otworzyć.

Ogarnia mnie lekki niepokój.

To nie może być Berit, ponieważ dopiero co wyszła. Poza tym ona by nie pukała.

A jeśli to Manfred? Może znaleźli Petera?

Czuję bolesne ukłucie w piersi, nie mam bowiem pewności, czy jestem w stanie przyjąć wiadomość o jego śmierci.

Znowu rozlega się pukanie. Jeszcze bardziej energiczne. Natarczywe.

Wychodzę do przedpokoju, żeby otworzyć.

# Jake

Jest kompletnie ciemno. Jak w grobie.

Staram się nie myśleć o P leżącym w zamrażarce, bo gdyby to wszystko działo się w jednym z filmów, które oglądałem z Sagą, teraz by się tu pojawił. Usłyszałbym chrupot i chrzęst jego zmrożonych na kość nóg i rąk i zobaczyłbym pełznącą powoli na górę postać.

Po omacku obmacuję drzwi dłońmi, ale pod palcami czuję jedynie gładką, chłodną blachę. Od środka nie ma żadnego uchwytu czy klamki.

Doskonale wiem dlaczego – chodziło o to, żeby nikt nie mógł się stąd wydostać.

Nie przypuszczam, żeby Magnus mnie widział, raczej zauważył jedynie, że drzwi są uchylone, i po prostu je zamknął. Teraz jestem uwięziony w jego upiornej piwnicy, w miejscu, gdzie torturował ludzi, gdy tymczasem Magnus i Margareta przygotowują się, żeby zabić Hanne.

A ja w żaden, absolutnie w żaden sposób nie mogę nic zrobić.

W piwnicy nie ma ani okien, ani drzwi – jest tylko to jedno wyjście, ale zablokowane grubymi drzwiami wzmocnionymi blachą. Nie mogę nawet w nie kopać, bo Magnus zaraz by mnie odkrył, a to, co by wtedy nastąpiło, byłoby pewnie jeszcze gorsze od tkwienia w tej ciemności.

Telefon się rozładował, więc nie mogę też do nikogo zadzwonić.

Siadam na najwyższym stopniu schodów i czuję, jak do oczu napływają mi łzy i zaciska mi się gardło.

Tęsknię za mamą. Tak bardzo bym chciał, żeby była blisko; chwilami wydaje mi się, że zaraz wybuchnę.

Uderzam pięścią w drzwi, ale płacz odbiera mi siły. Huk jest większy, niż się spodziewałem. Rozlega się jak uderzenie pioruna w oddali.

Truchleję ze strachu.

A jeśli Magnus to usłyszał, jeśli przyjdzie tu zaraz i wepchnie mnie do zamrażarki razem z P?

Z kuchni dochodzi jakiś odgłos. Coś w rodzaju szurania, a potem słychać kliknięcie w otwieranych drzwiach.

Serce zamiera mi w piersi.

To koniec.

On tutaj jest.

Lecz gdy drzwi się uchylają, widzę za nimi Sagę – nadal w piżamie, ale w narzuconej na

nią puchowej kurtce i ciężkich butach na nogach. Ma śnieg we włosach i zaczerwienione od zimna policzki.

– Co ty tu robisz? – pytam szeptem.

Bierze mnie za rękę i wciąga do kuchni, po czym rozgląda się dookoła.

– Właśnie poszedł – mówi zadyszana. – Jesteśmy tylko my.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

Saga patrzy na mnie z powagą i lekko ściska mi rękę.

– Przecież to było napisane w dzienniku. Kiedy wczoraj rano to przeczytałam, zrozumiałam, że będziesz chciał tu przyjechać. A gdy wieczorem nie mogłam cię złapać, zadzwoniłam do Melindy. Powiedziała, że nie widziała cię od wczoraj. Podobno wysłałaś jej esemesa, że przenocujesz u kolegi. Domyśliłam się, że to nieprawda, bo...

Saga urywa, ale ja wiem, co chciała powiedzieć...

Nie mam nikogo poza nią, żadnych kolegów ani przyjaciół. Skoro więc nie byłam u niej, wiadomo, że kłamałam.

– Swoją drogą, gdzie dzisiaj spałeś? – pyta z zaciekawioną miną.

– W fabryce.

– Tak czy inaczej, postanowiłam dostać się tutaj i sprawdzić. Musiałam potwornie długo czekać w lesie, dopóki Magnus nie zniknie, i dopiero wtedy zdecydowałam się wejść.

– Znalazłaś klucze?

Saga kiwa głową, wymownie wywracając oczami.

– Pod doniczką. Ludzie są żałośnie przewidywalni. Z wyjątkiem nas, piekielnie przebiegłych.

Uśmiecha się nieznacznie, choć w gruncie rzeczy nie wygląda na zadowoloną.

– Musimy się pospieszyć. Oni zamierzają zabić Hanne.

– Co? Jacy oni?

– Magnus i Margareta. To oni więzili w piwnicy kobietę znaną przy kopcu i oni zabili tamtego policjanta. Leży na dole w zamrażarce.

Saga szeroko otwiera oczy.

– Serio? Tutaj? W piwnicy?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Widziałaś go? – szepcze.

Znowu kiwam głową.

– O kurwa. I co, jak wyglądał?

Zastanawiam się.

– Pamiętasz film o zombie na biegunie północnym? Wyglądał dokładnie jak oni. Miał szron na skórze i...

Milknę, ponieważ widzę przerażenie na jej twarzy.

– Musimy się pospieszyć – powtarzam. – Pojadę ostrzec Hanne. Mogłabyś zadzwonić na

policję i powiedzieć im, żeby pojechali na kopiec?

Saga z przejęciem kiwa głową.

– Komórkę mam rozładowaną, ale skoczę do domu i zadzwonię stamtąd. Anonimowo. –  
Po chwili dodaje: – Przecież nie muszę nic mówić o tobie ani o dzienniku.



# Malin

Zajeżdżamy przed domek Berit. Gdy podchodzimy do wejścia, śnieg wali niemiłosiernie.

Przystrojony białym puchem krajobraz jest tak piękny i doskonały, jak to tylko możliwe tutaj, w Ormbergu.

Andreas prowadził całą drogę jak szalony, a ja siedziałam na fotelu obok z sercem w gardle. Lecz im bardziej oddalaliśmy się od Örebro, tym bardziej naciągana wydawała mi się wersja, że Berit mogła mieć coś wspólnego z morderstwami, nawet jeśli istnieją okoliczności, których nie umiem wyjaśnić.

Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, aby ta łagodna, nie do końca sprawna kobieta była zdolna kogoś zabić. Zaczynam się wręcz skłaniać ku przypuszczeniu, że podejrzanymi mogą być Rut i Gunnar Stenowie.

Suzette i Malik pojechali sprawdzić swoje źródła.

Stefan Olsson mówił prawdę.

Jego przyjaciel Olle, lekko przyciśnięty, przyznał, że obaj wielokrotnie podkładali ogień w 1993 roku na podwórzu ośrodka dla uchodźców. Na pytanie, dlaczego to robili, odpowiedział jedynie, że „byli młodzi i cholernie głupi”. Potwierdził także, że to oni dwaj zawiesili łeb świni na drzewie przed ośrodkiem, i nazwał to „kawałem”.

Stefan został natychmiast zwolniony. Niewątpliwie dopuścił się wykroczeń, nie na tyle jednak poważnych, by zasługiwał na więzienie.

Andreas zatrzymuje się nieoczekiwanie.

– Co to jest? – rzuca, wskazując na las po drugiej stronie pola.

Spoglądam w tamtym kierunku i widzę, że coś rusza się między drzewami, ale przez padający śnieg trudno jest rozpoznać, co to.

– Chyba ktoś idzie przez las – mówię.

Oboje wyteżamy wzrok, lecz cokolwiek widzieliśmy jeszcze przed chwilą, teraz to zniknęło. Ruszamy więc do wejścia.

Wchodzimy na schodki i pukamy do drzwi.

Otwierają się niemal natychmiast.

Berit ma zaczerwienione policzki i rozbiegane spojrzenie. Spinka z kwiatkiem zwisa z jej grzywki jak kolorowa mucha.

– Hanne zniknęła! – rzuca, zanim udaje nam się cokolwiek powiedzieć. – Wyszłam z psem, a kiedy wróciłam, już jej nie było.

Berit zasłania sobie ręką usta i mocno zaciska powieki. Przez moment wydaje mi się, że zaraz wybuchnie płaczem, potem jednak nabiera głęboko powietrza i patrzy na mnie.

– Spokojnie – mówię do niej. – Kiedy wróciłaś do domu?

Zerkam do przedpokoju. Para butów stoi na środku podłogi, a obok leży ciśnięta kurtka.

– Kilka minut temu. Ale nigdzie jej nie ma. Przeszukałam cały dom.

– Możemy wejść? – pyta Andreas.

Berit cofa się nieco, pozwalając nam przekroczyć próg.

– Przepraszam – bąka, po czym ustawia porządnie buty i wiesza kurtkę na wieszaku.

Wspólnie sprawdzamy cały mały dom.

– Możemy zajrzeć do piwnicy? – pytam.

– Jasne – odpowiada Berit, marszcząc brwi. – Ale dlaczego miałyby tam być?

Odsuwa się na bok w wąskim przedpokoju i otwiera niskie drzwi. Uchylają się ze skrzypnięciem.

Zapalam światło i patrzę w dół. Pomalowane na niebiesko ściany zapełniają półki zastawione słoikami przetworów i torebkami z nasionami. Przy schodach stoi worek ziemniaków.

Oprócz tego nic tam nie ma. Na pierwszy rzut oka widać, że zdjęcie z komórki Petera nie było zrobione tutaj.

Andreas wchodzi do kuchni i zbliża się do okna.

– Czy za polem od razu zaczyna się las? – pyta.

Berit kręci z niedowierzaniem głową.

– Myślicie, że jest w lesie? A po co, na litość boską, miałyby do niego iść?

– Kiedy tu przyjechaliśmy, zauważyliśmy tam kogoś – wyjaśniam. – A dokładnie przy tamtym przewróconym drzewie. Zdaje się, że ktoś rzeczywiście szedł przez pole.

– Chodzę po nim na okrągło tam i z powrotem – prycha Berit, ale mimo wszystko pochyła się ku szybie i wygląda przez nią.

Zadrapania na jej przedramionach prawie już się zagoiły – zaczerwienienia poblądły, a strupy odpadły, odsłaniając cienką, delikatną skórę.

Widząc, że patrzę na jej ręce, Berit kiwa głową i wyjaśnia:

– Krzaki róż. Nigdy nie nauczę się na nie uważać.

Następnie spogląda znowu w stronę skraju lasu i wytęża wzrok, marszcząc brwi.

– Mówisz, że przy przewróconym drzewie?

– Tak – potwierdzam.

– Tamtędy dochodzi się do starej fabryki – bąka. – Albo do kopca, zależy, którądy się pójdzie.

# Hanne

**B**niemy przez śnieg, zbliżając się do skraju lasu. Gdy wchodzimy w cień wysokich świerków, robi się niemal ciemno.

Wśród drzew zalega osobliwa cisza, jakby padający śnieg tłumił wszelkie dźwięki.

Kobieta idąca przede mną jest niedużego wzrostu; lekko pochylona szybko posuwa się naprzód. Przebiera chudymi nogami po głębokim śniegu z równą łatwością, jakby szła spacerem przez letnią łąkę.

Nie przypominam sobie, bym spotkała ją wcześniej, ale przecież nie mogę mieć pewności. Bo trudno na mnie polegać.

Jest ubrana w pikowaną kurtkę i ocieplane spodnie. Cienkie kosmyki brązowych włosów wystają spod wełnianej czapki w serduszka.

Przedstawiła się jako Margareta, po czym powiedziała, że Peter jest ranny i że muszę z nią zaraz pójść. Do Berit zadzwonimy później, obiecała; miała ze sobą komórkę.

– Gdzie on jest? – sapię, próbując ją dogonić.

Margareta przystaje i czeka na mnie.

– Przy gorze – mówi i patrzy z powagą. – Są tam też pani koledzy.

Las gęstnieje. Świerki zdają się przysuwać do siebie, jakby nie chciały nas przepuścić. Jakby sam las próbował przeszkodzić nam w dalszym marszu.

– W jakim jest stanie?

Margareta przestępuje z nogi na nogę i wyraźnie się niecierpliwi.

– Mówiłam już, że nie wiem dokładnie. Ale nie ma co zwlekać. – Rozgląda się dookoła, następnie podnosi głowę i mrużąc oczy, patrzy na wąską smugę ciemnoszarego nieba prześwitującą między wierzchołkami drzew. – Lepiej się pospieszmy.

Odwraca się i znowu rusza przed siebie.

Jej zachowanie wydaje mi się trochę dziwne. Właściwie dlaczego to ona przyszła po mnie, a nie któryś z moich kolegów? Dlaczego idziemy przez las, zamiast jechać samochodem? I dlaczego nie mogliśmy poczekać na Berit? Przecież spacer z Joppem nie zajmuje jej wiele czasu, mimo że jest stara i kulawa.

– Jak się pani nazywa, może mi pani przypomnieć? – pytam, przyspieszając kroku, aby nadążyć za nią, co nie jest wcale łatwe, ponieważ śnieg sięgający do kolan jest ciężki. Z wysiłku pieką mnie nogi.

– Margareta Brundin – mówi, idąc wciąż dalej.

– Pani jest stąd? Z Ormbergu?

Zatrzymuje się i odwraca do mnie. Pierwszy raz uśmiecha się nieznacznie. Wokół jej oczu rozlewa się siateczka głębokich zmarszczek, a przez twarz przemyka cień miłości.

– Spędziłam tu całe życie. Nie ma lepszego miejsca.

– Współpracuje pani z policją?

Margareta wybucha głośnym śmiechem i zdejmuje rękawiczkę. Następnie sięga do kieszeni i wydobywa z niej paczkę papierosów. Zapala jednego, zaciągając się głęboko.

– Ja, z policją? – Znowu się śmieje, ale po chwili śmiech przechodzi w charczący kaszel. – Nie, broń Boże – odpowiada i odchrząkuje głośno. – Już dawno nie pracuję. Kiedyś byłam położną. Ale moja bratanica Malin jest policjantką. Chyba pani ją zna.

Nic nie mówię, na co przekrzywia nieco głowę i przygląda mi się uważnie.

– Nie pamięta jej pani?

– Nie – potwierdzam ze wstydem, jakbym to ja wybrała chorobę, a nie ona mnie.

Margareta wzrusza ramionami i spogląda na białe płatki padające z nieba. Potem gasi papierosa w śniegu i wkłada rękawiczkę.

– Lepiej już chodźmy – rzuca.

Idziemy kilkaset metrów w milczeniu. Gęstwina się przerzedza, tu i ówdzie wystają z ziemi pniaki potwierdzające wycinkę lasu. Teren robi się bardziej pagórkowaty i trudniej dostępny, jesteśmy zmuszone obchodzić duże skalne bloki i omijać powalone drzewa.

Niedługo potem docieramy do drogi.

– Jesteśmy prawie na miejscu – mówi Margareta. – Trzeba tylko przejść przez drogę i jeszcze kawałek.

Wskazuje na świerki po jej drugiej stronie.

– Jak jeszcze daleko?

– Całkiem blisko – odpowiada i robi duży krok nad rowem przysypanym śniegiem.

Idę za nią, ale nadal czuję się nieswojo. Czy znowu mamy wejść w las?

Zimno wciska się pod cienką czapkę, uszy mam jak kawałki lodu. Spodnie są sztywne od śniegu i wilgotne aż do kolan.

Przez sekundę zastanawiam się, czy się nie zatrzymać i zostać tutaj, w świetle, na jako tako odśnieżonej drodze. Ale zaraz przypominam sobie Petera. Jeśli jest gdzieś w lesie i leży ranny w którejś chacie? Sam, chory i niezdolny wydostać się stąd o własnych siłach.

Margareta znika między dwoma świerkami, a ja ruszam za nią.

Peter żyje, myślę. Na pewno.

Czy inaczej posyłałoby po mnie tę kobietę?

Ukształtowanie terenu znowu się zmienia. Zaczynamy wspinać się pod górę. Początkowo nachylenie wydaje się nieduże, lecz stopniowo robi się coraz bardziej stromo. Chwytam się gałęzi i niskich drzew, aby się nie zsunąć. Całe kawały śniegu spadają mi prosto na twarz i za kołnierz. Ale Margareta niezmordowanie pnie się coraz wyżej, jak niestrudzona i zwinna kozica.

Kiedy oglądam się przez ramię, jestem zaskoczona.

Pod nami rozpościera się na pozór niemający końca, przysypany śniegiem las – musiałyśmy zejść o wiele dalej i wdrapać się znacznie wyżej, niż sądziłam. W oddali dostrzegam zarys wieży kościoła, ale gęsty śnieg rozmywa horyzont i spowija krajobraz w białej mgle.

– Niech pani poczeka! – wołam.

Margareta przystaje, odwraca się, a następnie zaczyna schodzić przez zaspy w moją stronę.

– No co?

– Muszę odpocząć. Nie dam rady iść tak szybko.

– Zaraz będziemy na miejscu. Idziemy!

Stopy mi zdrętwiały – są sztywne z zimna, prawie ich nie czuję, mimo to wykonuję jej polecenie i ruszam pod górę.

Tu i ówdzie zauważam ślady butów przecinające zbocze – może policja przetrząsała okolice w poszukiwaniu Petera?

Wkrótce docieramy do niedużego wypłaszczenia, kawałka ziemi pokrytego śniegiem i otoczonego niskimi drzewami i zaroślami. Po prawej dostrzegam skupisko wysokich kamieni ułożonych w kształcie koła.

Margareta staje na krawędzi występu, nic nie mówiąc. Z rękami zwisającymi wzdłuż boków patrzy na las pod sobą. Potem odwraca się powoli do mnie. Para z jej ust zamienia się w małe obłoczki przesłaniające jej oczy.

– Spójrz, jak tu pięknie – mówi nieoczekiwanie łagodnie i kładzie mi dłoń na ramieniu.

# Jake

Idę pod górę. Jest stromo, muszę przytrzymywać się krzaków i konarów, żeby się nie przewrócić. Ale za każdym razem, kiedy chwytam jakąś gałąź, cały obłok śniegu ląduje mi na twarzy.

Czuję się tak, jakby las kpił sobie ze mnie, jakby nie chciał mnie wypuścić. Za każdym razem, kiedy podnoszę głowę wyżej, odzywa się ból i zbiera mi się na wymioty. Przez chwilę bałem się nawet, że może zrobił mi się taki sam krwiak, od którego umarła babcia, ale potem powiedziałem sobie, że to niemożliwe. Babcia miała prawie osiemdziesiąt lat i bez przerwy chorowała.

Margareta i Hanne są może jakieś pięćdziesiąt metrów nade mną. W gęstym śniegu, który wciąż pada, wyglądają jak dwie rozmyte postacie z kreskówki.

Idę za nimi przez cały czas aż od chaty Berit.

Kiedy tylko tam dojechałem i zostawiłem motorower w lesie, zobaczyłem, że Berit wychodzi na spacer ze swoim kulawym psem. Nie zdążyłem jednak ostrzec Hanne, ponieważ nagle pojawiła się Margareta, podeszła do domku i zapukała do drzwi.

Musiała stać gdzieś ukryta i czekać, aż Berit pójdzie z psem. Jak wilk czyhający na ofiarę.

Miałem nadzieję, że zdążę przed nią, ale niestety nie udało się i teraz muszę iść za nimi. Przez moment zastanawiałem się, czy nie wziąć motoroweru, żeby być pierwszy przy kopcu, ale się na to nie odważyłem.

Przecież Margareta może spróbować zabić Hanne, zanim dotrą na miejsce.

Jeśli będę miał szczęście, policja pojawi się w samą porę. Saga miała zadzwonić, gdy tylko wróci do domu.

Spoglądam w górę na ludziki, którymi są Margareta i Hanne.

Nie rozumiem, jak mogą iść tak szybko, przecież obie są potwornie stare.

Tata mówi, że jak człowiek się starzeje, to wszystko zaczyna szwankować. Wysiada słuch, wzrok, pamięć – stopniowo, jakby w zwolnionym tempie. Czasami nawet tak wolno, że trudno to zauważyć.

Z mamą było inaczej.

Zachorowała i niedługo potem umarła, chociaż nie była stara. Mimo że Hadiya, lekarka o ładnych cyckach, wpompowała w nią mnóstwo trucizny, która miała zabić raka.

To trudne do zrozumienia, ale przede wszystkim niesprawiedliwe, że takie staruszki jak Berit i Margareta żyją dalej, a moja mama leży już w grobie.

Nade mną słychać trzask gałęzi, a potem rozlega się wołanie.

Przystaję, wstrzymuję oddech. Patrząc w górę i nagle ogarnia mnie lęk, że Hanne zaraz stoczy się po zboczu jak gigantyczna kula śnieżna.

Ale nic się nie dzieje.

Hanne nie spada.

Wspinam się dalej. Stawiam krok za krokiem, jeden za drugim, mimo że jestem tak głodny i zmęczony, że najchętniej położyłbym się na śniegu i zasnął.

Oczywiście wiem, że nie wolno robić takich rzeczy. Zimno jest zdradliwe, może pomieszać człowiekowi w głowie, podszeptując, żeby się położył i odpoczął chwilę – a potem, bach, delikwent jest martwy i sztywny jak bałwan.

Dokładnie jak P.

Staram się nie myśleć o ciele w zamrażarce, omijam ośnieżoną gałąź i znowu spoglądam w górę.

Po co Margareta ciągnie tutaj Hanne? Przecież istnieje tyle lepszych miejsc, w których można kogoś uśmiercić. I bardziej dostępnych.

Zwłaszcza kiedy jest się w podeszłym wieku.

Na Ormberget trudno się wchodzi nawet latem. Ostatniej jesieni wdrapałem się na nią kilka razy razem z Sagą. Siedzieliśmy na trawie nad urwiskiem, jedliśmy słodczyce i patrzyliśmy na okolicę.

Wieś wygląda z góry wyjątkowo ładnie, niemal jak na widokówce. Z daleka nie widać nic brzydkiego ani zrujnowanego, o czym Hanne ciągle mówi w swoim dzienniku. Rozpadające się domy, pobazgrane mury i rdzewiejące wraki samochodów ulegają zamazaniu, jakby Melinda jednym ze swoich puszystych pędzelków pociągnęła po całym Ormbergu.

Zadzieram głowę.

Hanne zatrzymała się na występie przed urwiskiem, po lewej stronie, ale Margarety nie widzę, musiała pójść dalej.

Pójść dalej? Przecież dalej jest tylko przepaść.

Nagle wszystko rozumiem.

Już wiem, po co Margareta zaciągnęła Hanne na sam czubek. I dlaczego zrobiła to akurat dziś, kiedy pada gęsty śnieg.

Przypominam sobie słowa Magnusa: „W tygodniu pewnie spadnie jeszcze więcej śniegu. Koniecznie musimy zrobić to dzisiaj?”.

Oglądam się za siebie.

Tak. Śnieg zasypie ślady Margarety. Moje też już prawie zniknęły pod białym puchem.

Przyspieszam, niemal biegnę po zboczu. Ale stopy ślizgają mi się zdradliwie i nagle padam jak długi. Uderzam głową o ziemię i trafiam twarzą na coś ostrego. Toczę się bezwładnie po stromiźnie, aż w końcu udaje mi się chwycić jakiejś gałęzi i zatrzymać. Podnoszę się i otrzepuję ze śniegu.

Zdejmuję rękawice i dotykam lodowatego, zdrętwiałego policzka. Wyczuwam rozcięcie.

Po twarzy spływa mi coś ciepłego i lepkiego.

Krew.

To tylko małe zadrapanie, wmawiam sobie. To drobiazg w porównaniu z tym, co może spotkać Hanne, jeśli Margareta przeprowadzi swój plan.

Ruszam po głębokim śniegu w górę i wreszcie docieram do występu. Serce wali mi w piersi jak oszalałe i ciężko dyszę z wysiłku, gdy przykucam za jakimś krzakiem i ostrożnie wyglądam zza niego.

Sylwetki Hanne i Margarety rysują się na tle jasnego nieba. Stoją na skraju urwiska i wyglądają tak, jakby patrzyły na wieś. Na pozór nic złego się nie dzieje. Dłoń Margarety spoczywa na ramieniu Hanne, jakby chciała ją ochronić, a przecież jej zamiary są wręcz przeciwne.

Bo jest obłąkaną morderczynią.

Krew kapie na śnieg przede mną, ale nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Myślę jedynie o Hanne. Nic nie może się jej stać – nie tylko dlatego, że za nią odpowiadam, lecz także z tego powodu, że jest moim przyjacielem, chociaż o tym nie wie. To, co napisała w dzienniku, było ważniejsze i bardziej szczere niż wszystko, co kiedykolwiek powiedział mi ktoś dorosły. I chociaż zezłościłem się na nią za to, jak przedstawiła w nim tatę, nie żałuję, że go przeczytałem.

*Proszę cię, cofnij się, myślę. Nie podchodź tak blisko przepaści.*

Ale Hanne stoi obok Margarety i nic nie pamięta, nic nie rozumie. Nie domyśla się, że to babsko zamierza ją popchnąć, gdy tylko nadarzy się okazja.

Tylko ja ją mogę powstrzymać.

Wstaję i zaczynam iść w ich stronę. Śnieg tłumi moje kroki, dzięki czemu chyba nie słyszą, że zbliżam się od tyłu.

W końcu jestem tak blisko, że widzę rozpościerającą się w dole wieś. Dostrzegam wieżę kościoła i smugi dymu wijące się tu i ówdzie nad ukrytymi między drzewami domami.

Mogę ich niemal dotknąć. Ramienia Hanne albo idiotycznej czapki w serduszka Margarety.

Nagle coś we mnie tężeje albo nawet zamienia się w lód. Strach i przerażenie znikają, zamieniają się w stanowczość i siłę.

Nie zamierzam pozwolić, aby Hanne zginęła.

– Hanne – odzywam się.



# Hanne

**K**toś wypowiada moje imię.

W pierwszej chwili myślę, że się przesłyszałam, że ten głos to tylko wytwór mojego chorego umysłu. Bo niby skąd nagle ktoś miałby wołać mnie tutaj, na tej górze?

Ale kobieta, która jest ze mną i której imię już zapomniałam, odwraca się błyskawicznie. Robię to samo, chociaż znacznie wolniej, ponieważ nogi i plecy bolą mnie strasznie po długim wspinaniu się na szczyt.

Na śniegu stoi chłopiec.

W jego twarzy jest coś dziwnie znajomego. Miękki łuk górnej wargi i intensywne, ciemne spojrzenie. I ten głos – chociaż jest jasny, ma głębokie brzmienie, prawie jak u śpiewaka.

Może mieć jakieś piętnaście lat, jest ubrany w zniszczoną puchową kurtkę, czapkę i dżinsy pokryte zlodowaciałym śniegiem aż po uda. Spod kurtki wystaje długi różowy ciepły sweter; nadpruta nitka zwisa do samej ziemi. Na jednym policzku ma otwartą ranę, krew spływa mu aż na brodę.

Spoglądam na kobietę, na jej drobne ciało, zaczerwienione policzki i małe czarne oczy, teraz szeroko otwarte ze zdziwienia.

– Jake Olsson... Co ty tutaj robisz, na litość boską? – pyta. – Czy twój ojciec wie, gdzie jesteś?

– Chodź, Hanne! – mówi chłopiec ze wzrokiem utkwionym we mnie. – Musimy stąd iść.

– Ona nigdzie nie pójdzie – oznajmia kobieta. – Za to ty masz mi stąd zaraz zniknąć. Wracaj do domu do swojego taty! Potrzebuje i ciebie, i twojej siostry.

Chłopiec o imieniu Jake robi krok do przodu, a gdy chwyta mnie za rękę, kobieta mocniej ściska mi ramię. Jego duże ciemne oczy pałają niezłomnością i nieustępliwie wpatrują się we mnie.

– Ona chce zepchnąć cię w przepaść – mówi zdyszany, wskazując głową na kobietę.

– Nigdy nie słyszałam czegoś równie idiotycznego – odpowiada ona, zasłaniając sobie wolną dłonią usta, jakby chciała dodatkowo podkreślić, jak bardzo jest zszokowana.

– Chce pani zepchnąć ją w przepaść, bo boi się pani, że ona w końcu odzyska pamięć i przypomni sobie, że razem z Magnusem zabiliście tamtego policjanta, Petera. I że więziliście w piwnicy kobietę z długimi włosami.

Kiedy chłopiec mówi o Peterze, nogi niemal uginają się pode mną. Ale dzięki jego pomocy udaje mi się nie osunąć na ziemię.

– Peter nie żyje? – pytam szeptem, a moje słowa od razu zanikają między drzewami.

Jakby nawet las nie chciał ich słyszeć.

Chłopiec kiwa głową.

– Niech pani nie wierzy temu... temu... – mówi cicho kobieta i patrząc na chłopca, spluwa na śnieg. – Od małego tylko stwarza problemy. Jego matka tak bardzo się o niego martwiła, że wreszcie biedaczka umarła ze zgrzyoty. Idziemy, Hanne. Musimy dotrzeć do Petera. Nie zostało nam dużo czasu.

– Niech jej pani nie wierzy – rzuca chłopiec. – Ona kłamie. To morderczyni.

Kobieta wybucha głośnym śmiechem.

– Rany boskie, Jake! Muszę przyznać, że czego jak czego, ale fantazji to ci nie brakuje. Po kim ją odziedziczyłeś? Chyba nie po swoim tatusiu pijaku. To raczej pewne.

Nie wiem, komu mam wierzyć. Sytuacja jest absurdalna: stoję na górze w środku lasu, w śniegu po kolana, obok mnie dwie osoby, których w ogóle nie znam.

Opowieść chłopca brzmi mało prawdopodobnie. Ale z drugiej strony przecież nie mam pojęcia, co stało się z Peterem. Mogło przydarzyć mu się wszystko.

Ale zamordowany?

Nie, to niemożliwe. Gdyby coś takiego się stało, na pewno bym pamiętała. Wryłby mi się w pamięć przynajmniej jakiś jeden obraz. Bo przecież tak tragiczne zdarzenie nie może pozostać niezauważone?

Spoglądam na kobietę i spotykam jej spojrzenie.

Właściwie po co przyprowadziła mnie na tę górę, na skraj urwiska? Może jednak wersja chłopca wcale nie jest do końca absurdalna?

Kobieta powoli kiwa ku mnie głową.

– Hanne – odzywa się łagodnym głosem, jakby zwracała się do dziecka. – Przecież chyba sama pani słyszy, że to kompletna bzdura.

Chłopiec ciągnie mnie za jedno ramię, a ona za drugie.

Szarpią mną oboje, przeciągając mnie po śniegu każde w swoją stronę.

Powoli zbliżamy się do skraju przepaści.

# Malin

**I** dąc po śladach, docieramy do kopca dopiero po godzinie. Droga nie była długa, ale z powodu głębokiego śniegu i wielu powalonych drzew pokonanie każdego metra wymagało podwójnego wysiłku, każdy krok wywoływał ból w biodrach.

Na polanie jest pusto i cicho. W słabym wietrze łopocze biało-niebieska taśma zabezpieczająca. Śnieg jest zdeptany we wszystkich kierunkach.

– Nie sposób się dopatrzeć właściwych śladów – zauważa Andreas. – Chodziło tu za dużo ludzi. A teraz jeszcze wszystko zasypie świeży śnieg.

Wiodę wzrokiem po odciskach stóp policjantów, techników i gapiów, po czym zgarniam warstwę białego puchu z jednego z kamieni na kopcu i na nim przysiadam. Nogi bolą mnie po intensywnym marszu.

– Dokąd poszli według ciebie?

Używam liczby mnogiej, ponieważ razem z Andreasem szybko stwierdziliśmy, że Hanne nie jest w lesie sama – w śniegu były widoczne odciski butów co najmniej dwóch osób, a może i trzech.

Andreas podchodzi do mnie, pochyla się i opiera dłonie na kolanach, następnie rozgląda się dookoła. Z jego ust wydobywają się obłoczki pary, a na zaroście utworzyły się drobne bryłki lodu.

– Nie mam pojęcia – odpowiada.

Mroźne powietrze wpełza pod kurtkę. Dopóki się ruszałam, było mi ciepło, teraz jednak dygoczę z zimna. Czuję pod grubym swetrem chłodny pot na plecach, a kamień, na którym siedzę, wydaje się wręcz lodowaty.

Ormberget wznosi się za nami niczym ponury olbrzym. Gdzieś słychać trzask gałęzi, może to jeleń albo łos.

Jak zawsze, gdy tu przychodzę, nie mogę opędzić się od myśli o szkielecie, który kiedyś znaleźliśmy. Przypominam sobie, jak w wakacje przesiadywałam w tym miejscu z kolegami, popijając z nimi piwo i czekając na upiorka – który nigdy się nie pokazał. Myślę o przyjaciółkach mieszkających teraz w Sztokholmie, Katrineholmie czy Örebro.

I o Kennym. On wyjechał dużo dalej niż reszta.

Taki właśnie jest Ormberg – pełen rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły, i ludzi, którzy stąd zniknęli.

Widzę przed oczami przysadzistą postać mamy.

Co kazało jej tutaj zostać? Dlaczego nie wyjechała jak inni? To, że Margareta i Magnus

się stąd nie ruszyli, jest już bardziej zrozumiałe – oni dwoje, tak cholernie dziwni, nigdzie indziej by nie pasowali. Ale mama mogłaby stworzyć sobie całkiem dobre życie w Sztokholmie.

Wcale nie musiała gnić w Ormbergu.

Z lasu dobiega przytłumiony huk.

– Co to było? – pytam, wpatrując się między ośnieżone pnie świerków.

Znowu jest cicho i spokojnie, nie drgnie nawet jedna gałąź. Nie widać ani ludzi, ani zwierząt.

Andreas wzrusza ramionami.

– Może jeleni chodzi niedaleko.

Spoglądam na niego kątem oka.

Nie rozmawialiśmy o tym, co wydarzyło się między nami. Nie mam pojęcia, co czuje, a przede wszystkim nie wiem, co sama czuję. Jestem pewna jedynie tego, że ślubu z Maxem nie będzie i o dziwo, wcale mnie to nie smuci.

Wszystko przez powrót do Ormbergu.

Z tym miejscem wiąże się tyle wspomnień, tyle rzeczy kojarzy mi się tutaj z tym wszystkim, czego chciałam w życiu uniknąć. A jednak to właśnie Ormberg pozwolił mi spojrzeć na Maxa z właściwej perspektywy. Im dłużej tu przebywam, tym mocniej jestem przekonana, że nie chcę wyjść za niego za mąż.

Teraz nie wiem nawet, czy nadal chcę się przenieść do Sztokholmu. Mam poczucie, że to zbyt daleko od mamy. Przez ostatnie tygodnie bowiem uświadomiłam sobie, że na pewno chcę być blisko niej.

A studia i zostanie prawniczką – czy rzeczywiście muszę to robić? Przecież lubię być policjantką.

Gdy podnoszę się z kamienia, dzwoni moja komórka.

Zdejmuję rękawiczki i sięgam do kieszeni. Dłonie mam tak skostniałe, że ledwie jestem w stanie przycisnąć właściwy klawisz.

To Manfred.

– Znaleźliście Hanne?

– Nie. Ślady prowadziły do kopca, tak jak przypuszczaliśmy. Ale przy nim jest tyle innych śladów, że nie sposób stwierdzić, dokąd poszli dalej. Na dodatek znowu zaczęło padać.

– Okej. Podobno ktoś zadzwonił z informacją, że przy kopcu ma dojść do kolejnego morderstwa.

– Co takiego? Teraz?

– Tak, przed chwilą.

– Kto to był? – dopytuję.

– On albo ona nie chciała podać nazwiska, ale według funkcjonariusza, który odebrał telefon, to mogło być dziecko, czyli nie da się wykluczyć głupiego kawału. Tak czy siak,

jedziemy do was. Na wszelki wypadek miejcie oczy otwarte, okej?

– Jasne. Na razie jest tu całkiem spokojnie.

– No tak, rozumiem.

Manfred wydaje się rozkojarzony, jakby myślał zupełnie o czymś innym.

– Jest jeszcze jedna sprawa – mówi po chwili. – Ten naszyjnik, który nosiła Hanne, medalion Azry, z puklem włosów w środku.

– Tak?

– Dotykałaś go? To znaczy włosów?

Zastanawiam się i przypominam sobie, jak siedziałam razem z Andreasem w samochodzie przed domem Berit. Medalion leżał otwarty niczym złota muszla na jego dłoni, a ja przesunęłam palcem po ciemnym kosmyku.

– Tak, chyba dotykałam – odpowiadam. – Chciałam wiedzieć, co to.

Odwracam się w stronę Andreasa, który jest wyraźnie ciekaw, o co chodzi. Daję mu znak ręką, aby zaczekał.

– A kiedy znaleźliśmy Azrę przy kopcu, wtedy pobrali ci wymaz?

– Tak. Chyba tak. Dlaczego o to pytasz?

– Zostawmy to na później – odpowiada Manfred. – Zadzwonili do mnie technicy i chcieli wiedzieć... Wyjaśnię ci, jak się zobaczymy. Wyszło jakieś wariactwo.

– Okej, wobec tego czekamy przy kopcu – mówię.

– Będziemy niedługo.

Rozłączam się i wkładam komórkę z powrotem do kieszeni, następnie wciągam rękawiczki i spoglądam na Andreasa.

– No co? – rzuca niecierpliwie.

– Zadzwońło jakieś dziecko i powiedziało, że w tym miejscu planowane jest kolejne morderstwo. Manfred będzie tu za kwadrans.

– Okej. I co jeszcze? Powiedziałaś mu, że czegoś dotykałaś.

– A, o to ci chodzi. Manfred pytał, czy dotykałam włosów Azry w medalionie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Podobno dzwonili do niego technicy i zadali mu takie pytanie.

– Ciekawe – bąka Andreas, marszcząc brwi i poprawiając sobie czapkę.

Znowu rozlega się głucho uderzenie. Oboje odwracamy się jednocześnie.

Gdzieś daleko słyhać głosy, ale tak wątle, że można uznać je za złudzenie. Odnoszę wrażenie, że dobiegają ze szczytu góry. A jednocześnie od innej strony rozlega się trzask gałęzi.

Andreas przykuca i mówi szeptem:

– Cholera, tam ktoś jest.

Ma rację. Ktoś albo kilka osób znajduje się na Ormberget. I ktoś inny idzie prosto w naszym kierunku od drogi.

Przykucam obok niego, mając nadzieję, że nieduże obsypane śniegiem krzaki skutecznie nas zasłaniają. Opieram się dłonią o jego plecy.

Głosy z góry słyhać coraz wyraźniej. Wygląda na to, że rozmawiają ze sobą dwie osoby. A ktoś idący od drogi jest coraz bliżej.

Mocno ściskam ramię Andreasa. Kilka sekund później dostrzegam między gałęziami czyjąś postać.

Jakiś potężny mężczyzna idzie pochylony, porusza się powoli i ociężale, trzyma coś w ręce, ale nie mogę rozpoznać, co to.

Wstrzymuję oddech i mrugam gorączkowo.

To Magnus.

Magnus Moszna. Mój kuzyn.

# Hanne

Zaledwie kilka centymetrów od moich stóp rozpościera się przepaść.

Chociaż staram się nie spoglądać w dół, kątem oka daleko, daleko pode mną dostrzegam ziemię. Drzewa i krzewy wydają się tak małe, jakbym patrzyła na krajobraz w miniaturze, taki sam, jakim kiedyś otaczano dawne kolejki do zabawy.

– Czytałem twój dziennik – mówi chłopiec, ciągnąc mnie za ramię.

– Słucham?

– Znalazłem go w lesie.

– Bzdura – prycha kobieta i szarpie mnie tak mocno, że wszyscy troje się chwiejemy, a ja chcąc nie chcąc, robię kolejny krok w stronę urwiska.

Chłopiec nie daje za wygraną.

– Wiem wszystko o pani i o Peterze. Na przykład, że byliście u Inuitów na Grenlandii. I że Peter i pani macie kolegę Manfreda, który opycha się drożdżówkami, chociaż jest gruby i zdaniem Petera powinien się odchudzić. Poza tym nauczyłem się z tego dziennika dużo nowych słów, takich jak anomalia, fetyszysta i schizofrenik.

Odwracam się w jego stronę i przyglądam mu się uważnie. Gdy grzbietem rękawiczki ociera sobie krew z twarzy, na brzegu głębokiej rany zostaje trochę śniegu.

Czy to możliwe? Czy ten chłopak mógł znaleźć mój dziennik w lesie?

Chyba jednak tak. Bo skąd wiedziałby to wszystko o Peterze i Manfredzie? I o naszej podróży na Grenlandię?

– A pani młody labrador, Ajax, wszedł na lód i utonął – dodaje jeszcze. – O nim też czytałem.

Ziemia chwieje mi się pod stopami.

Ajax?

Tak, ten dzieciak musiał czytać mój dziennik.

– Skąd wiesz, co stało się z Peterem? – pytam.

– Bo napisała pani w dzienniku, że w kuchni Magnusa znaleźliście ukryte drzwi. Pojechałem tam. Te drzwi prowadzą do piwnicy. Tam zabito Petera... – Chłopiec mruga nerwowo i robi strapioną minę. – Znalazłem go – dodaje, zniżając głos.

On mówi prawdę.

Po prostu to wiem, z druzgocącą pewnością. Piętnastolatek nie zmyślałby takich rzeczy.

Kiedy przyglądam mu się znowu, nie mam już wątpliwości, że widziałam go wcześniej. Nie pamiętam tylko gdzie. Nagle przed oczami przemyka mi obraz ciemnego lasu

i błyszczącej sukienki.

Kobieta pociąga mnie za ramię.

– On kłamie – syczy przez zęby. – Nie wierz w ani jedno jego słowo.

Chłopiec szarpie mnie w przeciwną stronę.

– To ona kłamie. To morderczyni.

Jestem uwięziona między nimi i w żaden sposób nie potrafię się uwolnić. Kobieta jest niska, ale zadziwiająco silna. Powoli, lecz nieuchronnie ciągnie nas coraz bliżej skraju przepaści, z kolei chłopiec i ja ze wszystkich sił próbujemy się jej przeciwstawić.

Pod nami rozpościera się Ormberg.

Kątem oka dostrzegam w dole idącą przez polaną postać. Wysoki mężczyzna brnie ociążale po śniegu.

Sposób, w jaki się porusza, wydaje mi się znajomy, gdzieś już widziałam tę słoniową istotę, jak się pochyła i z dłońmi na kolanach zaczerpuje oddechu.

I nagle sobie przypominam, zalewa mnie fala obrazów. Są chaotyczne i niepełne, ale wystarczają mi, abym zrozumiała.

Ten człowiek gonił mnie przez las tamtego wieczoru, kiedy zniknął Peter. Mnie i kobietę, którą odkryliśmy z Peterem w piwnicy. Bo to chyba była kobieta?

Tak. Tak!

Pamiętam jej długie siwe włosy i pełną przerażenia twarz, kiedy Peter kopniakiem otworzył drzwi jej więzienia.

Nie wiem, czy uciekła, ponieważ wreszcie była wolna, czy po prostu się nas wystraszyła. Ale faktem jest, że wzięła nogi za pas. A ja ruszyłam za nią. Gdy jednak byliśmy już na schodach na górę, pojawił się mężczyzna.

Krzyczał coś, chwycił kobietę za włosy i przewrócił na podłogę. Wyrwała mu się i puściła pędem do drzwi wejściowych. Sekundę później mężczyzna stanął pośrodku kuchni z pękiem długich siwych włosów w zaciśniętej w pięść dłoni.

Potem obraz znowu się zaciera, zdaje się, że doszło do bójki między tym człowiekiem a Peterem, bo pamiętam odgłos rozbijanych naczyń i przytłumione pojękiwanie dochodzące z piwnicy.

Kolejna scena: mężczyzna pędzi za mną i kobietą z piwnicy przez las. Deszcz zacina mi w twarz. Rozpętała się burza.

Mężczyzna był ociążały i powolny, ale miał...

Broń!

On miał broń!

Pamiętam ostry świst wystrzału, potem kolejny. Widzę zakrwawioną kobietę na ziemi.

Kobietę z piwnicy?

Z zakamarków pamięci wyłania się następny obraz: widzę, jak kobieta po omacku wyciąga rękę w stronę mojego dekoltu. Zaciska palce wokół naszyjnika i próbuje coś



powiedzieć.

Wzdrygam się i mrugam powiekami.

Jeszcze raz patrzę na potężnego mężczyznę w dole i nagle jestem w pełni świadoma dramatu, jaki rozgrywa się tu i teraz.

Chłopiec nie spuszcza ze mnie wzroku. Wygląda na śmiertelnie przerażonego, ale jednocześnie nieugiętego.

Odwraca się do kobiety ściskającej moje ramię.

– Chyba wiesz, że Magnus się od ciebie wyniesie – mówi do niej, a po chwili dodaje: – Zostawi cię tak samo jak Lill-Leffe. To było w dzienniku. Jesteś dla niego tylko upierdliwą starą babą, która ciągle suszy mu głowę i gdera.

Przez sekundę wydaje się, że kobieta traci nad sobą kontrolę. Otwiera szeroko oczy i patrzy z niedowierzaniem na chłopaka. Gdy czuję, że uścisk na moim ramieniu słabnie, wykorzystuję okazję i gwałtownie wyszarpuję rękę.

Kobieta traci równowagę, chwieje się do tyłu i w ostatniej chwili chwytą jeszcze kurtkę chłopca. Robi krok w kierunku skraju występu i centymetr za centymetrem ciągnie go ku urwisku.

Truchleję, gdy dociera do mnie, co za sekundę może się wydarzyć.

Zamykam oczy i modlę się w duchu do Boga, w którego istnienie nie wierzę. Błagam, aby odpowiedział mi, co mam robić. Ale słyszę jedynie zimny oddech lasu i bicie własnego serca.

Gdy uchylam powieki, widzę ich dwoje nadal balansujących nad brzegiem przepaści. Chłopiec otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, pozostaje jednak niemy. Sekundę później spadają oboje. Słyszę trzask gałęzi i pojedyncze głuchoe odgłosy.

Potem zapada cisza.

Jest tak, jakby nigdy nie istnieli.

# Malin

Z lasu dobiega głuchy odgłos, a zaraz potem rozlega się trzask, jakby ktoś zdecydowanym kopniakiem złamał pęk gałęzi.

Andreas ściska mnie mocniej za ramię i szepcze mi do ucha:

– *Shit*. Chyba ktoś spadł z urwiska.

– W przepaść?

– Tak. Chyba widziałem, jak coś albo ktoś stamtąd runął.

– Rany boskie. Taki upadek to śmierć na miejscu.

Oboje puszczamy się pędem w tamtą stronę.

– A ten facet? Twój kuzyn? – pyta Andreas, nie mogąc złapać tchu.

– Magnus? Nie mam pojęcia, co on tutaj robi, ale jest zupełnie niegroźny. Porozmawiamy z nim później.

– Jesteś pewna?

Myślę o Magnusie, o jego potężnym ciele i grubych czerwonych wargach. O spojrzeniu, którym przeszywa mnie do szpiku kości, gdy tylko próbuję z nim rozmawiać.

– Jest łagodny jak baranek – zapewniam.

Brniemy przez śnieg między drzewami w kierunku góry i urwiska. Kiedy próbujemy przyspieszyć kroku, zapadamy się jeszcze głębiej.

Ciało leży wśród zarośli tuż przy pionowej skalnej ścianie. Nogi są wygięte w nienaturalnej pozycji, z jednej nogawki wystaje na wysokości kolana kij, a stopy zwrócone są ku górze. Buty mają żółte zelówki. Na środku jednej z nich dostrzegam zarys pięcioramiennej gwiazdki, która wygląda dokładnie tak samo jak gwiazdka w śladach odcisniętych w śniegu przed drzwiami wejściowymi do domu mamy. Czuję, że to ważne, ale nie jestem w stanie podążać za tą myślą dalej. Nie potrafię uzmysłowić sobie znaczenia swojego odkrycia.

– A niech to szlag! – mamrocze Andreas, zatrzymując się w pół kroku.

Powoli wiodę spojrzeniem po drobnej sylwetce widocznej na śniegu – widzę niemodną pikowaną kurtkę, czapkę w serduszka, prezent od mojej mamy na ubiegłoroczną gwiazdkę. Z kieszeni zwisa na sznurku światelko odblaskowe w kształcie sowy. Po chwili zatrzymuję spojrzenie na żerdzi wystającej z nogawki. Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, co to jest.

To nie żadna żerdź, tylko kość.

– Malin! – odzywa się Andreas. – Ona żyje!

Schylam się do ziemi, nabieram w rękawiczkę garść śniegu i rozcieram go sobie wokół ust. Potem dopadam Margarety.

– To moja ciotka – mówię ze łzami w oczach.

Andreas rozdziawia usta.

– Co? To ona? Matka Magnusa? Co ona tu robi?

Nie odpowiadam.

– Zajmij się nią – rzuca Andreas. – Wezwę pomoc.

Przykucam obok Margarety i zdjęwszy rękawiczki, sprawdzam puls na jej szyi. Postępuję zgodnie z instrukcjami z kursu udzielania pierwszej pomocy.

Ciotka otwiera oczy i spogląda na mnie. Jej usta układają się tak, jakby chciała wypowiedzieć moje imię, nie jest jednak w stanie wydobyć z siebie głosu.

Głaszczę ją po policzku, starając się zachować spokój. Walczę z narastającą paniką.

Margareta.

Istniała od zawsze, tak samo jak Ormberg. Była oczywistością – podobnie jak Magnus i mama.

Oni wszyscy razem są moją jedyną rodziną.

Czy mam ją teraz stracić?

– Nie ruszaj się – mówię, wciąż głaszcząc ją po policzku. – Wezwaliśmy już karetkę.

Margareta znowu rozchyła wargi, ale tym razem wypływa spomiędzy nich strużka śliny zmieszanej z krwią i ścieka powoli po brodzie, a potem skapuje na śnieg.

– Nic nie mów – mówię cicho. – Co ty, do cholery, robiłaś tam na górze?

Ciotka opuszcza powieki.

Po jej policzkach toczą się łzy. Ocieram je grzbietem dłoni.

– Malin – szepcze, lekko przekręcając głowę. A potem dodaje ledwie słyszalnie: – Przepraszam.

Przepraszam? O czym ona mówi?

Gdy zanosi się kaszlem, śnieg wokół jej głowy pokrywa się kroplami krwi.

– Nic nie mów! – powtarzam. – Leż spokojnie.

Słyszę, że Andreas rozmawia z kimś trochę dalej, nie rozróżniam jednak słów. Albo też mój mózg nie potrafi odkodować ich znaczenia.

Potem podchodzi i przykuca obok. Położywszy mi dłoń na ramieniu, spogląda na Margarete.

– Już jąda. Lepiej jej nie ruszajmy.

Kiwam głową.

– Co robiła na górze? – pyta.

– Nie mam pojęcia.

Ostrożnie dotykam znowu jej policzka. Jest zimny i odrobinę szorstki.

Margareta otwiera oczy, a kiedy patrzy na mnie, myślę tylko o jednym: *Nie umieraj, do*

*diabła. Mama cię potrzebuje. I Magnus też.*

W lesie słyhać czyjeś kroki.

– Już są? – dziwię się.

– Nie, niemożliwe. To musi być ktoś inny – odpowiada Andreas.

Po chwili spomiędzy drzew wyłaniają się dwie postacie – starszej kobiety i chłopca. Jego policzek przecina w poprzek spora rana, a na brodzie widoczna jest zakrzepła krew.

Rozpoznają ich dopiero po kilku sekundach.

To Hanne i Jake Olsson, syn Stefana Olssona. Pamiętam przerażenie w jego oczach, kiedy zabieraliśmy ojca na przesłuchanie.

Jake wskazuje na Margaretę i otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobywają się żadne słowa. Stoi nieruchomo, Hanne zaś kiwa głową, jakby wiedziała, co próbował powiedzieć.

– Ona... Ona próbowała nas zabić – mówi Hanne, wyciągając rękę w kierunku Margarety. Kręcę głową i mimo woli się uśmiecham.

– Nie – zaprzeczam. – Przecież to niemożliwe.

Andreas dotyka mojego ramienia.

– Poczekaj, Malin – prosi, po czym zwraca się do Hanne. – Opowiedz, co się tam stało?

Hanne robi niepewną minę i spogląda na Jake'a, jakby szukała u niego wsparcia.

– Ona zepchnęła... – Wskazuje na chłopca. – Ona zepchnęła go w przepaść – ciągnie dalej, sprawiając wrażenie, jakby sama nie potrafiła zrozumieć, co się wydarzyło.

– Margareta? – pytam. – To jakieś nieporozumienie. Po co miałyby...

– Cicho, Malin! – rzuca Andreas ostrym tonem, który mi się nie podoba i mnie zaskakuje.

– Dlaczego mówicie, że Margareta zepchnęła cię w przepaść? Przecież stoisz tu przed nami.

Jake spogląda na mnie. Jego oczy są mroczne i pozbawione wyrazu. Następnie sięga nisko jedną ręką i zamyka w dłoni coś, co wystaje mu spod kurtki i wygląda na kłęb różowej wełny. Długie nici zwisają między jego palcami i sięgają aż do ziemi.

Spojrzawszy na swoją rękę, marszczy brwi.

– Sweter – mówi. – Wciąż o wszystko się zaczepia.

– Zahaczył nim o gałąź metr poniżej skraju urwiska – wyjaśnia Hanne. – Udało mi się wciągnąć go z powrotem. Gdyby nie to... – Urywa, nie kończąc zdania.

– Oni zabili tamtego policjanta – mamrocze Jake pod nosem, wskazując głową na Margaretę. – I trzymali kobietę z długimi włosami u siebie w piwnicy.

Kręcę z niedowierzaniem głową i wstaję.

Las wiruje wokół mnie i znowu robi mi się niedobrze. Na skroniach i na plecach czuję zimny pot.

– Nie – odzywam się w końcu. – Musicie się... Oni nigdy by...

Niemal wybucham śmiechem, ponieważ to, co słyszę, wydaje mi się kompletnie

absurdalne. Ale wciąż czuję ucisk w klatce piersiowej i mrowienie w czubkach palców.

Jake i Hanne przyglądają mi się w milczeniu.

– Skąd to wiesz? – Andreas zwraca się do chłopca.

– Ona...

Jake wydaje się wahać, lecz po chwili dodaje:

– Hanne mi to powiedziała.

– Czy to prawda? – pyta ją Andreas.

Hanne wygląda na niepewną, przenosi spojrzenie z Andreasa na mnie i z powrotem, a potem dotyka czapki i ją poprawia.

– Tak. Nie. Właściwie tak. Tak myślę.

W tej samej chwili z ciemności wypada jakaś postać.

To Magnus.

Rzuca się na Hanne i uderza ją czymś ciężkim w głowę. Chyba kamieniem. Odgłos wywołany przez ten cios nie wróży nic dobrego.

Hanne krzyczy głośno i rozpaczliwie niczym ranione zwierzę.

Andreas reaguje błyskawicznie: chwytą napastnika i próbuje unieruchomić mu ręce. Młody mężczyzna jest jednak silny, zdecydowanie zbyt silny. Unosi kamień i po raz drugi uderza Hanne w głowę.

I jeszcze raz.

Stoję jak wrośnięta w ziemię. Nie jestem w stanie się ruszyć, otworzyć ust, a nawet myśleć. Ale przede wszystkim nie potrafię pojąć tego, co rozgrywa się na moich oczach. Że moja ciotka, nieszkodliwa siedemdziesięciolatka, leży ciężko ranna w śniegu i że mój na wpół opośledzony kuzyn próbuje zabić Hanne.

Nagle Jake podbiega z wielką gałęzią w dłoni, podnosi ją wysoko i zamierza się na Magnusa, po czym uderza nią w głowę mojego kuzyna; rozlega się głośny trzask.

Magnus przewraca się na ziemię i leży nieruchomo na śniegu. Andreas szybko zakłada mu kajdanki, a potem zwraca na mnie wzrok.

– Malin, do cholery! Zamierzasz tak tu stać i się przyglądać? Co z tobą?

Następnie podchodzi do Hanne i pomaga jej usiąść. Ściąga jej czapkę i ostrożnie bada głowę. Siwe włosy są sklezione krwią.

– Oj – jęczy Hanne, wykrzywając twarz z bólu.

– Wygląda na to, że to tylko obrażenia zewnętrzne – stwierdza Andreas z ulgą, po czym także siada ciężko na śniegu i opiera głowę na dłoniach.

– Przepraszam – bąkam.

Nie odpowiada, tylko w milczeniu kołysze głową tam i z powrotem.

– Przepraszam – powtarzam.

# Jake

**P**olicjant o imieniu Manfred nalewa gorącej herbaty do plastikowego kubka i przesuwa go powoli po blacie stołu w moją stronę.

Dziwnie się czuję, będąc w dawnym sklepie. Zanim zawieszono wielką kłódkę na drzwiach wejściowych, często przesiadywałem w nim razem z Sagą. A od kiedy wprowadzili się do niego policjanci, nikt już nie próbował się tutaj dostać.

Siedzimy przy biurku w kantorku za sklepem. Na ścianach zawieszono są zdjęcia, dokumenty i odręczne notatki. Wszystkie razem tworzą ogromny kolorowy patchwork. Tu i ówdzie widać karteczki post-it. Na jednym z krzeseł leży laptop.

Manfred jest dziwny.

Nie jestem pewny, czy go lubię – właściwie prawie go nie znam. Ale trzeba przyznać, że ma ładny styl; wygląda na to, że choć jest mężczyzną, przykładą wagę do tego, w co jest ubrany.

Ma na sobie wełniany oliwkowy garnitur ze skórzanymi guzikami. Materiał jest przepleciony delikatną różową nitką i z kieszonki na piersi wystaje jaskraworóżowa jedwabna chusteczka. Brodę ma rudą, podobnie jak włosy, które są mokre i kręcą mu się na skroniach.

Siorbiąc herbatę, dotykam opatrunku na policzku.

Manfred zawiózł mnie do szpitala w Katrineholmie. Lekarze powiedzieli, że prawdopodobnie doznałem lekkiego wstrząśnienia mózgu i przez najbliższe dni powinienem na siebie uważać. Założyli mi trzy szwy, obiecując, że za kilka tygodni po ranie nie zostanie nawet ślad.

Nie przyznałem się, że chciałem mieć bliznę, bo dowodziłaby tego, co zrobiłem dla Hanne.

Chciałbym, aby zawsze była na moim policzku, jako nieme przypomnienie, gdy spojrzę na siebie w lustro.

Hanne też pojechała do szpitala, ale nie musiała być szyta. Zdaje się, że jeden z policjantów odwiózł ją do Berit.

Nie wiem, co stało się z Margaretą i Magnusem.

– Omówimy to wszystko jeszcze raz, a potem podrzucę cię do domu, okej? – mówi Manfred.

– Okej.

– Spotkałeś Hanne w lesie tamtego wieczoru, gdy została znaleziona?

– Tak, to była sobota.

– W sobotę drugiego grudnia – uzupełnia Manfred i przesuwając dłoń po szorstkiej brodzie.

– Chyba tak. Nie sprawdzałem daty.

– I wtedy wspomniała, że Magnus albo Margareta zrobili coś Peterowi.

Waham się, na ile mogę być szczerzy.

Zdecydowałem, że nie wspomnę o dzienniku. Hanne na pewno by nie chciała, żeby Manfred i inni policjanci go czytali i dowiedzieli się, jak bardzo jest chora. Nawet jeśli są w nim ważne informacje.

Margareta i Magnus zostali już zdemaskowani. Policjanci znaleźli piwnicę Magnusa, a także zamrożone ciało Petera. Jego samochód podobno stoi w stodole Margarety. Czyli dziennik Hanne nie jest już taki ważny, bo policja ma wszystkie potrzebne dowody.

– Tak powiedziała – potwierdzam.

Manfred zapisuje coś w notesie.

– Mówiła też, że Magnus więził jakąś kobietę w piwnicy?

Potakuję skinieniem głowy.

Manfred odkłada długopis i masuje sobie skronie. Ma ogromne dłonie. Kiedy tata widzi u kogoś takie wielkie łapska, mówi, że to kłapy od sedesu.

Manfred kładzie je na stole, a gdy spogląda na mnie, od razu zaczynam się denerwować, bo jego twarz jest bardzo surowa. Tak samo wygląda tata, kiedy chce na mnie nakrzyczeć.

– Chcę cię jeszcze o coś spytać – mówi.

Kiwam głową, bo już wiem, co to będzie. Myślałem o tym przez całą drogę ze szpitala w Katrineholmie.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałeś o tym wcześniej? Przecież musiałeś rozumieć, że to ważne informacje, bo rzucały na Margarete i Magnusa podejrzenie o popełnienie poważnego przestępstwa.

Manfred nie odrywa ode mnie wzroku.

– Powiedz prawdę, Jake – mówi cicho. – Musisz powiedzieć prawdę. Masz jakiś problem?

Nie odpowiadam, tylko wpatruję się w zniszczony blat stołu. W setki małych rys i zadrapań pozostałych po wszystkich, którzy przy nim siadywali: mężczyznach, kobietach, a może nawet dzieciach.

Ale nie było wśród nich kogoś takiego jak ja.

Wynaturzonego.

– Myślałem, że ten policjant już nie żyje – mówię, wiodąc palcem po jednej z rys.

Manfred wzdycha lekko.

– Pewnie rzeczywiście nie żył, ale przecież nie mogłeś o tym wiedzieć. Prawda?

– No nie.

– To dlaczego milczałeś? Dlaczego? Coś mi się zdaje, że wiesz dużo więcej, niż mówisz.

I że jednak komuś o tym opowiedziałeś. Na przykład osobie, która do nas zadzwoniła.

Przeszywa mnie dreszcz, ale nie z zimna, ponieważ wciąż siedzę w kurtce, a Manfred tak ustawił dmuchawę, że ciepłe powietrze dmucha prosto na nas.

– Jake?

Kręcę powoli głową, chcę to powiedzieć, ale słowa więzną mi w gardle. Jakby cała siła i niezłomność zniknęły na dnie przepaści razem z Margaretą.

Manfred ponownie wzdycha, następnie wstaje, podchodzi do ściany i bierze jakieś małe pudełko. Wraca, znowu siada i dysząc głośno, stawia je na stole.

Kartonik jest brązowy, ma około dziesięciu centymetrów długości i pięciu centymetrów szerokości.

Patrząc na mnie, Manfred otwiera go i po chwili wyjmuje małą przezroczystą foliową torebkę. Kładzie ją przede mną.

Pochyliłam się, żeby się przyjrzeć.

Początkowo myślę, że nic w niej nie ma, ale potem go dostrzegam.

W środku błyszczą mały złoty cekin.

– Jake?

W głosie Manfreda nie ma złości, brzmi wręcz błagalnie.

Zamykam oczy, ponieważ nie chcę widzieć cekinu. Mimo to nie potrafię odpędzić innych obrazów: lśniącej sukienki, szminki i przemoczonej, poobijanej Hanne, która wyłoniła się spomiędzy zarośli. Mam wrażenie, że jestem tam znowu, z powrotem w przesyconym zapachem mokrej ziemi i gnijących liści lesie, a deszcz zacina mi w twarz. Naprawdę widzę ją przed sobą. Ale teraz wygląda inaczej, uśmiecha się do mnie i wyciąga rękę.

Naprawdę ją uratowałem, przemyka mi przez głowę. Zrobiłem to.

Spoglądam na Manfreda, na jego elegancki garnitur i różową chusteczkę w kieszonce. Na wydatne czerwone policzki i zmęczone oczy.

Może on jednak by zrozumiał?

Unosi nieco brwi.

– Jake? – powtarza znowu.

Myśli po raz kolejny odrywają się ode mnie – fruną jak ptaki albo motyle, szepczą mi, że może wszyscy są chorzy albo dziwni, jeśli tylko przyjrzeć się dokładnie. Albo że może nie ma czegoś takiego jak zdrowe albo chore zachowanie. I że nie ma nic złego w tym, że ktoś, kto ma na imię Jake, ubiera się w sukienkę, mieszka w takiej dziurze jak Ormberg i niestety musi zostać mężczyzną.

Sukienka to tylko sukienka. Kawałek materiału, którym można okryć cokolwiek.

Ale zabić kogoś?

To jest naprawdę złe, bo śmierć trwa strasznie długo.

– Tak, to ja jej powiedziałem – odzywam się w końcu. – Lubię sukienki. Czy ma pan z tym jakiś problem?



Manfred zatrzymuje auto przed najładniejszym domem w Ormbergu. Nim chwytam za klamkę, kładzie mi rękę na ramieniu.

– Super, Jake – mówi. – Super!

Tylko tyle, potem zapada cisza.

Otwieram drzwi i wyskakuję z dużego samochodu. Ostre poranne słońce sprawia, że w pierwszej chwili muszę zmrużyć oczy. Gdy ruszam w stronę wejścia, śnieg skrzypi mi pod stopami. W tej samej chwili, gdy Manfred rusza z podjazdu, uchylają się drzwi.

Stoi w nich tata.

Mimo że jest boso, schodzi na stopień przysypany śniegiem. Potem podbiega do mnie, bierze mnie w ramiona i ściska tak mocno, jak chyba nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

– Jake, niech cię diabli! Ale napędziłeś mi stracha!

– Przepraszam – bąkam.

Stoimy tak przez chwilę. Oddech taty jest ciepły i czuć go piwem.

– No dobra, idziemy stąd – mówi wreszcie. – Bo zaraz odmrozę sobie tyłek. I palce. Szybko, do środka!

W domu wszystko wygląda jak zwykle. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale wydawało mi się, że coś powinno się zmienić.

Gdy tylko wchodzę do przedpokoju, zaczynam się bać, jak zareaguje Melinda, kiedy mnie zobaczy. Przez ostatnie godziny wypierałem myśli o niej, ale teraz wróciły i krążą mi po głowie jak eskadra odrzutowców.

– A gdzie Melinda? – pytam.

– U Markusa – odpowiada tata. – Zjesz coś?

– Nie, dzięki. Po drodze z Katrineholmu wstąpiliśmy na kiełbaski.

Tata przygląda mi się bliżej i wyciąga rękę w kierunku opatrunku na moim policzku, ale zastyga w pół ruchu.

– Kurde! Nie mogę uwierzyć. Czyli to ty uratowałeś życie tej babce ze Sztokholmu?

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nie myślałem, że masz w sobie coś takiego.

– To znaczy co?

Tata kręci głową.

– Ach, nieważne. Opowiesz mi wszystko później? Bo może chciałbyś teraz trochę odpocząć? Pewnie nie spałeś całą noc.

Zgadzam się i idę na górę.

Mój pokój też wygląda jak zawsze: wykładzina na podłodze jest miękka i łaskocze mnie w stopy, plakaty na ścianach odkleiły się trochę i falują lekko w powietrzu ciągnącym od nieszczelnych okien. Nawet nieposłane łóżko i leżące pod nim na stosie brudne skarpetki oraz bielizna też nic się nie zmieniły.

Siadam na materacu i czuję, jak ogarnia mnie zmęczenie. Dudni mi w głowie, pulsuje mi policzek, nogi mam sztywne i zbiera mi się na wymioty.

W końcu się kładę i bez przebierania naciągam na siebie kołdrę, i zamykam oczy.

Jestem strasznie zmęczony. Chyba mógłbym spać przez kilka dni.

Kiedy przewracam się na bok, wyczuwam coś twardego pod szyją, jakby niewielki kawałek lego. Podpieram się na łokciu i sięgam po to coś. Zapalam lampkę i unoszę rękę pod światło.

Widzę małą paczuszkę, niewiele większą od pudełka zapalek, owiniętą w złoty papier. „Dla Jake’a od Melindy” – czytam. Pod pochyłymi i trochę koślawymi literami Melinda narysowała serduszko. W trakcie rysowania musiał jej się chyba wypisać długopis, bo środek wypełniła innym kolorem.

Rozrywam papier i rzucam go na podłogę.

Widzę nieduże pudełeczko.

Otwieram je. W środku jest mała buteleczka zamknięta różowym korkiem. Wyjmuję ją i podnoszę pod światło.

To lakier do paznokci z małymi złotymi drobinkami. Gdy potrząsam flakonikiem, błyszczące ziarenka wzbijają się i wirują. To przypomina mi zabawkę z miniaturką zimowego krajobrazu w środku i śniegiem, który się unosi, gdy odwróci się ją do góry nogami.

# Malin

**K**iedy następnego dnia wracam przed południem do domu, zastaję mamę przy stole w kuchni. Ma podkrążone oczy, a na ceracie przed nią leży kłęb papierowego ręcznika. Na mój widok natychmiast się prostuje i poprawia sobie bluzkę opinającą wydatny biust.

Podchodzę do niej i obejmuję ją mocno, ona zaś nie odpowiada mi uściskiem, tylko poklepuje mnie po plecach, jakbym była piłkarzem, który właśnie strzelił gola. Sięga mi ledwie do ramion. Kiedy patrzę na nią, wzbiera we mnie fala nagłej tkliwości.

– Malin – mówi i odgarnia mi z twarzy kosmyk włosów. – Moja kochana córeczka.

Siadam na krześle obok, zastanawiając się, ile już opowiedzieli jej moi koledzy. Przypuszczam, że wie prawie wszystko, ponieważ zaraz po tym, jak Manfred zjawił się pod górą, posłał do niej dwóch funkcjonariuszy, aby ją przesłuchali.

Gdy się okazało, że moja ciotka i jej syn są podejrzani o popełnienie zabójstwa, zostałam odsunięta od śledztwa. Najwyraźniej Peter i Hanne byli na ich tropie, ale nie wspomnieli o tym nikomu właśnie dlatego, że w sprawę wydawała się zamieszana moja rodzina.

Nie wiem, co będzie dalej, na razie Manfred kazał mi jechać do domu i odpocząć. Zostałam jednak jeszcze jakiś czas w lesie, długo krążyłam wokół kopca, a potem poszłam do starej fabryki. Resztę nocy spędziłam w kantorku starego sklepu, studiując dokładnie protokół wstępnego dochodzenia.

Chyba próbowałam zrozumieć.

Ale nie stałam się szczególnie mądrzejsza. Margareta i Magnus prawdopodobnie są winni potwornej zbrodni, a ja przez tyle lat wiodłam tuż obok nich życie i niczego się nie domyślałam.

Co to mówi o mnie?

Nie tylko jako o policjantce, ale jako o człowieku. Przecież musiały istnieć jakieś znaki, pęknięcia w fasadzie zdradzające, że coś jest nie w porządku. Bo czy to możliwe, żeby ludzie byli monstrami i nikt tego nie dostrzegał? Czy to możliwe, żeby tak po mistrzowsku oszukiwać własną rodzinę, tych, którym się ufa i z którymi jest się w bliskich relacjach?

Najbardziej nie mogę pogodzić się z udziałem Magnusa w tej zbrodni. Zawsze bowiem miałam wobec niego silny instynkt opiekuńczy, mimo jego oczywistych problemów albo właśnie z ich powodu. Przez całe życie broniłam go przed dziećmi ze wsi – słownie, a gdy trzeba było także fizycznie, własnoręcznie.

To on był w moich oczach ofiarą.

Mama odrywa kawałek papierowego ręcznika i czyści sobie nos.

– Możemy już jechać? – pytam.

Margareta leży na oddziale intensywnej terapii, a lekarz, mówiąc, że powinniśmy się pospieszyć, przekazał mi jednoznaczny komunikat.

Mama pochlipuje i raz po raz dmucha w wilgotny zwitek ręcznika. Cienki strzępek papieru opada na ceratę jak zwiędły płatek kwiatu.

– Musimy najpierw porozmawiać – mówi ze wzrokiem utkwionym w rolce papieru.

– Lekarz powiedział, żebyśmy nie zwlekały...

– Wiem – przerywa mi. – Ale najpierw musimy porozmawiać.

– Aha.

Spoglądam na zegarek, a potem znowu na mamę. Nie rozumiem, co może być aż tak pilne, a poza tym – dlaczego nie mogłybyśmy tego omówić w samochodzie w drodze do szpitala?

– A o czym? – dopytuję.

Mama mruga nerwowo, po czym ociera sobie łzę z policzka.

– To takie trudne – bąka.

– Niewykluczone, że ona się wylize.

Mama kręci głową i parska śmiechem. Robi mi się nieswojo, bo to zupełnie nie czas i miejsce, by się śmiać.

– Nie, kochanie. Nie chodzi mi o Margaretę. Musimy porozmawiać o nas.

– O nas?

Ogarnia mnie nieokreślony niepokój, jakbym czuła, że nadchodzi coś niedobrego.

Bardzo niedobrego.

W oknie wisi bożonarodzeniowa gwiazda z czerwonego filcu, którą zrobiłam w gimnazjum. Brokatowe ozdoby i cekiny nie trzymają się już mocno i zwisają z materiału na zaschniętych koralikach kleju.

– Wiesz, że kocham cię najmocniej na świecie? Że nikt nie znaczy dla mnie tyle co ty?

– Wiem – odpowiadam, zastanawiając się, do czego zmierza.

Czas płynie, a Margareta leży w agonii na OIOM-ie. Wprawdzie okazała się potworem, ale ona i Magnus to w końcu nasi jedyni krewni.

Nie mam wątpliwości, że mama chciałaby zobaczyć się z nią ostatni raz.

– Twój tata i ja długo nie mogliśmy mieć dzieci – zaczyna. – Staraliśmy się przez wiele, wiele lat. Już nawet nie pamiętam, ile razy poroniłam. To było straszne, zżerało nas od środka jak rak. Powinnaś wiedzieć, że nie miałam pojęcia o tym, co się działo. Że on więził ją w piwnicy. Jak w ogóle można dopuścić się czegoś takiego? Przecież Magnus jest taki miły. A Margareta? Trudno uwierzyć, że przez cały czas go chroniła. Chociaż to jej syn, mimo wszystko nie sposób tego pojąć.

– Zaraz, zaraz. Nie bardzo nadążam.

Mama szlocha, nie mogąc nad sobą zapanować. Łzy ciekną po jej grubych policzkach. W końcu rozwija kawałek wilgotnego papieru i wyciera nos. Następnie robi głęboki oddech i ciągnie dalej:

– Chcieliśmy tylko pomóc. Myśleliśmy, że postępujemy właściwie.

– O czym ty mówisz?

Mama znowu zanosi się płaczem, słowa przerywane są łkaniem.

– Mówię o tej kobiecie, uchodźczyni, którą zaopiekował się Magnus. Tak przynajmniej przedstawiła nam to Margareta. Ta biedaczka była w ciąży, ale ani nie mogła, ani nie chciała zająć się dzieckiem.

– Nie rozumiem...

– A ja i twój tata... oboje tak bardzo pragnęliśmy... Przecież mieliśmy ładny dom i byliśmy w stanie utrzymać dziecko.

Coś zimnego i lepkiego rozlewa się po moim wnętrzu, kiedy uzmysławiam sobie, co usiłuje mi powiedzieć.

– Nie – rzucam. – Chyba nie masz na myśli...

Głos zamiera mi w gardle. W kuchni słychać jedynie pochlipywanie mamy i jednostajny szum lodówki w rogu. Za oknem wróbel ląduje na blaszanym parapecie i zaczyna dziobać kawałek słoniny wyłożonej przez mamę.

– Myśleliśmy, że w ten sposób jej pomagamy – szepcze. – A Margareta zajęła się całą praktyczną stroną. Przecież odebrała w swoim życiu niejedną poród w domu, a jako licencjonowana położna mogła wystawić akt urodzenia... tak to się chyba nazywa, który trzeba było wysłać do urzędu. Wszystko załatwiła. A my pokochaliśmy cię od pierwszej chwili. Kochaliśmy cię jak nasze rodzone dziecko. Bo byłeś naszym dzieckiem. Naszym ukochanym dzieckiem.

– Przestań!

Zrywam się z krzesła tak gwałtownie, że przewraca się do tyłu i z hukiem ląduje na podłodze.

Ale mama, która siedzi skulona przede mną, nie reaguje. Nie rusza się, skupiona na darciu pasków z wilgotnego ręcznika.

I nagle wszystko rozumiem.

Kawałki układanki nieubłaganie trafiają na właściwe miejsca, jeden po drugim. Przypominam sobie, jak Margareta, leżąc na śniegu pod urwiskiem, z kością wystającą z nogawki spodni, wymamrotała do mnie „przepraszam”. Potem myślę o Magnusie, który jakoś unikał patrzenia mi w oczy. Kiedy się spotykaliśmy, zawsze spoglądał w ziemię, jakby się mnie bał albo czegoś się wstydził.

I wreszcie: tamta rozmowa z Manfredem. Zadzwoił i spytał, czy dotykałam włosów w medalionie Azry. „Dotykałaś ich? To znaczy włosów... Rozmawiałem z technikami...”

Kuchnia wiruje wokół mnie.

Nie chcę iść dalej tym tropem, ale zmuszam się w końcu i kontynuuję: Azra miała pukiel włosów w medalionie. Manfred pytał, czy ich dotykałam, prawdopodobnie dlatego, że technicy znaleźli w nich moje DNA, które znali, bo przecież zrobili mi wymaz, kiedy znaleźliśmy ciało Azry, i wprowadzili je do eliminacyjnej bazy danych, stworzonej po to, aby mieć pewność, że materiał genetyczny śledczych nie zanieczyszcza materiału dowodowego.

W moim przypadku jedno z drugim się pokryło.

Ale we włosach stwierdzono moje DNA nie dlatego, że ich dotykałam albo że nastąpiła kretyńska pomyłka w teście, jak wyraził się Manfred, tylko dlatego, że to były moje włosy.

Ściany wokół wirują coraz szybciej, a serce wali mi jak młotem. Raz za razem otwieram i zamykam usta, lecz nie wydobywam z siebie ani jednego słowa.

Mama podnosi na mnie wzrok.

Na jej twarzy maluje się tak głęboki ból, że aż ogarnia mnie lęk. Rozpacz równie wielka jak tamtego dnia, gdy tata zmarł w drodze do stodoły z cylindą w objęciach.

Biedna mama.

Tak różna ode mnie: niska, chociaż ja jestem wysoka. Jasnowłosa, podczas gdy ja mam ciemne włosy. Opanowana, mimo że ja jestem impulsywana i łatwo ulegam emocjom.

„Jesteśmy tak różne, że można by pomyśleć, iż znalazłam cię w lesie, u jakichś trolli”.

Ponadto zawsze była gruba – całkiem zatem możliwe, że cała wieś myślała, że spodziewa się dziecka, a wcale się nie spodziewała.

Muszę chwycić się stołu, żeby się nie przewrócić.

– Ukradliście dziecko? – szepczę.

– Tak! – krzyczy mama. – Tak! I nigdy tego nie żałowałam. Nigdy!

Zasłania sobie twarz dłońmi i znowu szlocha. Po chwili nieruchomieje, unosi nieco głowę i patrzy na mnie.

Błagalnie.

– Malin – mówi cicho. – Nikt nie musi wiedzieć tego, co ci powiedziałam. Nikt. Magnus na pewno się nie wygada, Margareta już o to zadbała. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Zataczając się, wychodzę do przedpokoju, otwieram drzwi na dwór i wpuszczam do środka przenikliwie zimny wiatr. Mrużę oczy pod słońce, które wciąż wisi nad wierzchołkami drzew, jakby ziemia wcale nie rozpadła się na kawałki.

Jakbym nie była córką zamordowanej bośniackiej muzułmańskiej kobiety bez twarzy. Jakby szkielet dziewczynki, który znalazłam na kopcu kamieni, nie należał do mojej siostry. Jakby Esmá o powykręcanych dłoniach, mająca rodzinę istniejącą jedynie na wyblakłych polaroidowych zdjęciach, nie była moją ciotką.

Może Ivar z bagien miał rację, może rzeczywiście widział nagie niemowlę przy kopcu – a tym niemowlęciem byłam ja.

Włosy.

Mdłości wzbierają falami, kiedy o tym myślę: jak delikatne, miękkie niczym puch włosy w medalionie łaskotały opuszki moich palców.

Azra prawdopodobnie ucięła drobny kosmyk swojej nowo narodzonej córce i włożyła do medalionu, zanim Margareta ukradła jej dziecko.

Zanim ukradła dziecko, którym byłam ja.

Spadam i spadam, coraz niżej, bez końca.

Spadam przez całą ziemię i trafiam do piekła, potem spadam dalej, bo nie ma już nikogo, kto mógłby mnie zatrzymać.

Łzy toczą mi się po policzkach, spływają na wargi. Wypełniają usta słonym smakiem mojej zakłamanej, zafałszowanej przeszłości.

# Malin

## Tydzień później

– Proszę cię – mówię. – Muszę to wiedzieć. Inaczej nie dam rady. Ja...

Dalsze słowa więzną mi w gardle, chociaż robię wszystko, aby nie zdradzić smutku i rozpacz, które rozdzierają mi pierś.

Za oknem sypie śnieg. Ciężkie, wilgotne płatki opadają szybko na ziemię, gdzie od razu rozpuszczają się na czarnym asfalcie.

Od śmierci Margarety jestem jak sparaliżowana, wciąż myślę tylko o jednym: o tym, co powiedziała mi mama – że jestem córką Azry Malkoc.

Nie potrafię inaczej i bez przerwy analizuję wszystko, co do tej pory wiedziałam o sobie i swojej rodzinie, i nie mam pojęcia, czym to się skończy. Ale jednego jestem pewna: muszę ustalić, co wydarzyło się tamtej zimy, kiedy moja biologiczna matka i siostra zniknęły z ośrodka dla uchodźców.

Muszę zrozumieć.

No i muszę się zdecydować: czy opowiedzieć Manfredowi, co usłyszałam od mamy? Zniszczyć małą rodzinę, którą mimo wszystko mam, i zadośćuczynić pamięci Azry i Nerminy, czy zostawić tę przerażającą prawdę pogrzebaną na zawsze?

Myślę o mamie – od śmierci Margarety nie rozmawiałam z nią ani razu, chociaż codziennie usiłowała się ze mną skontaktować.

Próbowałam do niej zadzwonić, ale nie dałam rady.

Próbowałam wziąć pod uwagę, że to ona jest kobietą, która się mną zajęła, wychowała mnie jak rodzoną córkę i kochała mnie całym sercem, chociaż byłam podrzutkiem.

Próbowałam uwierzyć, że Margareta namówiła ją i tatę, aby się mną zaopiekowali. Że nie miała pojęcia o tym, że Magnus w rzeczywistości więził moją biologiczną matkę u siebie w piwnicy.

Że chciała jedynie pomóc.

Naprawdę próbowałam.

Nie dałam jednak rady.

Czuję wyłącznie rozpacz i nienawiść, i to tak głęboką i bezdenną, że aż jestem przerażona. Za każdym razem kiedy myślę o mamie, od razu przypomina mi się zakrwawione ciało pozbawione twarzy na śniegu przy kopcu – ciało kobiety, której ukradziono dzieci oraz życie.



Bardzo bym chciała o tym z kimś porozmawiać, ale to niemożliwe. Bo wszyscy w jakiś sposób bliscy mi ludzie znajdują się albo daleko, albo są zarażeni tym niepojętym złem, które wykiełkowało w Ormbergu.

Do Maxa na pewno nie chcę wrócić, a na razie nie miałam siły nawet się zastanowić, czego oczekuję od Andreeasa.

– Proszę cię! – powtarzam.

Manfred przyciska duże dłonie do skroni i powoli kręci głową.

– Nie mogę. Obowiązuje tajemnica śledztwa, a ty jesteś odsunięta od sprawy. Przykro mi, prawdopodobnie nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, jak możesz się czuć w tej sytuacji, ale to po prostu niemożliwe.

Manfred milknie. Po chwili odchrząkuje i kontynuuje nieco łagodniejszym tonem:

– Posłuchaj, Malin. Zdaję sobie sprawę, że nie zawsze łatwo się ze mną pracuje. Bez przerwy się wkurwiam, nie rozdaję pochwał. I tak dalej, i tak dalej. Jeżeli cię to w jakikolwiek sposób pocieszy, chcę, żebyś wiedziała, że jesteś cholernie dobrą policjantką. I chętnie bym kiedyś z tobą znowu pracował.

Pochylam się ku niemu.

– Ja muszę wiedzieć – mówię.

Manfred wzdycha i wznosi oczy.

Pod ścianą stoją nieduża czarna walizka i teczka. Domyślam się, że wybiera się do Sztokholmu, do żony i córeczki, która już nie ma zapalenia ucha. Wraca ku życiu, które toczy się normalnie i nie ma nic wspólnego z ciemnością w Ormbergu.

– Proszę!

Mój szept niemal tonie w szumie włączonej klimatyzacji.

Manfred uderza dłońmi o kolana.

– Kurde! – Po chwili dodaje: – Wiesz, że będę miał przesrane, jeśli ktokolwiek się o tym dowie?

Nie odpowiadam.

Przyciska klawisz w swoim laptopie, odwraca go ku mnie i spogląda mi w oczy. Następnie kręci głową i przesuwa komputer w moją stronę.

– Muszę wyjść i załatwić parę rzeczy. To zajmie mi jakieś pół godziny. Rozumiesz, co powiedziałem? Pół godziny.

Kiwam w milczeniu głową.

Wstaje, poprawia perfekcyjnie skrojoną marynarkę i przeczesuje palcami rudawe włosy. Potem opuszcza pokój, nie patrząc na mnie.

Drżącymi dłońmi przyciągam laptop jeszcze bliżej. Na monitorze widoczny jest Magnus. Naprzeciw niego siedzi Svante z ramionami skrzyżowanymi na piersi i pochyloną głową. Nad stołem wisi mikrofon umocowany na przewodzie pod sufitem.

Nagranie musiało zostać zrobione w pokoju przesłuchań tu, na komendzie.

Naciskam PLAY i Svante oraz Magnus ożywają.

– Gdzie pierwszy raz spotkałeś Azrę i Nerminę Malkoc?

Magnus kołysze się na krześle do przodu i do tyłu.

– W ośrodku dla uchodźców. Byłem tam z mamą.

– Co tam robiliście? – pyta Svante.

Magnus spogląda na sufit.

– Mama miała porozmawiać z jakimś kierownikiem od odsnieżania. Chciała, żeby wpisał ją na jakąś listę. I wtedy spotkaliśmy Assę i zaczęliśmy rozmawiać.

– Masz na myśli Azrę?

– Mówiłem na nią Assa.

– Ale ona miała imię. Azra, nie Assa.

Magnus milknie i przenosi spojrzenie na stół. Potem wzrusza ramionami.

– Co było potem? – pyta Svante.

Magnus trochę się prostuje.

– No... No spotkaliśmy Assę więcej razy. Opowiadała o sobie i o Nerminie. Mówiła, że podobno nie pozwalają im zostać w Szwecji. To powiedziałem, że mogą mieszkać w mojej piwnicy.

– A co na to twoja mama?

Magnus wydyma dolną wargę i robi krnąbrną minę. Cały on, jego postać, gesty, sposób mówienia – przypominają wielkie dziecko.

– Okropnie się zezłościła.

– Dlaczego?

– Powiedziała, że mamy dosyć własnych problemów. I że nie możemy trzymać uchodźców w piwnicy. Nie można trzymać uchodźców w piwnicy tylko dlatego, że ma się piwnicę. Tak powiedziała.

– I co wtedy zrobiłeś?

Magnus wciąga dolną wargę, wygląda to tak, jakby ją gryzł.

– Powiedziałem, że się wyprowadzę. Do Katrineholmu. Jak Lill-Leffe.

Svante kiwa głową, zapisuje coś, a potem patrzy znowu na Magnusa.

– I jak zareagowała twoja mama, kiedy powiedziałeś jej, że się wyprowadzisz?

Magnus spogląda w bok, na ścianę. Żyła na jego szyi jest nabrzmiąta, pulsuje, a na policzkach dostrzegam czerwone plamy.

– Że mi nie pozwoli. Zawsze tak mówiła, kiedy chciałem się wyprowadzić. Robiła się strasznie, strasznie zła.

Svante znowu zapisuje coś w notesie, a potem patrzy na Magnusa.

– I co wtedy powiedziałeś?

Magnus kręci się na krześle.

– Że tym razem zamierzam się wynieść naprawdę.

Na chwilę zalega cisza.

– No i? – pyta Svante. – Co się stało?

Magnus buja się znowu na krzesle.

– Rozmyśliła się. Powiedziała, że może one dwie będą mogły u nas przez krótki czas zamieszkać. Dopóki nie dostaną pozwolenia i nie wyjadą do Sztokholmu. No i się wprowadziły. Ale chociaż bardzo się staraliśmy, żeby czuły się dobrze, przez cały czas chciały tylko wyjechać. Chociaż mama kupowała im lody i chipsy, i... Nie były ani trochę wdzięczne. Nic, tylko chciały wyjechać, a przecież dopiero się wprowadziły. Któregoś wieczoru zniknęła Nermina. Zapomniałem zamknąć drzwi i po prostu zniknęła.

– Uciekła?

– Uciekła?

Magnus wygląda na zaskoczonego, jakby nigdy nie przyszło mu do głowy, że je więził. W końcu jednak kiwa głową, żeby potwierdzić, że uznaje wersję Svantego.

– I co wtedy zrobiłeś? – pyta Svante.

Magnus ma zakłopotaną minę. Oblizuje sobie wargi i bezradnie mruga powiekami.

– Poszedłem jej szukać. Do lasu.

Chwila ciszy.

– Znalazłeś ją? – pyta spokojnie Svante.

Magnus potakuje kiwnięciem głowy.

– Przy kopcu. Stała na polanie. Nie chciałem. Nie chciałem zrobić jej nic złego.

– A co się stało?

Magnus mamrocze coś pod nosem i chociaż wiem, że jest potworem, nie mogę powstrzymać się od myśli, że jest mi go trochę żal. Przecież to pod wieloma względami dziecko. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do przekonania, że to Margareta ponosi odpowiedzialność za to, co się stało.

Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego to zrobiła. Dlaczego pozwoliła Magnusowi więzić Azrę i Nerminę.

Wiem, że Margareta miała niełatwe życie. Jej pierwsze dziecko zmarło, zanim skończyło rok, a kiedy spodziewała się Magnusa, opuścił ją Lill-Leffe. Sądzę, że właśnie dlatego tak chroniła swojego syna – nie miała nikogo poza nim i potwornie się bała, żeby i on się nie wyniósł, bo wtedy zostałyby zupełnie sama.

Przypuszczam, że Magnus będzie poddany specjalistycznym badaniom w celu ustalenia, czy nie cierpi na poważne zaburzenia psychiczne. Jeśli okaże się, że jest chory, zamkną go w więziennym zakładzie psychiatrycznym.

– Co się stało? – Svante powtarza pytanie.

– Chciałem ją tylko złapać, ale okropnie się szarpała, upadła do tyłu i uderzyła głową o kamień. A wtedy... przewróciłem się na nią. Kiedy się podniosłem, już nie oddychała.

Magnus zerka na swój wydatny brzuch.

– Ja nie chciałem – mówi dalej. – Jestem taki duży i ciężki. Nie zamierzałem zrobić jej krzywdy. Co innego z Assą. Nie zdążyłem jej złapać. I musiałem ją zastrzelić. Ale Nerminę chciałem tylko złapać. Przecież nie mogłem dopuścić, żeby komuś opowiedziała, bo wtedy...

– Co? – pyta Svante.

Magnus wzrusza ramionami, wzrok utkwiał w stole.

– Bo wtedy wszyscy by myśleli, że je porwaliśmy.

– A nie zrobiliście tego?

– Czego?

– Nie porwaliście ich?

– Nie. Chodziło tylko o to... żeby im pomóc.

– To dlaczego ich nie wypuściliście, jeśli chcieliście tylko pomóc?

Magnus znowu wierci się na krześle. Zaciska mocno dłonie i marszczy czoło.

– Ale... – bąka.

I po kilku sekundach dodaje:

– Ja ją lubiłem.

– Azrę?

Magnus znowu wpatruje się w blat stołu. Jego duża głowa zaczyna podrygiwać. Łysa czaszka błyszczycy w świetle jarzeniówki.

– Tak – potwierdza, pochlipując głośno. – Mama mówiła, że nikt nie zauważy, jak będzie dwóch Jugoli mniej. Mówiła, że to się nie liczy. W gruncie rzeczy. Powiedziała mi, że dopóki będę mieszkał w domu, mogę ją w nim trzymać. Ale później... po tym, jak... zniknęła Nermina, Assa zrobiła się całkiem inna. Przestała się odzywać i nie chciała wychodzić z piwnicy. Przez cały czas siedziała na łóżku i nic poza tym. No. Ale wszystko było w porządku. Przynajmniej dopóki nie pojawili się ten policjant i ta babka ze Sztokholmu. Oni ją wystraszyli. Policjant był okropnie zły. Przeraziłem się. To było potworne, ale musiałem. Musiałem się bronić. I zatrzymać Assę. Ale ta kobitka ze Sztokholmu uciekła.

Zapada milczenie.

Domyślam się, że Svante jest w szoku. Chociaż obraz jest zamglony, a dźwięk niewyraźny, czuję to jako wibrację w swoim ciele.

Siedzi z otwartymi ustami, jakby nie był w stanie przyjąć słów Magnusa.

– Czy byłeś zakochany w Azrze? – pyta w końcu.

– Zakochany?

– No tak. Czy ją kochałeś? Chciałeś być blisko niej? Pociągała cię? I dlatego trzymałeś ją u siebie?

– Szczerze mówiąc – odzywa się Magnus, znowu pochlipując – była bardziej jak zwierzak domowy.

Bolesny skurcz przeszywa mi żołądek. Naciskam pauzę. Łapczywie chwytam powietrze. Nazywa ją zwierzakiem domowym.

Moja matka, zwierzak domowy Magnusa.

Czując, jak łyzy płyną mi po policzkach, przypominam sobie, jak wiele lat temu, kiedy byłam mała, przychodziłam do ich domu. Często bawiłam się z Magnusem w chowanego i kryłam się pod stołem w kuchni. Leżałam na brzuchu na podłodze, z policzkiem przyklejonym do chłodnego linoleum. Wdychałam zapach smażonego mięsa i papierosowego dymu, tłumiąc chichot, czekałam, aż Magnus mnie znajdzie.

Ona była na dole, pode mną.

Moje bose dziecięce stopy biegały nad jej głową.

Moje uszy przyciskały się do podłogi, która była jej sufitem.

A mimo to niczego nie zauważałam.

Przypomina mi się, co powiedziała nam Esmie, kiedy ją odwiedziliśmy.

„Kto sieje wiatr, zbiera burzę”.

Właśnie nadeszła burza. Zepsute ziarno zasiane przez Margaretę już tamtej zimy, kiedy zaproponowała Azrze i Nerminie schronienie, zrodziło niszczycielską nawałnicę.

Z korytarza dobiega odgłos kroków. Po chwili drzwi się otwierają i do środka wchodzi Manfred.

Siada naprzeciw mnie, patrzy mi w oczy i powoli kiwa głową, jakby na potwierdzenie tej strasznej prawdy, którą właśnie poznałam.

Nieoczekiwanie przypominają mi się słowa Andreasa, kiedy w obecności Manfreda sprzeczałam się o uchodźców, a ja usiłowałam wyjaśnić, dlaczego mieszkańcy Ormbergu są w stosunku do nich tak nieprzychylni. Pamiętam, że ogromnie się starałam uzasadnić, dlaczego my, tutejsi, bardziej zasługujemy na pomoc i wsparcie niż uchodźcy. Jakby moje pochodzenie stanowiło twardą walutę, którą można wymienić na sympatię i przywileje.

Nigdy nie zapomnę jego słów, które już na zawsze wryły mi się w pamięć: „Równie dobrze to ty mogłaś uciekać przed wojną i głodem”.

Na co mu odpowiedziałam, że to absolutnie wykluczone.

Przecież pochodzę z Ormbergu i nie jestem żadną pieprzoną muzułmanką, która przedostała się przez Morze Śródziemne jakimś nędznym pontonem w nadziei na skorzystanie ze szwedzkiego systemu opieki socjalnej.

Okazało się jednak, że właśnie nią jestem.

W tym momencie już wiem, co powinnam zrobić, co jestem winna Azrze, Nerminie i Esmie, ale także sobie.

– Słuchaj, Manfred, muszę ci coś powiedzieć.

# Jake

## Cztery miesiące później

**B**erit stawia na stole herbatę i słodkie bułeczki.  
Patrzę przez okno.

Słońce rozpuściło śnieg, odsłaniając szerokie ciemne pasy ziemi na polu. Przy niewielkim kopcem kamieni na skraju ogródka rośnie dzielnie mały podbiał.

Bułeczki Berit pachną wyjątkowo smakowicie.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem takie świeże bułeczki prosto z pieca. Chyba jeszcze przed śmiercią mamy – ona też czasami coś piekła. Najczęściej zwykły placek, bo szybko się go przygotowuje, ale niekiedy robiła też bułeczki, z cynamonem, posypane na wierzchu chrupiącym cukrem.

Tata nie umie ani gotować, ani piec, ale to nie jest specjalnie ważne, kiedy ma się mikrofalówkę.

Hanne spogląda na Berit i marszcząc czoło, mówi do niej:

– Moja droga, przecież mogłabym nakryć sama.

– Siedź – odpowiada Berit. – Ja się tym zajmę. Potem spokojnie sobie porozmawiacie, a ja przejdę się z Joppem.

– Wobec tego ja zmyję – oznajmia Hanne.

– Nie musisz.

– Ale zmyję – upiera się Hanne.

– Nie ma mowy – nie zgadza się Berit.

Zachowują się tak, jakby były małżeństwem.

Tata z mamą też tak rozmawiali, sprzeczali się o drobne rzeczy, na przykład kto ma wynieść śmieci albo co będą oglądać w telewizji w piątek wieczorem.

Może to znaczy, że Berit i Hanne lubią się nawzajem, tak jak kiedyś mama i tata. Chociaż oczywiście nie są w sobie zakochane.

Tata mówi, że to „skandal”, że gmina pozwala Hanne nadal mieszkać u Berit. Uważa, że byłoby i taniej, i bezpieczniej umieścić ją w domu opieki, ale ja się z tym nie zgadzam. Nie wyobrażam sobie jej zamkniętej w domu starców, wśród całej masy ogłupiałych ludzi.

Berit kuśtyka do przedpokoju, a Joppe człapie za nią, rzucając jeszcze raz tęskne psie spojrzenie na bułeczki, po czym jednak znika, posłuszny swojej pani.

Drzwi wejściowe się zatraskują. Ja i Hanne jesteśmy sami, siedzimy naprzeciw siebie.

Hanne uśmiecha się nieznacznie.

Nie jest już tak chuda jak jeszcze niedawno, ma też bardziej zaróżowione policzki. Jej gęste włosy ładnie błyszczą i opadają miękkimi falami na ramiona.

– Jestem ci winna podziękowanie – odzywa się. – Podobno uratowałeś mi życie.

Czuję, że się rumienię, i opuszczam wzrok na stół.

Gdy podsuwa mi talerz, wyciągam rękę i zwijam z niego największą bułeczkę. Odgryzam kawałek i znowu spotykam jej spojrzenie.

Kiedy tak na mnie patrzy, przypomina mi dziecko, bo chociaż jest stara, w jej oczach jest dziecięca ciekawość.

– Mówiąc szczerze, nie pamiętam, co się wydarzyło – przyznaje. – Ale opowiedziano mi wszystko po kolei. I to kilka razy.

Powiedziawszy to, wybucha śmiechem.

– Czy to trudne, kiedy się czegoś nie pamięta? – pytam.

Hanne kiwa głową i też sięga po bułeczkę. Trzyma ją w dłoni i przygląda się jej uważnie, jakby zastanawiała się, ile może ważyć albo z czego jest zrobiona.

– Tak. Czasami to strasznie stresujące. Chociaż wydaje mi się, że od niedawna jest trochę lepiej. Dostałam nowe lekarstwo. Poza tym moje życie nie jest już takie dramatyczne.

Wypowiadając słowo „dramatyczne”, unosi brwi i się uśmiecha.

– Teraz więcej sobie przypominam – ciągnie dalej. – Co prawda nadal nie pamiętam, co się stało, kiedy ja i Peter zniknęliśmy w lesie, ale wiem, że on...

Mruga nerwowo.

– Nie żyje? – dopowiadam za nią.

Hanne kiwa głową, nic jednak nie mówi, tylko przenosi spojrzenie za okno.

– Chciałabyś przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się w Ormbergu? – pytam.

Kładzie bułeczkę na stole, prostuje się i spogląda na mnie.

– Nie jestem pewna – odpowiada. – To zależy. Czasami niewiedza jest błogosławieństwem. – Po chwili zwraca się do mnie: – Teraz ja mam pytanie do ciebie: czy to trudno być tak odważnym jak ty?

Znowu czuję się zawstydzony, w pierwszej chwili nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– Nie. Chociaż czy ja wiem. Może trochę.

– W jakim sensie trudno? – dopytuje, odgryzając kęs bułeczki.

Zastanawiam się przez moment.

– Najtrudniej jest znaleźć odwagę, którą ma się w sobie. Uważam, że każdy może być odważny, byle tylko umiał dotrzeć do swojej odwagi.

– Jesteś nie tylko odważny, ale i mądry. A ty jak do niej dotarłeś?

Spoglądam za okno. Berit właśnie znika między drzewami, a Joppe podskakuje dookoła niej. Z dachu kapie na blaszany parapet.

– Najpierw strasznie się bałem – odpowiadam.

– Hm.

Hanne kiwa głową, jakby rozumiała, co dokładnie mam na myśli, jakby wyjątkowo dobrze znała się na odwadze.

Właściwie to strasznie dziwne, że siedzę tutaj i opowiadam jej o tym wszystkim. Nigdy wcześniej nie rozmawiałem o takich sprawach z żadnym dorosłym. Ale wobec Hanne powinienem być szczery. Czytając jej dziennik, dowiedziałem się o niej tyle, że teraz ma pełne prawo dokładniej mnie poznać.

Chodzi o równowagę.

– Odwaga to dzisiaj towar deficytowy – mówi, patrząc przez okno w stronę kościoła.

Może myśli o leżącym za nim ośrodku dla uchodźców.

O tym, że Magnus więził w swojej piwnicy uchodźczynię i jej dzieci, pisano w gazetach i mówiono w telewizji każdego dnia po tym, jak Margareta spadła w przepaść, a potem zmarła. A kiedy wyszło na jaw, że Malin jest córką tamtej kobiety, zjechali się do nas dziennikarze z całego świata.

Magnusa nazwali „katem z Ormbergu”, a jego piwnicę „poczekalnią śmierci”. Podobno ktoś chce napisać książkę o tym, co się tu wydarzyło, i nadać jej tytuł *Zwierzak domowy*.

Magnus w czasie przesłuchania na policji nazwał Azrę właśnie zwierzakiem domowym.

Saga mówi, że nigdy w życiu nie słyszała czegoś bardziej podłego. A nasza pani rozmawiała z nami na ten temat na wiedzy o społeczeństwie i powiedziała, że Magnus i Margareta pewnie uważali, że Azra i Nermina z powodu swojego pochodzenia są gorszymi ludźmi od nas.

Do taty wydzwaniiali zagraniczni dziennikarze i proponowali mu pieniądze, jeśli zgodzi się na wywiad ze mną, na co kazał im wszystkim wynosić się do diabła.

Dziennikarzom nie powinno się ufać. Zwłaszcza tym z dużych miast, takich jak Sztokholm, Berlin, Londyn czy Paryż.

Rozmawiamy jeszcze trochę, a potem Berit wraca z psem i od razu zabiera się do sprzątnięcia ze stołu.

– Zostaw, Berit, ja później posprzątam – mówi Hanne.

– Nie ma mowy – protestuje Berit.

– To ci pomogę – proponuje Hanne i unosi się z krzesła.

– Siadaj i nie zawracaj sobie niczym głowy – odpowiada Berit, zmuszając Hanne do pozostania na miejscu.

Wychodzę od nich z pełnym żołądkiem.

Przed uruchomieniem motoroweru wyjmuję komórkę i wysyłam esemesa:

„Będę o piątej”.

Potem wkładam kask, podnoszę szybkę i ruszam w kierunku starej szosy. Powietrze, które dmucha mi w twarz, jest nawet dosyć ciepłe. Na poboczach leżą wciąż zwały brudnego



śniegu, a głębokie koleiny szutrowej drogi wypełnia woda z roztopów.

Za Ormberget skręcam w prawo, jadę jeszcze kilkaset metrów, po czym zatrzymuję się i odstawiam motorower.

Las dookoła zaczyna budzić się do życia po długiej mroźnej zimie. Tu i ówdzie z zeszłorocznej trawy wystają drobne, zwinięte liście paproci, słychać śpiew ptaków. Słońce przypieka, czuć intensywny zapach wilgotnej ziemi i świerków.

Saga jest już na miejscu.

Stoi na środku drogi, z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie dzinsów. Wiatr rozwiewa jej niebieskie włosy.

Przytulam ją na powitanie, ona też odpowiada mi uściskiem. Potem wydajęm dziennik i przewracam kartki. Zatrzymuję się na jednej ze stron na końcu, na tej z krwawym odciskiem dłoni Hanne.

Kładę na nim dłoń. Pasuje idealnie.

Saga robi to samo.

Jestem jej bardzo wdzięczny, że mi wybaczyła, iż ukrywałem dziennik także przed nią. Myślę też o tym, jakie to wielkie szczęście, że jej mama zerwała z sukinsynem Björnem, bo dzięki temu uniknie śmierci w saunie.

Przewracam kilka stron do przodu. Czytam znajome rozstrzelone pismo.

Kiedy to się skończy, będę musiała spalić dziennik. Wykreślić ostatnie dwa tygodnie swojego życia. Zapomnieć Ormberg i to, co się tutaj wydarzyło, bo zanim tu przyjechaliśmy, życie było idealne, mimo choroby.

Dobry Boże, proszę Cię tylko o jedną małą przysługę: pomóż mi zapamiętać!

– Już? – pyta Saga.

Kiwam głową i myślę o tym, co powiedziała Hanne: „Czasami niewiedza jest błogosławieństwem”.

Saga grzebie w kieszeni i wyjmuję zapalniczkę, naciska kciukiem dźwigienkę i przysuwa płomień do dziennika.

Ogień z trzaskiem obejmuje suchy jak wiór papier, języki płomieni liżą kolejne kartki i przez moment można odnieść wrażenie, że tekst unosi się swobodnie w powietrzu, usamodzielnia się i uwalnia od nabrzmiałego, przypominającego pergamin papieru.

Jakby historia Hanne nie potrzebowała już żadnego zapisu, aby istnieć.

Kładę płonący dziennik na drodze i patrzę, jak ogień połyka stronę za stroną, by na sam koniec strawić też okładkę. Papier czernieje, zamienia się w popiół, czarne płatki sadzy unoszą się z wiatrem.

Saga bierze mnie za rękę, mocno ściska mi dłoń.

– Jedziemy? – pyta.

# O książce

**Z**yjemy w mrocznych czasach. Jeszcze nigdy w dziejach ze swoich ojczyzn nie uciekało tak wielu ludzi. A tam, gdzie przetaczają się ogromne fale uchodźców, kiełkuje wrogość do obcych, konflikty i strach.

Mojego Ormbergu nie znajdziemy na żadnej mapie, mimo to on istnieje – wszędzie dookoła nas. Może i Ty w nim mieszkasz, nie wiedząc o tym, albo mijasz go po drodze do pracy czy jadąc odwiedzić swoją starą matkę. Ormberg to raczej stan ducha, a nie pojęcie geograficzne – stan, który powstaje, gdy obok następuje wielka zmiana. Na przykład pożar lasu. Ormberg to coś, co wyrasta z popiołu na spalonej ziemi. Coś, co znajduje pożywkę we frustracji, niezadowoleniu albo może jedynie w zwykłej nudzie.

„Równie dobrze to ty mogłaś uciekać przed wojną i głodem” – mówi Andreas do Malin. I to jest proste, a zarazem istotne przesłanie, które chciałam zawrzeć w tej książce.

# Podziękowania

**P**ragnę podziękować wszystkim, którzy współuczestniczyli w pracy nad książką. Przede wszystkim redaktorce Katarinie Ehnmark Lundquist oraz wydawczyni Sarze Nyström z wydawnictwa Wahlström & Widstrand, a także moim agentkom – Christine Edhäll i Astri von Arbin Ahlander z Ahlander Agency. Ponadto jestem dozgonnie wdzięczna Åsie Torlöf, która przeczytała maszynopis i wyjaśniła wiele kwestii z zakresu działania policji, Martinie Nilsson, która szczerze podzieliła się ze mną swoją wiedzą na temat analizy DNA, oraz Lejli Hastor mającej doskonałe rozeznanie w historii Bośni. Dziękuję też rodzinie i przyjaciołom za wyrozumiałość i słowa otuchy podczas pracy nad książką. Bez waszej miłości i cierpliwości by jej nie było!

Camilla Grebe